

BORYS
BAŻANOW

Byłem
sekretarzem
Stalina

„KRYTYKA”

Byłem sekretarzem Stalina

Borys Bażanow

PRZEDMOWA AUTORA

Maje wspomnienia obejmują przede wszystkim okres, w którym byłem pomocnikiem Sekretarza Generalnego KC Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików), Stalina, oraz sekretarzem Biura Politycznego KC WKP(b). Nominacje na oba stanowiska otrzymałem 9 sierpnia 1923 r. 1 stycznia 1928 r., już jako antykomunista, uciekłem z Rosji Radzieckiej przez perską granicę. Część wspomnień opublikowałem we Francji w latach 1929-1930 w postaci książki i artykułów prasowych. Kładłem w nich głównie nacisk na opis prawdziwego, mało jeszcze wówczas znanego na Zachodzie, mechanizmu władzy komunistycznej, niektórych reprezentantów tej władzy i najważniejszych wydarzeń epoki. W mych relacjach zawsze starałem się być drobiazgowo dokładny - opisywałem tylko to, co sam widziałem lub o czym wiedziałem z absolutną pewnością. Władze Kremla nigdy nie podjęły najmniejszej nawet próby podważenia przytaczanych przeze mnie faktów (zresztą nie byłyby w stanie tego zrobić) i wołały wybrać taktykę zupełnego milczenia - mego nazwiska nie należało wspominać. Najbardziej zagorzałym czytelnikiem mych artykułów był Stalin; późniejsi uciekinierzy z sowieckiego przedstawicielstwa dyplomatycznego we Pranej mówili, Stalin żądał, by każdy mój nowy artykuł przesyłano mu niezwłocznie samolotem.

Przestrzegając całkowitej dokładności w opisach zdarzeń musiałem jednak - z uwagi na bezpieczeństwo mych przyjaciół pozostałych w Rosji i w porozumieniu z nimi - zmienić jeden dotyczący mnie osobiście szczegół: datę mojego przeobrażenia się w antykomunistę. Z punktu widzenia tego, o czym pisałem nie miało to żadnego znaczenia. To, czy antykomunistą stałem się dwa lata wcześniej czy później, nie zmieniało opisywanych faktów. Jak się jednak okazało, postawiło mnie to w sytuacji wielce nieprzyjemnej (w jednym z ostatnich rozdziałów książki, w którym mówię o przygotowaniach mej ucieczki za granicę, wyjaśnię, dlaczego moi przyjaciele o to mnie prosili). Nie mogłem też pisać o wielu faktach dotyczących ludzi wówczas jeszcze żyjących. Nie mogłem, na przykład, opowiedzieć o jednej ze spraw, które relacjonowała mi osobista sekretarka Lenina - mogło to ją drogo kosztować. Teraz, gdy minęło już ponad pół wieku i gdy większości ludzi z tamtych lat nie ma już wśród żywych, można pisać niemal o wszystkim bez ryzyka narażenia kogokolwiek na stalinowską kulę w tył głowy.

Opisując dziś tamte, historyczne wydarzenia, mogę też przedstawić czytelnikowi wnioski, wynikające z mych bezpośrednich obserwacji - Mam nadzieję, że pozwoli to lepiej pojąć sens owych wydarzeń oraz całego tego etapu rewolucji komunistycznej.

WSTĄPIENIE DO PARTII

Gimnazjum. Uniwersytet. Rozstrzelanie demonstracji. Wstąpienie do partii. Jampol i Mohylów. Moskwa. Politechnika, Dyskusja o związkach zawodowych. Powstanie w Kronsztadzie. SEP. Nauka.

Urodziłem się w 1900 r. w Mohylowie Podolskim na Ukrainie. W 1917 r., gdy wybuchła rewolucja lutowa, byłem uczniem 7 klasy gimnazjum. Wiosną i latem 1917 r. miasto przeżywało wszystkie fazy rewolucji, a przede wszystkim stopniowy rozpad starego świata. Rewolucja październikowa proces ten przyspieszyła. Załamał się front, odłączyła się Ukraina. Ukraińscy nacjonaści walczyli z bolszewikami o władzę. Na początku 1918 r., Ukrainę zajęły wojska niemieckie. Przy ich pomocy przywrócony został pewien ład oraz ustanowiona nader dziwaczna władza hetmana Skoropadskiego, formalnie ukraińsko-nacjonalistyczna, a w praktyce konserwatywna - o bliżej nieokreślonym charakterze.

Życie wróciło do jakiejś takiej normy, zajęcia w gimnazjum toczyły się znów zwykłym trybem. Ukończyłem je latem 1918 r., a we wrześniu pojechałem do Kijowa, by kontynuować naukę na wydziale fizyczno-matematycznym tamtejszego uniwersytetu. Niestety, studia te nie trwały długo. W listopadzie Niemcy poniosły klęskę i ich wojska zaczęły opuszczać Ukrainę. Na uniwersytecie zakotłowało się od działalności rewolucyjnej - mityngi, przemówienia. Władze zamknęły uniwersytet. W tym czasie nie zajmowałem się polityką. Uważałem, że mając 18 lat wie się zbyt mało o podstawowych problemach życia społecznego. Tak jak większość studentów byłem jednak niezadowolony z przerwy w nauce; do Kijowa przyjechałem z dalekiej prowincji po to, by się uczyć. Dlatego też, gdy przed uniwersytetem zorganizowano demonstrację studentów na znak protestu przeciwko jego zamknięciu, wziąłem w niej udział.

Dostałem tam poważną nauczkę. Na miejsce zgromadzenia przyjechały ciężarówki z oddziałem *derżawnej warty* (policji państwowej). Policjanci zeskoczyli z samochodów, uformowali szyk i bez żadnego ostrzeżenia otworzyli ogień do demonstrantów. Tłum już na sam widok karabinów w panice rzucił się do ucieczki, zostało tylko 30-40 osób. Ci odważni, którzy uważali, że zajęcza ucieczka na widok policji jest poniżej ich godności, albo zginęli (około 20 osób), albo zostali ranni (również około 20 osób). Znalazłem się w grupie rannych. Na szczęście kula tylko drasnęła mnie w szczękę i wszystko skończyło się na 2 czy 3 tygodniach pobytu w szpitalu.

Nauka została przerwana, na nowo wybuchła walka między bolszewikami i ukraińskimi nacjonalistami. Wróciłem więc do rodzinnego miasta, by kurować się i rozmyślać o wydarzeniach, w które włączyłem się wbrew własnej woli. Do lata 1919 r. dużo czytałem, starałem dowiedzieć się, czym jest marksizm, co propagują rewolucyjne pisma i programy.

W 1919 r. wybuchła wojna domowa i ze wszystkich stron kraju ruszyła na Moskwę ofensywa białogwardyjskich armii. Nasz podolski zakątek znajdował się jednak poza obszarem działań wojennych; o władzę rywalizowali tu wyłącznie petlurowcy i bolszewicy. Latem 1919 r. postanowiłem wstąpić do partii komunistycznej

W owym czasie komunizm wydawał się nam, uczącej się młodzieży, niezwykle ciekawą próbą stworzenia nowego, socjalistycznego społeczeństwa. Jeśli miałem zamiar wziąć udział w życiu

politycznym, to tu, w moim prowincjonalnym świecie, mogłem wybierać jedynie między ukraińskim nacjonalizmem a komunizmem. Ukraiński nacjonalizm nie pociągał mnie w najmniejszym stopniu; uważałem, że był on poniżej wysokiego poziomu kultury rosyjskiej, w której zostałem wychowany. Nie byłem też bynajmniej zachwycony praktycznym komunizmem, który mogłem obserwować w otaczającym mnie świecie; mówiłem sobie jednak (zresztą nie ja jeden), że nie można zbyt wiele żądać od niewykształconych, prostych bolszewików, wywodzących się spośród robotników i chłopów, którzy hasła komunizmu pojmowali i wprowadzali w życie na swój dziki sposób; uważałem, że właśnie ludzie bardziej wykształceni i zdający sobie sprawę, o co toczy się walka, powinni błędy te naprawiać i budować nowe społeczeństwo w taki sposób, by odpowiadało ono ideom przywódców, którzy gdzieś daleko, w odległych centralach działają, oczywiście dla dobra narodu.

Kula, która trafiła mnie w Kijowie, nie wpłynęła zbyt mocno na moją świadomość polityczną. Ważną rolę odegrał jednak w moim przypadku problem wojny.

Przez lata młodości koszmarem był dla mnie obraz wieloletniej, bezsensownej jatki, jaką była pierwsza wojna światowa. Mimo młodego wieku doskonale rozumiałem, że żadnej z walczących stron wojna nie może przynieść nic, co dałoby się w jakikolwiek sposób porównać z milionami ofiar i gigantycznymi zniszczeniami. Rozumiałem, że technika destrukcji osiągnęła poziom, przy którym stara metoda rozstrzygania sporów między wielkimi mocarstwami na drodze wojny traci wszelki sens. I jeśli przywódcy tych mocarstw kierują się dawną polityką nacjonalizmu, polityką, która była dopuszczalna przed wiekiem, kiedy to z Paryża do Moskwy podróżowało się dwa miesiące, a państwa mogły żyć niezależnie od siebie, to dziś, kiedy wszystkie państwa są ze sobą ściśle powiązane (a z Paryża do Moskwy jedzie się dwa dni), przywódcy ci są bankrutami i ponoszą ogromną odpowiedzialność za następujące po wojnach rewolucje, które niszczą stary porządek. W owym czasie przyjmowałem za dobrą monetę zimberwaldskie i kientalskie antywojenne protesty internacjonalistów; dopiero później zrozumiałem, jak leninowie zachwycali się wojną, bo tylko ona mogła przynieść im rewolucję.

Po wstąpieniu do miejscowej organizacji partyjnej wkrótce zostałem wybrany sekretarzem powiatowym. Rzecz charakterystyczna, od samego początku zacząłem wojować z czekistami, przysłanymi z centralnego ośrodka gubernialnego w celu zorganizowania miejscowego oddziału Czecha. Nasi powiatowi czekisci zarekwirowali dom notariusza Afieniewa (bogatego, nieszkodliwego staruszka), a samego gospodarza rozstrzelali. Zażądałem od organizacji partyjnej natychmiastowego zamknięcia oddziału Czecha i odesłania czekistów do Winnicy (stolicy guberni). Organizacja wahała się. Szybko ją jednak przekonałem. Było to miasto żydowskie, członkami partii byli w większości Żydzi. Władza zmieniała się co 2-3 miesiące. Zapytałem, czy organizacja partyjna zdaje sobie sprawę, że za bezsensowne rozstrzelanie ludzi przez sadystów z Czecha odpowie ludność żydowska, której przy kolejnej zmianie władzy grozi pogrom. Organizacja przyjęła moje argumenty i udzieliła mi poparcia. Oddział Czecha zamknięto.

Władza radziecka nie utrzymała się długo. Przyszli petlurowcy. Przez pewien czas mieszkałem w Żmierince i w Winnicy, gdzie w styczniu 1920 r. nieoczekiwanie mianowany zostałem kierownikiem gubernialnego wydziału oświaty. Tę moją karierę przerwał tyfus powrotny, a później przyszła wiadomość o śmierci rodziców, zmarłych na tyfus plamisty. Pospiesznie wyjechałem do rodzinnego miasta. Byli tam jeszcze petlurowcy. Nic mi jednak nie zrobili. Miejskowa ludność poświadczyła, że

jestem „ideowym komunistą”, który czynił ludziom jedynie dobro, a co więcej - człowiekiem, który uratował miasto przed terrorem Czecha.

Niedługo potem znowu zmieniła się władza - przyszli bolszewicy. Potem ponownie wycofali się. Rozpoczęła się wojna rosyjsko-polska. Latem 1920 r., gdy zdobyte zostało powiatowe miasto Jampol, zostałem mianowany członkiem i sekretarzem Jampolskiego Komitetu Rewolucyjnego. Już chyba nigdy więcej po rewolucji Jampol nie widział władzy tak pokojowo i życzliwie nastawionej do ludzi. Zarówno przewodniczący Komitetu Rewolucyjnego, Andriejew, jak i obydwaj członkowie Komitetu - Trofimof i ja - byliśmy ludźmi łagodnymi i dobrymi. Takiej opinii powinna być w każdym razie wdowa po pewnym urzędniku, w domu której mieszkaliśmy we trzech i z którą dzieliliśmy na wpół głodowy (ku jej ogromnemu zdziwieniu), mimo całej naszej władzy, stół.

W miesiąc później zdobyty został Mohylów. Przeniesiono mnie tam i ponownie wybrano sekretarzem powiatowego komitetu partii.

Wojna rosyjsko-polska skończyła się w październiku, w listopadzie zdobyty został Krym; wojna domowa zakończyła się zwycięstwem bolszewików. Postanowiłem wyjechać do Moskwy i kontynuować studia.

Do Moskwy przyjechałem w listopadzie 1920 r. i zostałem przyjęty na Politechnikę Moskiewską (Wyższa Moskiewska Szkoła Techniczna).

Politechnika miała oczywiście własną, miejscową komórkę partyjną. Jej życie partyjne było jednak bardzo słabutkie. Partia uważała, że krajowi ogromnie brakuje techników i że naszym, partyjnych studentów, zadaniem jest przede wszystkim nauka. Tym też zajmowaliśmy się.

W stolicy zetknąłem się jednak już nieco bliżej z życiem partii. Teraz, po zakończeniu wojny domowej, kraj zaczął się przestawiać na pokojowe budownictwo. Mogło się wydawać, że przez trzy lata, jakie upłynęły od wybuchu rewolucji bolszewickiej, komunistyczne metody rządzenia ukształtowały się już na dobre, gdy tymczasem, akurat pod koniec 1920 r., w trakcie głośnej dyskusji o związkach zawodowych, stały się one przedmiotem zażartych sporów w kierownictwie partyjnym. Dla nas wszystkich, szeregowych członków partii, rzecz wyglądała tak, jak gdyby toczył się spór o metody kierowania gospodarką, a ściślej mówiąc - przemysłem. Wydawało się, że część partii, z Trockim na czele, jest zdania, iż na początek wojsko powinno zostać przekształcone w armię pracy, której zadaniem będzie odbudowa gospodarki na zasadach surowej dyscypliny wojskowej; inna część partii (Szlapnikow i opozycja robotnicza) uważała, że zarządzanie gospodarką powinno zostać przekazane związkom zawodowym; wreszcie Lenin i jego grupa sprzeciwiali się zarówno armiom pracy, jak i kierowaniu gospodarką przez związki zawodowe, uważając, iż powinny nią kierować radzieckie instytucje gospodarcze, bez uciekania się do metod wojskowych. Zwyciężył, choć nie bez trudu, punkt widzenia Lenina.

Dopiero po kilku latach, gdy, będąc już sekretarzem Biura Politycznego, wertowałem jego materiały archiwalne, zrozumiałem, że cała ta dyskusja była sztucznie spreparowana. W istocie był to jeden z przejawów walki Lenina o zdobycie większości w Komitecie Centralnym partii - bał się on wówczas nadmiernych wpływów Trockiego, starał się go osłabić i odsunąć nieco od władzy. Problem związków zawodowych, w gruncie rzeczy drugorzędny, został sztucznie rozdmuchany. Trocki przejrzał tę

machinację Lenina i przez blisko dwa lata ich wzajemne stosunki uległy znacznemu ochłodzeniu. Epizod ten, wraz z jego następstwami, odegrał później ogromną rolę w dalszej walce o władzę.

W marcu 1921 r., w czasie trwania zjazdu partii, wszyscy członkowie organizacji partyjnej Politechniki zostali nagle wezwani do rejonowego komitetu partii. Oznajmiono nam, że zostaliśmy zmobilizowani, rozdano karabiny i naboje, i posłano do fabryk, które w większości były pozamykane; mieliśmy pełnić tam rolę straży, której zadaniem było zapobieżenie ewentualnym wystąpieniom robotników przeciw władzy. Były to dni powstania w Kronsztadzie.

Przez blisko 2 tygodnie pełniliśmy we trzech wartę w zamkniętej fabryce. Był ze mną mój przyjaciel, też student i komunista, Jurka Akimow, oraz rosyjski Niemiec o niebieskich oczach, Hans Lemberg. Gdy kilka lat później zostanę sekretarzem Biura Politycznego, wysunę go na stanowisko sekretarza Sportinternu. Okaze się najgorszego gatunku intrygantem. Jurkę Akimowa po 2-3 latach stracę z oczu. Niedawno dowiedziałem się z radzieckiej encyklopedii, że jest on zasłużonym profesorem metalurgii.

Na zjeździe partii, w marcu, Lenin wygłosił referat o zastąpieniu kontyngentów zbożowych podatkami w naturze. W całej oficjalnej radzieckiej literaturze historycznej moment ten przedstawia się jako wprowadzenie NEP-u. W czasie wojny domowej i latem 1920 r. zboże zabierano chłopom siłą. By wyżywić jakoś wojsko i miasta, władze obliczały w przybliżeniu, ile w każdym rejonie powinno być zboża, wielkość założonej konfiskaty dzielono na powiaty i majątki ziemskie, po czym zboże i inne produkty rolne odbierały oddziały kontyngentowe - na zasadzie najordynarniejszego rozboju. Chłopi nie dostawali przy tym w zamian niemal żadnych towarów przemysłowych - praktycznie w ogóle ich wówczas nie było. Latem 1920 r. wybuchły powstania chłopskie. Najbardziej znane, antonowskie (w guberni tambowskiej), trwało do lata 1921 r. Ponadto znacznie zmniejszyły się zasiewy - chłop nie chciał produkować dodatkowych ilości zboża, bo i tak by mu je odebrano. Lenin zrozumiał, że katastrofa jest nieuchronna i że należy wrócić od dogmatycznego komunizmu do realnego życia, przywracając jakiś sens chłopskiej pracy. Kontyngenty zastąpiono podatkiem w naturze - chłop zobowiązany był oddać określoną ilość produktów stanowiących podatek na rzecz państwa, resztą mógł rozporządzać według własnego uznania.

Powstanie w Kronsztadzie sprawiło, że Lenin posunął się jeszcze dalej. W kraju szerzył się głód, panowało powszechne niezadowolenie, brakowało towarów przemysłowych. Odbudowanie nie tylko samego rolnictwa, ale w ogóle całej gospodarki możliwe mogło być tylko wówczas, gdyby ludzie otrzymali jakieś bodźce natury gospodarczej, tzn., gdyby udało się wrócić od komunistycznej fantastyki do naturalnej gospodarki wymiennej. Z taką właśnie propozycją wystąpił Lenin pod koniec maja na wszechrosyjskiej konferencji partyjnej. Ostateczną koncepcję NEP-u sformułował jednak dopiero w końcu października na gubernialnej konferencji partyjnej w Moskwie (później opowiem, co już po jego śmierci jego sekretarki mówiły mi o najsłynniejszych myślach Lenina z tego okresu).

Kontynuowałem naukę. Zostałem wybrany sekretarzem organizacji partyjnej. Nie przeszkadzało mi to zbytnio w nauce, gdyż działalność partyjna na Politechnice rozmyślnie nie była nadto ożywiona.

Przez cały rok 1921 w kraju panował głód. Nie istniał żaden rynek. Trzeba było żyć wyłącznie z racji żywnościowych. Racja składała się z jednego funta chleba dziennie (klejowatej brei, upieczonej z Bóg wie jakich resztek i odpadków) i czterech nadgniętych śledzi miesięcznie. W uczelnianej stołówce dostawało się ponadto raz dziennie trochę kaszy jaglanej na wodzie, bez najmniejszego choćby śladu tłuszczu i, nie wiedzieć czemu, bez soli. Przetrzymać zbyt długo na takiej diecie było nie sposób. Na

szczęście przyszło lato i można było wyjechać na wakacyjną praktykę do fabryki. Wraz z trzema kolegami wybrałem praktykę w cukrowni (studiowaliśmy na wydziale chemii) w rodzinnym powiecie mohylowskim. Tam podjedliśmy sobie: deputat wydawano w cukrze, a cukier można było wymienić na każdą żywność.

Jesienią wróciłem do Moskwy, by kontynuować studia. Na głodowej diecie znów bardzo schudłem i osłabłem. W końcu stycznia 1922 r. postanowiłem ponownie jechać na Ukrainę.

W laboratorium analizy ilościowej pracował obok mnie młody, sympatyczny student, Sasza Wołodarski. Był bratem Wołodarskiego, piotrogradzkiego komisarza do spraw prasy i wydawnictw, którego latem 1918 r. zabił robotnik Siergiejew. Sasza Wołodarski był bardzo miłym i skromnym chłopcem. Gdy usłyszawszy nazwisko ludzie pytali go: *Czy jest pan krewnym tego znanego Wołodarskiego?* - odpowiadał: *Nie, nie, tylko imiennikiem.*

Poprosiłem go o opinię, kogo mógłbym zaproponować na swoje miejsce jako sekretarza organizacji partyjnej. Dlaczego? Chcę wyjechać, dłużej nie mogę głodować - wyjaśniłem.

- A czemu nie robicie tak jak ja? i spytał Wołodarski.

- Jak?

- Pół dnia uczę się, drugie pół pracuję w KC partii. Są tam prace, które można brać do domu. Nawiasem mówiąc, aparat KC mocno się teraz rozrasta, potrzebują tam inteligentnych ludzi. Spróbujcie.

Spróbowałem. Fakt, iż w przeszłości byłem sekretarzem komitetu powiatowego, a teraz sekretarzem organizacji partyjnej na Politechnice, okazał się poważnym argumentem; kierownik organizacyjny KC, Ksenofontow (nawiasem mówiąc, były członek kolegium WCzK), przeprowadzający wstępne rozmowy z kandydatami do pracy, skierował mnie do Wydziału Organizacyjnego KC, gdzie zostałem przyjęty.

W WYDZIALE ORGANIZACYJNYM. STATUT PARTII

Wydział Organizacyjny KC. Ewidencja danych terenowych. Artykuł Kaganowicza. Zjazd partii. Referat Lenina. Projekt nowego statutu partii. Kaganowicz, Mołotow, Stalin. Mój projekt przyjęty. Łoskutka, Wołodarscy, Malenkow, Tichomirnow. Łazar Kaganowicz. „Jesteśmy, towarzysze, pięćdziesięciolatkami”. Michajłow. Mołotow. Komisja Obiegu Dokumentów. Poradnik pracownika aparatu, „Izwiestia KC”.

W owym czasie przeprowadzano niezwykłą rozbudowę i umacnianie aparatu partii. Wydział Organizacyjno-Instruktorski, do którego trafiłem (wkrótce połączony z Wydziałem Organizacyjno-Rozdzielczym), był wówczas najważniejszym chyba wydziałem KC. Obok głównych sekcji (organizacyjnej, informacyjnej) stworzono też niewiele znaczącą sekcję ewidencji danych terenowych. Jej funkcje były dość niejasne. Zostałem mianowany szeregowym pracownikiem tej właśnie sekcji. Składała się ona z kierownika, starego działacza partyjnego Rastopczyna, i pięciu szeregowych pracowników. Rastopczyn i trzech spośród jego pięciu podwładnych traktowali swą pracę jako chwilową synekurę. Sam Rastopczyn zjawiał się na kilka minut raz w tygodniu. Zapytany, co tak naprawdę należy tu robić, uśmiechał się i odpowiadał: *Wykazujcie inicjatywę*. Trzech spośród pięciu wykazywało ją, szukając sobie pracy, która lepiej by ich urzędująca; trzeba przyznać, że szybko dopięli swego. Rajter w wyniku wielu zawitych intryg został funkcyjnym instruktorem KC, a następnie sekretarzem jakiegoś gubernialnego komitetu partii. Kicys cierpliwie wyczekiwał na awans Rajtera i gdy się go wreszcie doczekał, wyjechał wraz z nim. Sorge (nie, nie ten japoński) pragnął pracować za granicą jako reprezentant Kominternu. Jedynie Mikołaj Bogomołow, robotnik z prowincji, bardzo sympatyczny i rozsądny człowiek, starał się coś zrobić. Po latach został pomocnikiem kierownika Wydziału Organizacyjno-Administracyjnego do spraw doboru kadry pracowników partyjnych, później jego zastępcą, a potem, nie wiadomo dlaczego - przedstawicielem handlowym w Londynie. W 1937 r., w okresie czystki, zniknął; przypuszczalnie zginął.

Początkowy nie robiłem prawie nic, rozglądałem się tylko i kontynuowałem studia. Po trudnym roku 1921 moje warunki życiowe zdecydowanie się poprawiły. Przez cały ten rok w Moskwie nie tylko głodowałem, ale i mieszkalem w ciężkich warunkach. Razem z moim przyjacielem Jurką Akimowem mieliśmy nakaz z rady dzielnicowej na zarekwirowany „burżujom” pokoik. Nie było tam ani ogrzewania, ani mebli (całe umeblowanie składało się z miednicy i dzbanka z wodą, stojących na parapecie). Zimą temperatura spadała do 5 stopni poniżej zera i woda w dzbanku zamarzała. Na szczęście podłoga była drewniana i obaj z Akimowem, zawinięci w kożuchy i przytuleni do siebie, żeby było cieplej, spaliśmy na niej w kącie, z braku poduszek pod głowę kładąc książki.

Teraz sytuacja się zmieniła. Pracownicy KC mieszkali w innych warunkach. Przydzielono mi pokój w 5. Domu Rad - dawnym hotelu *Łoskutnym* (Twerska 5), który powszechnie nazywano 5. Domem KC, jako że mieszkali w nim wyłącznie pracownicy KC. Co prawda, tylko szeregowi, ci najważniejsi mieszkali bądź na Kremlu, bądź w 1. Domu Rad (róg Twerskiej i Mochowej).

Choć pracowałem od niedawna, to jednak dość szybko wypadło mi zetknąć się z kierownikiem Wydziału Organizacyjnego, Kaganowiczem.

Pod jego przewodnictwem odbyło się pewnego razu instruktażowe zebranie na temat radzieckiego budownictwa. Zasadzono mnie do protokołowania (ot, przypadkiem się nawinałem). Kaganowicz wygłosił niezwykle rzeczowe, rozsądne przemówienie. Oczywiście nie notowałem dosłownie, sporządziłem tylko protokół z zebrania.

W kilka dni później redakcja pisma *Radzieckie Budownictwo* poprosiła Kaganowicza o napisanie artykułu wstępnego. Wykręcił się brakiem czasu. Była to nieprawda. Rzecz w tym, że Kaganowicz, człowiek niezwykle uzdolniony i bystry, był prawie półanalfabetą. Z zawodu szewc, bez żadnego wykształcenia, robił potworne błędy gramatyczne, a pisać w sposób składny po prostu nie potrafił. Ponieważ sekretarzowałem na zebraniu, redakcja zwróciła się do mnie. Odpowiedziałem, że spróbuję.

Przypomniawszy sobie, co mówił Kaganowicz, ująłem jego przemówienie w formę artykułu. Ponieważ było oczywiste, że wszystkie zawarte w nim myśli nie należały do mnie, lecz do Kaganowicza, poszedłem do niego i powiedziałem: *Towarzyszu Kaganowicz, oto wasz artykuł o radzieckim budownictwie* - napisałem to, co powiedzieliście na zebraniu, Kaganowicz przeczytał i był zachwycony: *Rzeczywiście, jest tu wszystko, o czym mówiłem, ale jak to dobrze zostało sformułowane*. Odpowiedziałem, że sposób ujęcia tematu to sprawa drugorzędna; przemyślenia są jego i dlatego też on powinien podpisać artykuł i wysłać do redakcji. Niedoświadczony Kaganowicz krępował się: *Przecież to wy napisaliście, nie ja*. Nie bez trudu przekonałem go, że napisałem to za niego głównie po to, by oszczędzić mu czasu. Artykuł został wydrukowany. Trzeba było widzieć Kaganowicza, jaki był dumny - był to **jego** pierwszy artykuł. Wszystkim go pokazywał.

Wydarzenie to miało swoje następstwa. Na przełomie marca i kwietnia odbywał się kolejny zjazd partii. Wraz z wieloma innymi młodymi pracownikami Wydziału Organizacyjnego zostałem skierowany do pomocniczych prac technicznych w sekretariacie zjazdu. W trakcie zjazdu zawsze obraduje wiele komisji - mandatowa, redakcyjna itd. W ich skład wchodzi stare wygi partyjne - członkowie KC oraz działacze terenowi, całą robotę wykonują jednak młodzi pracownicy aparatu KC. Komisja redakcyjna, do której zostałem przydzielony, funkcjonowała w sposób następujący. Mówca wygłasza przemówienie z trybuny zjazdowej, stenografistka zapisuje je, a następnie rozszyfrowując stenogram, dyktuje maszynistce. Ten pierwszy tekst jest pełen błędów i zniekształceń; stenografistka wielu rzeczy nie rozumiała, wielu nie dosłyszała, czegoś nie zdążyła zanotować. Jednak do każdego mówcy przydziela się pracownika komisji redakcyjnej, który ma obowiązek uważnie wysłuchać przemówienia. On też dokonuje pierwszej korekty tekstu, nadając mu postać niemal ostateczną. Później mówca wprowadza już tylko dodatkowe, mało istotne poprawki, dzięki czemu oszczędza sobie mnóstwo czasu.

Referat sprawozdawczy KC wygłaszał na tym zjeździe (po raz ostatni) Lenin. Powstał problem: któremu z pracowników powierzyć tę pracę - słuchania przemówienia i skorygowania zapisu. Kaganowicz stwierdził: *Towarzyszowi Bażanowowi; robi to doskonale*. Tak też zdecydowano.

Trybuna zjazdu znosiła się na półtora metra nad poziom sali. Na trybunie prezydium zjazdu. Z prawej strony (stojąc twarzą do sali), z boku ustawiono mównicę; referent na pulpicie rozkładał sobie notatki. W pierwszych latach władzy radzieckiej nie pisano przemówień zawczasu, lecz improwizowano je; mówca miał na kartce co najwyżej krótki plan wystąpienia oraz kilka cyfr i cytatów. Z sali na mównicę prowadziły schodki. Ponieważ w trakcie przemówienia Lenina nikomu

nie było wolno wchodzić na trybunę, usiadłem na górnym stopniu tych schodków, metr od Lenina, mając dzięki temu pewność, że będę wszystko dobrze słyszał.

W trakcie wystąpienia nadworny fotograf (chyba Ocup) robił zdjęcia. Lenin nie znosił, by go fotografowano podczas przemawiania - przeszkadza mu to i zakłóca tok myśli. Godzi się, i to niechętnie na zrobienie dwóch niezbędnych, oficjalnych zdjęć. Fotograf robi ujęcie z lewej strony - na zdjęciu widać w nieco przymglonym tle prezydium zjazdu, a następnie ujęcie z prawej strony - tu widać tylko Lenina, a za nim narożnik sali. Lecz na obu zdjęciach przed Leninem... widać mnie.

Zdjęcia te często zamieszczano w prasie: *Włodzimierz Iljicz występuje po raz ostatni na zjeździe partii. Jedno z ostatnich publicznych wystąpień tow. Lenina*. Do 1923 r. figurowałem na nich zawsze razem z Leninem. W tym roku uciekłem za granicę. Gdy dotarłem już do Paryża, zacząłem czytywać radziecką prasę. Wkrótce też ujrzałem, nie pomnę - w *Prawdzie* czy w *Izwestiach* - znajomą fotografię: Włodzimierz Iljicz wygłasza ostatni referat polityczny na zjeździe partii. Lecz mnie już na fotografii nie było. Widocznie Stalin polecił, abym z niej zniknął.

Tej wiosny 1922 r. stopniowo wciągałem się w pracę, bardziej jednak przyglądałem się wszystkiemu, co się działo. Punkt obserwacyjny miałem doskonały i szybko zacząłem orientować się w najważniejszych procesach zachodzących w kraju i w partii. Niekiedy drobiazgi mówią więcej niż długotrwałe studia. Niewiele, na przykład, pamiętam z owego XI zjazdu partii (1922 r.), w którym brałem udział dokładnie zapamiętałem jednak wystąpienie Tomskiego, członka Biura Politycznego i szefa związków zawodowych. Powiedział wówczas: *Za granicą oskarżają nas o wprowadzenie reżimu monopartyjnego. To nieprawda. Mamy wiele partii. W odróżnieniu jednak od zagranicy u nas jedna partia ma władzę, a pozostałe siedzą w więzieniu*. Sala odpowiedziała burzliwymi oklaskami.

(Czy Tomski pamiętał to wystąpienie czternaście lat później, gdy otwierała się przed nim brama stalinowskiego więzienia? Jakkolwiek było, zastrzelił się, nie chcąc przekroczyć jego progu.)

Gwoli sprawiedliwości należy zaznaczyć, że w owym czasie jeszcze darzyłem zaufaniem swych przywódców; jeśli pozostałe partie siedzą w więzieniu - to znaczy, że tak trzeba i tak jest lepiej.

Na przełomie kwietnia i maja zrozumiałem, jak przebiega ewolucja władzy. Było rzeczą oczywistą, że władza w coraz większym stopniu przechodzi w ręce partii, a z czasem - w ręce aparatu partyjnego. Prócz tego poczyniłem jeszcze jedną istotną obserwację. Organizacyjne formy pracy partii i jej aparatu, wyznaczające efektywność tej pracy, określał statut partii. Obowiązujący wówczas statut został jednak uchwalony w 1903 r. Niewielkie poprawki wprowadzano do niego na VI zjeździe partii, latem 1917 r. Na VIII konferencji partyjnej w 1919 r. również dokonano w nim kilku nieśmiałych zmian, lecz w sumie statut ten, sensowny w okresie nielegalnej działalności przed rewolucją, zupełnie nie był przydatny dla partii będącej u władzy; nie precyzując jasno form organizacyjnych bardzo krępował jej pracę.

Wziąłem się do roboty i opracowałem projekt nowego statutu partii, przerabiając gruntownie stary. Sprawdziwszy wszystko, napisałem na maszynie obok siebie równoległe teksty: z lewej strony stary, z prawej nowy, podkreślając wszystkie zmienione partie starego i nowe partie mojego tekstu.

Z dokumentem tym udałem się do Kaganowicza. Jego sekretarz, Bałaszow, oznajmił mi, że towarzyszy Kaganowicz jest bardzo zajęty i nikogo nie przyjmuje. Nalegałem:

- Mimo to zamelduj mnie. Powiedz, że mam bardzo ważną sprawę.

- Jaką ty możesz mieć ważną sprawę - z przekąsem przygadał mi Bałaszow.

- A jednak zamelduj. Nie ruszę się stąd, póki nie zameldujesz.

Bałaszow zameldował. Kaganowicz przyjął mnie.

- Towarzyszu Bażanow, jestem bardzo zajęty. Trzy minuty. O co chodzi ?

- O to, towarzyszu Kaganowicz, że przyniosłem wam projekt nowego statutu partii.

Kaganowicz był szczerze zdumiony moim zuchwalstwem.

- Ile macie lat, towarzyszu Bażanow?

- Dwadzieścia jeden.

- A czy wiecie o tym, że w 1903 r. w naszej partii doszło do rozłamu na bolszewików i mieńszewików wyłącznie z powodu rozbieżności na temat pierwszego punktu statutu?

- Wiem.

- I mimo to ośmielacie się proponować nowy statut partii?

- Tak.

- Z jakiego powodu?

- Przyczyny są bardzo proste. Statut zdecydowanie już się przeżył, nadawał się dla partii w warunkach działalności nielegalnej, w żaden sposób nie odpowiada potrzebom partii będącej u władzy, nie określa form jej pracy i rozwoju.

- No, to pokażcie.

Kaganowicz przeczytał pierwszy i drugi punkt w starym i nowym brzmieniu, zastanowił się.

- Sami to pisaliście?

- Sam.

Zażądał wyjaśnień. Udzieliłem ich. Po kilku minutach Bałaszew wsunął głowę przez drzwi i przypomniał, że czekają ludzie, którym obiecano przyjęcie, i że nadszedł czas jakiegoś ważnego zebrania. Kaganowicz wyrzucił go:

- Jestem bardzo zajęty. Nikogo nie przyjmuję. Zebranie przełożyć na jutro.

Potem zadzwonił do Mołotowa i spytał go, czy może się z nim zobaczyć w ważnej sprawie (Mołotow był w tym czasie II sekretarzem KC).

- Jeśli nie na długo, to przyjdźcie.

- Chodźmy, towarzyszu Bażanow.

- Proszę - oznajmił Kaganowicz, wchodząc do gabinetu Mołotowa. - Ten oto młodzik zaproponował ni mniej, ni więcej tylko nowy statut partii.

Mołotow również był wstrząśnięty.

- A czy on wie, że w 1903 roku...

- Wie.

- I mimo to?

- I mimo to.

- I czytaliście ten projekt, towarzyszu Kaganowicz?

- Czytałem.

- I co o nim sądzicie?

- Uważam, że jest doskonały.

- No, to pokażcie.

Z Mołotowem sytuacja była identyczna. Przez dwie godziny projekt statutu analizowany był punkt po punkcie, udzielałem wyjaśnień i wreszcie Mołotow zapytał z zainteresowaniem:

- Sami pisaliście?

- Sam.

- Nie ma rady - powiedział Mołotow gdy doszliśmy do końca projektu - idziemy do Stalina.

Stalinowi zostałem przedstawiony w ten sam sposób - jako młody szaleniec, który odważył się tknąć wielce szacowną świętość. Po tych samych rytualnych już pytaniach: ile mam lat, czy wiem, co było w 1903 roku, i po podaniu przeze mnie powodów, dla których uznałem, iż należy przerobić statut, nastąpiła lektura i omawianie projektu. Stalin też nie omieszkał zapytać: *Sami pisaliście?* Ale tym razem padło i inne pytanie: *Czy zdajecie sobie sprawę, jaką zmianę w życiu partii wprowadzi wasz tekst?* Odpowiedziałem, że jestem tego w pełni świadomy i formułuję to w taki to a taki sposób. Rzecz w tym, że mój statut dawał aparatowi partyjnemu silną broń w walce o zdobycie władzy. Stalin rozumiał to. Ja także.

Koniec rozmowy był dość osobliwy. Stalin podszedł do telefonu: *Włodzimierzu Iljiczu? Stalin.*

Doszliśmy w KC do wniosku, że statut partii już się przeżył i nie odpowiada nowym warunkom pracy partii. Stary - to partia nielegalna, teraz partia jest u władzy... Włodzimierz Iljicz zdawał się, jak można było sądzić z tej rozmowy, zgadzać z tą opinią. *Dlatego też - ciągnął Stalin - opracowaliśmy projekt nowego statutu i chcielibyśmy go przedstawić.* Lenin wyraził zgodę i zaproponował, by sprawę tę postawić na najbliższym posiedzeniu Biura Politycznego.

Biuro Polityczne w zasadzie zaaprobowało projekt i przekazało sprawę do Biura Organizacyjnego do wstępnego opracowania. 19 maja 1922 r. Biuro Organizacyjne powołało komisję do spraw rewizji

statutu. Przewodniczącym został Mołotow, w jej skład weszli: Kaganowicz, jego dwaj zastępcy - Lisycyn i Ochłopkow, oraz ja - jako sekretarz.

Od tej chwili na rok wszedłem w orbitę Mołotowa.

Nad statutem męczyliśmy się niemal dwa miesiące. Projekt rozesłano do terenowych organizacji partyjnych z prośbą o opinię. Na początek sierpnia zwołano wszechrosyjską konferencję partyjną w celu zatwierdzenia nowego statutu. Konferencja trwała 3 czy 4 dni. Mołotow referował projekt, wypowiadali się delegaci. Na zakończenie wybrano komisję redakcyjną, znów pod przewodnictwem Mołotowa, w skład której weszli: Kaganowicz, niektórzy kierownicy organizacji terenowych (m.in. Mikojan, ówczesny sekretarz Południowo-Wschodniego Biura KC) oraz ja - jako członek komisji i jej sekretarz. Zredagowaliśmy ostateczną wersję tekstu i konferencja zatwierdziła nowy statut (formalnie rzecz biorąc, zatwierdził go później KC).

Cały rok 1922 mieszkałem we wspomnianym już 5. Domu KC - Łoskutce. Ulokowani tam pracownicy KC dobierali się w grupy towarzyskie na zasadzie osobistych znajomości i kontaktów zawodowych. Wchodząc w to środowisko dzięki studentowi Politechniki Moskiewskiej, Saszy Wołodarskiemu, włączyłem się w towarzystwo, które koncentrowało się nie tyle wokół małżeństwa Wołodarskich, ile wokół trzech nierozłącznych przyjaciółek - Lery Gołubcowej, Marusi Ignatiewej i Lidy Wołodarskiej. Lera i Marusia, tak jak i Sasza Wołodarski, były „informatorkami” w sekcji informacyjnej Wydziału Organizacyjnego; Lida była sekretarzem tej sekcji. Informatorzy nie byli informatorami w ścisłym znaczeniu tego słowa - lecz referentami do spraw jednej czy dwóch terenowych organizacji partyjnych. Informator otrzymywał wszystkie materiały dotyczące pracy tych organizacji, zapoznawał się z nimi i przygotowywał okresowe raporty dla kierownictwa Wydziału Organizacyjnego, obejmujące najistotniejsze sprawy, związane z ich działalnością. Wołodarski i jego żona byli ludźmi bardzo towarzyskimi. Bywał u nich Pilniak - ze znajomości tej byli ogromnie dumni. Wielkim zaskoczeniem była dla mnie wiadomość, że skromny i cichy Sasza w czasie wojny domowej był sekretarzem krwawej *Rodaczki* (Rozalii Samojłowej), która należąc do kierownictwa partyjnego 8. Armii wślawiła się osobistym udziałem w egzekucjach i innymi okrucieństwami.

Do naszej grupy należeli jeszcze Gięorgij Malenkow i Herman Tichomirnow.

Gięorgij Malenkow był mężem Lery (Walerii) Gołubcowej. Choć o dwa lata młodszy ode mnie, starał się sprawiać wrażenie starego działacza partyjnego. A naprawdę w partii był dopiero od niespełna dwóch lat (zresztą miał ich wówczas dopiero dwadzieścia). W okresie wojny domowej był mało ważnym funkcjonariuszem partyjnym gdzieś na froncie, a później, tak jak i ja, wstąpił na Politechnikę. Nie mając średniego wykształcenia był zmuszony zaczynać naukę na „robotniczym” wydziale przygotowawczym. Na politechnice był przez trzy lata. Jego mądra żona, której w gruncie rzeczy zawdzięczał swą karierę, wciągnęła go później do pracy w aparacie KC i pchnęła w tym samym kierunku, w którym i ja poszedłem. Najpierw został sekretarzem Biura Organizacyjnego, a następnie, po moim odejściu, sekretarzem Biura Politycznego.

Lera była znacznie mądrzejsza od swego męża. Gięorgij Malenkow sprawiał wrażenie człowieka bardzo przeciętnego, pozbawionego jakichkolwiek zdolności. W sposobie bycia był zarozumiały i napuszony, można to jednak usprawiedliwić jego bardzo młodym wiekiem.

Herman Tichomirnow, starszy ode mnie o rok, był drugim pomocnikiem Mołotowa. A oto jak do tego doszło. Jako piętnastoletni zaledwie gimnazjalista w czasie rewolucji 1905 r. Mołotow zorganizował razem ze swym kolegą z klasy, Wiktoorem Tichomirnowem (nawiasem mówiąc, synem bardzo bogatych ludzi), szalenie rewolucyjny komitet młodzieży kazańskich szkół średnich. Razem brali też aktywny udział w rewolucji 1917 r. Tichomirnow jeszcze w latach pierwszej wojny światowej ofiarował partii bardzo dużą sumę pieniędzy, co umożliwiło wydawanie *Prawdy* i zapewniło Mołotowowi, on to bowiem załatwiał sprawę, stanowisko sekretarza redakcji tej gazety. Wiosną 1917 r. objął swe obowiązki w *Prawdzie*. W pierwszych tygodniach rewolucji przypadła mu niemal kierownicza rola w partii - prowadzenie jej organu prasowego. Długo tam jednak miejsca nie zagrzał, partia nie uznawała go za politycznego lidera.

Wkrótce do Pitra przybyli członkowie KC - Kamieniew, Swierdłow i Stalin, a po nich Lenin. Mołotowa zesłano na prowincję. W 1919 r. był pełnomocnikiem KC na Powołżu, w 1920 r. pracował w gubernialnych komitetach w Niżegorodzie, a w latach 1920-1921 był sekretarzem Donieckiego Komitetu Gubernialnego. W marcu 1921 r. zostaje jednak członkiem i sekretarzem KC. Przez rok był odpowiedzialnym sekretarzem KC, co prawda nie generalnym, ale też i nie technicznym jak jego poprzednicy (np. Stasowa). 3 kwietnia 1922 r. jego miejsce pierwszego sekretarza KC zajął Stalin. Niewiele brakowało, by na czele aparatu partyjnego, niejako automatycznie zmierzającego do władzy, stanął, a właściwie pozostał, Mołotow. Zinowiew i Kamieniew woleli jednak Stalina, i to w istocie z jednego tylko powodu: na tym stanowisku potrzebny był im zdeklarowany wróg Trockiego. Stalin nim był.

Wiktor Tichomirnow zostaje w 1917 r. członkiem kolegium NKWD, gdzie zajmuje się przede wszystkim pracą administracyjno-pacyfikacyjną. W 1919 r. zostaje wysłany do Kazania w celu zaprowadzenia tam porządku; tam umiera - zdaje się, że na tyfus plamisty.

Jego młodszy brat, Herman, jest członkiem partii od 1917 r. Do 1921 r. służy w wojsku, później czas jakiś pracuje w Czeka, w oddziałach specjalnych. Odszedł stamtąd przejawiając pewne objawy odchylenia od normy, widocznie praca w Czeka nie była zbyt łatwa. Mołotow po przyjeździe do KC bierze go do swego sekretariatu, gdzie Tichomirnow wiele lat pracuje jako jego drugi pomocnik. Po starej znajomości jest z Mołotowem na ty. Mołotow traktuje go jednak w sposób poniżający, wciąż ma do niego jakieś pretensje, wręcz go maltretuje.

Tichomirnow nie odznacza się jakąś szczególną bystrością umysłu. Przy Mołotowie pełni funkcję osobistego sekretarza. O wiele ważniejszą od niego osobą jest pierwszy pomocnik Mołotowa, Wasilewski, człowiek bardzo mądry i rzeczowy. Początkowo dziwiłem się, czemu zgodnie z zajmowanym stanowiskiem Herman nie mieszka w 1. Domu Rad, lecz wciąż tkwi w Łoskutce. Później zrozumiałem, o co chodzi. Mołotow i Wasilewski wyciągali z Łoskutki, gdzie mieszkali szeregowi pracownicy KC, co bardziej rozgarniętych ludzi, którzy mogliby się im przydać. Ocenia ich Herman, uważający się za czekistę z powołania. Zawiera z nimi znajomość, spotyka się z nimi codziennie, bada ich, „prześwietla” w czekistowskim stylu i decyduje, czy można im ufać. Właśnie dzięki znajomości z Hermanem mądra Lera Gołubcewa pchnęła w górę, i to z powodzeniem, przez sekretariat Biura Organizacyjnego (Biuro Organizacyjne to udzielne państwo Mołotowa) swego Georgija.

Po historii ze statutem jestem bacznie obserwowany. Do końca roku pracuję jeszcze z Kaganowiczem i Mołotowem.

Łazar Kaganowicz to postać niezwykła z tego powodu, że jako jeden z dwóch czy trzech Żydów utrzymywał się u władzy przez cały okres stalinizmu. Przy stalinowskim antysemityzmie było to możliwe tylko dlatego, że Kaganowicz wyrzekł się całkowicie swych krewnych, przyjaciół i znajomych. Znany jest na przykład fakt następujący. Gdy stalinowscy czekiści przedłożyli Stalinowi sprawę brata Kaganowicza, Michaiła Moisiejewicza; ministra przemysłu lotniczego, i gdy Stalin zapytał Łazara Kaganowicza, co o tym sądzi, ten, doskonale wiedząc, że szykuje się zwykłe, pozbawione najmniejszych podstaw prawnych, morderstwo, odrzekł, iż jest to sprawa „organów ścigania” i jego to nie dotyczy. Michaił Moisiejewicz zastrzelił się przed aresztowaniem.

Łazar Kaganowicz, oddawszy się bez reszty rewolucji, od 1917 r. jeździł z miejsca na miejsce, wykonując różne rewolucyjne zadania. W Niżnim Nowogrodzie zetknął się z Mołotowem, który wywindował go na stanowisko przewodniczącego gubernialnego komitetu wykonawczego; spotkanie to zadecydowało o całej jego karierze. Jeszcze co prawda błąkał się przez pewien czas to tu, to tam - w Woroneżu, w Azji Środkowej, wreszcie trafił do Wszechrosyjskiej Centrali Związków Zawodowych. Stąd w 1922 r. Mołotow zabiera go na stanowisko kierownika Wydziału Organizacyjnego KC; tu rozpoczyna się jego szybka wspinaczka do góry.

W całej tej sprawie nie ma rolę odegrała następująca okoliczność. Na posiedzeniu Biura Politycznego w 1922 r. Lenin, zwracając się do członków Biura, powiedział: *My, towarzysze, jesteśmy pięćdziesięciolatkami* (miał tu na myśli siebie i Trockiego), *wy, towarzysze, jesteście czterdziestolatkami* (cała reszta), *musimy więc przygotować naszych następców, trzydziesto- i dwudziestolatków: wybrać ich i stopniowo wdrażać do pracy kierowniczej.*

Ograniczono się wówczas do trzydziestolatków. Z nich wytypowano dwóch: Michajłowa i Kaganowicza.

Michajłow miał wtedy 28 lat, był zastępcą członka KC i sekretarzem Moskiewskiego Komitetu Partyjnego. W 1923 r. wybrano go członkiem KC i nawet dano mu stanowisko sekretarza KC. Niestety, nie trwało to długo. Wkrótce okazało się, że poważne sprawy państwowe przekraczają możliwości Michajłowa. Stopniowo zaczęto odsuwać go na drugi plan. W późniejszym czasie kierował budową Dnieprogesu. W 1937 r. został wraz z innymi rozstrzelany (w 1929 r. popełnił nieostrożność, opowiadając się po stronie Bucharina). Ogólnie rzecz biorąc, nie udał się jako „następca”.

Kaganowicz był o wiele zdolniejszy. Trzymając się początkowo Mołotowa, zaczął wraz z nim, stopniowo, wyrastać na jednego z czołowych stalinowców. Stalin przerzuca go z jednego ważnego stanowiska w aparacie partyjnym na drugie. Pełni funkcje sekretarza KC Ukrainy, sekretarza KC WKP(b), członka Biura Politycznego, pierwszego sekretarza Komitetu Moskiewskiego, później ponownie sekretarza KC, wreszcie, gdy potrzeba, komisarza ludowego ds. komunikacji - realizuje wszystkie stalinowskie polecenia. Jeśli początkowo miał być może sumienie i inne ludzkie cechy, to z czasem, w miarę przystosowywania się do wymogów stalinizmu, wyzbył się ich zupełnie; tak jak Mołotow, stał się stuprocentowym stalinowcem. Później pogodził się już ze wszystkim, nie poruszały go nawet miliony ofiar. I co charakterystyczne, gdy po śmierci Stalina Chruszczow, który za życia Stalina również umiał się do wszystkiego przystosować, nagle otrząsnął się i wystąpił z oskarżeniem stalinizmu, Mołotow, Kaganowicz i Malenkow nie chcieli już żadnego innego systemu, tylko właśnie stalinowskiego (żeby śruba dokręcona była twardo do końca), zakładając, poniekąd słusznie, że jedynie takiemu systemowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo i można w nim spać spokojnie. Nie

można natomiast przewidzieć, czym może zakończyć się chruszczowowska liberalizacja dla ich bezpiecznych kierowniczych stanowisk i dla całego systemu.

W drugiej połowie 1922 r. ciągle jeszcze pracowałem w wydziale Kaganowicza. Kaganowicz i Mołotow wyznaczają mnie na sekretarza rozmaitych komisji KC. Jako sekretarz komisji jestem niezwykle cennym nabytkiem i dla jednego, i dla drugiego. Mam zdolność szybkiego i dokładnego formułowania myśli. Kaganowicz, człowiek błyskotliwy i mądry, w lot chwyta, w czym rzecz, nie włada jednak językiem literackim. Dla niego jestem osobą bardzo przydatną, lecz jeszcze bardziej jestem potrzebny w komisjach Mołotowowi.

Mołotow nie odznacza się błyskotliwością. Jest to pilny biurokrata pracujący bez przerwy od rana do nocy. Wiele czasu spędza na posiedzeniach rozmaitych komisji, gdzie co prawda szybko dochodzi się do ustalenia meritum omawianych spraw, ale nad sposobem zredagowania podjętych decyzji zazwyczaj trwają nieskończone debaty. Każda niemal próba sformułowania jakiegoś punktu natychmiast wywołuje sprzeciwy, propozycje poprawek, wybuchają spory, w których gubi się początkowe uzgodnienie i wszystko się gmatwa. Go gorsza, Mołotow, który dobrze orientuje się w istocie omawianych spraw, ma duże trudności w znalezieniu właściwych sformułowań.

Mnie na szczęście przychodzi to z ogromną łatwością. Szybko odnajduję właściwy kierunek. Gdy tylko spostrzegam, że znaleziono już rozwiązanie omawianego problemu, podnoszę rękę. Mołotow natychmiast ucina debatę: *Słuchamy*. Podaję właściwe sformułowanie. Mołotow podchwytuje: *Tak, tak, to właśnie to, o co chodzi; zaraz to zapiszcie, bo później zapomnicie*. Uspokajam go - nie zapomnę. *Powtórzcie jeszcze raz*. Powtarzam. I oto zebranie skończone; ileż zaoszczędzonego czasu. *Oszczędzacie mi masę czasu, towarzyszu Bażanow* - mówi Mołotow. Zasada mnie teraz jako sekretarza we wszystkich niezliczonych komisjach, którym przewodniczy (KC pracuje w komisjach; do każdej ważnej sprawy po wstępnym omówieniu powoływana jest komisja, która analizuje ją dokładnie i przygotowuje ostateczny tekst decyzji, przedstawiany następnie do akceptacji Biura Organizacyjnego lub Biura Politycznego).

Jedną z najważniejszych w KC jest Komisja Obiegu Dokumentów. We wszystkich ważniejszych sprawach KC uchwała stosowne dyrektywy i rozsyła je do organizacji terenowych w postaci okólników. Okólniki te przygotowuje właśnie Komisja Obiegu Dokumentów. Niekiedy przewodniczy jej Mołotow, niekiedy Kaganowicz. Zostałem sekretarzem tej (stałej) komisji KC już na dobre. Przeprowadzenie przez terenowe organizacje partyjne kampanii siewnej na wsiach, weryfikacja członków partii i wymiana legitymacji czy wreszcie kampanią zbierania podpisów w sprawie nowej pożyczki - dyrektywy zawsze wysyłane są w formie okólników.

Praca ta szybko mnie wciąga. Codziennie rozsyłane są nowe okólniki. Nikt już nie wie, które z nich są jeszcze obowiązujące, które się zdezaktualizowały, a które zostały zmienione wskutek biegu zdarzeń lub nowych decyzji. Jak organizacje terenowe są w stanie zorientować się w tej nagromadzonej masie okólników? Jak wśród tysięcy okólników odnaleźć to, co potrzebne? Nie mam żadnych złudzeń co do zdolności organizacyjnych lokalnych biurokratów partyjnych. Biorę więc całą tę masę okólników, wyrzucam te, które się już przeżyły, zostały zmienione lub odwołane, a te, które są ciągle aktualne, zbieram w księgę, układam według tematów w rozdziały w porządku chronologicznym i alfabetycznym tak, by można było natychmiast, za pomocą indeksów, odnaleźć to, co akurat potrzebne. Idę z tym do Kaganowicza. Oczekuje on teraz ode mnie już tylko rzeczy poważnych. Nie bez pewnej chępliwości wyszukuję określenie, które go zachwyca: *Towarzyszu Kaganowicz,*

proponuję przeprowadzenie kodyfikacji partyjnego porządku prawnego. Brzmi to wspaniale, Kaganowicz jest oczarowany, Mołotow też. Rusza cała machina wydawnicza. Powstaje księga licząca 400-500 stron. Zostaje zatytułowana *Poradnik pracownika aparatu partyjnego*. Drukuje ją drukarnia KC. Co rok ukazywać się będzie jej kolejna edycja.

Mołotow mianuje mnie ponadto sekretarzem redakcji *Izwestii KC*. Jest to periodyk, nie mający - mimo zbieżności tytułu - nic wspólnego z dziennikiem *Izwestia*. *Izwestia KC* to organ KC zajmujący się wyłącznie wewnętrznym życiem partii. Redaktorem naczelnym jest Mołotow i właśnie dlatego pismo jest niezwykle suchym i nudnym biurokratycznym tworem. Wypełniają je dyrektywy i zalecenia KC. Moja praca sekretarza też jest czysto biurokratyczna. Zaczynam przemyślać, jak by się uwolnić od tej kancelaryjnej nudy, gdy nieoczekiwanie (tylko dla mnie, bo Mołotow i inni szykują to już od dawna) otrzymuję nową, poważną nominację. Pod koniec 1922 r. zostaję mianowany sekretarzem Biura Organizacyjnego.

SEKRETARZ BIURA ORGANIZACYJNEGO

Sekretarz Biura Organizacyjnego. Sekretariat KC. Biuro Organizacyjne. Komisja Budżetowa KC. Kolegium partyjne CKK i „uzgadnianie z KC”. Kancelaria Biura Organizacyjnego, reorganizacja. Sekretariat Mołotowa. Istota toczącej się walki o władzę. Lenin, Trocki. Choroba Lenina. „Testament Lenina”. Powstanie „trójcy”. XII zjazd partii. Sekretariat Lenina. Fotijewa i Glasser. Stalin mianuje swoich sekretarzy Biura Politycznego. Fiasko. Moja nominacja.

Zaczynam stawać się nieco już ważniejszym trybikiem partyjnej maszyny państwowej. Pograżony w pracy w aparacie, jestem całkowicie oderwany od autentycznego życia; o tym, co się dzieje w kraju, dowiaduję się wyłącznie poprzez pryzmat biurokracji partyjnej. Dopiero po upływie pół roku zdołam wydobyć się z tego morza papieru; zresztą dopiero wówczas dysponować będę pełną informacją, co pozwoli mi kojarzyć dane i fakty, oceniać je, wyciągać wnioski - dostrzegać to, co dzieje się naprawdę i dokąd rzeczywiście prowadzi.

Na razie jednak biorę coraz aktywniejszy udział w pracy centralnego aparatu partyjnego. Ma on już przede mną coraz mniej tajemnic.

Jakie są zadania sekretarza Biura Organizacyjnego? Pełnię obowiązki sekretarza na posiedzeniach Biura Organizacyjnego i Sekretariatu KC, na posiedzeniach Rady Kierowników Wydziałów KC, przygotowującej materiały na posiedzenia Sekretariatu KC, ponadto na zebraniach rozmaitych komisji KC. Kieruję także sekretariatem (z małej litery) Biura Organizacyjnego, czyli kancelarią.

Zgodnie ze statutem hierarchia ważności centralnych organów partii pochodzących z wyboru wygląda następująco: Sekretariat (3 sekretarzy KC), nad nim - Biuro Organizacyjne, nad nim z kolei - Biuro Polityczne. Sekretariat KC jest organem, który podlega szybkiej ewolucji i najwyraźniej siedmiomilowymi krokami zmierza do przejęcia absolutnej władzy w kraju; nie tyle nawet Sekretariat jako taki, ile jego sekretarz generalny.

W latach 1917-1919 sekretarzem KC, czysto technicznym, była Stasowa, a dość nielicznym aparatem kierował Swierdłow. Po jego śmierci (w marcu 1919 r.) do marca 1921 r. sekretarzami (po części technicznymi, a po części funkcyjnymi) byli Sieriebriakow i Kriestinski. Od marca 1921 r. funkcję sekretarza KC (mającego już tytuł „odpowiedzialnego”) pełni Mołotow. W kwietniu 1922 r. na plenum KC wybranych zostaje już trzech sekretarzy: sekretarz generalny - Stalin, II sekretarz - Mołotow i III sekretarz - Michajłow (którego wkrótce zastąpi Kujbyszew). Od tego momentu rozpoczyna się działalność Sekretariatu.

Statut niezbyt wyraźnie określa jego funkcje. Można by sądzić, że jeśli, zgodnie ze statutem, Biuro Polityczne powołane jest do rozstrzygania spraw najistotniejszych (politycznych), a Biuro Organizacyjne do decydowania w sprawach organizacyjnych, to Sekretariat powinien rozstrzygać sprawy mniej ważne, poważniejsze zaś powinien przygotowywać do rozpatrzenia przez oba te organy. Nie jest to jednak wyraźnie nigdzie napisane, zaś statut zawiera chytre sformułowanie: *Każda decyzja Sekretariatu przy braku sprzeciwu ze strony któregokolwiek z członków Biura Organizacyjnego oraz każda decyzja Biura Organizacyjnego przy braku sprzeciwu ze strony któregokolwiek z członków Biura Politycznego staje się decyzja Biura Politycznego, a tym samym*

decyzją Komitetu Centralnego; każdy z członków KC może wnieść sprzeciw wobec decyzji Biura Politycznego do Plenum KC, co jednak nie wstrzymuje wykonania tej decyzji.

Inaczej mówiąc, wyobraźmy sobie, że Sekretariat bierze na siebie rozstrzygnięcie jakichś nadzwyczaj ważnych kwestii politycznych. Z punktu widzenia zasad demokracji wewnątrzpartyjnej oraz statutu nie można mieć do tego żadnych zastrzeżeń. Sekretariat nie uzurpuje sobie uprawnień wyżej od niego stojącej instancji - może ona zawsze decyzję zmienić lub uchylić. Jeśli jednak sekretarz generalny KC ma już w rękach pełnię władzy (co stało się faktem od 1926 r.), to może bez żadnych skrępowań rządzić poprzez Sekretariat.

W rzeczywistości jednak nie doszło do tego. Do lat 1927-1928 Biuro Polityczne i jego członkowie znaczyli jeszcze zbyt wiele, by Sekretariat podejmował tego rodzaju próby, ryzykując wywołanie niepotrzebnych konfliktów, natomiast od 1929 r. Biuro Polityczne było już do tego stopnia podporządkowane Stalinowi, iż do sprawowania władzy nie musiał włączać innych instancji. Jeszcze po kilku latach zarówno Biuro Polityczne, jak i Sekretariat stały się tylko wykonawcami jego rozkazów i władzę miał nie ten, kto zajmował ważniejsze stanowisko w hierarchii, lecz ten, kto stał bliżej Stalina; jego sekretarz znaczył w aparacie więcej niż premier czy którykolwiek z członków Biura Politycznego.

Mamy jednak na razie dopiero początek 1923 r. Posiedzeniom Sekretariatu przewodniczy III sekretarz KC - Rudzutak, który zdążył już zająć miejsce Kujbyszewa, przeniesionego na stanowisko przewodniczącego CKK. Uczestniczą w nich Stalin i Mołotow; prawo do decydującego głosu mają jedynie sekretarze KC, z prawem do głosu doradczego uczestniczą wszyscy kierownicy wydziałów KC: Kaganowicz, Syrcow, Smidowicz (Wydział d/s Kobiet) i inni (jest ich sporo: kierownik administracyjny KC - Ksenofontow, kierownik Wydziału Finansowego - Raskin, kierownik Wydziału Statystycznego - Smitten; ponadto nowi kierownicy Wydziałów Informacji, Prasy itd.), a także główni pomocnicy sekretarzy KC. Rudzutak przewodniczy dobrze i sprawnie. Jest dla mnie bardzo miły i częstuje cukierkami - rzucił palenie i zamiast tego cały czas ssie cukierki.

Posiedzeniom Biura Organizacyjnego przewodniczy Mołotow. W skład tego Biura wchodzi 3 sekretarze KC, kierownicy najważniejszych wydziałów KC - Kaganowicz i Syrcow, szef Zarządu Politycznego Rewolucyjnej Rady Wojskowej (Zarząd ten ma status wydziału KC) oraz jeden lub dwóch członków KC, imiennie wybieranych w skład Biura- Najczęściej są to sekretarz Wszechzwiązkowej Centralnej Rady Związków Zawodowych i pierwszy sekretarz Komitetu Moskiewskiego.

Stalin i Mołotow zainteresowani są tym, by skład Biura Organizacyjnego był jak najmniejszy - tylko swoi ludzie z aparatu partyjnego. Biuro to wykonuje pracę, która ma dla Stalina ogromne znaczenie - zajmuje się doбором i obsadzaniem przez pracowników aparatu stanowisk we wszystkich resortach państwowych i, co ważniejsze, w całym aparacie (stanowiska sekretarzy i głównych funkcjonariuszy w gubernialnych, obwodowych i okręgowych organizacjach partyjnych). Pozwoli to Stalinowi zapewnić sobie wkrótce większość na zjeździe partii, a to przecież podstawowy atut w walce o władzę. Dzieje się to bardzo szybko, ale, co jest rzeczą zdumiewającą, w ogóle nie zwraca uwagi Trockiego, Zinowiewa i Kamieniewa, bujających w obłokach wielkiej polityki. Zrozumieją to dopiero wówczas, gdy już będzie za późno.

Pierwsze Biuro Organizacyjne powołane zostało w marcu 1919 r., po VIII zjeździe partii. W jego skład wchodził Stalin, Biełoborodow, Sieriebriakow, Stasowa i Kriestinski. Jak widać z tego składu, miało się

ono zajmować w jakimś stopniu organizacją technicznego aparatu partii i rozmieszczaniem jej sił. Od czasu mianowania Stalina sekretarzem generalnym wszystko się zmieniło - Biuro Organizacyjne staje się jego głównym instrumentem w doborze swoich ludzi, co pozwala mu opanować wszystkie organizacje partyjne w terenie.

Jesteśmy już z Mołotowem dobrymi znajomymi. Jest ze mnie bardzo zadowolony. Jak zwykle zasadza mnie do sekretarzowania we wszystkich komisjach KC. Pozwala mi to na szybką orientację w życiu aparatu partyjnego.

Weźmy dla przykładu Komisję Budżetową KC. Jest to komisja stała. Przewodniczącym jest Mołotow, ja jestem sekretarzem. W jej skład wchodzi też dwóch sekretarzy KC - Stalin i Mołotow (Stalin nie był na żadnym posiedzeniu komisji), oraz kierownik Wydziału Finansowego KC - Raskin. Szybko zorientowałem się, że obaj z Raskinem uczestniczymy w zebraniach tylko po to, by notować decyzje Mołotowa. Dobrze się składa, że Raskin nie musi wiele mówić. Jest on rosyjskim Żydem, który w dzieciństwie wyemigrował z Rosji i przebywał w wielu krajach. Mówi takim rosyjskim, że bardzo trudno go zrozumieć. Zdaje się, że z innymi językami rzecz ma się podobnie. Pracownicy jego wydziału mawiają: *Towarzysz Raskin włada wszystkimi językami oprócz własnego.*

Komisja Budżetowa omawia i zatwierdza preliminarze wydatków wydziałów KC. Wówczas na posiedzeniach obecni są kierownicy wydziałów, którzy walczą o swoje interesy i z którymi Mołotow toczy spory (ale decyzje należą oczywiście do niego). Ponadto Komisja Budżetowa zajmuje się zatwierdzaniem budżetów wszystkich zagranicznych bratnich partii komunistycznych, a w grę wchodzi ogromne sumy. Do udziału w tych posiedzeniach nie jest dopuszczany żaden z przedstawicieli którejkolwiek bratniej partii. Sprawy referuje wyłącznie sekretarz Kominternu - Piatnicki. Mannę rozdziela Mołotow, jego decyzje są bezapelacyjne i przyjmowane bez szemrania; racje, jakimi się przy tym kieruje, nie zawsze są dla mnie jasne. Raskin uprzejmie wyjaśnia mi finansową technikę utrzymywania bratnich partii komunistycznych - potajemne przekazywanie środków na ten cel możliwe jest dzięki państwowemu monopolowi w handlu zagranicznym.

Szybko też odkrywam, na czym polega działalność organu „partyjnego sumienia” - Kolegium Partyjnego Centralnej Komisji Kontroli.

W kraju panuje spokój - cała ludność bezprawnie i całkowicie tkwi w szponach GPU. Bezpartyjny obywatel może w każdej chwili zostać aresztowany, zesłany, skazany na wiele lat więzienia lub rozstrzelany wyłącznie na podstawie wyroku jakiejś anonimowej „trójki” z GPU. Lecz w 1923 r. GPU nie może jeszcze aresztować członka partii (nastąpi to dopiero za 8 czy 10 lat). Jeśli członek partii coś ukradł, popełnił morderstwo lub dopuścił się przekroczenia zasad życia partyjnego, to powinien być najpierw sądzony przez terenową komisję kontroli; w przypadku gdy sprawa dotyczy wybitniejszych członków partii, zajmuje się nią Centralna Komisja Kontroli (CKK), a ściślej - Kolegium Partyjne CKK, czyli kilku jej członków, wyznaczonych właśnie do tej sprawy. Przed sąd lub w łapy GPU trafia tylko komunista wyrzucony z partii przez Kolegium. Trzęsą się przed nim wszyscy komuniści. Jedną z najpoważniejszych gróźb brzmi: *przekazać waszą sprawę do CKK.*

Na posiedzeniach Kolegium CKK grupa starych komediantów w rodzaju Solca urządza sąd, gromko rzuca frazesy o wysokiej moralności, członków partii i przybiera postawę „sumienia partii”. W rzeczywistości stosuje się dwa tryby postępowania. Pierwszy - gdy sprawa dotyczy jakiejś małej płotki lub też jest czysto karna (np. członek partii popełnił oczywistą i poważną malwersację) i wtedy Solc

nawet nie musi się zgrywać. Drugi - gdy idzie o ważniejszych członków partii. W takim wypadku działa już nikomu nieznanymi aparat informacyjny GPU; działa ostrożnie, przy pomocy i współudziale członków Kolegium GPU - Petersa, Łacisa i Mancewa, dokooptowanych do składu członków CKK. Gdy sprawa dotyczy członka partii będącego przeciwnikiem grupy Stalina, informacja GPU - prawdziwa lub specjalnie spreparowana w celu skompromitowania człowieka - w niejawnym sposobie, poprzez kierownika administracyjnego KC - Ksenofontowa (starego czekistę i byłego członka Kolegium WCzK), i jego zastępcę; - Brizanowskiego (również czekistę), dociera do sekretariatu Stalina, do jego pomocników - Kanner i Towstuchy. Następnie, w sposób równie skryty, do Kolegium Partyjnego CKK przekazywane jest odpowiednie polecenie: *wyrzucić z partii, zdjąć ze stanowiska, udzielić nagany z ostrzeżeniem* itp. Teraz już zadaniem Kolegium jest wymyślenie i uzasadnienie prawdopodobnie brzmiącego oskarżenia. Nie jest to nic trudnego - wystarczy wykrzykiwać frazesy o partyjnej moralności i czepiać się byle głupstwa. Gdyby, na przykład, jakiś działacz partyjny napisał artykuł do gazety i otrzymał za to honorarium o 30 rubli, przekraczające tzw. partyjne maksimum, to Solc odegrałby tak historyczną scenę, że mógłby mu pozazdrościć zawodowy aktor. Błazenada i oburzenie Solca lub Jarosławskiego, że taki to a taki komunista zbrukał czystość partii, jest oczywiście skutkiem polecenia Kanner i zgodny z nim jest wydany wyrok (o Kannerze i sekretariacie Stalina jeszcze będzie mowa).

W statucie istnieje jednak punkt następujący: decyzje komisji kontroli powinny być uzgodnione z odpowiednimi komitetami partii, decyzje CKK - z KC. A oto jak wyglądała technika realizacji tego postanowienia.

Gdy posiedzenie Biura Organizacyjnego zostaje zakończone i jego członkowie już się rozeszli, zostają sam na sam z Mołotowem. Mołotow przegląda protokoły CKK, długą listę decyzji w różnych sprawach. Weźmy dla przykładu punkt: *Sprawa tow. Iwanowa oskarżonego o to i o to*. Zapadła decyzja: *Wyrzucić tow. Iwanowa z partii lub Zabronić tow. Iwanowowi pełnienia odpowiedzialnych funkcji w okresie trzech lat*. Mołotow, który doskonale zna wszystkie polecenia przekazywane Kolegium Partyjnemu, stawia przy tym punkcie ptaszka. W protokole Biura Organizacyjnego zapisują co następuje: *Przychylić się do decyzji CKK w sprawie towarzyszy Iwanowa, Sidorowa... itd. (protokół CKK, numer, data, punkt taki a taki)*. Z innym punktem Mołotow się nie zgadza: CKK postanowiło *udzielić ostrej nagany*, Mołotow przekreśla to i wpisuje: *wyrzucić z partii*. W protokole Biura Organizacyjnego notuje: *Zaproponować CKK rewizję decyzji w sprawie tow. Iwanowa, data, punkt taki a taki*. Solc, po otrzymaniu protokołu, zadzwoni do mnie i zapyta: *A jaka jest decyzja?* Powiem mu, co Mołotow wpisał do ich protokołu. I oto w najbliższym protokole CKK znajdzie się zdanie: *Zrewidowawszy swą decyzję z dnia... i uwzględniając wagę stawianych zarzutów. Kolegium CKK postanowiło usunąć tow. Iwanowa z partii*. Biuro Organizacyjne (czyli Mołotow) oczywiście poprze tę decyzję.

Moja kancelaria Biura Organizacyjnego zatrudnia dziesięciu pracowników, skrupulatnie sprawdzonych i oddanych. Całą działalność Biura Organizacyjnego traktuje się jako tajną (Biuro Polityczne - jako super tajną), liczbę etatów sprowadzono więc do minimum. Powoduje to ogromne przeciążenie pracowników - nie mają oni praktycznie życia osobistego, pracę zaczynają o 8 rano, jedzą w pośpiechu i byle jak, kończą o 1 w nocy. Mimo to i tak nie dają sobie rady - w morzu papieru, w jakim tonie Biuro Organizacyjne, panuje pomieszanie z poplątaniem, nic nie można znaleźć, dokumenty rejestruje się według jakichś przedpotopowych metod na wpływające

i wychodzące; gdy sekretarz KC potrzebuje jakiegoś dokumentu lub notatki z archiwum, zaczynają się wielogodzinne poszukiwania w oceanie archiwaliów.

Widzę, że taka organizacja jest bez sensu. Zaczynam więc od podstaw. Zakładam kilka kartotek, rejestrując każdy dokument w trzech różnych indeksach alfabetycznych. Stopniowo udaje mi się zaprowadzić ład.

Po dwóch czy trzech miesiącach wszelki potrzebny sekretarzowi KC dokument dostarczany jest w ciągu minuty. Wydziały KC, które przedtem uważały, że zwracanie się z czymkolwiek do sekretariatu Biura Organizacyjnego jest rzeczą beznadziejną, nie mogą nadziwić się szybkości, z jaką wszystko się teraz załatwia. Mołotow jest niezwykle zadowolony i wychwala mnie pod niebiosa. Nie podejrzewa nawet, że w ten sposób przyspiesza moje odejście. W sekretariacie Biura Politycznego panuje jeszcze większy bałagan i Stalin zaczyna przemyśliwać, że byłoby nieźle, gdybym i tam zaprowadził porządek. Nie jest to jednak takie proste, jak przekonamy się później.

Dla pracowników mojej kancelarii skutki przeprowadzonej reorganizacji okazują się całkiem nieoczekiwane. Z początku wszyscy gwałtownie protestowali przeciwko moim reformom i skarżyli się sekretarzom KC, że nie sposób ze mną pracować. Gdy jednak twardo postawiłem na swoim i rezultaty przeprowadzonych reform stały się oczywiste, głośne protesty ucichły. Niegdyś traciło się cały dzień na długie i często bezskuteczne poszukiwania. Teraz robota idzie szybko i sprawnie. I okazuje się, że jest jej znacznie mniej. Pracownicy przychodzą teraz o 9 rano, a o 5-6 po południu wszystko jest już zrobione. Mają obecnie sporo wolnego czasu, także i na życie osobiste. Czy są zadowoleni? Przeciwnie. Przedtem nosili aureolę męczenników, ludzi ideowych, poświęcających się partii. Dziś są po prostu zwykłymi urzędnikami sprawnie funkcjonującego aparatu. Czuję, że są rozczarowani.

Pracuję teraz w stałym kontakcie z sekretarzami Mołotowa, a ostatnio również i z sekretarzami Stalina.

Na czele sekretariatu Mołotowa stoi jego pierwszy sekretarz Wasilewski. Szczupły, o pociągłej, mądrej twarzy, człowiek bystry i energiczny, rozumny i rzeczowy. Organizuje Mołotowowi całą pracę, szybko i inteligentnie załatwia wszystkie sprawy. Jest z Mołotowem na ty i cieszy się jego pełnym zaufaniem. Niewiele wiem o jego przeszłości. Zdaje się, że był carskim oficerem (bodaj porucznikiem). Tuż po rewolucji październikowej pełnił funkcję szefa sztabu moskiewskiego okręgu wojskowego (bolszewickiego). Gdy odszedłem z KC w 1926 r., straciłem go z oczu; potem już nigdy o nim nie słyszałem.

Drugim pomocnikiem Mołotowa jest Herman Tichomirnow, a tak naprawdę, jest jego sekretarzem osobistym. Prochu nie wymyśli - nieraz dziwię się, jak Mołotow daje sobie radę mając takiego osobistego sekretarza. Ale i dwaj pozostali pomocnicy Mołotowa - Borodajewski i Biełow - też nie są lepsi. Tak jak Wasilewski, Herman również jest z Mołotowem na ty. Mołotow nie jest zachwycony jego pracą, ale jakoś go toleruje. 2 czy 3 lata później mianuje go kierownikiem Centralnego Archiwum Partii przy KC, jednak tylko w dziale dokumentów małej wagi; wszystkimi ważniejszymi pismami zawiaduje sekretariat Stalina i jego sekretarz Towstucha.

Stojąc na czele sekretariatu Mołotowa zaczynam coraz lepiej poznawać problemy partyjnych decydentów, zaczynam rozumieć istotę toczącej się walki o władzę.

Po rewolucji i w czasie wojny domowej współpraca Lenina z Trockim układała się znakomicie. Pod koniec wojny domowej (koniec 1920 r.) kraj i partia uważają Lenina i Trockiego za wodzów rewolucji, daleko ważniejszych od pozostałych liderów partyjnych. Tak naprawdę, to w czasie wojny wszystkim kierował Lenin. Kraj i partia niewiele o tym wiedzą i skłonni są przypisywać zwycięstwo przede wszystkim Trockiemu - organizatorowi i dowódcy Armii Czerwonej. Nimb chwały otaczający Trockiego jest Leninowi nie na rękę. Zdaje sobie sprawę, że przejście od wojny do budowania życia w pokoju będzie poważnym i niebezpiecznym zwrotem. By utrzymać swą czołową pozycję, musi zachować większość w centralnych organach partii, w KC. Jeszcze przed rewolucją i później, w 1917 r., Lenin i stworzona przez niego partia wielokrotnie znajdowali się w mniejszości i z ogromnym trudem ponownie wywalczali sobie większość. Powtarzało się to i po rewolucji - przypomnijmy dla przykładu porażkę, jaką Lenin poniósł w KC i znalazł się w mniejszości w tak istotnej sprawie, jak kwestia pokoju brzeskiego z Niemcami.

Lenin pragnie się zabezpieczyć i zagwarantować sobie większość. Możliwość zagrożenia swej pozycji przywódcy widzi jedynie ze strony Trockiego. Pod koniec 1920 r., podczas dyskusji o związkach zawodowych, stara się osłabić pozycję Trockiego i pomniejszyć jego wpływy. Udaje mu się postawić Trockiego w niezręcznej sytuacji w związku z problemem komunikacji. Trzeba jak najszybciej odbudować zrujnowane koleje. Lenin doskonale wie, że Trocki zupełnie nie nadaje się do tej pracy; nie ma też nawet obiektywnych możliwości jej wykonania. Trocki zostaje mianowany komisarzem ludowym d/s komunikacji. Wkłada w tę sprawę entuzjazm, patos, dar wymowy, nawyki trybuna. Nic z tego nie wynika oprócz bałaganu. I Trocki odchodzi z poczuciem klęski.

W KC Lenin organizuje grupę swych najbliższych współpracowników spośród przeciwników Trockiego. Najbardziej zawziętymi wrogami Trockiego są Stalin i Zinowiew. Zinowiew znenawidził Trockiego po udanej ofensywie Judenicza na Piotrogród jesienią 1919 r. Zinowiew wpadł wówczas w panikę i nie był w stanie cokolwiek dowodzić; przyjechał Trocki, uporządkował sytuację i pogardliwie zwymyślał Zinowiewa - od tej pory zostali wrogami. Nie mniej nienawidzi Trockiego Stalin. Przez cały okres wojny domowej był on członkiem Rewolucyjnej Rady Wojskowej w różnych armiach i na różnych frontach i podlegał Trockiemu. Trocki wymagał przestrzegania dyscypliny, wykonywania rozkazów i zatrudniania specjalistów wojskowych. Stalin zdawał się na lokalne, niezdiscyplinowane pospolite ruszenie, nie podporządkowywał się rozkazom naczelnego dowództwa, nie cierpiał też Trockiego za jego żydowskie pochodzenie. Lenin wciąż musiał pełnić rolę arbitra, a Trocki ostro atakował Stalina.

Kamieniew, nie mając żadnych osobistych powodów do niechęci wobec Trockiego, mniej żądny zaszczytów i mniej skłonny do intryg, przyłączył się do Zinowiewa i poszedł w jego ślady. Lenin całą tę grupę wywindował bardzo wysoko. Zinowiew postawiony został na czele Kominternu (Trocki przyjął to wówczas spokojnie, miał ważniejsze stanowisko - głównodowodzącego armii w czasie wojny domowej), a Kamieniewa uczynił swym pierwszym i głównym pomocnikiem w rządzie i faktycznie przekazał mu najwyższe kierownictwo gospodarką państwa (Rada Pracy i Obrony). Mało tego, gdy na kwietniowym plenum KC w 1922 r. Kamieniew, zgodnie z pomysłem Zinowiewa, zaproponował mianowanie Stalina sekretarzem generalnym KC, Lenin nie protestował, choć znał Stalina bardzo dobrze. Ta podporządkowana Leninowi grupa w marcu 1922 r. zagwarantowała mu większość; Trocki przestał być niebezpieczny.

Lecz 25 maja 1922 r. nastąpiło nieoczekiwane wydarzenie, które wszystko zmieniło - Lenin miał pierwszy atak choroby. W ostatnich latach Lenin często był chory: w sierpniu 1918 r. był ranny (zamach Fanny Kapłan), ciężko chorował w marcu 1920 r., od końca 1921 r. do końca marca 1922 r. także chorował i odsunął się od aktywnej działalności. Później czuł się lepiej, 27 marca 1922 r. wygłosił referat sprawozdawczy na zjeździe partii i całkowicie kontrolował sytuację. Atak, jaki nastąpił 25 maja, wszystko odmienił. Do października 1922 r. Lenin praktycznie w ogóle nie pracował, a orzeczenie lekarzy (rzecz jasna, tajne, przeznaczone dla Biura Politycznego, a nie dla wszystkich) konstatowało, iż jest to początek końca. Po ataku Zinowiew, Kamieniew i Stalin organizują „trójkę”. Swego głównego rywala widzą w Trockim. Nie podejmują jednak jeszcze walki przeciw niemu, ponieważ wbrew wszelkim oczekiwaniom w czerwcu stan zdrowia Lenina zaczął się poprawiać, a w październiku Lenin wrócił do pracy. 20 października wystąpił jeszcze na plenum Rady Moskiewskiej, a 3 listopada wygłosił referat na IV kongresie Kominternu. W czasie tego powrotu na scenę polityczną ponownie wziął wszystko w garść; zbeształ Stalina za prowadzoną przez niego politykę narodowościową (Stalin, prowadząc politykę nie tyle russyfikacyjną, ile centralistyczną, sugerował w przygotowywanym projekcie konstytucji utworzenie **Rosyjskiej** Socjalistycznej Republiki Radzieckiej; Lenin domagał się utworzenia **Związku** Socjalistycznych Republik Radzieckich, przewidując możliwość przyłączenia do niego - w miarę sukcesów rewolucji na Wschodzie i na Zachodzie - innych jeszcze krajów). Lenin miał też zamiar rozprawić się ze Stalinem (oraz z Ordżonikidzem i Dzierżyńskim) za ich konflikt z KC Gruzji, ale nie zdążył już tego zrobić. W październiku 1922 r. plenum KC pod nieobecność Lenina podjęło decyzję osłabiającą monopol handlu zagranicznego. Na kolejnym plenum w grudniu Lenin, który znowu powrócił do pracy, cofnął tę październikową decyzję. Wydawało się, że znów trzyma wszystko mocno w rękę; „trójca” ponownie powróciła do roli jego zaufanych pomocników i wykonawców.

Lekarze mieli jednak rację - poprawa zdrowia była krótkotrwała. Nieleczony w porę syfilis był w ostatnim stadium. Zbliżał się koniec. 16 grudnia stan Lenina znów się pogorszył, a 23 grudnia był krytyczny.

Już w początkach grudnia Lenin wiedział, że życia pozostało mu niewiele. Dlatego też zubożniał mu zarówno problem większości w KC, jak i rywalizacja z Trockim. Martwiło go co innego - zdumiewająca szybkość, z jaką w ciągu kilku miesięcy jego choroby zwiększyła się władza aparatu partyjnego, a tym samym Stalina. Lenin uczynił krok w kierunku zbliżenia z Trockim i zaczął poważnie zastanawiać się nad sposobem ograniczenia wzrastającej stale władzy Stalina. Myślał o wprowadzeniu różnych środków zaradczych, głównie organizacyjnych. Sam nie był już w stanie pisać - musiał dyktować swoim sekretarkom. W pierwszym rządzie miał zamiar rozszerzyć skład KC, by niejako rozmyć władzę aparatu; krokiem następnym byłoby zreorganizowanie i znaczne powiększenie składu CKK i uczynienie z niej przeciwwagi dla biurokratycznego-aparatu partii.

23 i 26 grudnia podyktował swój pierwszy *List do zjazdu* (miał na myśli XII zjazd partii, który miał odbyć się w marcu lub kwietniu 1923 r.), w którym proponował rozszerzenie składu KC. List ten został przekazany w KC Stalinowi. Stalin ukrył go, a na zjeździe, który odbył się w kwietniu, korzystając z tego, że Lenin wówczas już w ogóle przestał się pokazywać, przedstawił zawartą w liście propozycję jako własną (lecz jakoby zgodną z lenińskimi ideami), propozycja została przyjęta, liczbę członków KC zwiększono z 27 do 40. Stalin uczynił to jednak z zamiarem przeciwnym, niż myślał Lenin - zależało mu na tym, by zwiększyć liczbę **swoich**, dobranych członków KC, i tym samym uzyskać w KC swoją większość.

24 i 25 grudnia Lenin podyktował drugi *List do zjazdu*. Ten właśnie list nazywany jest zwykle *Testamentem Lenina*. Lenin zawarł w nim charakterystyki czołowych liderów partii; postawił problem przywództwa na wypadek swojej śmierci, skłaniając się zasadniczo ku koncepcji kierownictwa kolegiального; mimo to jednak na pierwsze miejsce wysuwał Trockiego. List ten w istocie adresowany był do tego samego, najbliższego zjazdu partii, lecz Lenin kazał go zapieczętować i polecił, by otworzono go dopiero po jego śmierci. Dyżurna sekretarka nie zapisała co prawda na kopercie słów o jego śmierci, lecz powiedziała o wszystkim zarówno Krupskiej, jak i innym sekretarkom. I Krupska, skrzepowana tym poleceniem, na XII zjeździe koperty nie otworzyła - Lenin jeszcze żył.

Tymczasem Lenin, zastanawiając się wciąż nad tymi problemami, po kilku dniach doszedł do wniosku, że Stalina należy koniecznie usunąć, ze stanowiska sekretarza generalnego partii. 4 czy 5 stycznia zrobił znany dopisek do *testamentu* i w którym mówił o grubiaństwie i innych wadach Stalina, i zalecał partii usunięcie Stalina z tego stanowiska. Dopisek ten został dołączony do *Listu do zjazdu* i zapieczętowany, ale - podobnie jak list - nie został przed Krupską otwarty przed zjazdem. Lecz treść *testamentu* znały sekretarki Lenina i opowiedziały ją Krupskiej.

Drugą część swego planu Lenin wyłożył w podyktowanym przez siebie artykule pt. *Jak musimy zreorganizować. Inspekcję Robotniczo-Chłopską*. Dyktował ten artykuł od początku marca i przesłał go do KC, gdzie tym razem dotarł bez przeszkód. Inspekcja (Rabkrin) została zreorganizowana w czerwcu, formalnie, według projektu Lenina, lecz w istocie rzeczy znów na użytek celów Stalina.

W lutym i marcu stan Lenina nie ulegał zmianie. Wtedy właśnie podjął ostateczną decyzję o walce ze Stalinem i kierowanym przezeń biurokratycznym aparatem. Pod naciskiem Lenina powstaje w końcu lutego komisja KC do walki z biurokracją (Lenin ma na myśli przede wszystkim zbiurokratyzowanie Biura Organizacyjnego; ma też nadzieję, że na zbliżającym się zjeździe będzie kierował walką ze Stalinem, choćby nawet ze swego pokoju).

Tymczasem Stalin po powtórny pogorszeniu się stanu zdrowia Lenina w połowie grudnia (lekarze uznali, że jest to w istocie drugi atak) nabrał przekonania, że z Leninem można się już właściwie specjalnie nie liczyć. Stał się ordynarny wobec Krupskiej, która kontaktowała się z nim w imieniu Lenina. W styczniu 1923 r. sekretarka Lenina Fotijewa poprosiła Stalina o dostarczenie interesujących Lenina materiałów na temat kwestii gruzińskiej. Stalin odmówił ich wydania (*nie mogę bez wiedzy Biura Politycznego*). W początkach marca tak zbeształ Krupską, że ta przybiegła do Lenina we łzach; oburzony Lenin podyktował list do Stalina, oznajmiający, że zrywa z nim wszelkie kontakty osobiste. Bardzo go to jednak zdenerwowało i 6 marca dostał trzeciego ataku, po którym został sparaliżowany, nie mógł mówić i niemal całkowicie utracił świadomość. Zszedł już na dobre ze sceny politycznej, a pozostałe 10 miesięcy jego życia były tylko powolnym umieraniem.

(O tym wszystkim dowiedziałem się na początku 1923 r. z drugiej ręki - od sekretarza Mołotowa; po kilku miesiącach uzyskałem potwierdzenie tych faktów od sekretarzy Stalina i sekretarek Lenina).

Od stycznia 1923 r. władzę zaczyna sprawować „trójca”. Przez pierwsze dwa miesiące obawia się jeszcze sojuszu Trockiego z umierającym Leninem; ale po marcowym ataku Lenina już nie było i mogła zacząć przygotowania do usunięcia Trockiego. Jednak do lata zajmowała się wyłącznie wzmacnianiem swej pozycji.

Zjazd partii odbył się między 17 a 25 kwietnia 1923 r. Najistotniejsze było to, kto wygłosi na zjeździe referat sprawozdawczy KC - najważniejszy polityczny dokument roku. Dotąd robił to zawsze Lenin. Ten, kto wygłosi go teraz, będzie uważany przez partię za jego następcę.

Na posiedzeniu Biura Politycznego Stalin zaproponował, by referat wygłosił Trocki. Było to w stylu Stalina. Energicznie prowadził krecią robotę rozlokowywania swych ludzi, ale większość na zjeździe pozwoli mu to uzyskać dopiero za dwa lata. Na razie należy zyskać na czasie i uśpić czujność Trockiego.

Trocki z zadziwiającą naiwnością odmawia; nie chce, by w partii myślano, że uzurpuje sobie miejsce chorego Lenina, i proponuje, by referat wygłosił sekretarz generalny KC, Stalin. (Wyobrażam sobie stan ducha Zinowiewa w tym momencie). Lecz Stalin również odmawia; doskonale wie, że partia tego nie zrozumie i nie zaakceptuje - nikt nie uważa Stalina za przywódcę partii. Wreszcie, nie bez zasługi Kamieniewa, wygłoszenie referatu powierzono Zinowiewowi. Jest przewodniczącym Kominternu i jeśli już ktoś ma czasowo zastępować Lenina podczas choroby, to najrzęczniejszym będzie, by był to właśnie on. I na kwietniowym zjeździe referat sprawozdawczy KC wygłasza Zinowiew.

W maju i czerwcu „trójca” nadal umacnia swe pozycje. Zinowiew uznawany jest w partii nie tyle za przywódcę, ile za osobę numer jeden. Kamieniew - numer dwa - faktycznie zastępuje Lenina na stanowisku premiera i przewodniczącego Rady Pracy i Obrony. Przewodniczy też posiedzeniom Biura Politycznego. Stalin jest osobą numer trzy, lecz zajmuje się przede wszystkim potajemnym przygotowaniem sobie przyszłej większości. Kamieniewa i Zinowiewa nie interesuje tego rodzaju działalność; ich główną troską jest znalezienie sposobu na polityczne zdyskredytowanie Trockiego i odsunięcie go od władzy.

Lenin przestał funkcjonować, lecz jego sekretariat siłą inercji pracuje nadal. Lenin ma w zasadzie dwie sekretarki - Glasser i Fotijewą. Dwie spośród pozostałych bliskich współpracownic - Wołodiczewa i Sara Flakserman - pełniły wraz z nimi w ostatnich dniach choroby obowiązki „dyżurnych sekretarek”; dyżurowały na zmianę, tak by w każdej chwili być do dyspozycji Lenina, gdyby ten zechciał podyktować jakiś list, polecenie czy artykuł. Sara Flakserman przechodzi do Małej Rady Komisarzy Ludowych (jest to swego rodzaju komisja, nadająca odpowiednią postać prawną wszelkim projektom Rady Komisarzy Ludowych) i zostaje jej sekretarzem. Fotijewa, pełniąc oficjalnie funkcję sekretarza Rady Komisarzy Ludowych ZSRR, pracuje z Kamieniewem. Opowiada mu wiele drobnych sekretów leninowskiego sekretariatu, by zachować swe stanowisko. Ale Kamieniew to nie Stalin - szczegóły życia Lenina niezbyt go interesują.

Z dwóch sekretarek Lenina pierwszą jest Maria Ignatiewna Glasser. Jest jego sekretarką w Biurze Politycznym, Lidia Fotijewa - w Radzie Komisarzy Ludowych. Jednak to nazwisko Fotijewej zna cała Rosja, gdyż od wielu lat podpisuje wraz z Leninem wszystkie dekrety rządowe. Nazwiska Glasser nie znał nikt - praca Biura Politycznego jest całkowicie tajna. Tymczasem właśnie w Biurze Politycznym dzieją się rzeczy najważniejsze, a na jego posiedzeniach wszystkie główne decyzje i dyrektywy zapisuje Glasser. Rada Komisarzy Ludowych decyzje te tylko *legalizuje zgodnie z radzieckim porządkiem prawnym*, zaś Fotijewa musi jedynie czuwać nad tym, by dekrety Rady ściśle odpowiadały decyzjom Biura Politycznego; sama nie bierze udziału w ich przygotowaniu i formułowaniu, tak jak to czyni Glasser.

Glasser pełni funkcję sekretarza na wszystkich posiedzeniach Biura Politycznego, ważniejszych komisji tego biura i plenach KC. Jest to mała garbuska o rozumnej i niedobrej twarzy. Jest doskonałą sekretarką i bardzo mądrą kobietą. Sama oczywiście o niczym nie decyduje, ale świetnie rozumie wszystko, co dzieje się na posiedzeniach Biura Politycznego, i to, co dyktuje jej Lenin; notuje dokładnie i szybko. Jest duchem oddana Leninowi i znając przejawianą od kilku miesięcy wrogość Lenina wobec stalinowskiego aparatu biurokratycznego, nie podejmuje żadnych prób przejścia na służbę do Stalina. Stalin uznaje więc, że pora ją usunąć i zastąpić własnym człowiekiem. Stanowisko sekretarza Biura Politycznego jest zbyt ważne - zbiegają się tu wszystkie tajemnice partii i władzy.

W końcu czerwca Stalin uzyskuje zgodę Kamieniewa i Zinowiewa, i zdejmuje Glasser ze stanowiska sekretarza Biura Politycznego. Lecz zastępcę znaleźć niełatwo. Praca sekretarza Biura Politycznego wymaga wielu umiejętności. Sekretarzując na posiedzeniach powinien on nie tylko doskonale pojmować sedno wszystkich debat i tego, co dzieje się w Biurze Politycznym, lecz powinien także:

- 1) uważnie przysłuchiwać się obradom;
- 2) pilnować, by wszyscy członkowie Biura w porę otrzymywali wszelkie potrzebne materiały;
- 3) kierować strumieniem dygnitarzy wzywanych na posiedzenie w związku z kolejnymi punktami porządku dziennego;
- 4) interweniować w przebieg obrad, gdy popełnia się jakiś błąd lub gdy uczestnicy zapominają, co wcześniej zostało postanowione w danej sprawie;
- 5) nadażać przy tym z zapisywaniem uchwał i decyzji;
- 6) być pamięcią Biura Politycznego, udzielając natychmiast wszelkich niezbędnych informacji.

Glasser dawała sobie z tym wszystkim radę. Stalin próbuje zastąpić ją swoimi dwoma sekretarzami - Nazaretianem i Towstuchą, mając nadzieję, że razem, dzieląc się obowiązkami, zdołają uporać się z pracą.

Próba ta kończy się jednak kompletnym fiaskiem. Nazaretian i Towstucha nie są w stanie wypełnić wszystkich obowiązków, nie nadażają, tracą orientację i nie rozumieją, o co chodzi. Praca Biura Politycznego wyraźnie się rozprzęga. Jego członkowie widzą, że wszystko się wali, ale na razie milczą.

Wreszcie wybucha Trocki. Pretekstem staje się opracowanie noty Komisariatu Spraw Zagranicznych do rządu Wielkiej Brytanii. Projekt noty sporządził Trocki, Biuro Polityczne w toku dyskusji wniosło do niej pewne poprawki. Sekretarze, nie rozumiejąc ich sensu, nie wprowadzili do projektu odpowiednich zmian. Po posiedzeniu trzeba jeździć do wszystkich członków Biura Politycznego, poprawiać tekst, uzgadniać go itd.

Na następnym posiedzeniu Trocki pisze następującą notatkę (przekazał mi ją Nazaretian i zachowała się u mnie do tej pory):

Wyłącznie do wiadomości członków Biura politycznego. Tow. Litwinow twierdzi, że sekretarze posiedzenia nie robili żadnych zapisków w związku z notą. Jest to niedopuszczalne. W przyszłości należy zapewnić większy porządek. Sekretarze powinni mieć przed sobą tekst noty (wysłałem) i zaznaczać uwagi. W przeciwnym razie mogą powstać nieporozumienia. Trocki (podkreślenia Trockiego)

Zinowiew pisze na notatce: *Konieczny jest stenograf. C.Z.*

Bucharin: *Popieram. N. Buch.*

Stalin, bardzo niezadowolony z powodu niepowodzenia swoich zamierzeń, z właściwym sobie grubiaństwem i nieuczciwością pisze: *Bzdury. Sekretarze by notowali, gdyby Trocki i Cziczerin nie robili tego sami. Przeciwnie, jest celowe, by dla zachowania tajemnicy w tego typu sprawach nie było żadnych notatek sekretarzy. J.St.* (podkreślenia Stalina).

Tomski: *Stenograf nie jest potrzebny. M.Tom.*

Kamieniew: *Stenograf (komunista, sprawdzony, do pomocy sekretarzom posiedzenia) - potrzebny. L.Kam.*

Czemu piszę, że Stalin jest ewidentnie nieuczciwy? Podkreśla słowa w tego typu sprawach, jak gdyby omawiana sprawa noty była czymś niezwykle tajnym. A przecież w codziennej pracy Biura Politycznego ogromna większość spraw jest równie, a może nawet i bardziej tajna. Określanie spraw, w których nie należy ufać sekretarzom, jest po prostu głupie, a nawet niemożliwe. Nawiasem mówiąc, Trocki pisze *wyłącznie do wiadomości członków Biura Politycznego* po to, by pokazać, że z opinią sekretarzy zupełnie się nie liczy. Stalin przekazuje tę notatkę Nazaretianowi, któremu akurat w ogóle nie powinna zostać pokazana.

Stalin musi jednak ustąpić. Jakże by chciał, aby sekretarzami Biura Politycznego byli jego ludzie - Nazaretian i Towstucha. Niestety, nic z tego nie wychodzi. Jest Bażanow, który świetnie radzi sobie z obowiązkami sekretarza Biura Organizacyjnego i prawdopodobnie dobrze da sobie radę z obowiązkami sekretarza Biura Politycznego. Lecz czy okaże się on swoim człowiekiem? Oto problem. Trzeba zaryzykować.

9 sierpnia Biuro Organizacyjne postanawia: *Mianować tow. Bażanowa pomocnikiem sekretarza KC, Stalina, jednocześnie zwalniając go z funkcji sekretarza Biura Organizacyjnego.* W decyzji tej Stalin nie mówi, że mam być sekretarzem Biura Politycznego. Jest to przemyślane. Zostaję mianowany jego pomocnikiem. Nominacja na stanowisko sekretarza Biura Politycznego leży w jego kompetencji. Mianuje na to stanowisko albo swego pomocnika, albo kogo uzna za stosowne (w dalszej przyszłości wyznaczy Malenkowa, który jego formalnym pomocnikiem jeszcze nie tak prędko zostanie).

POMOCNIK STALINA - SEKRETARZ BIURA POLITYCZNEGO

Zatwierdzanie porządku dziennego posiedzeń Biura Politycznego. Mechanizm władzy trójcy. Techniczny aparat Biura Politycznego. Kurierski oddział GPU. Ścisłe tajne. Tamara Chazanowa. Sekretariat Stalina. Nazaretian. Podział pracy w sekretariacie. Kanner. 1. Dom Rad. 4 piętro domu KC partii. Początek pracy ze Stalinem. „Kręciołek”. Tow. Stalin „słucha”. Odbudowa kawalerii i 7 milionów dolarów. Posiedzenie Biura Politycznego.

Nazaretian, przekazując mi sprawy sekretariatu Biura Politycznego, mówi: *Towarzyszu Bażanow, nie zdajecie sobie nawet sprawy, jak ważne obejmujecie teraz stanowisko.* Rzeczywiście przekonam się o tym dopiero dwa dni później, gdy po raz pierwszy będę referował projekt porządku dziennego obrad kolejnego posiedzenia Biura Politycznego.

Biuro Polityczne to centralny organ władzy. Rozstrzyga ono wszystkie ważniejsze sprawy związane z kierowaniem państwem (a także światową rewolucją). Obraduje 2-3 razy w tygodniu. Porządek dzienny jego regularnych posiedzeń obejmuje około stu, a niekiedy i 150 spraw. Zdarzają się też posiedzenia nadzwyczajne, poświęcone szczególnie pilnym sprawom. Wszystkie resorty i instytucje centralne, które przesyłają swoje sprawy do decyzji Biura Politycznego, przekazują je mnie - do sekretariatu Biura. Po ich zbadaniu sporządzam projekt porządku dziennego kolejnego posiedzenia Biura Politycznego. Nie ja go jednak zatwierdzam - decyzję w tej sprawie podejmuje trójca. Nieoczekiwanie odkrywam teraz rzeczywisty mechanizm władzy trójcy.

W przeddzień posiedzenia spotykają się ze sobą Zinowiew, Kamieniew i Stalin. Niegdyś posiedzenia te odbywały się zazwyczaj w mieszkaniu Zinowiewa, później zwykle w gabinecie Stalina w KC. Oficjalnym pretekstem jest zatwierdzenie porządku obrad Biura Politycznego. Żaden statut ani przepis nie przewiduje zatwierdzania porządku dziennego. Mogę to zrobić ja, może to zrobić Stalin. Zatwierdza go jednak trójca - owo zebranie trójcy jest w istocie posiedzeniem tajnego rządu, na którym z góry rozstrzyga się wszystkie ważniejsze sprawy. Uczestniczą w nim tylko cztery osoby - trójca i ja. Omawiam pokrótce każdy punkt przewidziany w porządku obrad, charakteryzując zawarty w nim problem. Formalnie rzecz biorąc, trójca ma decydować, czy daną sprawę przedstawić na posiedzeniu Biura Politycznego, czy załatwić ją w inny sposób. W rzeczywistości ustala sposób jej rozstrzygnięcia, a nawet dzieli między siebie role, jakie trzeba będzie w związku z tym odegrać na jutrzejszym posiedzeniu.

Nie wpisuję do protokołu żadnych postanowień, choć w istocie wszystko z góry decyduje się właśnie tu. Jutro na posiedzeniu Biura Politycznego będzie dyskusja, zostaną podjęte decyzje, niemniej to, co najważniejsze omówiono już wcześniej, w wąskim gronie osób faktycznie sprawujących władzę, omówiono szczerze, bo przecież przed przyjaciółmi nic ma się czego wstydzić. To właśnie jest prawdziwy rząd. Moja rola pierwszego referenta wszystkich tajemnic i zakulisowych decyzji jest o wiele ważniejsza niż rola zwykłego sekretarza Biura Politycznego. Teraz dopiero pojąłem sens uwagi Nazaretiana.

Nic, co prawda, na tym świecie nie jest wieczne, nie jest wieczna także trójca; niemniej jednak ten mechanizm władzy będzie znakomicie funkcjonował jeszcze dwa lata.

Moje ujęcie każdego tematu na obradach trójcy musi być krótkie, jasne i dokładne. Widzę, że trójca jest ze mnie bardzo zadowolona.

Podlega mi sekretariat Biura Politycznego. Składa się on, podobnie jak i sekretariat Biura Organizacyjnego, z dziesięciu oddanych, dobranych i sprawdzonych działaczy partyjnych. Również i tutaj pracuje się od świtu do nocy. Bałagan. A chaos są jeszcze większe niż w Biurze Organizacyjnym - znacznie więcej tu stosów nieuporządkowanych papierzyśk. Rzadko udaje się znaleźć potrzebne pismo czy notatkę. A jeśli nawet się udaje, to tylko dlatego, że jedna z pracownic, Luda Kuryndina, panienka wysoka i tęga, obdarzona jest niezwykłą, wprost niepojętą pamięcią. Dajmy na to, że trzeba natychmiast odnaleźć referat, przysłany dwa czy trzy miesiące temu przez Radę Najwyższą Gospodarki Narodowej, na temat polityki cen. Gdzież on może być? Znaleźć go nie sposób. Kuryndina popada w trans jasnowidzenia i przypomina sobie, że chyba widziała go w jednej z teczek leżących gdzieś w tamtym kącie (ogromnego archiwum). Przegląda się więc wskazany stos teczek i niekiedy rzeczywiście referat się odnajduje.

Przystępuję do podobnej reorganizacji, jaka miała miejsce w Biurze Organizacyjnym - wprowadzając kartoteki i indeksy. Tu jednak personel przyjmuje to znacznie przychylniej. Sekretariat Biura Organizacyjnego znajduje się na tym samym piętrze i cudotwórcze efekty reformy są od dawna znane. Po upływie 2 czy 3 miesięcy wszystko dochodzi do normy, każdy papierek daje się natychmiast odszukać. Sekretarze KC i kierownicy wydziałów, którzy niegdyś byli zdania, że zwracanie się z czymkolwiek do sekretariatu Biura Politycznego przypomina zapuszczanie się w otchłań i nic sensownego nie może z tego wyniknąć, teraz nie tylko przychodzą do nas i z miejsca otrzymują potrzebną informację, ale także zaczynają stawiać nas za wzór swoim podwładnym: *Czemu macie taki bałagan? Dlaczego nie możecie nic znaleźć? Spójrzcie, w sekretariacie Biura Politycznego jest dziesięć razy więcej papierów, a każdy potrzebny dokument znajduje się natychmiast.*

Po trzech miesiącach personel, tak jak to miało miejsce w Biurze Organizacyjnym, zaczyna pracować normalnie; robota kończy się nie o pierwszej w nocy, lecz o 5-6 po południu. Tu jednak nie na pretensji. Ludzie wiedzą, że nie są zwykłymi urzędnikami. Zdają sobie sprawę, że przez ich ręce stale przechodzą wszystkie tajemnice państwowe, są z tego dumni, zawsze i wszędzie mają się za osoby szczególnie zaufane.

Ponieważ wszystkie materiały przechodzące przez mój sekretariat są „szczególnie” i „ściśle tajne”, więc rozsyłaniem ich i odbieraniem zajmuje się specjalny oddział kurierski GPU. Są to dobrani, wyszkoleni i wytresowani czekaści, dobrze uzbrojeni i od stóp do głów ubrani w skórę. Z materiałami czy protokołem posiedzenia Biura Politycznego w zapieczętowanej kopercie przenikają przez wszystkie tamy sekretariatów wprost do adresata, członka KC lub rządu: *Dla towarzysza takiego to a takiego, pilne, ściśle tajne, do rąk własnych, za pokwitowaniem na kopercie.* Jeśli, dajmy na to, koperta zaadresowana jest do Trockiego, to dotrą do jego gabinetu, nie oddadzą jej po drodze nikomu za żadną cenę, wręcz ją do rąk własnych Trockiemu, będą czekać, aż ją rozpieczętuje, i nie odejdą, póki nie pokwituje odbioru i nie odda koperty z własnym podpisem. Wbito im do głów, że za powierzoną kopertą odpowiadają życiem, i odebrać im ją można tylko po ich trupie. Sekretariat Biura Politycznego mieści się na 4 piętrze gmachu KC na Placu Starym. Posiedzenia Biura odbywają się na Kremlu, w sali posiedzeń Rady Komisarzy Ludowych. Ja i moi pomocnicy wozimy na Kreml ogromnym samochodem drogocenny ładunek - materiały Biura Politycznego, ostatnie protokoły. W samochodzie towarzyszą nam dwaj uzbrojeni czekaści z oddziału kurierskiego. Ich twarze zawsze

wyrażają napięcie - nauczono ich, że nie ma nic bardziej tajnego od tych materiałów i że należy ich bronić do ostatniej kropli krwi. Rzecz jasna, nikt i nigdy nas nie napadał.

Po przeczytaniu protokołu lub Innego materiału Biura Politycznego adresat, członek KC (nie mający prawa robienia odpisu), za pośrednictwem tegoż oddziału kurierskiego odsyła przeczytane teksty z powrotem do sekretariatu Biura Politycznego, gdzie prowadzony jest wykaz dokumentów, akty wysyłki i zwrotu, a następnie materiały są niszczone (z wyjątkiem tego, co przekazywane jest do archiwum).

Całą tą robotą, a także powielaniem materiałów, drukowaniem protokołów i wyciągów, archiwizacją oraz wszelką inną techniczną stroną pracy zajmują się moi współpracownicy.

Jest wśród nich bardzo ładna dziewczyna, Gruzinka o pięknych, czarnych oczach, Tamara Chazanowa. Nigdy jeszcze nie przeżyłem prawdziwie wielkiego romansu. Od romansu z Tamarą w porę jednak się powstrzymuję - dziewczyna jest równie piękna jak niemądra. Kilka lat później, zostanie wielką przyjaciółką żony Stalina, Nadii Allilujewej jednakże nie na takich samych prawach, jak na przykład żona Mołotowa Perełka. Tamara będzie wielbić Nadię jak pensjonarka i chodzić za nią krok w krok, będzie spędzać u Nadii cały swój czas i zajmować się jej dziećmi. Będzie się nimi zajmować także wówczas, gdy Nadia popełni samobójstwo, a dzieci zdane zostaną na łaskę służby. W tym też czasie będzie się cieszyć, jak się zdaje, szczególnymi względami Stalina. Jest jednak tak głupia, że Stalin nie może jej znieść na dłużej. Uwodzi w końcu (będąc sekretarzem miejscowej organizacji związkowej) członka Biura Politycznego Andrejewa, który się z nią żeni.

Jestem obecnie pracownikiem sekretariatu Stalina. Instytucja ta będzie miała długą historię. Nominalnie na jej czele stoi Nazaretian. Wkrótce jednak odejdzie na urlop, przedłużający się z powodu choroby. Będzie z powrotem na krótko pod koniec roku, potem Stalin oddeleguje go do *Prawdy* ze specjalnymi poruczeniami (opowiem o tym później - to głośna sprawa) i Nazaretian nie wróci już do aparatu KC.

Amajak Nazaretian jest Ormianinem, człowiekiem bardzo kulturalnym, mądrym, łagodnym i powściągliwym. Swego czasu prowadził razem ze Stalinem działalność partyjną na Kaukazie. Tylko trzech ludzi jest dziś na ty ze Stalinem: Woroszyłow, Ordżonikidze i Nazaretian. Wszyscy oni zwracają się do Stalina używając starego partyjnego pseudonimu *Koba*. Odnoszę wrażenie, że Stalina zaczyna już krępować fakt, iż jego sekretarz mówi mu ty. Zmierza już ku władzy autokratycznej nad całą Rosją i ten drobniaczek jest dlań bardzo nieprzyjemny. Z końcem roku uwalnia się od Nazaretiana w sposób niezbyt elegancki, po czym, jak się wydaje, ich osobiste kontakty zostały zerwane. Nazaretian wyjedzie na Ural jako przewodniczący obwodowej komisji kontroli partyjnej, później wróci do Moskwy, gdzie będzie pracować w aparacie CKK. W komitywę ze Stalinem wchodzić już nie będzie, w 1937 r. z rozkazu Stalina zostanie rozstrzelany.

Inaczej ma się rzecz z drugim pomocnikiem Stalina, Iwanem Pawłowiczem Towstuchą. Aż do samej śmierci (1935 r.) będzie odgrywać ważną rolę w sekretariacie Stalina i u jego boku. Teraz jednak i w ciągu najbliższych miesięcy w sekretariacie będzie pojawiać się rzadko, gdyż wykonuje specjalne polecenie Stalina - organizuje *Instytut Lenina*. Obecnie w sekretariacie stale pracują trzej pomocnicy Stalina: ja, Mechlis i Kanner. Gdy w rozmowach zakreślamy zakres obowiązków każdego z nas, wygląda to mniej więcej tak: *Bażanow - sekretarz Stalina do spraw Biura Politycznego, Mechlis - sekretarz osobisty, Grisza Kanner - sekretarz do spraw półciemnych.*

Wymaga to pewnych wyjaśnień. Co do mnie i Mechlisa sprawa wygląda stosunkowo prosto. W naszej pracy nie ma nic niejasnego. Wszystko, co jest adresowane i co przychodzi do Biura Politycznego, trafia do mnie. Wszystko, co adresowane jest osobiście do Stalina, trafia do Mechlisa, który referuje to adresatowi. Ja obsługuję, jeśli tak można rzec. Biuro Polityczne, Mechlis - Stalina. Griszy Kannerowi oficjalnie przydzielono dość nieokreślone funkcje bytowe. Zajmuje się on sprawami bezpieczeństwa, mieszkaniami, samochodami, urlopami, komisją zdrowia KC, organizacją partyjną KC - rozmaitymi, wydawać by się mogło, drobiazgami. Lecz jest to tylko wierzchołek góry lodowej, co jest niżej - można się tylko domyślać.

Bardzo prędko odkrywam, na czym polega główne zadanie Griszy Kanner. Administracją KC kieruje stary czekista, były członek kolegium WCzK, Ksenofontow. Wraz ze swoim zastępcą Brizanowskim (również czekistą) Ksenofontow pracuje zgodnie z poleceniami i na rozkaz Griszy.

Gdy zostaję mianowany sekretarzem Biura Politycznego, Grisza Kanner i Ksenofontow od razu ustalają, że koniecznie muszę przenieść się na Kreml lub przynajmniej do 1. Domu Rad. Łoskutka, w której mieszkam, to właściwie zajazd. Wchodzi tam każdy, kto chce. Obecnie „organy bezpieczeństwa” mają za zadanie ochronę mej bezcennej osoby. Jest to proste na Kremlu, dokąd można wejść dopiero po dopełnieniu szeregu formalności i po dokładnym sprawdzeniu. W 1. Domu Rad również jest komendantura; każdy, kto chce do kogoś wejść, musi najpierw zadzwonić do niego z wartowni, dostać przepustkę, a przy wyjściu oddać ją z podpisem osoby, u której, był. Dość ważnym jeszcze argumentem jest to, że mógłbym zabierać do domu różne pilne prace, a są to wszak nadzwyczaj tajne dokumenty Biura Politycznego. Łoskutka żadną miarą się do tego nie nadaje. Wyrażam zgodę, lecz na Kreml przenosić się nie chcę - człowiek jest tam śledzony na każdym kroku, nie sposób kichnąć, by nie dowiedziało się o tym GPU. W 1. Domu Rad jest mimo wszystko nieco swobodniej. Przeprowadzam się tam. W domu tym mieszkają Kaganowicz, Kanner, Mechlis i Towstucha.

KC partii, mieszczący się w 1922 r. i w pierwszej połowie 1923 na Wozdwiżence, przenosi się obecnie do ogromnego budynku przy Placu Starym. Czwarte piętro gmachu przydzielone zostaje sekretarzom KC i naszym tajnym służbom. Po wejściu na 4 piętro można pójść korytarzem na prawo - tam pracuje Stalin, jego pomocnicy i sekretariat Biura Politycznego, można też pójść na lewo - tu urzędują Mołotow i Rudzutak, ich pomocnicy oraz mieści się sekretariat Biura Organizacyjnego. W pierwszym korytarzu po prawej stronie pierwsze drzwi na lewo prowadzą do biura Kanner i Mechlisa. Do Stalina można dostać się jedynie przez to właśnie biuro, i to nie bezpośrednio, lecz przez pokoiak, w którym dyżuruje goniec (tęga czekistka, Nina Fomienko). Za gabinetem Stalina znajduje się duży pokój, w którym odbywają się narady Stalina i Mołotowa. Tuż za nim mieści się gabinet Mołotowa. Stalin i Mołotow spotykają się wielokrotnie w ciągu dnia w tym środkowym pokoju.

Do gabinetu Stalina nie można wejść bez zameldowania Mechlisa. Goniec wchodzi tylko wówczas, gdy Stalin przywołuje go dzwonkiem. Kanner i Towstucha, jeśli muszą się spotkać ze Stalinem, pytają go uprzednio telefonicznie o zezwolenie. Tylko dwie osoby mogą wejść do Stalina bez meldowania się: ja i Mechlis; Mechlis jako sekretarz osobisty, ja - ponieważ muszę porozumiewać się ze Stalinem w sprawach Biura Politycznego, które traktowane są jako najważniejsze i najpilniejsze. Mam prawo wchodzić do Stalina niezależnie od tego, kto u niego jest, czym jest zajęty, i zwracam się bezpośrednio do niego samego. Przerywa wówczas swoje zajęcie czy zebranie i zajmuje się sprawą, z którą przyszedłem - problemy Biura politycznego są pilniejsze od innych. Podobne uprawnienia

mam również wobec wszystkich sekretarzy KC i wszystkich radzieckich dygnitarzy. Jeśli zachodzi potrzeba, wchodzę na każde zebranie (nawet na posiedzenie rządu) lub do gabinetu dowolnego ministra, bez czekania i meldowania się - wiadomo, że przychodzę wyłącznie w sprawach Biura Politycznego, czyli w sprawach najważniejszych.

W pierwszych dniach mojej pracy dziesiątki razy dziennie chodzę do Stalina, by przedstawiać mu nadchodzące do Biura Politycznego dokumenty. Szybko spostrzegam, że nie interesuje go ani treść tych papierów, ani sposób załatwienia przedstawianych w nich spraw. Gdy pytam go, co należy zrobić w jakiejś sprawie, odpowiada: *A co według was należy zrobić?* Wypowiadam swoją opinię: wnieść na obrady Biura Politycznego, przekazać do którejś komisji KC, uznać, że problem nie jest opracowany i uzgodniony w sposób dostateczny, a zatem zlecić resortowi uzgodnienie go z innymi resortami itd. Stalin natychmiast się zgadza: *Dobrze, tak zróbcie*. Dochodzę do wniosku, że chodzę do niego na próżno i że powinienem przejawiać więcej inicjatywy. Tak też robię. W sekretariacie Stalina wyjaśniają mi, że nie czyta on żadnych papierów i nie interesuje się żadnymi sprawami. Zaczyna nurtować mnie pytanie: czym się wobec tego zajmuje?

W najbliższych dniach uzyskuję nieoczekiwaną odpowiedź. Jak zwykle bez zapowiadania się, wchodzę do Stalina z jakąś pilną sprawą. Rozmawia przez telefon, ściśle rzecz biorąc, nie rozmawia, lecz słucha - trzyma słuchawkę i słucha. Nie chcę mu przeszkadzać, sprawę mam jednak pilną, więc grzecznie czekam, skończy. Trwa to pewien czas. Stalin słucha i nic nie mówi. Stoję i czekam. Wreszcie ze zdumieniem uświadamiam sobie, że słuchawki wszystkich czterech stojących na biurku telefonów leżą na aparatach, on zaś trzyma przy uchu słuchawkę jakiegoś innego, nie znanego mi telefonu, od którego sznur biegnie, nie wiedzieć czemu, do szuflady biurka. Patrzą raz jeszcze. Oto cztery telefony Stalina: wewnętrzny - do rozmów w obrębie KC, połączenia przez telefonistkę z KC; *Górny Kreml* - telefon do rozmów łączonych przez centralę Górnego Kremla; *Dolny Kreml* - telefon do rozmów łączonych przez centralę Dolnego Kremla (przez oba te telefony można rozmawiać z wysoko postawionymi pracownikami i ich rodzinami - Górny łączy głównie gabinety służbowe. Dolny - mieszkania prywatne; centrale obsługują telefonistki, dobierane przez GPU i będące na służbie GPU); i wreszcie czwarty - tzw. kręciołek. Jest to telefon automatyczny z niewielką liczbą abonentów (początkowo 60, później 80, potem więcej). Zainstalowano go na polecenie Lenina, który uważał, że prowadzenie poufnych i bardzo ważnych rozmów poprzez centralę jest niebezpieczne ze względu na możliwość podsłuchiwania ich przez telefonistki. Założono więc specjalną centralę automatyczną, bez telefonistek; przeznaczoną wyłącznie do rozmów między członkami rządu. W ten sposób zagwarantowano tajność ważnych rozmów. Nawiasem mówiąc, ów kręciołek stał się oznaką przynależności do najwyższych kręgów władzy. Przydzielano go wyłącznie członkom KC, ministrom (komisarzom ludowym), ich zastępcom i oczywiście wszystkim członkom i zastępcom członków Biura Politycznego. Członkowie Biura Politycznego mieli takie telefony nie tylko w gabinetach służbowych, lecz również w mieszkaniach prywatnych.

Stalin nie rozmawia zatem przez żaden z tych telefonów. Po chwili orientuję się, że w biurku ma jakąś centralkę, dzięki której może włączać się i podsłuchiwać każdą rozmowę prowadzoną za pośrednictwem kręciołków. Rozmawiający przez te telefony członkowie rządu są przekonani, że podsłuchać ich nie sposób - połączenia są przecież automatyczne. Dlatego też rozmawiają otwarcie, co daje możliwość poznania wszystkich ich tajemnic.

Stalin unosi głowę i patrzy mi prosto w oczy ciężkim, uważnym spojrzeniem. Czy zdaję sobie sprawę, co odkryłem? Oczywiście, że tak, i Stalin to widzi. Wchodząc jednak do niego wielokrotnie w ciągu dnia bez zapowiadania się i tak prędzej czy później musiałbym to odkryć, nie mogło być inaczej. Wzrok Stalina pyta, czy rozumiem, jakie konsekwencje wynikają z tego dla mnie osobiście. Oczywiście, rozumiem. W walce Stalina o władzę jest to jeden z najważniejszych sekretów - ma możliwość podsłuchiwania rozmów między tymi wszystkimi trockimi, kamieniewami i zinowiewami, wie, co myślą i jakie mają zamiary. Jest to potężna broń. Tylko Stalin widzi wszystko, pozostali to ślepcy. Nie podejrzewają i jeszcze długie lata nie będą podejrzewać, że zna ich myśli, wszystkie plany i machinacje, wie też, co o nim myślą, co knują przeciw niemu. Ta wiedza może mu dać zwycięstwo w walce o władzę. Rzecz jasna, że za jedno zbędne słowo na temat tego, co widziałem, Stalin zlikwiduje mnie w jednej chwili.

Ja także patrzę Stalinowi prosto w oczy. Nic nie mówimy, lecz i tak wszystko jest jasne. Udamę, że nie mam zamiaru zwracać mu głowy przyniesionymi dokumentami, i wychodzę. Stalin zapewne uważa, że dochowam tajemnicy.

Przemyślawszy wszystko, dochodzę do wniosku, że jeszcze co najmniej jeden człowiek, Mechlis, nie może o tym nie wiedzieć - on tak że wchodzi do gabinetu Stalina bez meldowania się. Wybrawszy odpowiedni moment mówię mu, że podobnie jak on ja także znam tę tajemnicę, ale rzecz jasna, znamy ją tylko my dwaj. Mechlis oczywiście spodziewał się, że prędzej czy później dowiem się o tym, uświadamia mnie jednak, iż oprócz nas wtajemniczony jest ktoś jeszcze - ten, kto całą sprawę zorganizował od strony technicznej, czyli Grisza Kanner. Teraz już we trójkę mówimy o tym bez skrępowania, jak o naszym wspólnym sekrecie. Ciekawi mnie, jak Kanner to wszystko zorganizował. Z początku kryguje się i wymiguje, później jednak próżność bierze górą i zaczyna opowiadać. Powoli poznaję wszystkie szczegóły.

Gdy Lenin zaproponował założenie automatycznej sieci kręciołków, Stalin zabrał się do realizacji tego pomysłu. Ponieważ najwięcej kręciołków trzeba było założyć w budynku KC (trzej sekretarze KC, sekretarze Biura Politycznego i Biura Organizacyjnego, główni pomocnicy sekretarzy KC oraz kierownicy najważniejszych wydziałów KC), główną centralę zainstalowano właśnie tu, i to na 4 piętrze, nie opodal gabinetu Stalina, gdyż z technicznego punktu widzenia najbardziej celowe jest umieszczenie centralnego punktu sieci tam, gdzie zgrupowana jest największa liczba abonentów (a na 4 piętrze jest ich aż siedmiu - trzej sekretarze KC, sekretarze Biorą Politycznego i Biura Organizacyjnego, Nazaretian i Wasilewski).

Całą instalację montował czechosłowacki komunista - specjalista od automatycznej łączności telefonicznej. Kanner polecił mu też wykonanie, oprócz instalacji przewodów i aparatów, pulpitu kontrolnego, *by w razie awarii czy wadliwego funkcjonowania sieci można było skontrolować linie i wykryć uszkodzenie*. Taki właśnie pulpit kontrolny, za pomocą którego można włączać się w dowolną linię i słuchać każdej rozmowy, zostaje wykonany. Nie wiem, kto umieścił go w biurko Stalina, sam Kanner czy też ów czeski komunista. W każdym razie, gdy praca została zakończona, a urządzenie zaczęło funkcjonować, Kanner zadzwonił do GPU i w imieniu Stalina oświadczył Jagodzie, iż Biuro Polityczne otrzymało od czechosłowackiej partii komunistycznej dokładne dane o czeskim techniku i dowody świadczące o tym, że jest on szpiegiem, i chociaż pozwolono mu dokończyć pracę nad instalacją centrali, teraz jednak należy go bez zwłoki aresztować i rozstrzelać; GPU otrzyma w uzupełnieniu odpowiednie dokumenty.

W owym czasie GPU rozstrzeliwało „szpiegów” bez najmniejszych skrupułów. Jagodę zaniepokoił jednak fakt, iż sprawa dotyczy komunisty - oby tylko później nie było jakichś nieprzyjemności. Na wszelki wypadek zadzwonił do Stalina. Stalin potwierdził polecenie. Czeskiego komunistę natychmiast rozstrzelano. Jagoda nie otrzymał żadnych dokumentów i po kilku dniach zadzwonił w tej sprawie do Kannerera. Ten powiedział, że sprawa nie jest jeszcze zakończona - szpiegdy i wrogowie przeniknęli do władz czeskiej partii komunistycznej, materiały są z tego powodu wciąż jeszcze ściśle tajne i nie mogą wyjść poza archiwum Biura Politycznego.

Wyjaśnienie to zadowoliło Jagodę. Nie muszę oczywiście dodawać, że oskarżenia były całkowicie zmyślone i że w archiwum Biura Politycznego nie było żadnych dokumentów dotyczących tej sprawy.

Staję, przed problemem - co powinienem zrobić? Jestem członkiem partii. Wiem, że jeden z członków Biura Politycznego dysponuje możliwością szpiegowania innych członków tego Biura. Czy powinienem ich o tym uprzedzić?

Nie mam najmniejszych wątpliwości, jakie byłyby dla mnie następstwa takiego kroku. Może zginąłbym jako ofiara „nieszczęśliwego wypadku”, może GPU na użytek Stalina zmontowałoby przeciwko mnie jakąś sprawę - mógłbym zostać dywersantem i agentem angielskiego imperializmu. Tak czy owak, Stalin rozprawiłby się ze mną. Dla wielkiej sprawy można w ofierze złożyć życie. Ale czy właśnie ta sprawa jest tego warta? By przeszkodzić jednemu członkowi Biura Politycznego w podsłuchiowaniu pozostałych? Dochodzę do wniosku, że nie należy się zbytnio z tym spieszyć. Tajemnicę Stalina znam; jeśli okaże się to ważne, zawsze zdążę ją ujawnić. Na razie nie wydaje mi się nazbyt istotna. Po półrocznej pracy w Biurze Organizacyjnym straciłem wiele złudzeń; doskonale widzę, że toczy się walka o władzę, i to walka bezwzględna. Nie odczuwam specjalnej sympatii wobec żadnego z jej uczestników. A poza tym być może, że jeśli Stalin podsłuchuje Zinowiewa, to Zinowiew też w jakiś sposób podsłuchuje Stalina. Kto ich tam wie. Cóż, poczekam i zobaczę.

W pierwszym okresie pracy w charakterze sekretarza Biura Politycznego jestem bardzo zajęty reorganizacją mego sekretariatu. Przy porządkowaniu rozmaitych dokumentów Biura Politycznego mimochodem natrafiam na ślady niezwykle ciekawych, nawet zdumiewających spraw.

Oto dla przykładu raporty GPU o długo prowadzonych, ale bezskutecznych poszukiwaniach. Nie bez trudu docieram do sedna sprawy. Jak się okazuje, po zakończeniu wojny domowej Biuro Polityczne stwierdziło, że decydującą rolę odegrała w niej konnica i dlatego też należy zwrócić uwagę na jej udoskonalenie. Jednakże hodowla koni w Rosji Radzieckiej została całkowicie zniszczona - całe pogłowie stadnin, w tym także i najlepsze reproductory, uległy rekwizycji przez oddziały wojskowe i w rezultacie konie padły w trakcie działań wojennych. Aby zrekonstruować oddziały konnicy, trzeba było rozpocząć od zdobycia rasowych ogierów i odtworzenia hodowli. W tym jednak okresie - a był to koniec 1920 r. i początek 1921 - żadne państwo nie uznawało władzy radzieckiej, nie istniała w ogóle normalna wymiana handlowa z zagranicą, nie sposób więc było deponować przeznaczonych na zakupy pieniędzy w zagranicznych bankach - byłyby one natychmiast obłożone sekwestrem z tytułu roszczeń cudzoziemców obrabowanych przez bolszewicką rewolucję. Co więc robić? Nie bez trudu, ale znaleziono sposób. Poprzez różnych podejrzanych handlarzy, za pośrednictwem których sprzedawano za granicę kosztowności pochodzące z grabieży dokonywanych przez władzę radziecką na wszelakiego rodzaju burżujach, udało się zorganizować kanał przerzutu pieniędzy i towarów. Ogiery można było kupić w Argentynie - przez podstawionego szwedzkiego hodowcę, po czym można było przewieźć je legalnie do północnej Szwecji, w pobliże słabo strzeżonej granicy rosyjskiej,

i stamtąd przetransportować do Rosji. Na operację tę wyasygnowano 7 milionów dolarów w amerykańskiej walucie. Ponieważ nie można jej było przeprowadzić przez banki, pieniądze trzeba było przewieźć jakoś do Argentyny. Zawierzenie takiej sumy handlarzom byłoby bardzo ryzykowne, Biuro Polityczne postanowiło więc wykorzystać do tego celu pewnego starego, zaufanego bolszewika, nie pomnę - członka czy też zastępcę członka KC. Zaopatrzone go we wszystkie niezbędne dokumenty (fałszywe), zorganizowano długi łańcuch ochrony i wsparcia spośród agentów wydziału zagranicznego GPU, po czym wręczono mu dolary w dużych banknotach. Z tymi dolarami wyjechał i na jednym z etapów podróży nagle zniknął. Drobiazgowo śledztwo prowadzone przez GPU pozwoliło z całą pewnością stwierdzić, że nie padł on ofiarą nieszczęśliwego wypadku ani bandyckiego napadu. Udowodniono w sposób bezsporny, że dokładnie przygotował swoje zniknięcie, po czym nawiął razem z dolarami. Biuro Polityczne poleciło odnaleźć go za wszelką cenę i bez względu na koszty. Wszystkie poszukiwania nie przyniosły jednak żadnych rezultatów. Przepadł jak kamień w wodę. W raportach GPU figurował pod jakimś umownym pseudonimem. Przekopawszy archiwa Biura Politycznego mógłbym ustalić jego prawdziwe nazwisko, lecz nie miałem na to czasu. Doszedłem do wniosku, że zawsze zdążę ustalić, który ze starych i wysokiej rangi bolszewików przestał od tamtej pory pojawiać się wśród przedstawicieli najwyższej władzy, figurować we wszystkich raportach, spisach członków KC itp. Nie zająłem się jednak tą sprawą. Proponuję, by zagadkę tę rozwiązał któryś z historyków partii lub kremlologów.

Posiedzenia Biura Politycznego odbywają się zazwyczaj w sali konferencyjnej Rady Ministrów ZSRR. Przez niemal całą długą, choć niezbyt szeroką salą ciągnie się stół, a ściślej mówiąc dwa stoły rozdzielone przejściem. Stoły pokryte są czerwonym sukniem. Przy jednym końcu stoi fotel przewodniczącego. Zasiadał w nim zawsze do tej pory Lenin. Teraz zajmuje go Kamieniew, który przewodniczy obradom. Członkowie Biura siedzą po obu stronach stołu, naprzeciwko siebie. Po lewej ręce Kamieniewa siedzi Stalin, po prawej - Zinowiew. Między Kamieniewem i Zinowiewem przy końcu stołu dostawiony jest niewielki stolik dla mnie. Mam na nim telefon, przez który porozumiewam się z moim personelem ulokowanym w sąsiednim pokoju, gdzie oczekują osoby wezwane na posiedzenie Biura Politycznego. Gdy wywołuje mnie moja sekretarka, na aparacie zapala się lampka. Informuję ją, kogo ma wpuścić do sali, stosownie do porządku dziennego obrad. Decyzje Biura Politycznego zapisuję na oddzielnych kartkach, które przekazuję przez stół siedzącemu naprzeciw Stalinowi. Ten je przegląda i zazwyczaj oddaje mi z powrotem - oznacza to „brak sprzeciwu”. Jeśli jakiś problem jest ważny i skomplikowany, przekazuję kartkę przez Kamieniewa, który przegląda ją i stawia ptaszka („zgoda”).

Dalej wzdłuż stołu, za Stalinem i Zinowiewem, siedzą pozostali członkowie Biura Politycznego. Zwykle obok Zinowiewa siedzi Bucharin, za nim Mołotow (jest zastępcą członka Biura), dalej Tomski. Obok Stalina siedzi Ryków, za nim zazwyczaj Curupa, który nie jest członkiem Biura Politycznego, lecz wiceprezesem Rady Ministrów i członkiem KC; jeszcze od czasów Lenina przyjęło się, że zawsze uczestniczy on w posiedzeniach Biura, głównie po to, by wiedzieć na bieżąco, jakie zapadają decyzje, a nie jako doradca - głos zabiera rzadko, raczej słucha. Obok niego siedzi Trockim. Miejsce Kalinina jest bądź za Trockim, bądź za Tomskim.

W końcu sali posiedzeń znajdują się drzwi do sali, w której czekają wezwani. Jest tu zawsze niemal cały rząd (ministrowie i ich zastępcy). Na posiedzeniach Biura Politycznego rozważa się na ogół dziesiątki problemów dotyczących niemal wszystkich resortów. Wezwani chodzą, rozmawiają, palą, słuchają dowcipów, które wymyśla i opowiada Radek, wreszcie, korzystając z okazji, omawiają

i rozstrzygają rozmaite sprawy międzyresortowe. Do sali posiedzeń wpuszcza się tylko osoby wezwane w aktualnie omawianej sprawie. Wbiegają tam klusem - czas Biura Politycznego jest bardzo cenny. Kończy się omawianie danej sprawy i wezwani bezceremonialnie wypraszani są z sali.

Kamieniew przewodniczy w sposób doskonały. Sprawnie kieruje dyskusją, przerywa zbędne rozważania, szybko doprowadza do podjęcia decyzji. Ma przed sobą chronometr; na kartce papieru zapisuje czas przydzielony każdemu z mówców, czas rozpoczęcia wystąpienia i jego zakończenia. Stalin nigdy nie przewodniczy - nie potrafiłby tego. W trakcie obrad członkowie Biura Politycznego wymieniają między sobą liściki, pisane na małych blankietach z nagłówkiem: *Posiedzenia Biura Politycznego*.

Rzeczy nowe zapamiętuje się zawsze bardzo dobrze. Dziś nie pamiętam nic prawie z tych setek posiedzeń Biura Politycznego, w których uczestniczyłem jako sekretarz. Stało się to rutyną. Jednak pierwsze posiedzenie widzę wyraźnie.

Wyznaczono je na 10 rano. Za dziesięć dziesiąta jestem już na miejscu, sprawdzam, czy wszystko w porządku, czy członkowie Biura mają potrzebne dokumenty. Minuta przed dziesiątą, z wojskową punktualnością; wchodzi Trocki i siada na swoim miejscu. Po 3-4 minutach wchodzi kolejno członkowie trójcy - zapewne tuż przed wejściem jeszcze nad czymś radzili. Pierwszy wchodzi Zinowiew; nie patrzy w stronę Trockiego. Trocki z kolei udaje, że go nie dostrzega i przegląda papiery. Trzeci wchodzi Stalin. Kieruje się wprost do Trockiego i szerokim, zamaszystym gestem przyjaźnie ściska mu dłoń, Wyraźnie wyczuwam fałsz tego gestu - Stalin nienawidzi Trockiego, jest jego zaciekłym wrogiem. Przypominam sobie Lenina: *Nie wiercie Stalinowi; pójdzie na każdy zgniły kompromis i oszuka*. Ale jeszcze wiele nowego dowiem się o moim patronie.

Fakt, iż członkowie trójcy siedzą podczas obrad obok siebie, przy jednym końcu stołu, bardzo ułatwia im technikę uzgadniania wspólnych decyzji; mogą wymieniać liściki, bo ich tekst jest dla innych praktycznie niewidoczny, rozmawiać półgłosem - jak na razie trójca pracuje zgodnie i mechanizm jej funkcjonowania jeszcze się nie zacina.

Kamieniew nie tylko dobrze prowadzi obrady, lecz również potrafi wprowadzić nastrój ożywienia, często dowcipkuje; Taki ton obrad datuje się jeszcze ci czasów Lenina. Zinowiew na wpół leży w swoim fotelu, często przeczesuje ręką swą wątpliwej czystości grzywę; wygląda na znudzonego i niezbyt zadowolonego. Stalin pali fajkę, często wstaje z fotela i przechadza się wzdłuż stołu, zatrzymując się przed mówcami. Mówi mało.

SPOSTRZEŻENIA SEKRETARZA BIURA POLITYCZNEGO

Rewolucja niemiecka. Rozszerzenie składu Rewolucyjnej Rady Wojskowej. Wolność wewnątrz partii. Biurokracja partyjna i manewry wokół niej. Dyskusja. Prawicowa opozycja i lewicowy Trocki. Metoda Stalina. Stalin - antysemita. Poskriebszew.

Mniej więcej 2 tygodnie po objęciu stanowiska sekretarza Biura Politycznego, 23 sierpnia 1923 r., uczestniczę w specjalnym, ściśle tajnym posiedzeniu Biura, poświęconym jednej tylko sprawie - rewolucji w Niemczech. Obecni są członkowie i zastępcy członków Biura Politycznego, prócz nich - Radek, Piatakow i Curupa. Radek, członek Komitetu Wykonawczego Kominternu, referuje przebieg szybko narastającej fali rewolucyjnej w Niemczech. Zaraz po nim głos zabiera Trocki. *Chronicznie rozgorączkowany Lew Dawidowicz* - jak określają go złośliwcy - czuje się w swoim żywiole i wygłasza płomienne, entuzjastyczne przemówienie.

Oto, towarzysze, mamy wreszcie tę burzę, której nadejścia tyle lat czekaliśmy z niecierpliwością i która powinna zmienić oblicze świata. Wydarzenia, które nadchodzą, będą miały kolosalne znaczenie. Niemiecka rewolucja to rozpad świata kapitalizmu. Należy jednak widzieć rzeczywistość taką, jaka jest. Dla nas jest to gra *va banque*. Powinniśmy postawić na jedną kartę nie tylko los rewolucji niemieckiej, ale i samo istnienie Związku Radzieckiego. Jeśli rewolucja w Niemczech się uda, to kapitalistyczna Europa spróbuje zdławić ją za pomocą siły zbrojnej. My ze swej strony powinniśmy rzucić do walki wszystkie nasze siły, ponieważ jej wynik zadecyduje o wszystkim. Albo wygramy i wtedy zwycięstwo rewolucji światowej jest przesądzone, albo przegramy - ale wówczas przegramy zarówno pierwsze na świecie państwo proletariatu, jak i naszą władzę w Rosji. Powinniśmy zatem zacząć działać z ogromną energią. Już jesteśmy spóźnieni z naszymi przygotowaniami. Niemiecka rewolucja jest w toku, Czy nie słyszycie jej stalowego pochodu? Czy nie czujecie, jak wysoko podniosła się jej fala? Trzeba się spieszyć, aby kataklizm nie zaskoczył nas zniemacka. Czy nie czujecie, że to sprawa za ledwie tygodni?

Biuro Polityczne wcale nie podzielało entuzjazmu Trockiego. Nie, nic takiego nie słyszeli i nie czuli. Zgadza się oczywiście, że rewolucja niemiecka to sprawa bardzo poważna, ale nie godzą się na to, by wiązać jej sukces z samym faktem istnienia władzy radzieckiej w Rosji. A poza tym, czy rzeczywiście wydarzenia w Niemczech wymagają natychmiastowego działania?

Zinowiew wcale tak nie uważa. Kwestia tygodni? Towarzysza Trockiego jak zwykle ponosi temperament i odrywa go od rzeczywistości. Dobrze będzie, jeśli okaże się to sprawą miesięcy, a w ogóle w tak ważnych sprawach należy być ostrożnym i działać w sposób przemyślany. Stalin, nie wychodząc poza ogólniki i niesprecyzowane frazesy, dodał jeszcze w tym samym tonie, że jak na razie nie ma powodu mówić o jakiejś rewolucji w Niemczech. Tej jesieni? Będzie dobrze, jeśli sytuacja rewolucyjna rozwinie się na wiosnę.

Mimo to trójca, chociaż starała się pokazać, że zupełnie nie zgadza się z prognozami Trockiego i w żadnym razie nie da się wodzić na jego pasku, to jednak zdawała sobie sprawę, że fala rewolucyjna w Niemczech narasta. Podjęto więc szereg kroków na ewentualność różnych wariantów rozwoju wydarzeń.

Do kierowania pracami związanymi z niemiecką rewolucją powołano komisję KC, złożoną z czterech osób. W jej skład weszli: Radek, Piatakow - wiceprzewodniczący Rady Najwyższej ds. Gospodarki Narodowej, Unszlicht - wiceprzewodniczący GPU oraz Wasia Szmidt - komisarz ludowy ds. pracy. Wyposażeni w fałszywe paszporty niezwłocznie wyjechali do Niemiec i tam prowadzili działalność rewolucyjną w podziemiu.

Podział funkcji był następujący: Radek miał kierować działalnością Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Niemiec, przekazując mu dyrektywy Moskwy jako dyrektywy Kominternu; Szmidt (Niemiec z pochodzenia) miał się zająć organizowaniem rewolucyjnych komórek w związkach zawodowych, czyli komitetów fabrycznych, które po przewrocie przekształciłyby się w Rady i na nadzwyczajnym kongresie ogłosiłyby władzę Rad w Niemczech; zadaniem Piatakowa była koordynacja całości i kontakt z Moskwą; Unszlicht miał organizować zbrojne oddziały powstańcze (rekrutację, uzbrojenie), które dokonałyby przewrotu oraz niemiecką Czeka, która po przewrocie wytrzebiłaby burżuazję i innych przeciwników rewolucji. Wreszcie ambasadorowi radzieckiemu w Berlinie, Kriestinskiemu, polecono finansowanie niemieckiej rewolucji z funduszy handlowych Banku Państwowego, zdeponowanych w Berlinie w celu prowadzenia różnych operacji handlowych.

W pierwszych raportach z Berlina Piatakow donosił o niewielkiej wartości kierownictwa niemieckiej partii komunistycznej. W jego opinii przywódcy partii nie dorastali do wysokości zadania ani pod względem organizacyjnym, ani politycznym. Wezwano ich do Moskwy. Na posiedzenia Biura Politycznego ich nie dopuszczano, zajmowali się nimi Bucharin i Zinowiew. Całą sprawę komplikował fakt, iż obok oficjalnego kierownictwa (grupa Brandlera), dobrane przez Komintern, we władzach partii niemieckiej istniała druga grupa, o wiele większym znaczeniu - grupa Masłowa i Ruth Fisher. Jej postawa wobec Kominternu była nacechowana dużą niezależnością. Zinowiewowi bardzo się to nie podobało - na posiedzeniu Biura Politycznego posunął się nawet do propozycji, by Masłowowi przedstawić ultimatum: albo dostanie dużą sumę pieniędzy, wystąpi z partii i wyjedzie z Niemiec, albo Unszlicht otrzyma rozkaz zlikwidowania go. Masłow trzymał się jednak twardo i nie szedł na żaden kompromis.

W czasie trwania tych wszystkich przetargów wyszło na jaw, że niemiecka partia komunistyczna w ogóle nie jest przygotowana do szybkich i zdecydowanych działań i że jej praca kuleje od początku do końca. Natomiast wzorowo pracują radzieckie przedstawicielstwa dyplomatyczne i handlowe oraz konsulaty, rozwijając nader aktywną i owocną działalność. Wobec tego Biuro Polityczne na nie przerzuciło ciężar całego przedsięwzięcia. Ambasadora Kriestinskiego włączono jako piątego członka do komisji KC. Ambasada i przedstawicielstwo handlowe w Berlinie zajęły się zakupem i transportem broni oraz pracami organizacyjnymi. W Rosji przeprowadzono mobilizację wszystkich komunistów pochodzenia niemieckiego lub znających niemiecki; wysyłano ich do Niemiec w celu prowadzenia działalności podziemnej.

Raporty Piatakowa stawały się coraz bardziej optymistyczne. Stale pogarszająca się sytuacja ekonomiczna Niemiec wzbudzała coraz większe niezadowolenie mas pracujących, umiejętna i na szeroką skalę prowadzona propaganda dolewała oliwy do ognia i fala rewolucyjna szybko narastała. Coraz częściej zbierało się Biuro Polityczne, by omawiać różnorakie praktyczne problemy działalności rewolucyjnej. Raporty Piatakowa były dokładne i szczegółowe, środki, jakie przeznaczono na ten cel, były ogromne - postanowiono ich nie żałować. O początkowej opozycji trójcy wobec Trockiego zapomniano - teraz już wszyscy byli zgodni, że rewolucja w Niemczech wybuchnie lada moment.

W końcu września odbyło się nadzwyczajne posiedzenie Biura Politycznego, do tego stopnia tajne, że uczestniczyli w nim wyłącznie członkowie Biura i ja. Nie dopuszczono nikogo z członków KC. Zostało zwołane dla ustalenia daty przewrotu w Niemczech. Wyznaczono go na 9 listopada 1923 r.

Plan przewrotu był następujący. Z okazji rocznicy rewolucji październikowej w Rosji ludzie pracy mieli wyjść na ulice na masowe manifestacje. Czerwone brygady Unslichta miały za zadanie prowokowanie zbrojnych utarczek z policją, by wywołać krwawe starcia i represje, wzbudzić niezadowolenie tłumów i doprowadzić do powszechnego robotniczego powstania.

Oddziały Unslichta, zgodnie z wcześniej przygotowanym planem, miały zająć ważniejsze urzędy państwowe, miał też powstać rewolucyjny rząd Rad, stworzony z członków KC niemieckiej partii komunistycznej. Zaraz potem nadzwyczajny kongres komitetów fabrycznych proklamowałby władzę radziecką.

Decyzja o dacie przewrotu miała pozostać nieznana nikomu, nawet członkom KC. Z tego posiedzenia Biura Politycznego przygotowałem taki oto protokół:

Omawiano:

Problem postawiony przez
tow. Zinowiewa

Postanowiono:

Patrz - specjalna teczka

Tyle tylko podano do wiadomości członków KC - jako protokół posiedzenia Biura Politycznego. Wszystkie podjęte decyzje zapisałem jako postanowienia Biura Politycznego i umieściłem w mej specjalnej teczce.

Kilka słów na temat „specjalnej teczki”. W swoim gabinecie miałem ogniotrwałą kasę pancerną, jedyny klucz do której nosiłem zawsze przy sobie. W kasie tej przechowywane były szczególnie tajne ustalenia Biura Politycznego, które powinni znać wyłącznie jego członkowie. Członkowie KC, którzy chcieliby się z nimi zapoznać, musieli otrzymać na to zezwolenie Biura. Tylko na podstawie takiej zgody mogłem pokazać interesujące ich postanowienia. Muszę powiedzieć, że przez cały czas mej pracy w Biurze Politycznym nie zdarzył się ani jeden taki przypadek.

Jednakże niemiecka rewolucja 1923 r. nie powiodła się. W październiku stało się jasne, że zbyt późno wzięto się za jej przygotowanie, że jej termin źle wyznaczono, że fala rewolucyjna przeszła już swe apogeum i zaczyna opadać, podczas gdy na pracę organizacyjną i propagandową potrzeba jeszcze co najmniej dwóch, trzech miesięcy. Wkrótce nastroje rewolucyjne zaczęły zamierać tak szybko, że Biuro Polityczne musiało dojść do wniosku, iż obecnie nie ma praktycznie żadnych szans na przewrót i należy z tym poczekać do lepszych czasów. Trocki nie szczędził krytycznych uwag. Twierdził, że Zinowiew i Komintern wszystko przegapili i całą sprawą zajęli się zbyt późno. Zinowiew i Stalin z kolei obwiniali Trockiego, że przecenił siłę sytuacji rewolucyjnej, bo w końcu to oni mieli rację. W Kominternie całą winę zwalono na nieumiejętne kierownictwo grupy Brandlera i w 1924 r., po długich wewnętrznych kłótniach, grupę tę uznano za „prawicową” i usunięto z partii. Kierownictwo partii przekazano grupie Masłow-Ruth Fisher. Później jednak, w trakcie walki trójcy z Trockim, grupa ta stanęła po stronie Trockiego. Szybko uznano ją więc za „trockistowską” i odsunięto od kierownictwa choć nie bez trudu. W 1927 r. założyła ona formalnie organizację trockistowską w Niemczech.

We wrześniu trójca postanowiła zadać Trockiemu pierwszy poważny cios. Od początku wojny domowej Trocki był organizatorem i dowódcą Armii Czerwonej; zajmował stanowisko komisarza ludowego ds. wojskowych (ministra obrony) i przewodniczącego Wojskowej Rady Rewolucyjnej Republiki. Trójca zaplanowała usunięcie Trockiego z armii w trzech etapach. Na początku należało poszerzyć skład wojskowej Rady Rewolucyjnej, wprowadzając do niej przeciwników Trockiego, by znalazł się tam w mniejszości. W drugim etapie należało przeorganizować kierownictwo Ministerstwa Obrony, zdjęć zastępcę Trockiego - Sklanskiego, a na jego miejsce mianować Frunzego. Wreszcie trzeci etap - usunięcie Trockiego z funkcji komisarza ds. wojskowych.

Na plenum KC, 23 września, trójca zaproponowała rozszerzenie składu Wojskowej Rady Rewolucyjnej. Wszyscy nowo wprowadzeni jej członkowie byli przeciwnikami Trockiego. Wśród nich był też Stalin. Znaczenie tego kroku było dla Trockiego zupełnie jasne. Wygłosił wówczas druzgoczące przemówienie: Proponowany krok jest kolejnym ogniwem w łańcuchu zakulisowych intryg, które prowadzi się wokół jego osoby i których ostatecznym celem ma być odsunięcie go od kierownictwa rewolucji. Nie ma najmniejszego zamiaru prowadzić wojny z tymi intrygami i pragnie tylko jednego - służyć sprawie rewolucji, proponuje więc Komitetowi Centralnemu zwolnienie go ze wszystkich funkcji i stanowisk i prosi o pozwolenie wyjazdu w charakterze prostego żołnierza do Niemiec, gdzie właśnie dojrzewa rewolucja. Ma nadzieję, że przynajmniej tego mu się nie odmówi.

Wystąpienie to wywołało duże wrażenie, co mogło być dla trójcy niekorzystne. Głos zabrał Zinowiew; z wyraźnym zamiarem nadania całej sprawie wymiaru farsy: proponuje, by jego także zwolnić ze wszystkich obowiązków i zaszczytów, i razem z Trockim wysłać jako żołnierza rewolucji niemieckiej. Stalin, dopełniając komedii, z emfazą stwierdził, że Komitet Centralny w żadnym wypadku nie może zgodzić się na narażanie życia dwóch tak cennych towarzyszy i prosił Komitet Centralny, by nie puścić do Niemiec swych ukochanych przywódców. Propozycja ta została natychmiast, i to całkiem na serio, przegłosowana. Miałem wrażenie, że oglądam dobrze zagraną sztukę teatralną, gdy niespodziewanie odezwał się „głos ludu”; przemówił członek KC z Leningradu, Komarow, o rozmyślnie proletariackich manierach: *Nie rozumiem tylko jednego czemu towarzysz Trocki tak się mizdrzy. Właśnie to mizdrzy się definitywnie doprowadziło Trockiego do furii. Poderwał się i oświadczył: „Proszę wykreślić mnie z grona aktorów tej poniżającej komedii. Po czym rzucił się do wyjścia.*

Był to rozłam. W sali panowała cisza stosowna dla historycznej chwili. Lecz wściekły Trocki postanowił, dla większego efektu wychodząc trzasnąć drzwiami.

Posiedzenie odbywało się w Sali Tronowej Cesarskiego Pałacu Drzwi tej sali są ogromne, żelazne i masywne. Aby je otworzyć, Trocki pociągnął za nie z całych sił. Drzwi zaczęły odchyłać się powoli i majestatycznie. Należało wówczas zdać sobie sprawę, że bywają drzwi, którymi trzasnąć się nie da. Wzburzony Trocki tego nie zauważył i ze wszystkich sił starał się je zatrzaskać. Drzwi zamykając się płynęły równie powoli i majestatycznie. Zamiar był taki: wielki wódz rewolucji zrywa ze zdradzającymi go zausznikami i aby zerwanie to podkreślić, porzucając ich, gniewnie zatrzaskuje drzwi. Wyszło coś zupełnie coś innego: wzburzony do ostateczności człowiek z kocią bródką szamoce się z klamką w nierównej walce z ciężkimi, bezmyślnymi drzwiami.

Od owej decyzji plenum w sprawie Wojskowej Rady Rewolucyjnej walka między Trockim a trójcą weszła w otwartą fazę. Walka ta stanowiła główne zajęcie trójcy w ostatnich miesiącach 1923 r. Najważniejsze dokumenty polityczne tego okresu są jej poświęcone, stanowią jej wyraz. Dlatego też późniejsi historycy partii oceniają wydarzenia wewnątrz partii w tym czasie jako walkę większości

KC z opozycją, i to opozycją właśnie trockistowską. Rzeczywistość była zupełnie inna i znacznie bardziej złożona.

Żeby zrozumieć historyczną prawdę tych czasów, należy podać kilka wstępnych wyjaśnień.

NEP, czyli odejście Lenina od komunizmu na rzecz pewnych zasad wolnego rynku i stymulacji gospodarki wolnorynkowej, doprowadził do szybkiej poprawy warunków życia. Chłopi znów zaczęli siał, prywatny handel i ogrodnictwo zaczęły dostarczać na rynek dawno zapomniane towary, kraj powoli wracał do życia. Rozpoczęta reforma monetarna prowadziła do wymiany całkowicie bezwartościowych milionów na solidne, oparte na parytecie złota, ruble (czerwońce). Jednakże bezduszna, biurokratyzowana administracja, nawykła we wczorajszym okresie integralnego komunizmu do rozkazywania, nie nadążała za życiem. Bardzo słabe było jeszcze zwłaszcza zaopatrzenie miast, robotników i pracowników państwowych. Niezadowolenie robotników - jedynej klasy mającej odwagę to niezadowolenie wyrażać - w lecie 1923 r. znalazło ujście w fali strajków. Wywołało to natychmiastowy rezonans w partii - powstały *Robotnicza prawda* i *Robotnicza grupa* Bogdanowa i G. Miasnikowa. Grupy te oskarżyły aparat partyjny o biurokratyczne zwyrodnienie i całkowitą obojętność wobec interesów ludzi pracy.

W owych czasach życie polityczne nie wychodziło poza ramy partii. Kraj podzielony był na dwa obozy. Jeden to ogromna masa bezpartyjnych, pozbawiona wszelkich praw i całkowicie oddana we władzę GPU. Ściśnięta kleszczami dyktatury, zdawała sobie sprawę, że nie ma żadnych praw nie tylko w sferze życia politycznego, ale w ogóle nie może liczyć na jakąkolwiek praworządność. Idea praworządności została zlikwidowana. Istniało co prawda sądownictwo, lecz traktowano je jako narzędzie dyktatury, kierujące się w teorii zasadami świadomości klasowej i potrzebami walki klas, a w praktyce poddane samowoli podrzędnych partyjnych satrapów. Zresztą nawet i to żałosne sądownictwo zajmowało się jedynie drobnymi sprawami cywilnymi i karnymi. W sprawach istotnych, uznawanych za domenę polityki, „sferę walki klasowej”, panowała pełna samowola organów GPU. Mogły one aresztować kogo chciały pod dowolnymi, tylko im znanymi zarzutami, rozstrzelać człowieka na podstawie decyzji jakiejś nikomu bliżej nieznannej „trójki” czy też zapędzić go na 10 lat wyniszczającej katorgi, nazywanej oficjalnie „obozem koncentracyjnym”. Cała ludność trzęsa się ze strachu przed tą organizacją dławiącego terroru, w drugim obozie, złożonym z kilkuset tysięcy członków partii komunistycznej, panowała dość duża wolność. Można było mieć swoje zdanie, można było nie zgadzać się z organami władzy, podważać ich decyzje. Owa „wewnątrzpartyjna demokracja” datowała się jeszcze z czasów przedrewolucyjnych, kiedy to była normalnym zjawiskiem w partii, uczestnictwo w której było kwestią swobodnej decyzji jej członków. W tych przedrewolucyjnych czasach w partii również toczyła się zaciekle walka o władzę, która - nawiasem mówiąc - dawała prawo dysponowania partyjną kasą oraz kierowania prasą i wydawnictwami partyjnymi. Nie istniało jeszcze żadne GPU, zwyciężać trzeba było drogą przekonywania. Nawet Leninowi nie zawsze się to udawało, chociaż partia (i jej charakter - partii zawodowych rewolucjonistów) była jego dzieckiem. Lenin nie raz znajdował się w mniejszości (tracąc i kasę, i prasę partyjną) i z ogromnym wysiłkiem, drogą złożonych i nie zawsze eleganckich intryg, musiał odzyskiwać utracone pozycje. Ta swobodna walka w łonie partii sprawiła, że dość długo utrzymał się nawyk wolności wewnątrzpartyjnej, która wciąż jeszcze istniała (zniknie dopiero w kilka lat później, kiedy Stalin wszystko weźmie w swoje ręce).

Z drugiej jednak strony, ponieważ życie polityczne mogło toczyć się jedynie wewnątrz partii, więc zachodzące w kraju procesy społeczne mogły ujawniać się wyłącznie drogą pośrednią, poprzez wpływ

i naciski rzeszy bezpartyjnych na członków partii. W środowiskach robotniczych nie było to zbyt trudne, jako że przesiąknięta marksistowską frazeologią partia nieustannie szukała kontaktów z robotnikami. Stąd wzięło się stosunkowo szybkie ożywienie się w partii rozmaitych grup „opozycji robotniczej” w początku jesieni 1923 r. Z tego również powodu szybko zareagowało na nie kierownictwo partii. Obawiając się, by Trocki nie zapanował nad tą opozycją, członkowie większości w KC postarali się o przechwycenie inicjatywy. Trocki na posiedzeniach Biura Politycznego zaczął zaciekle atakować partyjną biurokrację. Doskonale pamiętam scenę, gdy Trocki, patrząc prosto w oczy siedzącemu naprzeciw Mołotowowi, wygłosił ostrą filipikę przeciwko *bezdušnym partyjnym biurokratom, którzy swymi kamiennymi tyłkami duszą każdy przejaw wolnej inicjatywy i twórczego działania mas pracujących*. Mołotow, którego Trocki nie wymienił z nazwiska, najlepiej by zrobił, gdyby milczał i udawał, że jego to nie dotyczy, a jeszcze lepiej, gdyby z aprobatą kiwał głową. Zamiast tego jednak, poprawiając pince-nez i zacinając się, rzekł: *Nie wszyscy mogą być geniuszami, towarzyszu Trocki*.

(Widok był żaloszny; było mi wstyd za Mołotowa. A przy okazji - oto jak tworzy się historia: w 1929 r., znalazłszy się już za granicą, opisałem tę scenę w prasie; jakież było moje zdziwienie, gdy w 1932 r. w książce *Radzieckie portrety* autorstwa radzieckiego dyplomaty Dmitriewskiego, który uciekł z Rosji, przeczytałem przytoczony cały mój tekst z takim oto dodatkiem: *Mołotow podjął wyzwanie. Spokojnie się uśmiechnął. Cicho, jak zwykle nieco się zacinając, powiedział: „Nie wszyscy mogą być geniuszami, towarzyszu, Trocki; silniejszy jednak zawsze jest, ten, kto wygrywa”*. Mołotow oczywiście nic takiego nie dodał. W 1932 r. Trocki był dla Dmitriewskiego fanatycznym i ograniczonym żydowskim rewolucjonistą, a Mołotow twardym i znakomitym przywódcą nowego kursu, jakim zmierzała Rosja, która rzekomo weszła na drogę patriotyzmu i nacjonalizmu; stąd też i ten wymyślony dodatek).

By przechwycić inicjatywę, większość w Biurze Politycznym, uroczystie potępiła biurokrację w partii i niezwłocznie powołała komisję na czele z Dzierżyńskim, która miała przeanalizować nie tylko problem biurokracji w partii, lecz także przyczyny niezadowolenia mas pracujących. Na wrześniowym plenum KC komisja Dzierżyńskiego przedstawiła referat na temat polityki wewnątrzpartyjnej, sprowadzając problem biurokracji do tego, iż w wielu organizacjach partyjnych stosuje się „mianowanie” zamiast wybierania władz.

O wiele poważniejsze znaczenie miał referat o „nożycach cen”. Partia ustaliła zbyt wysokie ceny na towary przemysłowe i zbyt niskie na płody rolne. Był to efekt polityki odbudowy i rozbudowy przemysłu kosztem chłopstwa. Wywołała ona ogromne niezadowolenie chłopów, którzy czuli się oszukani. Pozwalano im co prawda sprzedawać na rynku uzyskiwane nadwyżki, lecz państwo, będące dysponentem niemal całej sieci handlowej, zmuszało chłopów do sprzedawania zboża po bardzo niskich cenach oraz do kupowania towarów przemysłowych po cenach wygórowanych. Plenum zaleciło, by Biuro Polityczne podjęło w tej sprawie „stosowne środki” (innymi słowy, załatwienie tego poważnego problemu na jakiś czas odsunięto).

8 października Trocki przesyła do Biura Politycznego list, rzekomo na tematy gospodarcze. W istocie list ten był ostrym atakiem na biurokrację partyjną; Trocki stwierdzał w nim, że wszelkie decyzje podejmuje nie partia, lecz biurokraci - partyjni sekretarze. Stronnicy Trockiego list ten szeroko rozpowszechniali w partii. Trójca wołała nie reagować bezpośrednio - zaleciła uległej CKK, by ta zakazała rozpowszechniania listu, co też nastąpiło 15 października. Jednak tego samego dnia do KC

wpłynęło tzw. *oświadczenie czterdziestu sześciu*, dotyczące zasad życia wewnątrzpartyjnego. Było ono autorstwa dwóch grup: starej grupy cedeków (centralistów demokratycznych), w której główne role odgrywali Osinski, W. Smirnow, Drobnis, i Saprnow, oraz nowej grupy zwolenników Trockiego, na czele z Piatakowem, Preobrażeńskim, Józefem Kosiosem i Biełoborodowem.

Owe listy i oświadczenia w gruncie rzeczy nie zawierały nic szczególnego; zupełnie nie odzwierciedlały zachodzących w łonie partii procesów. KC postanowiło odzegnać się od nich; w rezolucji, uchwalonej w końcu października plenum KC poddało je krytyce i ustaliło, że dyskusja w partii na wszystkie te tematy jest bezcelowa. Aby pokazać, że Komitet Centralny jest przeciwnikiem biurokracji, 5 listopada zwołano wspólne posiedzenie Biura Politycznego i Prezydium CKK, na którym jednogłośnie uchwalono rezolucję o budowaniu, partii. Uroczyste oświadczone w niej, iż kierownictwo partii wierne jest zasadom demokracji wewnątrzpartyjnej i równie uroczyste potępiono biurokrację w partii. W celu wyjaśnienia tego członkom partii Zinowiew napisał artykuł pt. *Nowe zadania partii*, który sprowadzał się do rozważań na temat ożywienia życia partyjnego. Artykuł opublikowany został w *Prawdzie* z 7 listopada. Biuro Polityczne oczekiwało uspokojenia sytuacji. Tymczasem w organizacjach partyjnych działy się różne niepojęte rzeczy. W szczególności; w wielu organizacjach społecznych głosowania przebiegały na niekorzyść KC. W połowie listopada Biuro Polityczne zdecydowało otworzyć dyskusję partyjną i rozwinąć energiczną kampanię przeciwko Trockiemu, aby rozgromić zarówno jego, jak i całą opozycję.

Rozpoczęła się znamienna *jednostronna dyskusja*. Artykuły prasowe, wystąpienia na zebraniach organizacji partyjnych - KC mobilizowało wszystkie siły przeciwko Trockiemu i „trockistowskiej” opozycji, obwiniając ich o wszelkie możliwe grzechy. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że sam Trocki milczał, nie brał udziału w dyskusji i nie odpowiadał na żadne zarzuty. Na posiedzeniach Biura Politycznego czytał francuskie powieści i gdy ktoś zwracał się do niego, wydawał się tym ogromnie zaskoczony.

Otrzymywałem wiele rozmaitych materiałów na temat tego, co działo się w partii i szybko rozwiązałem tę zagadkę. Rzecz w tym, że opozycja z jesieni 1923 r. (tzw. pierwsza opozycja) wcale nie była trockistowską. Do politycznych form opozycji z całego tego okresu w ogóle należy odnosić się z dużym sceptycyzmem. Zwykle sprawą zasadniczą była walka o władzę. Przeciwnikowi zarzucano jakieś odchylenia (prawicowe, lewicowe, kułackie; niedocenianie czegoś, przecenianie czegoś, zlekceważenie czegoś, odejście od linii Iljicza itd.), choć w gruncie rzeczy wszystko to było zmyślane i rozdęte. Pokonawszy przeciwnika, bez najmniejszych skrupułów wprowadzano w życie jego politykę (którą dopiero co uznano za przestępczą, mieńszewicką, kułacką itd.). Tak naprawdę, to Trocki był bardziej lewicowy niż KC, był komunistą o wiele bardziej konsekwentnym, a KC doczepiło go do opozycji „prawicowej”. Owa prawicowa opozycja była czymś w rodzaju nieudanego ideowego Thermidora, reakcją całkowicie żywiołową, powstała w partii spontanicznie, bez programów i przywódców. Ani Trocki, ani czterdziestu sześciu, ani w końcu robotnicy w żaden sposób jej nie wyrażali. Była to opozycja wobec komunizmu, ze strony tych, którzy w pierwszych latach rewolucji przyłączyli się do partii, przede wszystkim inteligentów i idealistów, którzy też pierwsi spostrzegli, że ich nadzieje na zbudowanie lepszego społeczeństwa, na to, iż rewolucję przeprowadza się dla powszechnego dobra, okazały się mrzonkami, i że rozpoczyna się proces narodzin nowej klasy biurokratycznej, czerpiącej korzyści z rewolucji i sprowadzającej robotników i chłopów - dla których tę rewolucję rzekomo przeprowadzono - do roli wyjętych spod prawa, nędznych niewolników. Czyli - *o co walczyliśmy?*

Opozycja ta nie znalazła swoich liderów, nie została też wyraźnie sformułowana i wyraziła się jedynie w masowym proteście i w masowych głosowaniach przeciwko KC, Trocki szybko rozpoznał jej prawicowy charakter. W tym momencie jego sytuacja stała się bardzo trudna. Gdyby był pozbawionym zasad oportunistą, to stając na czele opozycji i przyjmując jej prawicowy kierunek, miałby - jak się niebawem okazało - szanse na zdobycie większości w partii i na zwycięstwo. Oznaczało by to jednak kierunek na prawo, Thermidor, likwidacje komunizmu. Trocki był fanatycznym, stuprocentowym komunistą. Na drogę tę wejść nie mógł. Ale nie mógł też otwarcie stwierdzić, że jest przeciw tej opozycji - straciłby wówczas znaczenie w partii, zarówno wśród atakujących go zwolenników KC, jak wśród opozycji. Zostałby samotnym generałem bez wojska. Wybrał milczenie i utrzymywanie swej dwuznacznej pozycji.

Tragedia polegała na tym, że zrodzona spontanicznie opozycja, pozbawiona liderów i programów, musiała za przywódcę uznać Trockiego, którego jej w takiej roli narzucano. I to właśnie spowodowało jej szybki upadek.

Na razie jednak dyskusja i głosowania w organizacjach partyjnych przebiegały coraz bardziej burzliwie i coraz wyraźniej zapowiadały porażkę KC. Trocki postanowił podjąć próbę odwrócenia sytuacji na swoją korzyść, jednocześnie narzucając opozycji własne hasła. 8 grudnia przesłał list do KC, w którym oskarżał górę partyjną o biurokratyczne zwyrodnienie. List został 11 grudnia odczytany na zebraniu aktywu partyjnego, dzielnicy Krasnaja Presnia i opublikowany w *Prawdzie* w formie artykułu pt. *Nowy kierunek*.

W połowie grudnia GPU próbuje delikatnie poinformować Biuro Polityczne, że w wielu organizacjach partyjnych większość opowiada się przeciw KC. Stwierdzam, że w ogromnej organizacji w samym KC większość głosuje przeciw KC. Pytam sekretarza Moskiewskiego Komitetu Partii, Zielenskiego, o wyniki głosowania w organizacjach moskiewskich. Otrzymuję alarmujący wykaz; KC straciło większość w stołecznej, najważniejszej w całym kraju organizacji; za jej przykładem idą organizacje prowincjonalne.

Na posiedzeniu trójcy (zatwierdzenie porządku dziennego) przedstawiam raport Zielenskiego. Jest to dla niej nieoczekiwany cios.

Sprawie tej nadaje się oczywiście pierwszorzędne znaczenie. Zinowiew wygłasza długie przemówienie. Jest to wyraźna próba znalezienia i sformułowania generalnej strategii politycznej według schematów Lenina. Ale Zinowiew chce jeszcze czegoś - chce uzasadnić swoją pozycję politycznego lidera; mówi o „filozofii epoki”, o powszechnych aspiracjach (które znajduje w powszechnym pragnieniu równości itd.). Po nim głos zabiera Kamieniew. Zwraca uwagę na to, iż procesy polityczne zachodzące w kraju mogą znajdować swój wyraz jedynie poprzez partię; wykazując niezły węż polityczny wyraża podejrzenie, że opozycja ma charakter prawicowy; przerzucając się na leninowsko-marksistowski żargon stwierdza, że opozycja ta jest wyrazem siły odradzających się, wrogich komunizmowi klas - zamożnego chłopstwa, prywatnej inicjatywy i inteligencji; należy powrócić do leninowskiej koncepcji i więzi klasowej robotników i chłopów.

Dopóki dyskusja toczy się na takich wyżynach, Stalin milczy i pyka swoją fajkę. Prawdę mówiąc, Kamieniew i Zinowiew nie są ciekawi jego zdania. Uważają, że w kwestiach strategii politycznej opinia Stalina nie ma w ogóle żadnego znaczenia. Ale Kamieniew jest człowiekiem bardzo uprzejmym i taktownym. Dlatego też pyta: *A wy, towarzyszu Stalin, co sądzicie na ten temat? - A na jaki*

właściwie temat? - odpowiada pytaniem Stalin. (W rzeczy samej, spraw poruszano wiele.) Kamieniew, starając się zniżyć do poziomu Stalina, mówi: *Na temat sposobu zdobycia większości w partii.* - *Wiecie, towarzysze* - powiada Stalin - *ja uważam, że to kto i jak będzie w partii głosował, jest zupełnie bez znaczenia, natomiast niezwykle ważne jest to, kto i jak będzie liczył głosy.* Nawet Kamieniew, który powinien przecież już znać Stalina, chrząknął skonsternowany.

Następnego dnia Stalin wzywa do swego gabinetu Nazaretiana i długo z nim konferuje. Nazaretian; wychodzi z gabinetu z dość kwaśną miną. Jest jednak człowiekiem posłusznym. Tego samego dnia, decyzją Biura Organizacyjnego, zostaje mianowany kierownikiem działu partyjnego *Prawdy* i przystępuje do pracy.

Prawda otrzymuje raporty o zebraniach organizacji partyjnych i wynikach głosowań, przede wszystkim z terenu Moskwy. Zadanie Nazaretiana jest bardzo proste. Na jakimś zebraniu głosowano, powiedzmy, w sposób następujący: za KC - 300 osób, przeciw - 600; Nazaretian poprawia: za KC - 600, przeciw - 300. Taki też wynik podaje *Prawda*. I tak jest ze wszystkimi organizacjami. Przeczytawszy w *Prawdzie* sfalszowany wynik głosowania organizacja protestuje, dzwoni do redakcji, domaga się rozmowy z działem partyjnym. Nazaretian uprzejmie odpowiada, obiecuje natychmiast sprawdzić. Po sprawdzeniu okazuje się, że macie *całkowitą rację, zaszła przykra pomyłka, poplątali w drukarni; wiecie, jak są przeciżeni; redakcja „Prawdy” gorąco was przeprasza; zostanie wydrukowane sprostowanie*. Każda organizacja sądzi, że jest to przypadkowy błąd, który tylko jej dotyczy i nie domyśla się nawet, iż podobnie wygląda sprawa z większością pozostałych organizacji. Tymczasem stopniowo zaczyna się wyłaniać ogólny obraz - że KC wygrywa na całej linii. Prowincja staje się bardziej ostrożna i zaczyna popierać Moskwę, czyli KC.

W Biurze Politycznym wybucha tymczasem burza, co prawda tylko burza w szklance wody. Chodzi o to, że Mechlis i Kanner potrzebując pomocników dobierają ich sobie bez ścisłego określenia funkcji (bądź człowieku mądry i określ funkcje samego Kanner). Kannerowi pomaga młody, miły Żyd o partyjnym pseudonimie *Bombin*. Jest bardzo sympatyczny i wszyscy nazywają go *Bombik*, świetnie śpiewa arię Lohengrina *O łabędziu mój* i skrzętnie ukrywa fakt jakichkolwiek powiązań z GPU (zwłaszcza przede mną, jako że moje złe stosunki z GPU są już wszystkim znane). Mechlis wziął sobie do pomocy dwóch ludzi: najpierw Machowera, który właśnie odszedł z racji wieku z KC Komsomołu, gdzie pracował jako kierownik administracyjny, i przeszedł do pracy partyjnej (w chwili samobójstwa Ordżonikidze będzie zajmował stanowisko jego osobistego i oddanego sekretarza), potem Jużaka, młodego Żyda o regularnej, pięknej twarzy.

Nazaretian jest człowiekiem nadzwyczaj dokładnym. Nie tylko fałszuje wyniki głosowania w organizacjach partyjnych, lecz i przesyła Stalinowi informacje o prawdziwym przebiegu głosowania oraz o manipulacjach *Prawdy*.

Wykaz Nazaretiana przekazuje Stalinowi Mechlis. Zupełnie nieoczekiwanie dla całego sekretariatu Stalina okazuje się, że Jużak jest ukrytym trockistą. Wykazy walają się na biurku Mechlisa. Jużak porywa je i zanoszą Trockiemu. Na posiedzeniu Biura Politycznego Trocki urządza skandal. Jasne jest dla wszystkich, że Nazaretian pracuje na polecenie Stalina. Członkowie Biura udają, że podzielają oburzenie Trockiego, Stalin najgłośniej. Obiecuje niezwłocznie przeprowadzić dochodzenie, Dochodzenie trwa tydzień, ale gdy dobiega końca jest już po wszystkim - cel został osiągnięty, maszyna zaczęła się kręcić w odwrotnym kierunku, większość przeszła na stronę KC, a opozycja poniosła klęskę.

Na posiedzeniu Biura Politycznego Stalin komunikuje, że dochodzenie wykazało osobistą winę Nazaretiana, który natychmiast został odwołany z działu partyjnego *Prawdy* i usunięty z sekretariatu Stalina, Nazaretiana wysłano na prowincję. Pracuje jako przewodniczący regionalnej komisji kontroli na Uralu. Nigdy nie wybaczy Stalinowi, że ten nie próbował go bronić, a przeciwnie - całą winę zwałił na niego. Do Stalina już nie wróci. W 1937 r. Stalin każe go rozstrzelać. Nie wiem, jaki los spotkał Jużaka, ale nie mam nawet cienia wątpliwości, że nie przeżył lat trzydziestych - Stalin miał dobrą pamięć i nigdy niczego nie wybaczał.

Wciąż dowiaduję się coraz to nowych szczegółów o Stalinie. Kiedyś niespodziewanie przekonuję się, że jest antysemitą - a w następnych dwóch latach pracy pozwala mi to wiele zrozumieć.

Dowiaduję się o tym przypadkowo. Stoimy razem z Mechlisem i rozmawiamy (Mechlis jest Żydem). Stalin wychodzi ze swego gabinetu i podchodzi do nas, Mechlis się odzywa: *Towarzyszu Stalin, nadszedł list od towarzysza Fajwiłowicza. Towarzysz Fajwiłowicz jest bardzo niezadowolony z działalności KC. Protestuje, strofuje, domaga się, uważa politykę KC za błędną itp.* (Kilka słów wyjaśnienia: Fajwiłowicz jest czwartym sekretarzem KC Komsomołu; od dawna ustalono, że Komsomoł to organizacja podporządkowaną partii, która ma wychowywać młodzież w duchu komunizmu; jej członkowie i kierownictwo nie są jeszcze członkami partii i nie mają prawa oceniać jej politycznych problemów; wszelkie próby tego rodzaju ucinane są w zarodku - dokąd się pchacie, macie jeszcze czas, to nie na wasz rozum).

Stalin wybuchą: *Co ten parszywy Żydek sobie wyobraża!* Zdaję sobie jednak od razu sprawę, że powiedział za dużo, odwraca się i wraca do swego gabinetu. Patrząc na Mechlisa zaciekawiony: *I jak, Lewka przełknęłeś?* - *Co, co* - Mechlis udaje zdziwienie - *O co ci chodzi?* - *Jak to o co* - mówię - *przecież jesteś Żydem.* - *Nie* - powiada Mechlis - *nie jestem Żydem, jestem komunistą.*

Jest to wygodna pozycja. Pozwala Mechlisowi pozostać do końca życia wiernym, oddanym Stalinowcem i świadczyć Stalinowi nieocenione usługi.

Interesuje mnie jednak, czemu Stalin będąc antysemitą na dwóch sekretarzy wybrał Żydów - Mechlisa i Kannerę. Szybko orientuję się, że wziął ich do siebie dla kamuflażu. W czasie wojny domowej Stalin dowodził pospolitym ruszeniem, które nienawidziło Trockiego, jego zastępcy Sklanskiego i współpracujących z nimi Żydów z Komisariatu Ludowego d/s Wojska (Ministerstwa Obrony), co wśród góry partyjnej budziło podejrzenia, iż Stalin jest antysemitą. Później, po przejściu do pracy w administracji, Stalin, aby rozwiać te podejrzenia, wziął do siebie jako najbliższych współpracowników Kannerę i Mechlisa - najpierw do Komisariatu Ludowego d/s Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej (którego nominalnym kierownikiem był w latach 1921-1923), a następnie do sekretariatu KC. Swego wyboru nigdy nie żałował. Kanner i Mechlis zawsze byli mu oddani. Mimo to w 1937 r. na wszelki wypadek kazał rozstrzelać Kannerę - był on jego powiernikiem i wykonawcą zbyt wielu podejrzanych zadań.

Pod koniec 1923 r. cała ta historia z opozycją dobiega końca. Miała ona jedno drobne, zabawne następstwo. Ponieważ w toku dyskusji toczącej się w partii większość wewnątrz organizacji partyjnej KC zdobyła opozycję, trzeba było znaleźć winnych. Przede wszystkim oczywista była całkowita nieudolność sekretarza podstawowej organizacji partyjnej w KC. Jest to stary partyjniak, ale ewidentny dureń. Kanner postanawia go wymienić. Nie decyduje się jednak na przeprowadzenie tak ważnej operacji jak wybór nowego sekretarza organizacji partyjnej KC (liczy ona prawie półtora

tysiąca członków; wszyscy są pracownikami aparatu KC, komunistami) bez naszej - Mechlisa i mojej - zgody. Przedstawia nam tę sprawę. Zastanawiamy się. Mechlis wzdycha: *Jesteśmy partią robotniczą, a w organizacji KC sami urzędnicy, referenci i biurokraci, ani jednego robotnika; przydałby się dla zasady robotnik od maszyny lub chociaż ktoś, kto żyje z pracy ręk. A gdzie tu w KC miejsce dla pracy ręk?* Dla żartu mówię: *Czekajcie. Jest w KC jeden pracownik fizyczny. - Niemożliwe -* protestują moi rozmówcy – *Zmyślasz - Zapewniam was, że jest. - A gdzież jest to dziwo.*

Wyjaśniam, że *Izwiestia KC*, nędzne pisemko, o którym wcześniej już pisałem, którego byłem sekretarzem, gdy pracowałem u Mołotowa, przychodziło z drukarni do ekspedycji KC i stamtąd było rozsyłane do organizacji partyjnych. W ekspedycji pracował jeden robotnik, który wszystkie te paki wiązał, taszczył i wysyłał. Mały, łysy i chyba niegłupi. Nazywa się Poskriebyszew. W atmosferze ogólnej wesołości postanowiono go wezwać. Poskriebyszew przychodzi, niczego nie rozumie - na co i do czego może być potrzebny sekretarzom Stalina. Rozmawiamy z nim. Chłop nie jest głupi i na pewno będzie bezgranicznie posłuszny, właściwie chyba dla kawału postanawiamy zrobić z niego sekretarza organizacji KC (ponieważ kandydatura wychodzi z sekretariatu Stalina, sprawa przechodzi natychmiast). Poskriebyszew okazuje się sekretarzem nadzwyczaj posłusznym, nawet zbyt często biega do Kanner'a po dyrektywy.

Figiel stalinowskich sekretarzy odegra w karierze Poskriebyszewa raz jeszcze decydującą rolę. W 1926 r. czwartym sekretarzem KC zostaje Stanisław Kosior (w owym czasie liczba sekretarzy KC wzrosła do pięciu). Zazwyczaj przesunięty na nowe stanowisko wielmoża ciągnie za sobą długi ogon „swoich chłopców”, do których ma zaufanie. Kosior chce jednak pokazać, że nie ma swojej grupy i nie ma zamiaru jej tworzyć. Zapytany, kogo chce do pomocy, odpowiada skromnie, że nie ma swojego kandydata i woli, żeby sekretariat Stalina kogoś mu polecił. Kosior jest niski i łysy, Poskriebyszew też jest niski i łysy - tworzą parę nader komiczną. Dlatego właśnie Kanner, krztusząc się ze śmiechu, proponuje Kosiorowi jako pomocnika Poskriebyszewa - sekretarza podstawowy organizacji partyjnej. Tak też się stało.

Tak zaczęła się kariera przyszłego sekretarza Stalina. W 1928 r. z sekretariatu Kosiora przejdzie na stanowisko pomocnika Towstuchy; po śmierci Towstuchy w 1935 r. zajmie jego miejsce - zostanie sekretarzem Stalina i kierownikiem sektora specjalnego. Przez 18 lat będzie wiernym ordynansem Stalina i drzeć przed nim będą ministrowie i członkowie Biura Politycznego. Co prawda, przydarzy mu się nieostrożny krok - ożeni się z rodzoną siostrą żony Siedowa (syn Trockiego). Gdy jednak w 1937 r. na rozkaz podejrzliwego Stalina jego żona zostanie aresztowana, nawet powieka mu nie drgnie i do 1953 r. nie odstąpi na krok swego szefa. Dopiero na kilka miesięcy przed śmiercią Stalina zostanie usunięty i będzie, z niepokojem czekać na rozstrzelanie. Do tego jednak nie dojdzie.

NA BOLSZEWICKICH SZCZYTACH

Towstucha i Instytut Lenina. Śmierć Lenina. Przegrupowanie. Ponowny cios w Wojskową Radę Rewolucyjną. Sklanski. Rodzina Swierdłowów. Diamentowy fundusz Biura Politycznego. Kontrola wykonania poleceń Biura Politycznego. Rada Główna Kultury Fizycznej.

Przez całe drugie półrocze 1923 r. sekretarz Stalina, Towstucha, zajmuje się kolejną „ciemną” sprawą, zleconą mu przez Stalina. W walce o władzę sprawa ta ma dla Stalina duże znaczenie.

Lenin umiera. Walka o sukcesję toczy się między trójką a Trockim. Trójca prowadzi w partii energiczną akcję propagandową, kreując się na najlepszych, wiernych uczniów Lenina. Z samego zaś Lenina oficjalna propaganda zaczyna tworzyć świętość. To genialny przywódca, któremu partia zawdzięcza wszystko, a to, co napisał, to Ewangelia - objawiona prawda. I rzeczywiście, czegoż to Lenin nie pisywał. Cytatami z jego tekstów można poprzeć wszystko, co się chce. Dla Stalina szczególną wartość ma jednak tylko część tego, co Lenin napisał. Zarówno w okresie przedrewolucyjnych rozgrywek emigracyjnych, jak i w czasach rewolucji i wojny domowej Lenin często w ostry sposób wypowiadał się o różnych znanych rewolucjonistach, i to oczywiście nie tyle w artykułach prasowych, ile w prywatnych listach i notatkach, a po rewolucji, w trakcie sprawowania władzy - w różnorodnych pisemnych rezolucjach i notatkach służbowych. Nadchodzą czasy, w których będzie można wydobyć ze starych teczek surowe opinie Lenina o jakimś działaczu partyjnym i po ich opublikowaniu zadać śmiertelny cios jego karierze: *Widzicie oto, co sądził o nim towarzysz Lenin.*

A wydobyć można wiele. Można przecież wykorzystać nie tylko to, co pisał sam Lenin, lecz także to, co w polemicznym ferworze pisali, o nim jego przeciwnicy. Wystarczy wspomnieć przedrewolucyjną polemikę Lenina z Trockim, kiedy to Lenin oskarżał Trockiego o wszystkie grzechy główne, zaś z kolei Trocki pisał o Leninie z oburzeniem, zarzucając mu, iż jest zawodowym eksploatatorem zacofania mas i nieuczciwym intrygantem. Czegoż to nie ma w prywatnych notatkach Lenina o członkach najwyższych władz i o jego bliskich współpracownikach. Gdyby to wszystko zebrać - jakaż to by była broń w rękach Stalina!

Trójca zastanawia się, jak tego dokonać; rzecz dzieje się oczywiście w mojej obecności. Widzę jednak wyraźnie, że Zinowiew i Kamieniew krótkowzrocznie myślą przy tym jedynie o walce z Trockim i jego zwolennikami, podczas gdy Stalina interesują znacznie szersze wykorzystanie leninowskiego; dynamitu. Postanowiono okrężną drogą przekonać Riazanowa, by na posiedzeniu Biura Politycznego przedstawił stosowną propozycję. Riazanow, stary działacz partyjny, uchodzi w partii za wybitnego teoretyka marksizmu; kieruje Instytutem Marksa i Engelsa i z pasją studiuje rozmaite listy i rękopisy Marksa. Ze szczerą radością występuje na posiedzeniu Biura Politycznego z propozycją przekształcenia Instytutu Marksa i Engelsa w Instytut Marksa, Engelsa i Lenina. Biuro Polityczne w zasadzie wyraża zgodę, uznaje jednak za konieczne stworzenie najpierw oddzielnego Instytutu Lenina, który przez kilka lat zajmąby się wyłącznie twórczością Lenina i zbieraniem materiałów o nim, by dopiero potem połączyć oba instytuty. I tak 26 listopada 1923 r. Biuro Polityczne postanawia, że należy natychmiast przystąpić do realizacji tego zadania i że Instytut Lenina powinien być jedynym miejscem archiwowania wszystkich rękopisów Lenina; pod rygorem dyscypliny partyjnej i kar partyjnych zobowiązuje wszystkich członków partii przechowujących w swych osobistych czy

urzędowych archiwach jakiegokolwiek notatki, listy, rezolucje czy inne materiały napisane ręką Lenina do przekazania Ich Instytutowi.

Decyzja Biura Politycznego stanowi doskonały kamuflaż - podjęto ją na wniosek Riazanowa; członkowie KC po otrzymaniu protokołu z posiedzenia Biura będą sądzić, że idzie o dobro badań nad twórczością Lenina.

Pomocnikiem dyrektora Instytutu Lenina zostaje Towstucha. Od dawna już zajmuje się badaniem zawartości archiwów Biura Politycznego, wyciąga stamtąd notatki Lenina i segreguje je. Teraz będzie miał całą lawinę materiałów, które będzie porządkował uwzględniając potrzeby Stalina; notatki niewygodne dla Stalina znikną na zawsze, niewygodne dla innych zostaną starannie zebrane i dokładnie posegregowane według nazwisk. Jeśli zajdzie potrzeba, można będzie w każdej chwili dostarczyć Stalinowi odpowiednią notatkę krytyczną Lenina o którymkolwiek z wybitnych działaczy partyjnych.

W dniach 14 i 15 listopada na plenum KC podsumowano partyjną dyskusję. Trójca z zadowoleniem stwierdza, że opozycja została rozbita. Można uczynić kolejny krok w walce z Trockim. Kroki te podejmuje się jednak stopniowo i ostrożnie. Niektórzy członkowie KC informują Komitet Centralny, że źle dzieje się w Armii Czerwonej. Plenum powołuje Komisję Wojskową KC *dla zbadania sytuacji w Armii Czerwonej*. Przewodniczącym komisji zostaje Gusiew, a jej skład dobrano tak, że z góry wiadomo, jakie będą jej ustalenia. Wchodzi do niej: Unslicht, Woroszyłow, Frunze i posłuszni Andrejew i Szwerik.

Tuż po plenum (16-18 listopada) XIII konferencja aktywu partyjnego (bierze w niej udział kadra kierownicza terenowych organizacji partyjnych) wzywa - zgodnie z referatem Stalina - biurokratów partyjnych do czujności, wskazując, że *kierowana przez Trockiego opozycja dąży do złamania aparatu partyjnego* oraz żąda zaprzestania wszelkich dyskusji.

Kilka dni później, 21 stycznia umiera Lenin. W zamieszaniu następnych dni można poczynić wiele ciekawych obserwacji. Stalin pozostaje sobą. Wysyła do Trockiego (który właśnie leczy się na Kaukazie) telegram, podając fałszywą datę pogrzebu Lenina, Trocki jest przekonany, że nie zdąży na pogrzeb, zostaje więc na Kaukazie. Dlatego też podczas pogrzebu trójca sprawia wrażenie następców Lenina (a Trocki, proszę, nawet nie raczył przyjechać) i monopolizuje wszystkie uroczyste i wiernopoddańcze przemówienia i przysięgi. Z uwagą obserwuję reakcje.

W kraju stosunek do śmierci Lenina jest dwojaki. Część ludności jest zadowolona, chociaż stara się ukryć. Lenin jest dla nich twórcą komunizmu; umarł i dobrze mu tak. Pozostali uważają, że Lenin był lepszy od innych - widząc krach komunizmu, pospiesznie zaczęli przywracać niektóre elementy normalnego życia (NEP), co sprawiło, że jest co jeść i można jakoś żyć. W partii przeciwnie - większość jest wstrząśnięta, szczególnie doły partyjne. Lenin był uznanym przywódcą. Jak teraz będzie bez niego? Na szczytach partyjnych reakcje są różne. Niektórzy, tacy jak Bucharin czy pomocnik Lenina - Curupa, byli do niego bardzo przywiązani. Kamieniew też przeżywa śmierć Lenina - nie jest pozbawiony ludzkich uczuć. Najsilniejsze wrażenie wywiera jednak na mnie Stalin. W duchu ogromnie cieszy go śmierć Lenina - Lenin był dlań jedną z głównych przeszkód na drodze do władzy. U siebie w gabinecie, w obecności swych sekretarzy, jest w doskonałym nastroju, promieniuje szczęściem. Na zebraniach i posiedzeniach przybiera fałszywie tragiczny, żałobny wyraz twarzy, wygłasza zakłamanie przemówienia, z patosem przysięga wierność Leninowi. Obserwując go muszę myśleć: *Ależ z Ciebie*

szubrawiec. O leninowskiej bombie, czyli *Liście do zjazdu*, nic jeszcze nie wie. Krupska co do joty spełnia ostatnią wolę Lenina, List adresowany jest do zjazdu. Zjazd odbędzie się w maju; wówczas otworzy kopertę i przekaże testament Lenina Biuru Politycznemu. Kamieniew wie już o testamencie od Fotijewej, która nadal jest sekretarzem Rady Ministrów, ale nic nie mówi.

Z powodu śmierci Lenina i wynikającego z niej ogólnego zamieszania posiedzenia plenarne KC odbywają się jedno po drugim. Po pierwszym styczniowym plenum następuje nadzwyczajne posiedzenie po śmierci Lenina, później w styczniu jeszcze jedno. Dopiero co, na początku stycznia, załatwiono wszystkie nominacje i przegrupowania we władzach republik, a tu znowu zaczyna się kręcić karuzela stanowisk. Kogo mianować prezesem Rady Ministrów na miejsce Lenina? Nie ma w tej sprawie zgody ani w Biurze Politycznym, ani w łonie samej trójcy. Jej członkowie obawiają się, że mianowanie któregoś z nich byłoby dla wszystkich sygnałem, iż to właśnie on zostaje następcą Lenina i człowiekiem numer jeden we władzach, a to nie urzędują pozostałych członków trójcy. Koniec końców godzą się na kandydaturę Rykowa. Z politycznego punktu widzenia jest to postać bezbarwna i jako szef rządu będzie raczej atrapą niż rzeczywistym premierem (podobnie jak Kalinin, przewodniczący WCIK - Ogólnorosyjski Centralny Komitet Wykonawczy Rad - odpowiednik prezydenta, a w praktyce zero). Dotąd Rykow był przewodniczącym Rady Najwyższej Gospodarki Narodowej.

W związku z utworzeniem ZSRR reorganizacji uległo RPO - Rada Pracy i Ochrony. Na jej czele stanął Kamieniew i faktycznie kierowanie wszystkimi resortami gospodarki (Rada Najwyższa Gospodarki Narodowej, Komitet Planowania, Ministerstwo Finansów, Ministerstwo Handlu, Ministerstwo Rolnictwa itd.) przeszło w gestię RPO - to jeszcze umniejsza znaczenie Rykowa jako prezesa Rady Ministrów. Reorganizuje się GPU. Przekształca się ono w OGPU, obejmując swą władzą całą ZSRR. Formalnie na jego czele stoi Dzierżyński, ale ponieważ jednocześnie zostaje mianowany przewodniczącym Najwyższej Rady Gospodarki Narodowej (na miejsce Rykowa), więc praktycznie kierownictwo OGPU przechodzi w ręce jego zastępcy, i to nawet nie pierwszego zastępcy - Mienżyńskiego, lecz drugiego - Jagody (który nawiązał już ściśle związki z sekretariatem Stalina, ale nie ze mną).

Nowe plenum KC (3 lutego) omawia kwestię zwołania kolejnego zjazdu, ale - co ważniejsze - wysłuchuje referatu Komisji Wojskowej KC i po ostrej krytyce skierowanej pozornie przeciwko Ministerstwu Obrony, w rzeczywistości zaś przeciw Trockiemu, uznaje, że *w obecnym etapie Armia Czerwona pozbawiona jest zdolności bojowej i że niezbędne jest przeprowadzenie reformy wojskowej*.

Na początku marca kolejne plenum zadaje nowy cios Trockiemu - usunięto ze stanowiska jego zastępcę Sklanskiego (którego Stalin nienawidzi); zatwierdzony zostaje nowy skład Wojskowej Rady Rewolucyjnej - Trocki nadal jeszcze jej przewodniczy, lecz jego zastępcą zostaje mianowany Frunze, który obejmuje stanowisko szefa sztabu Armii Czerwonej. Do Rady wchodzi licznie wrogowie Trockiego - Woroszyłow, Unszlicht, Bubnow, nawet Budionny. Będące tylko dekoracją stanowisko specjalisty przy głównodowodzącym (zajmuje je pułkownik carskiej armii Siergiej Kamieniew) zostaje zniesione.

Na spotkaniach trójcy omawia się problem - co zrobić ze Sklanskim. Stalin z jakiegoś powodu proponuje wysłanie go do Ameryki jako kierownika misji handlowej. Jest to ważne stanowisko. Z Ameryką nie utrzymujemy stosunków dyplomatycznych - nie ma tam ani przedstawicielstwa dyplomatycznego, ani handlowego. Jest tylko misja handlowa (AMTORG); powołano ją dla rozwijania

handlu, stanowi także bazę dla rozmaitej nielegalnej działalności Kominternu i GPU. Jej funkcje handlowe mają niemałe znaczenie. Zaraz po wojnie domowej udało się odbudować kompletnie zniszczony transport kolejowy właśnie dzięki dokonanemu w stosownym momencie zakupowi w Ameryce dużej partii lokomotyw. Transakcję tę przeprowadziła specjalna misja handlowa. Na jej czele stał bodaj profesor Łomonosow, zakup był jednak możliwy jedynie dzięki poparciu silnych grup żydowskiej finansjery, życzliwej wobec rewolucji radzieckiej. Trzeba było przy tym wykazać wiele umiejętności i talentów dyplomatycznych.

Propozycja Stalina nie tylko mnie wydała się dziwna. Stalin nienawidził Sklanskiego (który w czasie wojny domowej szykanował Stalina) bardziej niż Trockiego. Zinowiew też go nie znosi.

Pamiętam, jak kiedyś na posiedzeniu Biura Politycznego, gdy była mowa w Sklanskim, Zinowiew przybrał pogardliwy wyraz twarzy i powiedział: *Nie ma nie bardziej komicznego niż te prowincjonalne samouki, którym wydaje się, że są wielkimi dowódcami*. Cios wymierzony był nie tylko w Sklanskiego, lecz i Trockiego. Trocki zaczerwienił się, ale opanował gniew, rzucił ostre spojrzenie na Zinowiewa i nic nie powiedział.

Sklanski został mianowany kierownikiem misji i wyjechał do Ameryki. Wkrótce potem nadszedł telegram z wiadomością, że podczas przejażdżki motorówką po jeziorze padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku i utonął. Zwracały uwagę niejasne okoliczności tego wypadku: wyjechał na przejażdżkę motorówką, długo nie wracał, udano się na poszukiwania, znaleziono motorówkę wywróconą do góry dnem, a jego samego - utopionego; świadków nie było.

Natychmiast poszliśmy z Mechlisem do Kanner i zgodnym chórem oznajmiliśmy: *Grisza, to ty utopiłeś Sklanskiego*. Kanner bronił się słabo: *Tak, oczywiście, że ja. Jak się tylko coś gdzieś stanie, zawsze ja*. Naciskaliśmy, Kanner wymigiwał się. Wreszcie powiedziałem: *Jako sekretarz Biura Politycznego powinienem wiedzieć o wszystkim*. Kanner na to: *Bywają sprawy, o których lepiej nie wiedzieć, nawet jeśli się jest sekretarzem Biura Politycznego*. Chociaż się nie przyznał (po historii z Jużakiem wszyscy w sekretariacie Stalina stali się bardziej ostrożni), byliśmy z Mechlisem święcie przekonani, że Sklanski został utopiony na polecenie Stalina i że „nieszczęśliwy wypadek” zorganizowali Kanner i Jagoda.

Poznaję rodzinę Swierdłowów. Jest to bardzo interesująca rodzina. Stary Swierdłow już nie żyje. Mieszkał w Niżnym Nowogrodzie i był grawerem. Poglądy miał bardzo rewolucyjne, współpracował z najrozmaitszymi organizacjami rewolucyjnymi, a jego praca grawera polegała głównie na wykonywaniu fałszywych pieczęci, za pomocą których działacze rewolucyjnego podziemia podrabiali różne dokumenty.

W domu panowała rewolucyjna atmosfera. Jednak starszy syn, Zinowij, w następstwie jakichś zawiłych przeobrażeń duchowych przeżył głęboki kryzys wewnętrzny i zerwał wszelkie kontakty z rewolucjonistami, z rodziną i judaizmem. Ojciec przeklął go uroczystym, rytualnym przekleństwem żydowskim. Usynowił go Maksym Gorki i Zinowij stał się Zinowijem Pieszkowem. Ale kontynuując swą duchową przemianę, odsunął się również od rewolucyjnego otoczenia Gorkiego, wyjechał do Francji i, aby całkowicie zerwać z dotychczasowym życiem, wstąpił do Legii Cudzoziemskiej. W jakiś czas później nadeszła wiadomość, że w toku walk stracił rękę. Stary Swierdłow okropnie się zdenerwował: *Którą rękę?*, a gdy okazało się, że prawą, tryumfował; zgodnie z przekleństwem żydowskim, przeklęty przez ojca syn powinien stracić właśnie prawą rękę. Zinowij Pieszkow został obywatelem francuskim,

nadal był w wojsku i dosłużył się stopnia generała. Rodziny wyrzekł się całkowicie. Gdy po przyjeździe do Francji, chciałem przekazać mu wiadomości o dwóch jego braciach i siostrach, odpowiedział, że to nie jest jego rodzina i że nie chce o nich nic wiedzieć.

Drugi brat, Jakow, był w partii Lenina wybitnym działaczem bolszewickiego KC. Po rewolucji październikowej stał się prawą ręką Lenina i przewodniczącym WCIK, czyli formalnie - głową republiki radzieckiej. Zajmował się głównie pracą organizacyjną i administracyjną; był dla partii tym, czym później stał się aparat partyjny; przede wszystkim jego wydział organizacyjno-administracyjny. W marcu 1919 r. umarł na gruźlicę.

Ku jego czci nazwano milionowe miasto, stolicę Uralu - Swierdłowskiem. Nie wiadomo dlaczego nie zmieniono tej nazwy po dojściu do władzy Stalina, mimo że, jak się to zaraz okaże, Stalin miał osobiste powody, by nie lubić Swierdłowa, a o takich rzeczach Stalin nigdy nie zapominał. Być może Jekaterinburg wciąż jeszcze nosi nazwę Swierdłowska, ponieważ tam właśnie, w lipcu 1918 r., wymordowano całą rodzinę carską, a część odpowiedzialności za to morderstwo ponosił także Swierdłow, formalnie najwyższy przedstawiciel władzy radzieckiej. To Swierdłow na polecenie Lenina, który sprytnie wymigał się od formalnej odpowiedzialności, poinformował władze lokalne na Uralu, że pozostawia decyzję co do losu rodziny carskiej do ich uznania.

Trzeci brat, Wieniamin Michajłowicz, nie przejawiał zainteresowania działalnością rewolucyjną - wołał wyemigrować do Ameryki, gdzie został właścicielem niewielkiego banku. Gdy jednak w Rosji wybuchła rewolucja październikowa, Jakow pospieszenie wezwał brata do powrotu. Wieniamin zlikwidował swój bank i przyjechał do Piotrogradu. W owym czasie Lenin, jeszcze wierny demagogicznym, niedorzecznym ideom w rodzaju: *każda kucharka powinna umieć rządzić państwem*, wcielał je w życie, dokonując propagandowych, bezsensownych nominacji. Jak wiadomo, chorąży Krylenko na złość burżuazji został mianowany głównodowodzącym, jakiś majtek półanalfabeta - dyrektorem banku państwowego, a równie mało piśmienny maszynista Jemszanow - komisarzem ludowym ds. kolei państwowych. Biedny Jemszanow narobił w swoim ministerstwie takich głupstw i tak się zaplątał, że po miesiącu czy dwóch ze łzami błagał Lenina, by zwolnił go od tej pracy, która jest ponad jego siły. Wówczas Jakow Swierdłow zaproponował Leninowi, by na to stanowisko mianował przybyłego właśnie z Ameryki brata, który - nawiasem mówiąc - nie był komunistą. Wieniamin został mianowany komisarzem ludowym ds. komunikacji. Po pewnym czasie przekonał się, że nic na tym stanowisku zrobić nie może (po nim zajmowali je, z równym powodzeniem. Trocki i Dzierżyński) i wołał przejść do Prezydium Rady Najwyższej Gospodarki Narodowej. Później jego kariera powoli, ale systematycznie przebiegała już w dół. Dziwne, że po śmierci brata nie zaważyła się z hukiem, chociaż udawało mu się pozostać bezpartyjnym. W owym czasie (1921-1925) był jeszcze członkiem RNGN, gdzie kierował Wydziałem ds. Nauki i Techniki.

Tuż przed wojną do zespołu Moskiewskiego Teatru Artystycznego zaangażowano bardzo młodą (miała chyba 17 lat), lecz niezwykle utalentowaną aktorkę, Wierę Aleksandrowną Delewską. Była do tego jeszcze bardzo ładna. Z braku doświadczenia nie grywała dużych ról, była jednak całkowicie oddana teatrowi, żyła tylko nim i dla niego. A trzeba wiedzieć, że Moskiewski Teatr Artystyczny był nie tylko teatrem Czechowa, lecz i Gorkiego. Wokół Gorkiego ciągle kręciło się jakieś bardzo rewolucyjne towarzystwo. I gdy kiedyś jeden z teatralnych kolegów poprosił naiwną dziewczynę o przysługę - schowanie jakiejś rewolucyjnej literatury - trudno jej było odmówić, a poza tym w ogóle

się w tych sprawach nie orientowała. Zrobiła to tak nieumiejętnie, że policja natychmiast wszystko wykryła. Dziewczynę aresztowano i skazano na zesłanie.

Jak wiadomo, carska policja, skazując rewolucjonistów na zesłanie, zapewniała im stały zasiłek pieniężny, wystarczający na wyżywienie, mieszkanie i inne wydatki; nie musieli nic robić i mogli sobie pozwolić na kontynuowanie działalności rewolucyjnej. Żyli w zasadzie dość swobodnie, choć pod nadzorem policji; nadzoru tego właściwie prawie nie odczuwali i bez trudu można było uciec z zesłania, tyle że wówczas przechodziło się do podziemia, co wiązało się z pewnymi niewygodami (prawdę mówiąc, niezupełnie rozumiem jakimi, jako że w przypadku schwytania i ponownego aresztu zbiega z powrotem wysyłano na zesłanie i nie podwyższano mu wyroku). Carska policja tak dalece troszczyła się o zesłanych, że grupowała ich wedle przynależności partyjnej - mieńszewików wysyłano w jedno miejsce, bolszewików zbierano w innym itd. Bardzo to pomagało zesłańcom żyć zgodnym życiem partyjnym, spędzać czas na zebraniach i dyskusjach na temat programów i taktyki, na pisaniu artykułów do prasy partyjnej i ich omawianiu itp.

Tani, gdzie zesłano Wierę Aleksandrownę, zgrupowani byli wybitni bolszewicy (należy więc sądzić, że rewolucyjna literatura, którą uprzejmie ukryła, musiała być bolszewicka), a wśród nich trzech członkowie KC: Spandarian, Stalin i Jakow Swierdłow. I Stalin, i Swierdłow byli oczarowani dziewczyną i zalecali się do niej na potęgę. Wiera Aleksandrowna bez wahania odrzuciła ponurego, niesympatycznego i gruboskórnego Stalina i wybrała kulturalnego i na europejską modłę wykształconego Swierdłowa.

Po powrocie z zesłania Jakow Swierdłow wrócił do rodziny (miał żonę, Kławdię Nowgorodcewą i syna, Andrieja) i objął nowe wysokie funkcje państwowe, a Wiera Aleksandrowna przeszła na status, rzec by można, paniński. Ożenił się z nią później Wieniamin Swierdłow, którego oczarowała od pierwszego wejrzenia. Poznałem ich już jako małżeństwo.

Czwarty brat, Herman Michajłowicz, był przyrodnim bratem trzech pozostałych. Stary Swierdłow po śmierci pierwszej żony ożenił się z Rosjanką Kormilcewą; Herman był ich synem. Był znacznie młodszy od braci (w 1923 r. miał 19 lat), w rewolucji nie brał udziału, był jeszcze komsomolcem, Chłopcem nad podziw rozumnym i dowcipnym. Byłem starszy od niego o cztery lata. Bardzo się do mnie przywiązał i wciąż u mnie przesiadywał. O mej wewnętrznej ewolucji (przekształcenia się w antykomunistę) nie miał najmniejszego pojęcia. Prawdę mówiąc, rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o polityce.

Cwórka braci Swierdłowów miała siostrę. Wyszła ona za mąż za bogatego człowieka o nazwisku Awerbach, mieszkającego gdzieś na południu Rosji. Awerbachowie mieli syna i córkę. Syn Leopold, młodzieniec wielce rzutki i arogancki, odkrył w sobie powołanie do kierowania rosyjską literaturą; za pośrednictwem grupy *napostowców* sprawował twardą czekistowską kontrolę nad kręgami literackimi. Wykorzystywał do tego celu przede wszystkim więzi rodzinne - jego siostra Ida wyszła za mąż za osławionego Henryka Jagodę, szefa GPU.

Jagoda także w swej karierze wiele zawdzięczał rodzinie Swierdłowów. Nie był bowiem wcale farmaceutą, jak niosła wieść, którą sam o sobie rozpowszechniał, tylko czeladnikiem w grawerskiej pracowni starego Swierdłowa. Pewnego dnia Jagoda zdecydował, że czas już się uniezależnić. Ukraść więc cały zestaw narzędzi i uciekł z nimi, słusznie licząc na to, że stary Swierdłow będzie wolał nie chodzić na policję, by broń Boże nie wyszła na jaw jego nielegalna działalność. Urządzić się

samodzielnie jednak Jagoda nie zdołał i po jakimś czasie, bijąc się w piersi, wrócił do Swierdłowa. Staruszek przebaczył mu i z powrotem przyjął do pracy. Jednak po pewnym czasie Jagoda, pozostając wierny samemu sobie, znowu ukradł narzędzia i uciekł.

Po rewolucji wszystko to poszło w niepamięć. Jagoda uwielbiał Idę, bratanicę głowy państwa; pomogło mu to bardzo w karierze - uzyskał dostęp do kremlowskich kręgów władzy.

Wdowa po Jakowie Swierdłowie, Kławdia Nowgorodcewa, żyła cicho na uboczu i nigdzie nie pracowała.

Pewnego razu przychodzi do mnie Herman Swierdłow i opowiada mi następującą historię. Andrieja (syna Jakowa Swierdłowa i Kławdii Nowgorodcewej), który miał wówczas 15 lat, zaciekał fakt, że jedna z szuflad w biurku matki jest zawsze zamknięta na klucz. Gdy zapytał ją o to, ostro go ofuknęła: *daj spokój, to nie twoja sprawa*. Pożerany ciekawością chłopak, wykorzystując moment, kiedy matka przez zapomnienie zostawiła klucze w pokoju, otworzył szufladę. I cóż tam znalazł? Stos szkiełek przypominających duże brylanty. Ale oczywiście nie mogły to być prawdziwe brylanty, bo skąd by u matki znalazła się taka masa prawdziwych brylantów. Zamknął szufladę i odłożył klucz na miejsce. Herman też był zdania, że to z pewnością jakieś szkiełka. Jakow Swierdłow nigdy nie był dusigroszem i żadnych kosztowności nie miał. Zgodziłem się z Hermanem - to nie mogło być nic wartościowego.

Domyśliłem się jednak, o co tu może chodzić. Wcześniej, grzebiąc w archiwach Biura Politycznego, ustaliłem, że 3 czy 4 lata temu, w latach 1919-1920, w okresie ostrego kryzysu wojennego, kiedy to władza radziecka wisiła na włosku, z ogólnego państwowego funduszu diamentowego wydzielono *fundusz diamentowy Biura Politycznego*. Przeznaczony był na to, by w razie utraty władzy zapewnić członkom Biura Politycznego środki do życia i kontynuowania działalności rewolucyjnej, w archiwum znajdowały się ślady odpowiednich decyzji i wydzielenia specjalnego konta z państwowego funduszu diamentowego, nigdzie jednak nie było mowy o tym, gdzie fundusz ten jest przechowywany. Nie znalazłem o tym najmniejszej wzmianki nawet w specjalnej teczce znajdującej się w moim sejfie. Najwidoczniej zdecydowano, że miejsce ukrycia funduszu powinni znać wyłącznie członkowie Biura Politycznego. Teraz nieoczekiwanie je odkryłem. Istotnie, w przypadku utraty władzy do ukrycia tego funduszu nie mogło być lepszego miejsca niż mieszkanie jakiejś osoby prywatnej, do której Biuro Polityczne miałoby całkowite zaufanie, a która byłaby zupełnie nieznaną i nie odgrywałaby żadnej roli politycznej. Tłumaczyło to, dlaczego Kławdia Nowgorodcewa nigdzie nie pracowała i prowadziła nie wywołujący zainteresowania tryb życia. Wyjaśniało także, dlaczego nie nosiła głośnego nazwiska Swierdłowa, które przecież bardzo by jej pomogło w różnych drobnych sprawach życiowych, a pozostała przy swym panieńskim nazwisku. To zapewne ona właśnie była depozytariuszem funduszu (nie sądzę zresztą, by ten stan rzeczy trwał jeszcze długo, gdyż z każdym rokiem upadek władzy radzieckiej stawał się coraz mniej prawdopodobny).

Mówiąc o rodzinie Swierdłowów powinienem dodać, że Wieniamin zginął w 1937 r., Leopold Awerbach został rozstrzelany w 1938 r., Jagoda - jak wiadomo - także w 1938 r.; los Wiery Aleksandrowny jest mi nie znany. O Hermanie będę jeszcze mówił.

Moja pozycja sekretarza Biura Politycznego szybko się umocniła. Początkowo Zinowiew i Kamieniew patrzyli na mnie z pewną nieufnością - „człowiek Stalina”. Wkrótce, jednak doszli do wniosku, że swoje stanowisko zajmuję nie tyle z łaski Stalina, ile dlatego, że mam właściwe po temu zalety. Przez pierwsze trzy, cztery tygodnie mojej pracy w Biurze Politycznym trzymałem się jeszcze przyjętej na

posiedzeniach od czasów Lenina procedury, zgodnie z którą przewodniczący (teraz Kamieniew) formułował decyzje Biura, po czym dyktował je sekretarce Glasser. Wkrótce jednak postanowiłem wykorzystać moje doświadczenia z okresu współpracy z Mołotowem i Biurem Organizacyjnym i wziąć na siebie zadanie formułowania większości postanowień. Gdy robiłem to przy Mołotowie, nie tylko oszczędzałem mu wiele czasu, lecz i pomagałem w merytorycznym ujęciu zagadnień, gdyż szło mu to bardzo opornie. Kamieniew był wspaniałym przewodniczącym, formułował kwestie szybko i dokładnie - w tym wypadku mogłem przyczynić się tylko do pewnej oszczędności czasu. Zwróciłem się do niego: *Zawsze jestem dobrze przygotowany do posiedzenia, świetnie znam wszystkie niuanse propozycji resortowych i ich możliwe znaczenia, a także całą historię danego problemu; nie ma potrzeby, by dyktować mi za każdym razem decyzję - mogę to sformułować sam w duchu podjętego postanowienia.* Kamieniew spojrzał na mnie z pewnym zdziwieniem, jego spojrzenie mówiło: *Chyba młodzińcze, zbyt wiele bierzesz na siebie.* Nic jednak nie odpowiedział.

Na pierwszym po tej rozmowie posiedzeniu Biura Politycznego rozważany był jakiś złożony problem gospodarczy, co do którego istniały rozbieżności między RNGN, Komisją Planowania i Ministerstwem Finansów. Po długich sporach Kamieniew wreszcie powiedział: *Cóż, o ile się orientuję, Biuro Polityczne skłania się ku zdaniu. Rykowa. Głosujmy.* Głosowanie rzeczywiście przyniosło poparcie dla propozycji Rykowa. Wówczas Kamieniew, rzuciwszy mi szybkie spojrzenie, oznajmił: *Doskonale. Idziemy dalej* i przeszedł do następnego punktu porządku dziennego. Był to trudny egzamin. Napisałem obszerną, skomplikowaną uchwałę, obejmującą wiele różnych aspektów omawianego problemu, i przekazałem kartkę przez stół Stalinowi. Stalin przeczytał i bez słowa podał ją Kamieniewowi. Kamieniew przeczytał uważnie, nie wniósł ani jednej poprawki i zwrócił mi kartkę, dając równocześnie znak oczami: *brawo.* Od tej chwili przyjęła się zaproponowana przeze mnie praktyka i Biuro Polityczne nie traciło czasu na formułowanie omawianych problemów - dotychczas najwięcej sporów wywoływały wnoszone przez uczestników dyskusji poprawki do proponowanego przez przewodniczącego tekstu. Teraz w większości przypadków przyjmowano i przegłosowywano ogólny sens decyzji, a sformułowanie tekstu zlecano sekretarzowi (oczywiście pod nadzorem przewodniczącego; muszę jednak powiedzieć, że niemal nigdy, nawet w najtrudniejszych sprawach, Kamieniew nie wnosił żadnych poprawek do mego tekstu).

Bardzo, rzecz jasna, utrudniłem sobie pracę. Musiałem zajmować się techniczną stroną posiedzenia (kierować ruchem wzywanych osób, zapewnić członkom Biura wszystkie potrzebne materiały) oraz uważać, by Biuro Polityczne nie popełniało błędów, podejmując decyzje w sprawach, które kiedyś były już przegłosowane, lub by nie podejmowało decyzji sprzecznych z niegdyś już przyjętymi (zabierałem wówczas głos i przypominałem, co trzeba). Musiałem wreszcie uważnie śledzić dyskusję, by zrozumieć jej wszystkie niuanse, i jednocześnie formułować postanowienie we właśnie zakończonej sprawie. Widząc, jak dobrze sobie radzę, Zinowiew chwalił mnie: *Towarzysz Bażanow jak Juliusz Cezar może zajmować się pięcioma sprawami naraz.* Nie wiedziałem, czy Juliusz Cezar posiadał tę umiejętność, niemniej nie mogłem być obojętny na komplementy Zinowiewa.

Udało mi się zrobić jeszcze jeden krok na drodze mej kariery w aparacie partyjnym. Na zebraniu trójcy powiedziałem kiedyś: *Na posiedzeniach Biura podejmujecie wiele słusznych decyzji, nie wiecie jednak, jak są one realizowane, a częstokroć - czy w ogóle są realizowane. Nie ma oczywiście sensu tworzyć oddzielnego aparatu, który kontrolowałby realizację podejmowanych decyzji - wszystko, co się tu robi jest ściśle tajne i nie należy powiększać liczby wtajemniczonych. Jest jednak pewien prosty sposób zapewnienia takiej kontroli przynajmniej w ogólnych zarysach, doskonale orientuję się, jaki*

jest duch i litera decyzji Biura - zapisuję je i niejednokrotnie formułuję. Zdajcie na mnie kontrolę realizacji decyzji; będę zwracał się do kierowników resortów, którym je zalecono. Jakie by nie było znaczenie takiej kontroli, to chociażby tylko stałe przypominanie kierownikom resortów, że tryb wykonywania poleceń stale śledzi oko Biura Politycznego, nie może nie mieć pozytywnego wpływu.

Kamieniew i Zinowiew uznali, że jest to całkiem logiczne, i zgodzili się. Stalin milczał; doskonale rozumiał, że wpływa to na wzmocnienie jego władzy - jego pomocnik będzie kontrolował działalność wszystkich ministrów i członków Komitetu Centralnego. Patrzył na mnie badawczym wzrokiem, który zdawał się jeszcze mówić: *Zdaje się, że daleko zajdziesz.*

Kontrolę nad wykonywaniem poleceń Biura Politycznego sprawowałem w następujący sposób. Zaprowadziłem duże zeszyty; po lewej stronie kartki wklejano tekst każdej uchwały, po prawej - moje uwagi o wynikach kontroli. Całą kontrolę prowadziłem samodzielnie i nikomu się nie opowiadałem. Podnosiłem słuchawkę, (kręciółka) i dzwoniłem do kierownika resortu, któremu zalecono wykonanie uchwały. *Towarzyszu Łunaczarski, mówi Bażanow. Tego a tego dnia Biuro Polityczne podjęło taką to a taką uchwałę. Powiedzcie mi, proszę, co zrobiliście, by ją wykonać.* I towarzysz Łunaczarski musiał - jak uczeń - składać sprawozdanie. Uchwały wykonywane były tylko w części, a to z powodu szczególnych cech radzieckiego systemu, niedbalstwa i ogólnego bałaganu. Towarzysz Łunaczarski musiał w sposób możliwie przekonujący tłumaczyć mi, że choć zrobiono niewiele, to jednak winę za ten stan rzeczy nie ponosi ani on osobiście, ani jego resort, lecz przeróżne przyczyny obiektywne.

Dzięki tej kontroli znalazłem się szybko w dość osobliwej sytuacji i stałem się postrachem dla wszystkich, nawet dla najwyższych postawionych członków bolszewickiej góry. Mogłem uznać wyjaśnienia za zadowalające i na tym sprawę zakończyć, mogłem jednak uznać je za niewystarczające i poinformować o tym trójcę i Biuro Polityczne. Nie o to nawet chodziło, że Biuro Polityczne po otrzymaniu ode mnie informacji natychmiast podejmie decyzję o usunięciu winowajcy - nominacje i przesunięcia dokonywane były wedle zupełnie innych zasad (walka o władzę, zakulisowe intrygi). Kiedy jednak chciano się już kogoś pozbyć i zdjąć go z zajmowanego wysokiego stanowiska, wówczas notatka sekretarza Biura Politycznego zawierająca fakty i dowody na to, że dany dygnitarz systematycznie nie wykonuje poleceń Biura, mogła stać się doskonałym pretekstem. Kontrolę tę wykonywałem przez cały czas mojej pracy w Biurze Politycznym.

Byłem młody i energiczny, więc wkrótce znalazłem sobie jeszcze jeden obszar zainteresowań. Jeszcze jako sekretarz Biura Organizacyjnego byłem obecny przy zatwierdzeniu przez to Biuro składu Rady Głównej Kultury Fizycznej oraz ogólnych zasad jej działalności. Już wtedy zauważyłem, jak bezsensownie pracuje ten resort. Wówczas jednak byłem zbyt małym kółeczkiem w maszynie całego aparatu, by wystąpić z jego krytyką.

Kultura fizyczna była rozumiana jako niemal obowiązkowe, stadne wymachiwanie rękami i nogami - rzecz pożyteczna dla zdrowia ludzi pracy i ułatwiająca ich tresurę. Taką wersję kultury fizycznej starano się narzucić prawie wszystkim klubom robotniczemu, zapędzając ludzi na prowadzone w tym duchu imprezy sportowe niemalże siłą. Nie budziło to oczywiście żadnego zainteresowania i uważane było za coś równie nudnego jak szkolenia polityczne, przed czym należało salwować się ucieczką. Sport jako taki uznawany był przez teoretyków owej „kultury fizycznej” za niezdrowy przeżytek kultury burżuazyjnej, rozwijający indywidualizm, a więc wrogi kolektywistycznym zasadom kultury proletariatu. Od radzieckiej kultury fizycznej można było umrzeć z nudów, a jej Rada Główna trwała w stanie żalosnej wegetacji.

Gdy byłem już sekretarzem Biura Politycznego, powiedziałem kiedyś Stalinowi, że cała ta „kultura fizyczna” to zwykła bzdura, która nie budzi w ludziach żadnego zainteresowania, i że należy propagować prawdziwy sport, zdrową rywalizację, gdyż dopiero wówczas można zyskać poparcie mas pracujących. Do Rady Głównej wchodzi przedstawiciel KC. Jest nim aktualnie kierownik Wydziału Propagandy KC, który zdając sobie sprawę z bezużyteczności tej instytucji, nie był tam chyba ani razu. Mianujcie mnie takim przedstawicielem, a zrobię, co trzeba; - zgodnie z linią KC zamiast kultury fizycznej będziemy mieli sport. Stalin zgodził się - przywykł już zgadzać się ze mną w sprawach, które go nie interesowały (interesowała go wyłącznie władza i walka o nią). Przez odpowiednie instancje KC niezwłocznie przeprowadziłem swoją nominację i zostałem przedstawicielem KC w Radzie (która, niestety, zachowała w swej nazwie termin „kultura fizyczna”).

Rada Główna składała się - zgodnie ze statutem - z przedstawicieli wielu resortów. Jej członkiem był m. in. Jagoda - jako przedstawiciel GPU. Całą pracą wykonywało jednak tylko Prezydium Rady, w którego skład wchodziło pięć osób: przewodniczący (minister zdrowia, Siemaszko), wiceprzewodniczący (przedstawiciel Ministerstwa Obrony, Miechonoszyn) oraz trzech członków (ja - jako przedstawiciel partii, młody doktor Ittin - przedstawiciel KC Komsomołu oraz przedstawiciel WCRZZ Sieniuszkin).

Na zwołanym plenum Rady Głównej wystąpiłem z referatem o konieczności zmiany polityki Rady w kierunku rozwijania sportu i zainteresowania nim mas pracujących. Na początek należałoby reaktywować zniszczone przez rewolucję i zlikwidowane dawne organizacje sportowe, zebrać w nich porozpędzanych na cztery wiatry zawodników i wykorzystać ich jako instruktorów i inspiratorów działalności sportowej. Następną sprawą byłoby przyciągnięcie do uprawiania sportu ludzi pracy.

Od razu sprzeciw zgłosił Jagoda: Przed rewolucją sportem zajmowali się głównie przedstawiciele burżuazji; organizacje sportowe były i będą skupiskami kontrrewolucjonistów; tworzenie im możliwości gromadzenia się i współpracy to rzecz niebezpieczna. Zresztą każdy sport jest zaprzeczeniem zasad kolektywizmu.

Podjąłem walkę wykazując, że nowa linia KC uznaje zasadę rywalizacji, bez której nie sposób wzbudzić zainteresowania ludzi pracy. Jeśli Idzie o byłych zawodników, to ich polityczne poglądy nie są tu istotne - nie da się wywołać kontrrewolucji w piłce nożnej czy w biegu na 100 metrów. Poza tym polityka partii zawsze zmierzała do wykorzystywania specjalistów; inżynierowie i technicy chociaż w przytłaczającej większości wywodzą się z burżuazji, są potrzebni w gospodarce narodowej, a Armia Czerwona mogła powstać i zwyciężać jedynie dzięki przyciągnięciu do niej specjalistów wojskowych, dawnych carskich oficerów, którzy politycznie są nam dalecy, a nawet wrocy.

Rada w pełni podzieliła mój punkt widzenia (czyli „linię KC”) Gdy Jagoda próbował jeszcze dowodzić, że kluby sportowe staną się gniazdami kontrrewolucji i że trzeba będzie na nie zwracać szczególną uwagę, Siemaszko przerwał mu: *To już sprawa waszego resortu, nas to nie interesuje.*

Sprawa szybko ruszyła z miejsca, liczba klubów rosła, ludzie zaczęli pasjonować się sportem. Latem 1924 r. zorganizowano pierwszą ogólnorosyjską olimpiadę (lekkoatletyczną), która odniosła duży sukces. Byłem na niej głównym sędzią i aktywnie uczestniczyłem w jej przygotowaniu.

GPU robiło nam ogromne kłopoty - dla nich wszyscy dawni sportowcy byli wrogami. Stale musieliśmy prowadzić z nimi wojnę i bronić tych zawodników, którzy nie pałali wielką miłością do komunizmu.

Byli i tacy, których pazurami trzeba było wydzierać z łap GPU. Anatolij Anatolewicz Pieriesielencew był najlepszym wioślarzem Rosji; w latach 1911-1912 był mistrzem Europy w jedynkach. „Wywodził się z burżuazji” i przed aresztowaniem przez GPU uratowało go tylko moje poręczenie i groźba przekazania sprawy do KC, gdyby GPU spróbowało go tknąć lub zmontować przeciw niemu jakieś zmyślane oskarżenie. Do 1927 r. Pieriesielencew żył pod moją ochroną; wiedział o tym i był mi wdzięczny. W 1927 r., nosząc się z zamiarem ucieczki za granicę, spotkałem się z nim w klubie. Powiedziałem mu, że wyjeżdżam na prowincję i że ponieważ nie będzie już miał go kto bronić, to GPU niewątpliwie natychmiast go zgarnie - radzę mu więc wszystko rzucić, zejść z oczu GPU i zaszyć się gdzieś na głuchej prowincji. Obiecał posłuchać mojej rady. Nie wiem, czy tak zrobił i jakie były jego dalsze losy.

Wkrótce sportem zaczęli zajmować się (raczej dla zdrowia) tak że członkowie bolszewickiej góry. Co prawda, ani Stalin, ani Mołotow nie poświęcili na sport ani chwili, ale Kaganowicz zimą jeździł na nartach, a ja wraz z Sokolnikowem (w owym czasie minister finansów) i z Reinholdem (kierownikiem Wydziału Budżetowego Ministerstwa Finansów) często grywaliśmy w tenisa; dołączała do nas nieraz żona Sokolnikowa, Galina Sieriebriakowa. (Sokolnikow zostanie rozstrzelany w 1941 r. w orłowskim więzieniu, Reinhold wcześniej - w roku 1936 czy 1937, Galinę Sieriebriakową zesłą na sowiecką katorgę, do obozu koncentracyjnego; wróci z niego po latach, po śmierci Stalina, i napisze, zapewne „ze strachu” kłamliwą wręcz do obrzydliwości książkę o swych przeżyciach).

STAJĘ SIĘ ANTYKOMUNISTĄ

Testament Lenina. Moja kariera. Staję się przeciwnikiem komunizmu. Prawdziwy Lenin. Dogmatycy i praktycy komunizmu. Marksizm. Wszechogarniające kłamstwo.

Zbliżał się XIII zjazd partii. Na kilka dni przed jego rozpoczęciem skrupulatna Krupska otworzyła kopertę Lenina i przesłała tę leninowską bombę (*testament*) do KC. Gdy Mechlis zreferował Stalinowi treść listu Lenina (w którym Lenin doradzał usunięcie Stalina), ten ordynarnie zwymyślał Kruską i pognął do Zinowiewa i Kamieniewa, by się z nimi naradzić.

W owym czasie Stalin bardzo jeszcze potrzebował trójcy, gdyż w pierwszym rządzie należało dobić Trockiego. Teraz okazało się, że sojusz z Zinowiewem i Kamieniewem jest ratunkiem i dla niego samego. Oczywiście trójca już wcześniej ustaliła, iż referat sprawozdawczy na zjeździe wygłosi ponownie Zinowiew, co sprawiłoby wrażenie, że jest liderem partii; aby wyraźniej podkreślić jego rolę, trójca postanowiła zwołać następny, XIV zjazd, w jego rodzinnym mieście - Leningradzie (później, po rozpadzie trójcy, decyzję tę odwołano). Teraz jednak, w związku z ujawnieniem testamentu Lenina, rzeczą najważniejszą było uzyskanie zgody Zinowiewa i Kamieniewa, by Stalin pozostał sekretarzem generalnym partii. Ze zdumiewającą wręcz naiwnością zgodzili się ratować go, sądząc, że nie jest już groźny, bowiem testament Lenina poważnie nadwyreży jego znaczenie w partii. Na dzień przed zjazdem, 21 maja 1924 r., zwołane zostało nadzwyczajne plenum KC, poświęcone wyłącznie odczytaniu testamentu Lenina.

Plenum odbywało się w sali posiedzeń Prezydium WCIK. Na niewielkim, niskim podium przy stole prezydiálním siedzieli Kamieniew i Zinowiew. Mój stolik (jak zawsze pełniłem funkcję sekretarza plenum KC) stał tuż obok nich. Członkowie KC zajmowali miejsca na ustawionych w rzędy krzesłach, twarzą w stronę podium. Trocki siedział w trzecim rządzie, przy środkowym przejściu między krzesłami, obok niego Piatakow i Radek. Stalin usiadł z prawej strony, zwrócony do okna i do prezydium, tak że członkowie KC nie mogli widzieć jego twarzy; ja natomiast mogłem go obserwować przez cały czas.

Kamieniew otworzył posiedzenie i przeczytał list Lenina. Zapanowała cisza. Twarz Stalina stała się ponura i napięta. Zgodnie z opracowanym wcześniej scenariuszem głos natychmiast zabrał Zinowiew.

Towarzysze, wszyscy wiecie, że pośmiertna wola Iljicza, każde słowo Iljicza, jest dla nas prawem. Nie raz przysięgaliśmy, że wykonamy wszystko, co nakazał nam Iljicz. I wiecie doskonale, że dochowamy tej przysięgi. Istnieje jednak jeden punkt, co do którego możemy z radością stwierdzić, że nie potwierdziły się obawy Iljicza. Wszyscy byliśmy świadkami naszej wspólnej pracy w ostatnich miesiącach i mogliście przekonać się z zadowoleniem - podobnie jak ja - że nie stało się to, czego obawiał się Iljicz. Mam na myśli naszego sekretarza generalnego i niebezpieczeństwo rozłamu w KC (przekazuję tu sens wystąpienia Zinowiewa).

Oczywiście nie była to prawda. Członkowie KC świetnie wiedzieli, że KC stoi w obliczu rozłamu. Wszyscy milczeli. Zinowiew zaproponował ponowny wybór Stalina na stanowisko sekretarza generalnego. Trocki milczał również, choć wyrazista mimika zdradzała jego bezmierną pogardę dla całej tej farsy.

Kamieniew także namawiał członków KC, by pozostawić Stalina na stanowisku sekretarza generalnego partii. Stalin, z zacisniętymi szczękami i twarzą pełną napięcia, wciąż spoglądał w okno. Decydował się jego los.

Ponieważ wszyscy milczeli, Kamieniew zaproponował podjęcie decyzji drogą głosowania. Kto jest za tym, by pozostawić towarzysza Stalina na stanowisku sekretarza generalnego KC? Kto przeciw? - Kto wstrzymuje się od głosu? Głosowano przez podniesienie rąk. Chodziłem wzdłuż rzędów krzeseł i liczyłem głosy, przekazując Kamieniewowi łączny wynik. Większość opowiedziała się za pozostawieniem Stalina, przeciw niemu głosowała niewielka grupa Trockiego; było też kilku wstrzymujących się (zajęty liczeniem nie zwróciłem nawet uwagi kto - bardzo tego żałuję).

Zinowiew i Kamieniew wygrali (gdyby wiedzieli, że zdołali zapewnić sobie kule w tył głowy!).

Półtora roku później gdy Stalin odsunął ich obu od władzy, Zinowiew, przypominając to posiedzenie, na którym wraz z Kamieniewem udało mu się uratować Stalina przed upadkiem w polityczny niebyt, zapytał z goryczą: *Czy towarzysz Stalin wie, co to jest wdzięczność?* Towarzysz Stalin wyjął fajkę z ust i odrzekł: *A jakże, oczywiście, że wiem, doskonale wiem, to taka psia choroba.*

Stalin pozostał sekretarzem generalnym. Plenum postanowiło ponadto nie ogłaszać na zjeździe testamentu Lenina i nie zapoznawać delegatów z jego tekstem; polecono jedynie kierownikom poszczególnych delegacji, by przedstawili treść tego dokumentu delegatom. Ta decyzja plenum celowo była niejasno zredagowana; pozwoliło to kierownikom delegacji na dowolną interpretację treści testamentu Lenina i decyzji plenum, bez zapoznawania ich z oryginalnym tekstem.

Dzieje władzy komunistycznej w Rosji są pełne kłamstw i najrozmaitszych fałszerstw, a obraz przeszłości dodatkowo jeszcze zaciemniają różni mniej lub bardziej wiarygodni świadkowie (i uczestnicy) wydarzeń, mylący się we wspomnieniach. Szczególnie zagmatwana jest właśnie historia testamentu Lenina. Sam Trocki, na ogół ze wszech miar wiarygodny świadek, jeśli idzie o zaistniałe fakty i daty, w tym przypadku w swojej relacji popełnia duży błąd.

Opisując posiedzenie plenum KC, na którym odczytano testament, w napisanej w ostatnich miesiącach życia książce o Stalinie (francuski tekst książki, s. 514-515) Trocki stwierdza m.in.: *W rzeczywistości testament nie tylko nie położył kresu walce wewnętrznej, czego pragnął Lenin, lecz wydatnie ją rozpałił. Stalin nie mógł już dłużej wątpić, że powrót Lenina do działalności oznaczałby śmierć polityczną sekretarza generalnego.*

Z tych słów można by wnosić, że ogłoszenie testamentu Lenina nastąpiło jeszcze za jego życia. A ponieważ testament odczytano na plenum przedzjazdowym, więc chodzi o plenum KC z 15 kwietnia 1923 r. i o XII zjazd, odbyty w dniach 17-25 kwietnia 1923 r. Jest to poważny błąd. Testament odczytano dopiero na nadzwyczajnym plenum z 21 maja 1924 r. (XIII zjazd odbył się w dniach 22-31 maja 1924 r.), czyli cztery miesiące po śmierci Lenina. To, że myli się Trocki, a nie ja, można wywnioskować z następujących faktów. Trocki, opisując przebieg plenum i ogłoszenie testamentu, powołuje się w swojej książce na mnie jako na świadka i przytacza mój opis: *Bażanow były drugi sekretarz Stalina, opisał posiedzenie KC, na którym Kamieniew odczytał testament: „Uczucie ogromnego zażenowania sparaliżowało obecnych. Stalin czuł się poniżony i zgnębiony. Patrzyłem na niego uważnie (...)”*. Z obydwu tekstów - i mojego, i Trockiego - jasno wynika, że obaj byliśmy na tym posiedzeniu, ja - jako sekretarz Biura Politycznego. I rzeczywiście w tej roli uczestniczyłem w plenum

KC 21 maja 1924 r. nie mogłem natomiast uczestniczyć w plenum kwietniowym w 1924 r., jako że sekretarzem Biura Politycznego jeszcze w tym czasie nie byłem. Tak więc nie ulega wątpliwości, że ogłoszenie testamentu miało miejsce na plenum KC z 21 maja 1924 roku, już po śmierci Lenina, i że Trocki się myli.

Referat sprawozdawczy KC wygłosił na zjeździe Zinowiew. Kilka dni przed zjazdem poprosił mnie o przygotowanie analizy pracy Biura Politycznego w minionym roku, by mógł wykorzystać zaczerpnięte z niej dane w swoim referacie. Zrobiłem to, dzieląc tysiące uchwał Biura Politycznego wg różnych kategorii i sprowadzając to wszystko do kilku wniosków (w sposób dość umowny i względny). Zinowiew wykorzystał to opracowanie w swym referacie i trzykrotnie podczas wygłaszania wymienił moje nazwisko - powoływał się na mnie i dziękował za wykonaną pracę. Był w tym ukryty cel, który doskonale rozumiałem.

Osiągnąłem już bardzo wysoki szczebel swojej kariery. Wspominałem wcześniej, że w pierwszych dniach współpracy ze Stalinem bezustannie chodziłem do niego po wytyczne. Szybko jednak przekonałem się, że niepotrzebnie, bo wcale go to nie interesowało. *Jak sądzicie, co należy zrobić? To? Aha, tak też i zróbcie.* Wkrótce przyzwyczałem się do tego. Wiedziałem, że doskonale dam sobie radę bez zwracania mu głowy, i zacząłem przejawiać własną inicjatywę na wszystkich frontach. Kierownicy resortów - członkowie rządu - musieli ciągle zwracać się do Stalina lub do Biura Politycznego z problemami, które należało rozstrzygnąć, uzgodnić itd. Jednakże po niedługim czasie uznali, że zwracanie się do samego Stalina jest rzeczą bezsensowną. Sprawy państwowe nie interesowały go w najmniejszym stopniu, niewiele zresztą z nich rozumiał, nie zajmował się nimi i był w stanie udzielać jedynie odpowiedzi czysto formalnych. Gdy pytano go o rozwiązanie jakiegoś problemu, obojętnie odpowiadał: *Cóż, wnieście tę sprawę - przedyskutujemy ją na Biurze Politycznym.*

Rozpocząwszy kontrolowanie realizacji postanowień Biura Politycznego i mając stały kontakt (poprzez sławetny kręciołek) z kierownikami wszystkich resortów i ich problemami, bardzo prędko przyzwyczałem ich, że jest taki sekretarz Biura, który orientuje się na bieżąco w ich sprawach, i że lepiej zwracać się do niego, ponieważ właśnie tam można otrzymać wszelkie informacje o biegu konkretnej sprawy, o opiniach i zamiarach Biura Politycznego w stosunku do interesujących ich zagadnień, wreszcie o tym, co najlepiej w danej sytuacji zrobić. Stopniowo doszło do tego, że w praktyce robiłem to, co powinien był robić Stalin - wskazywałem kierownikom resortów na niedostateczną współpracę z innymi resortami, tłumaczyłem, że zanim wniosą jakąś sprawę do rozpatrzenia przez Biuro Polityczne, powinni zrobić to czy tamto, innymi słowy udzielałem rad, dzięki którym oszczędzało się czas i pracę, i to nie tylko dotyczących strony formalnej, ale i merytorycznego widzenia wielu spraw wagi państwowej. Zwracano się do mnie coraz częściej. W końcu uświadomiłem sobie, że w oczywisty sposób przekraczam swoje kompetencje i wykonuję to, co w istocie rzeczy powinien robić sekretarz generalny KC. Poszedłem wówczas do Stalina i powiedziałem mu, że chyba zabrnąłem za daleko, że biorę na siebie zbyt wiele i że w gruncie rzeczy wykonuję jego pracę. Stalin odpowiedział mi na to, że instytucja pomocników sekretarzy KC została stworzona po to (zgodnie z ideą Lenina), by odciążać sekretarzy KC od spraw drugorzędnych, by mogli się skoncentrować na rzeczach najważniejszych. Zaoponowałem - na tym właśnie polega kłopot, iż zajmuję się sprawami zgoła nie drugorzędnymi, lecz najważniejszymi (rozumiałem, rzecz jasna, że dla Stalina sprawy państwowe wcale nie są najważniejsze; najważniejsze dla niego to walka o władzę,

intrygi i podsłuchiwanie rozmów rywali i przeciwników). Stalin mi odpowiedział: *Bardzo dobrze robicie, róbcie tak dalej.*

W efekcie moja kariera zaczęła przybierać dość dziwne rozmiary (a przecież wówczas miałem zaledwie 24 lata). Dla ukoronowania tego wszystkiego Zinowiew i Kamieniew przypomnieli sobie słowa Lenina: *My, towarzysze, jesteśmy pięćdziesięciolatkami, wy, towarzysze, jesteście czterdziestolatkami, musimy więc przygotować naszych następców – trzydziesto- i dwudziestolatków.* Swego czasu wybrano dwóch trzydziestolatków: Kaganowicza i Michajłowa (już o tym wspominałem). Obecnie zdecydowano, że pora wybrać dwóch dwudziestolatków. Wybrańcami zostali Łazar Szackin i ja. Nic nam oczywiście oficjalnie nie powiedziano, lecz dowiedzieliśmy się o tym od życzliwych informatorów - Szackin od sekretarza Zinowiewa, a ja od sekretarza Kamieniewa (Muzyki i Babachana). Fakt trzykrotnego wymienienia mojego nazwiska w wygłoszonym przez Zinowiewa referacie KC - najważniejszym dokumencie politycznym roku - nabierał swego sensu.

Postanowiliśmy z Szackinem poznać się bliżej. Szackin był bardzo mądrym, kulturalnym i zdolnym młodzieńcem, pochodzącym z bogatej żydowskiej burżuazji. To on właśnie wymyślił Komsomoł, był jego twórcą i organizatorem. Najpierw był pierwszym sekretarzem KC Komsomołu, później jednak, wzorem Lenina, który oficjalnie nie stał na czele partii, kierował nim przez długie lata wraz ze swym adiutantem Tarchanowem, kryjąc się za plecami oficjalnego kierownictwa. Szackin, co prawda, wchodził w skład Biura KC Komsomołu, ale formalnie organizacją kierowali sekretarze KC, których dobierał spośród ludzi niezbyt błyskotliwych. Obecnie (1924 r.) Szackin z racji wieku wystąpił już z Komsomołu i podjął naukę w Instytucie Czerwonej Profesury. Rozstrzelano go w okresie prowadzonej pod nadzorem Jeżowa czystki (1937-1938 r.); przed aresztowaniem pracował w Kominternie.

Cała ta moja wspaniała kariera wcale mnie nie cieszyła, przeciwnie - wprowadzała w zakłopotanie. Bowiem w ciągu rocznej pracy w Biurze Politycznym przeszedłem ogromną, gwałtowną i głęboką ewolucję, która właśnie dobiegała końca - z komunisty stawałem się zdecydowanym przeciwnikiem komunizmu.

Rewolucja komunistyczna jest gigantycznym przewrotem. Klasy posiadające i panujące zostają pozbawione władzy, odbiera się im ogromne bogactwa, unicestwia fizycznie. Cała gospodarka kraju przechodzi w nowe ręce. Po cóż robi się to wszystko?

Gdy miałem dziewiętnaście lat i wstępowałem do partii komunistycznej, nie miałem żadnych wątpliwości, podobnie jak dziesiątki tysięcy równie idealistycznych młodych ludzi - wszystko to robi się dla dobra ludu. Inaczej być nie może. Przypuszczać, że jakaś grupa zawodowych rewolucjonistów przechodzi przez to morze krwi i ofiar, by zawładnąć wszystkimi bogactwami kraju, by korzystać z nich i korzystać z władzy, i że jest to jedyny cel rewolucji społecznej - taka myśl wydawałaby się nam bluźnierstwem. Dla rewolucji społecznej, której celem jest szczęście ludu, gotowi byliśmy ryzykować życie, a w razie potrzeby nawet je poświęcić.

Co prawda, w okresie wojny domowej, podczas ogromnych przeobrażeń, do których doprowadziła rewolucja, i przebudowy całego życia kraju wszędzie widzieliśmy rzeczy, które były nam głęboko obce, wręcz nienawistne. Tłumaczyliśmy sobie, że są to nieuniknione koszty rewolucji: *gdzie drwa rąbią, tam wióry leżą*; naród jest dziki, niewykształcony, o niskim poziomie kultury - niezwykle trudno uniknąć ekscesów. Potępiając wiele rzeczy, pozbawieni byliśmy możliwości poprawiania tego, cośmy potępiali - nie zależało to od nas. Na przykład, po całej Ukrainie krążyły złowieszcze wieści

o okrutnym czerwonym terrorze - oprawcy z Czeka, częstokroć sadyści i narkomani, mordowali tysiące swych ofiar ze zwierzęcym okrucieństwem. Myślałem, że to tylko rozpasanie lokalnej hołoty, przestępców, którzy trafili do organów ścigania i wykorzystują swą przeważającą władzę, zaś główny ośrodek rewolucji nie ma z tym nic wspólnego i zapewne nawet nie wyobraża sobie, co wyczynia się na prowincji w imię rewolucji.

Gdy trafiłem do Komitetu Centralnego, znalazłem się blisko centrum wszystkich informacji - tu uzyskałem dokładne i ostateczne odpowiedzi na te wszystkie pytania, na które nie mógł otrzymać rzeczowej odpowiedzi szeregowy komunista z nizin partyjnych. Już pracując w Biurze Organizacyjnym znalazłem się bliżej centrum wydarzeń i wiele zrozumiałem, na przykład to, że grupa aparatczyków partyjnych na czele ze Stalinem, Mołotowem i Kaganowiczem prowadzi energiczną i systematyczną działalność zmierzającą do takiego rozlokowania swoich ludzi, by uzależnić od siebie centralne organy partii, a tym samym zdobyć władzę. Lecz to był tylko częściowy problem walki o władzę, ja zaś szukałem ogólnej odpowiedzi na pytanie najważniejsze: czy rzeczywiście wszystko to robi się dla dobra ludu?

Zostawszy sekretarzem Biura Politycznego zyskałem wreszcie szansę uzyskania właściwej odpowiedzi. Owych kilku ludzi, którzy wszystkim rządzili, którzy wczoraj zrobili rewolucję, a dziś ją kontynuują - po co i jak ją zrobili i robią? Przez cały rok nadzwyczaj skrupulatnie obserwowałem i analizowałem motywy ich działalności, ich cele i metody. Rzeczą najciekawszą byłoby oczywiście rozpoczęcie tych obserwacji od Lenina, twórcy rewolucji bolszewickiej, poznanie i ocena jego osobowości. Niestety, gdy przyszedłem do Biura Politycznego, Lenin był już sparaliżowany i praktycznie nie egzystował. Niemniej wciąż jeszcze pozostawał w centrum powszechnej uwagi. Dzięki temu mogłem wiele się o nim dowiedzieć od ludzi, którzy pracowali z nim przez ostatnie lata, oraz z różnorodnych tajnych materiałów Biura Politycznego, do których miałem dostęp. Bez trudu mogłem odrzucić fałszywe i obłudne sławienie „genialnego” Lenina, uprawiane przez grupę rządzącą po to, by uczynić z niego świętość i strojąc się w szaty jego uczniów i następców - sprawować w jego imieniu władzę. Przejrzałem na wylot zakłamanego Stalina, który we wszystkich swych wystąpieniach publicznych przysięgał wierność genialnemu nauczycielowi, a w rzeczywistości szczerze go nienawdził, gdyż Lenin stanowił dla niego główną przeszkodę na drodze do władzy. W swym sekretariacie Stalin niczym się nie krępował; z oderwanych zdań, aluzji i intonacji widziałem wyraźnie, jaki naprawdę był jego stosunek do Lenina. Nawiasem mówiąc, widzieli to też i inni, na przykład Krupskaja, która nieco później (1926 r.) powiedziała: *Gdyby Wołodia żył, siedziałby teraz w więzieniu* (świadczenie Trockiego, jego książka o Stalinie, tekst francuski, s.523).

Rozważania typu „co by było, gdyby” zawsze oczywiście należą do sfery fantazji, niemniej często myślałem o tym, jaki byłby los Lenina, gdyby umarł dziesięć lat później. Wszystko zależałoby oczywiście od tego, czy usunąłby w porę (tzn. w latach 1923-1924) Stalina z areny politycznej. Osobiście uważam, że Lenin nie zrobiłby tego. W 1923 r. chciał, co prawda, zdjąć Stalina ze stanowiska sekretarza generalnego, lecz wynikało to z dwóch przyczyn: po pierwsze, czuł, że umiera i myślał już nie tyle o swej pozycji przywódcy, ile o sukcesji (dlatego też przestał przejmować się sprawą własnej większości w KC i usunięcia Trockiego); po drugie, Stalin, widząc, że Lenin już nie powróci do zdrowia, przestał się z nim liczyć i zaczął być ordynarny zarówno wobec Krupskiej, jak i Lenina. Gdyby Lenin był jeszcze zdrow, Stalin nigdy by nie pozwoliłby sobie na takie wysoki - byłby oddanym i posłusznym stronnikiem Lenina, po cichu jednak nadal budowałby własną większość w aparacie, by we właściwym momencie Lenina usunąć, tak jak to zrobił z Zinowiewem i Trockim.

I co by się potem stało? Można próbować to sobie wyobrazić. Lenin zostałby zapewne oskarżony o wszelkie odstępstwa i błędy, leninizm ogłoszono by za taką samą herezję, jak trockizm, okazałoby się, że Lenin to agent, dajmy na to, niemieckiego imperializmu (przysłany do Rosji w zaplombowanym wagonie dla prowadzenia szpiegowskiej i innej szkodliwej działalności), ale rewolucja jednak zwyciężyła dzięki Stalinowi, który na czas wszystko naprawił, w porę zdemaskował zdrajców i szpiegów - Lenina i Trockiego, i tak Lenin nie jest już wodzem światowej rewolucji, lecz podejrzanym osobnikiem. Czy byłoby to możliwe? Wystarczy przypomnieć Trockiego, który, jak się okazało, wcale nie był centralną postacią październikowego przewrotu, wcale nie był twórcą i dowódcą Armii Czerwonej. A czym był? Zwykłym szpiegiem, na usługach zagranicy. Czemuż by nie mógł zostać nim i Iljicz? Powiedzmy, że później, po śmierci Stalina, Lenina by zrehabilitowano. A czy zrehabilitowano Trockiego?

Gdy zacząłem poznawać materiały o prawdziwym Leninie, uderzyła mnie pewna cecha, łącząca go ze Stalinem; obaj opanowani byli maniackalną żądzą władzy. Przez całą działalność Lenina jak czerwona nitka przewija się leitmotiv: *za wszelką cenę zdobyć władzę, za wszelką cenę władzę tę utrzymać*. Można przypuszczać, że Stalin dążył do władzy po to, by korzystać z niej na modłę Dżyngis-chana, i nie zaprzętał sobie głowy rozważaniami w rodzaju *a po co ta władza?*, Lenin natomiast pragnął władzy, by dysponować potężnym i niezastąpionym narzędziem, koniecznym dla zbudowania komunizmu; dlatego też starał się tę władzę utrzymać. Sądzę, że przypuszczenie to jest bliskie prawdy. W dążeniu Lenina do władzy elementy osobiste odgrywały mniejszą rolę niż u Stalina, w każdym razie na pewno inną.

Próbowałem na własny użytek określić oblicze moralne Lenina - nie tego „historycznego”, „wielkiego”, jakim przedstawia go cała marksistowska propaganda, lecz tego, jakim był w rzeczywistości. Na podstawie oryginalnych, autentycznych materiałów musiałem dojść do wniosku, że jego poziom moralny nie był zbyt wysoki. Przed rewolucją był liderem niewielkiej, skrajnie rewolucyjnej sekty, zaprzęgniętej nieustannymi intrygami, wzajemnym podgryzaniem się i walką z innymi, podobnymi sektami; bezustannie walczył (w niezbyt czysty sposób) o partyjną kasę i o datki od zaprzyjaźnionych partii socjalistycznych i burżuazyjnych dobroczyńców, o opanowanie niewielkiej gazetki, przepędzał i zaszczuwał rywali nie przebierając w środkach. Wszystko to budziło pogardę Trockiego, nawiasem mówiąc, moralnie o wiele bardziej czystego i porządnego. Niestety, obyczaje, które wprowadził Lenin, zdeterminowały również po rewolucji metody góry partyjnej - widziałem je i u Zinowiewa, i u Stalina.

A co z wielkością Lenina? Byłbym tu ostrożny. Wiadomo, że gdy jeden człowiek zabije i okradnie jedną ofiarę, to jest przestępcą. Gdy jednak jednemu człowiekowi uda się ograbić cały kraj i zabić dziesiątki milionów ludzi, uważa się go za wielką, legendarną postać historyczną. Iluż to żałosnych, odrażających megalomanów staje się - gdy uda im się dojść do władzy w dużym państwie - wielkimi ludźmi, bez względu na to, ile szkód wyrządzili swemu krajowi, a pośrednio także i innym państwom.

Doszedłem do wniosku, że Lenin był dobrym organizatorem. To, że udało mu się zdobyć władzę w tak wielkim kraju, gdyby się nad tym głębiej zastanowić, świadczy raczej o słabości jego przeciwników (mistrzów rewolucyjnej destrukcji), o ich braku umiejętności i politycznego doświadczenia, o panującej powszechnie anarchii, w której nieduża grupa przyzwoicie zorganizowanych zawodowych rewolucjonistów okazała się sprawniejszą i niemal jedyną zdolną do działania organizacją. Nie mogłem się jednak w tym wszystkim dopatrzeć szczególnego geniuszu samego Lenina.

Czego Lenin chciał? Oczywiście stworzenia komunizmu. Po przejęciu władzy Lenin i jego partia parli ku temu przebojem. Jak wiadomo, po trzech, czterech latach doprowadziło to do całkowitej katastrofy. W późniejszych opracowaniach partyjnych mówi się o tym wstydliwie nie jako o niepowodzeniu próby budowy społeczeństwa komunistycznego, lecz jako o krachu komunizmu wojennego. Jest to oczywiście zwykłe kłamstwo i fałszowanie historii. Jak Lenin przyjął tę klęskę?

Z oficjalnych wystąpień Lenina widać, jak był zmuszony do ujawnienia stopniowego ustępowania partii w obliczu klęski. Ciekawiło mnie, co Lenin rzeczywiście myślał o porażce. Prawdziwe poglądy Lenina mogło znać oczywiście tylko jego najbliższe otoczenie, w szczególności jego dwie sekretarki - Glasser i Fotijewa, z którymi pracował przez cały dzień. Chciałem zapytać je, co w szczerych z nimi rozmowach mówił na ten temat.

Z początku nie było to takie łatwe. Uważały mnie za „człowieka Stalina”. Jednak już po kilku miesiącach, podczas których miałem z nimi w pracy stałe kontakty, wyrobiły sobie o mnie inne zdanie - uznały, że jestem „człowiekiem Biura Politycznego”, a tylko formalnie zajmuję stanowisko pomocnika Stalina. Wówczas mogłem stopniowo zacząć z nimi rozmawiać o Leninie i w końcu mogłem zapytać, co Lenin naprawdę sądził o NEP-ie i czy uważał, że grozi nam krach teorii komunizmu, czy nie. Sekretarki Lenina powiedziały, że pytały go dokładnie o to samo. Lenin odpowiedział im na to: *Oczywiście, ponieśliśmy porażkę. Chcieliśmy stworzyć nowe, komunistyczne społeczeństwo, jakbyśmy mieli czarodziejską różdżkę. A tymczasem jest to problem dziesiątków lat i kilku pokoleń. Aby partia nie utraciła ducha, wiary i woli walki, musimy przedstawiać jej powrót do gospodarki rynkowej, do kapitalizmu, jako pewne chwilowe ustępstwo. Sami jednak powinniśmy zdawać sobie sprawę, że próba się nic udało, że nie sposób tak nagle zmienić psychikę ludzi i ich odwieczne nawyki. Można spróbować siłą wtłoczyć ludzi w nowy ustrój, ale wątpliwe, czy w trakcie takiej wszechrosyjskiej rzezi zdołalibyśmy utrzymać władzę.*

Te słowa Lenina stale wspominałem później, gdy po kilku latach Stalin zaczął realizować ową wszechrosyjską rzeź i siłą przymuszać naród do komunizmu. Okazało się, że jeśli dziesiątki milionów ofiar nie są ceną zbyt wygórowaną, to rzecz może się udać. Można przy tym zachować też władzę. Lenina powstrzymał Kronsztad i antonowskie powstanie. Stalin nie zawahał się stworzyć Archipelag Gułag.

Ciekawy szczegół. Chciałem dowiedzieć się, z jakich książek Lenin korzystał najczęściej. Jak mi powiedziała Glasser, była wśród nich „Psychologia tłumu” Gustawa Le Bona. Można jedynie zgadywać, czy dla Lenina była ona niezastąpionym, praktycznym zbiorem wskazówek co do sposobów oddziaływania na masy, czy też dzięki tej znakomitej pracy Le Bona zrozumiał, że - wbrew naiwnym teoriom Rousseau - przetworzenie wielowiekowych splotów elementów życia za pomocą dekretów fantastów i dogmatyków nie jest takie łatwe (i dlatego po wszystkich wspaniałych rewolucjach życie wraca w stare koryto).

Było zupełnie oczywiste, że podobnie jak Lenin, również i Trocki był fanatykiem komunistycznych dogmatów (tyle, że mniej, elastycznym). Jego jedynym celem było także zbudowanie komunizmu. Problem dobra ludu, jeśli w ogóle taki problem rozważał, mógł być dla niego jedynie czymś oderwanym, dotyczącym dalekiej przyszłości.

Tu jednak musiałem władców Rosji podzielić na trzy grupy. Pierwsza - to Lenin i Trocki, fanatyczni dogmatycy; dominowali w latach 1917-1922, lecz dziś należeli już do przeszłości. Władzę miały i o

władzę walczyły dwie pozostałe grupy - nie fanatyczni dogmatycy, lecz praktycy komunizmu. Jedna - to grupa Zinowiewa i Kamieniewa, druga - grupa Stalina i Mołotowa. Dla nich komunizm był metodą, sprawdzoną metodą zdobywania władzy i wciąż sprawdzającą się metodą jej sprawowania. Zinowiewowie i kamieniewowie byli praktykami korzystania z władzy; nie tworząc nic nowego, starali się kontynuować metody Lenina. Stalinowie i mołotowowie stali na czele aparaczków, zdobywających stopniowo władzę po to, by się nią posługiwać. Mówi się o tym dzisiaj jako o „biurokratycznym wypaczeniu” partii. Obie te grupy, reprezentujące teraźniejszość i przyszłość partii i władzy, w ogóle nie stawiały przed sobą kwestii dobra ludu, nawet nie wypadało się kwestią tą zajmować. Obserwując ich stale w toku codziennej pracy z goryczą musiałem stwierdzić, że dobro ludu to ostatnia rzecz, o którą mogliby się troszczyć. Zresztą i sam komunizm był dla nich jedynie skuteczną metodą, z której nie należy rezygnować.

Pozostaje więc wniosek, że rewolucji społecznej dokonano bynajmniej nie dla ludu. W najlepszym wypadku - w imię teoretycznego dogmatu (Lenin i Trocki), w nieco gorszym - w celu korzystania z przywilejów władzy przez ograniczoną grupę ludzi (Zinowiew i Kamieniew), w najgorszym - dla niemal przestępczego i bezceremonialnego posługiwania się władzą przez amoralnych uzurpatorów (Stalin).

Rozważmy ten najlepszy przypadek. Rewolucji dokonano w imię marksistowskiego dogmatu. A jaki jest stosunek do tego dogmatu samego Biura Politycznego? Od pierwszych dni sekretarzowania w Biurze Politycznym moje ucho wyłowiło ironiczny sens pojęcia „wykształcony marksista”. Okazało się, że określenie „wykształcony marksista” należało rozumieć jako „bałwan i gaduła”.

Zdarzały się sytuacje, w których było to zupełnie jasne. Ludowy komisarz d/s finansów Sokolnikow, przeprowadzający kolejną reformę, przedstawia do zatwierdzenia Biuru Politycznemu kandydaturę profesora Jurowskiego na stanowisko członka Kolegium Ministerstwa Finansów i dyrektora Wydziału Dewizowego. Jurowski nie jest komunistą, Biuro Polityczne w ogóle go nie zna. Któryś z członków Biura pyta: *Mam nadzieję, że to nie marksista?* - *Ależ, co wy, co wy* - pospiesznie odpowiada Sokolnikow - *toż to Wydział Dewizowy, tam nie można mieć ozorem, tam trzeba znać się na rzeczy.* Biuro Polityczne zatwierdza kandydaturę Jurowskiego bez zastrzeżeń.

Staram się pogłębić swą wiedzę w zakresie teorii marksizmu. Rzuca się w oczy, że rosyjska rewolucja społeczna przeprowadzona została wbrew wszelkim teoriom i przewidywaniom Marksa. Na kapitalistycznym Zachodzie jego prognozy bez reszty obaliło samo życie - zamiast przewidywanego silnego zubożenia proletariatu następuje stały i nie znany dotąd wzrost poziomu życia mas pracujących (pamiętam, że według znanego, szczegółowego raportu marszałka Vaubana, przedstawionego Ludwikowi XIV, w owym czasie piąta część ludności Francji umierała z chorób - nie ze starości, lecz na skutek głodu; porównuję to z początkiem XX wieku i z poziomem życia ludzi pracy na Zachodzie). A Marks już absolutnie nie wyobrażał sobie rewolucji społecznej w Rosji, gdzie 85% ludności stanowili drobni posiadacze - chłopci, a robotników było, śmiech wspominać, niewiele ponad 1% ogółu ludności (w 1921 r. liczba ludności Rosji Radzieckiej w ówczesnych jej granicach wynosiła 134,2 miliona osób; w tym było 1,4 miliona robotników przemysłowych; liczby te wzięte są z oficjalnej historii KPZR, t.4, s.8, rok wydania 1970).

Prawdę mówiąc, im dalej zagłębiam się w teorię marksizmu, tym bardziej mdli mnie od tego galimatiasu, pompatycznie przedstawianego jako naukowa ekonomia. Trzeba jednak w tym wszystkim się jakoś połapać. Zacząć należy od Adama Smitha, który w drugiej połowie XVIII wieku,

pełen najlepszych chęci, próbował stworzyć naukowe podstawy ekonomii. Próba okazała się jednak przedwczesna, ponieważ metody nauk ścisłych dopiero tworzone i nie dało się ich jeszcze zastosować do tak złożonej i trudnej dziedziny jak ekonomia. Do analizy badanych zjawisk ekonomicznych Smith użył metodologii ówczesnej niemieckiej filozofii idealistycznej (dialektyki, noumenów i fenomenów itp.), co nie mogło przynieść żadnych korzyści, jeśli idzie o naukowe poznanie całego obszaru ekonomii. Z tego filozoficznego zamętu skleił Smith teorię wartości pracy - poroniony ptód niemieckich koncepcji filozoficznych. Co wyznacza cenę towarów? Poszukiwanie rzeczywistych przyczyn i skutków nie należy do sfery filozofii. Cena jest zjawiskiem. Jest to wartość. Nią też należy się zajmować. Wyznaczona jest przez pracę, pracę fizyczną, włożoną w wyprodukowanie towaru (*Ala za pozwoleniem - zaprzecz rzeczowi obserwatorzy - przecież to nieprawda; można podać tysiące przykładów, że tak nie jest; a gdzie maszyna, która wykonuje taką samą pracę? a gdzie cena diamentu, nawet bez trudu znalezionego nad brzegiem morza? itd.*). Smith poprawił się: wartość określona jest nie przez pracę prostą, lecz przez średnią pracę społecznie niezbędną. Teoria ta, pretendująca do miana naukowej, choć całkowicie fałszywa, zasługuje na uwagę z jednego względu: pokazuje, ile milionów istnień ludzkich może kosztować nieudany twórcy umysłu człowieka. A wszystko dlatego, że zrodzony przez Adama Smitha bękart zaczął żyć własnym, teoretycznym życiem. Po nim przyszedł Ricardo i wyprowadził z tej teorii wszystkie możliwe logiczne wnioski: jeśli tylko praca fizyczna, tylko robotnik tworzy wartości, to jakim sposobem powstaje kapitał? Oczywiście, kapitalista nie wypłaca robotnikowi pełnej zapłaty za to, co ten wytworzy; część przywłaszcza sobie (wartość dodatkowa). Nagromadzenie owych przywłaszczonych, skradzionych części tworzy kapitał. Tak więc - ogłosił Karol Marks - każdy kapitalista jest złodziejem i łajdakiem, a każdy kapitał to majątek skradziony, zagrabiony kosztem robotników. Zatem proletariusze wszystkich krajów powinni łączyć się, by siłą odebrać to, co im skradziono.

Na pierwszy rzut oka aż dziw bierze, że cały ten galimatias można traktować jako coś naukowego. Zgodnie z nim, to tylko ruchy rąk tworzą wartości, rzeczy pożyteczne, towary i tylko one napędzają całą ekonomikę. A gdzie praca uczonego, wynalazcy, inżyniera czy organizatora przedsiębiorstwa? To nie praca rąk, tylko mózgu. Czy ten rodzaj pracy niczego nie tworzy, nie ma żadnego znaczenia? Ludzie zawsze mieli ręce, a przecież gigantyczny rozwój dobrobytu społeczeństw dokonywał się jedynie wówczas, gdy mózgi uczonych i techników znajdowały sposoby takiego poruszania rękami i maszynami, by osiągnąć nieporównanie lepsze wyniki. A tymczasem według Marksa, kto nie porusza rękami, ten jest złodziejem i pasożytem. Cóż to za żałosna bzdura. W tym całym nonsensem pretendującym do miana nauki wszystko postawione jest na głowie.

A przecież marksizm okazał się w życiu naszego społeczeństwa czynnikiem o ogromnej sile. W tym miejscu należy ponownie przytoczyć sformułowanie Le Bona: *Rozum tworzy wiedzę, emocje napędzają historię*. Teoria marksizmu, tak bezwartościowa dla zrozumienia życia ekonomicznego, okazała się dynamitem w sensie emocjonalnym. Powiedzieć biednym i pokrzywdzonym: jesteście biedakami, jesteście nieszczęśliwi, bo okradli was i nadal okradają bogacze - to wzniecić taką zawiść i taką nienawiść, których nawet morze krwi nie jest w stanie zażegnać. Marksizm to kłamstwo, ale kłamstwo o niezwyklej sile wybuchowej. I na tym fundamencie zbudował Lenin swój kościół - w Rosji.

Szybko nauczyłem się rozróżniać wszystkie odcienie stosunku wodzów komunizmu do teorii Marksa. Jako praktycy i pragmatycy w kierowaniu państwem doskonale zdawali sobie sprawę z nieprzydatności marksizmu dla zrozumienia i organizowania życia gospodarczego; stąd też ich ironicznie sceptyczny stosunek do „wykształconych marksistów”. Jednocześnie jednak niezwykle

wysoko oceniali emocjonalno-wybuchową siłę marksizmu, która dała im władzę i która da im (jak nie bez podstaw się spodziewali) władzę na całym świecie. Reasumując: marksizm jako nauka jest bzdurą; jako metoda rewolucyjnego kierowania masami jest niezastąpiony.

Zdecydowałem nieco dokładniej zbadać ich stosunek do marksizmu. Oficjalnie nie można go tknąć, dopuszcza się jedynie jego „interpretowanie”, i to w najbardziej ortodoksyjnym sensie.

Często bywałem w domu Sokolnikowa. Grigorij Jakowlewicz Sokolnikow (prawdziwe nazwisko – Brilliant) w przeszłości był adwokatem. Należał do grupy Zinowiewa-Kamieniewa i niewątpliwie był jednym z najzdolniejszych i błyskotliwych bolszewickich przywódców.

Z każdej przydzielanej mu roli wywiązywał się doskonale. W czasie wojny domowej z powodzeniem dowodził armią. Po okresie NEP-u jako ludowy komisarz d/s finansów świetnie przeprowadził reformę pieniądza - wprowadził twardego *czewońca* i szybko uporządkował chaotyczną bolszewicką gospodarkę pieniężną. Po XIII zjeździe w maju 1924 r. został zastępcą członka Biura Politycznego. Na zjeździe w 1926 r. opowiedział się po stronie Zinowiewa i Kamieniewa i był jedynym mówcą żądającym z trybuny zjazdowej usunięcia Stalina ze stanowiska sekretarza generalnego. Kosztowało go to utratę i stanowiska ministra finansów, i miejsca w Biurze Politycznym. Na XV zjeździe, gdy Stalin podjął swój zbrodniczy kurs na kolektywizację, Sokolnikow wystąpił przeciwko tej polityce i domagał się normalnego rozwoju gospodarki, od przemysłu lekkiego poczynając.

Pewnego razu (było to w roku 1925) wstąpiłem do Sokolnikowa. Był niezdrów i nie wychodził z domu. Zazwyczaj rozmawialiśmy o finansach i ekonomii. Tym razem postanowiłem zaryzykować i rozpocząłem rozmowę o marksizmie. Nie negując jego rewolucyjnej roli, podjąłem krytykę samej teorii. Zacząłem od tego, że narodziła się ona niemal przed wiekiem i że życie przyniosło wiele zmian, należałoby więc ją zmodyfikować. Stwierdziłem także, że Biuro Polityczne faktycznie nie korzysta z niej w jej obecnej formie, ponieważ wyraźnie odbiega ona od życia. Pod pozorem troski o potrzebę doskonalenia teorii zdecydowanie ją podważałem. Sokolnikow uważnie wysłuchał mojej długiej tyrady. Gdy skończyłem, powiedział: *Towarzyszu Bażanow, w tym, co mówicie, jest wiele rzeczy słusznych i ciekawych. Istnieją jednak tabu, których tykać nie wolno. Przyjacielska rada: nigdy i nikomu nie mówcie tego, co mi powiedzieliście.* Oczywiście, rady tej posłuchałem.

Tak więc doszedłem do wniosku, że wodzowie komunizmu posługują się nim jedynie jako metodą, by - mając w pełnej pogardzie interes ludu - utrzymać się przy władzy. Propagując komunizm, broniąc go i usiłując wzniecić komunistyczny pożar na całym świecie, w ogóle nie wierzą w jego dogmat, w jego teorię. Był to dla mnie klucz do zrozumienia jeszcze jednego, niezwykle ważnego aspektu całej sprawy, który cały czas przejmował mnie niepokojem.

Wszędzie wokół panowało kłamstwo - cała praktyka komunizmu na wylot przesiąknięta była kłamstwem. Dlaczego? Już rozumiałem dlaczego. Przywódcy sami nie wierzyli w to, co głosili jako prawdę, jako ewangelię. Był to dla nich jedynie sposób, a cele były inne, nikczemne, nie można się było do nich przyznać. Stąd też i kłamstwo jako przenikający wszystko stały system - nie przypadkowa taktyka, lecz istota rzeczy.

Zgodnie z marksistowskim dogmatem mamy w Rosji dyktaturę proletariatu. Po siedmiu latach rewolucji komunistycznej proletariatem stała się cała ograbiona i wynędzniała ludność kraju. Nie ma ona oczywiście nic wspólnego ze sprawowaniem władzy. Dyktaturę ustanowiono nad nią, nad

proletariatem. Oficjalnie władzę sprawują robotnicy i chłopcy. A przecież każde dziecko wie, że władza znajduje się wyłącznie w rękach partii, już nawet nie partii, lecz aparatu partyjnego. W kraju istnieje masa rozmaitych organów władzy Rad, które w rzeczywistości są tylko całkowicie bezwolnymi wykonawcami i rejestratorami decyzji organów partyjnych. Ja także jestem trybikiem w tej maszynie kłamstwa. Moje Biuro Polityczne jest władzą najwyższą, lecz ten fakt jest ściśle tajny, należy ukryć go przed całym światem. Wszystko, co dotyczy Biura Politycznego jest ściśle tajne: wszystkie decyzje, notatki, załączniki, materiały; za ujawnienie tajemnicy winnym grożą najrozmaitsze kary. Ale kłamstwo rozrasta się, przenika wszystko. Związki zawodowe oficjalnie są instytucją broniącą ludzi pracy. W rzeczywistości są to organy kontroli i policyjnego przymusu, których jedynym zadaniem jest zmuszenie robotników do jak najcięższej pracy, by wycisnąć z nich jak najwięcej dla władzy, która traktuje ich jak niewolników. Zakłamana jest cała terminologia. Wyniszczającą katorgę określa się jako *poprawcze obozy pracy*, a setki łgarzy w gazetach pieją dytyramby na cześć niezwykle mądrej i humanistycznej władzy radzieckiej, która poprzez pracę wychowuje po nowemu najzagorzalszych swych wrogów.

I na posiedzeniach Biura Politycznego często zadaję sobie pytanie: gdzie ja jestem? Na posiedzeniu rządu ogromnego państwa czy w jaskini Ali-Baby, gdzie spiskuje szajka przestępców?

Oto przykład. Na każdym posiedzeniu Biura Politycznego w pierwszej kolejności rozpatrywane są zazwyczaj sprawy Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych. Obecni są zwykle komisarz ludowy Cziczeryn i jego zastępca Litwinow. Referuje na ogół Cziczeryn, Mówi nieśmiało, z uniżeniem, chwyta każdą uwagę członków Biura. Od razu widać, że nic w partii nie znaczy - przed rewolucją był mieńszewikiem. Litwinow na odwrót, zachowuje się nonszalancko i bezczelnie. Nie tylko dlatego, że z natury jest chamem. *Jestem starym bolszewikiem i jestem tu u siebie w domu*. Rzeczywiście, jest dawnym współtowarzyszem Lenina i dawnym emigrantem. Co prawda, najbardziej znane karty z jego przedrewolucyjnej działalności partyjnej to ciemne machinacje finansowe, np. wymiana na Zachodzie carskich papierów wartościowych zagrabionych na Kaukazie podczas zbrojnego napadu na urząd skarbowy; numery papierów o dużej wartości były spisane i dlatego nie można było wymienić ich w Rosji; Lenin polecił dokonanie wymiany kilku podejrzanym osobnikom, wśród których był i Litwinow; podczas wymiany wpadł, został aresztowany i siedział w więzieniu.

Cała rodzinka Litwinowa to ludzie tego samego pokroju. Jego brat, biorąc udział w jakichś radzieckich machlojkach we Francji i przy okazji korzystając z faktu, że ma brata wiceministra, próbował tak dalece wykiwać radzieckie organy, iż w efekcie rząd musiał zwrócić się do burżuazyjnego sądu francuskiego i wykazać, że brat Litwinowa to cwaniak i łajdak.

Litwinow i Cziczeryn wściekle się nienawidzą. Nie ma miesiąca, bym nie otrzymał ściśle tajnej, tylko do wglądu członków Biura Politycznego notatki służbowej i od jednego, i od drugiego. Cziczeryn skarży się w tych notatkach, że Litwinow to kompletny cham i nieuk, prymitywny, obrzydliwy bydlak, dopuszczanie którego do pracy dyplomatycznej jest oczywistym błędem. Litwinow pisze, że Cziczeryn to pederasta, idiota, maniak, facet nienormalny, pracuje wyłącznie nocami, dezorganizując przez to funkcjonowanie ministerstwa; do tego wszystkiego dołącza Litwinow malownicze szczegóły, jak to przez całą noc przed gabinetem Cziczeryna stoi na straży czerwonoarmista z oddziałów ochrony wewnętrznej GPU, dobierany przez szefostwo tak, by nie można mieć najmniejszej wątpliwości co do jego moralności. Członkowie Biura Politycznego czytają te notatki, uśmiechają się i na tym sprawy się kończą.

Omawiane są więc problemy polityki zagranicznej, dotyczące jednej z kolejnych konferencji międzynarodowych. *Proponuję* - mówi Litwinow - *aby uznać carskie długi*. Przyjmuję to nie bez zdziwienia. Lenin i rząd radziecki dziesiątki razy oznajmiali, iż jedną z głównych zdobyczy rewolucji jest odmowa spłacenia zagranicznych długów zaciągniętych przez carską Rosję (nawiasem mówiąc, francuscy bankierzy nic na tym nie stracili - tuż po podpisaniu pożyczki wzięli odpowiednie komisowe; straciła francuska midinetka i drobny urzędnik, gromadzący pieniądze na starość i ufni w zapewnienia banków, że nie ma pewniejszego miejsca dla ich oszczędności). Któryś z członków Biura Politycznego, zdaje się Michał Iwanowicz Kalinin, pyta: *Które długi, przedwojenne czy wojenne? - I te, i tamte* - niedbale rzuca Litwinow. *Skąd weźmiemy środki na ich zapłacenie?* Wyraz twarzy Litwinowa jest bezczelny i na wpół pogardliwy, papieros zwisa z kącika ust. *A któż powiedział, że będziemy płacić? Nie powiedziałem płacić, tylko uznać*. Michał Iwanowicz nie poddaje się: *Ale uznać, to przyznać; że jesteśmy winni i tym samym obiecać, że zapłacimy*. Litwinow sprawia wrażenie znużonego - jak można nie rozumieć tak prostych rzeczy. *Ależ skąd, o żadnym płaceniu nie ma mowy*. W tym momencie zainteresowanie okazuje Kamieniew: *Jak to zrobić, żeby uznać, nie zapłacić i nie stracić twarzy?* (trzeba oddać Kamieniewowi sprawiedliwość - martwi się jeszcze o zachowanie twarzy). *Ależ nic prostszego* - tłumaczy Litwinow. - *Ogłosimy całemu światu, że uznajemy carskie długi. Zaraz różni poczciwi idioci podniosą szum, że bolszewicy zmieniają się, że stajemy się państwem jak wszystkie inne itp. Wyciągamy z tego wszelkie możliwe korzyści, Następnie przekazujemy w teren kanałami partyjnymi tajne rozporządzenie: należy wszędzie zorganizować grupy ofiar obcej interwencji, które będą zbierać dane o „roszczeniach” poszkodowanych; doskonale wiecie, że jeśli roześlemy kanał partyjnym odpowiedni okólnik, to zbierzemy informację o tych roszczeniach na dowolną sumę; powiedzmy, że będziemy skromni i zbierzemy je na sumę niewiele tylko przewyższającą carskie długi, Gdy zaczną się pertraktacje o spłatach, przedstawimy własne roszczenia, które w pełni pokryją zadłużenie, a ponadto zażądamy, by wypłacono nam różnicę*.

Projekt omawiany jest z całą powagą. Podstawowy kłopot to zbyt jeszcze świeżo tkwiące w pamięci triumfalne deklaracje Lenina o odmowie spłaty carskich długów. Powstaje obawa, że spowoduje to zamęt wśród bratnich partii komunistycznych za granicą. Kamieniew nawet wprost stwierdza: *To jest właśnie to, co Curzon nazywa małpimi sztuczkami bolszewików*. Na razie postanowiono wstrzymać się z podjęciem decyzji w sprawie propozycji Litwinowa.

SEKRETARIAT STALINA. WOJSKOWI

Stalinowskie listy. Towstucha i Mechlis. Trwa walka o władzę. Trocki usunięty z Armii Czerwonej. Frunze, Woroszyłow, Budionny.

Minął XIII Zjazd i Towstucha energicznie zabiera się do kolejnej „ciemnej” sprawy. Gromadzi u siebie, w celu przestudiowania, wszystkie materiały zjazdu. Niebawem wychodzi na jaw, że interesują go nie wszystkie materiały, lecz tylko niektóre. Bada je wraz z jakimś podejrzanym czekistą, jak się okazuje, specjalistą grafologiem.

Gdy delegaci przybywają na zjazd, zgłaszają się do komisji mandatowej, która sprawdza ich mandaty i wydaje legitymacje członków zjazdu (z prawem głosu decydującego lub doradczego). Każdy delegat musi przy tym własnoręcznie wypełnić bardzo długą ankietę z kilkudziesięcioma pytaniami. Powinność ta obowiązuje wszystkich.

W trakcie zjazdu komisja mandatowa przeprowadza statystyczną analizę ankiet i przed końcem obrad składa sprawozdanie: w zjeździe uczestniczyło tylu to a tylu delegatów, w tym tylu to a tylu mężczyzn, tyle to a tyle kobiet; według pochodzenia społecznego delegaci dzielą się tak a tak, według wieku, według stażu partyjnego itd. Wszyscy delegaci doskonale rozumieją potrzebę prowadzenia takich drobiazgowych ankiet.

Jest jednak pewien szczegół, którego nie są w stanie przewidzieć.

Pod koniec zjazdu odbywają się wybory centralnych władz partyjnych (KC, CKK, Centralnej Komisji Rewizyjnej). Wybory te poprzedza zebranie liderów Komitetu Centralnego z kierownikami najważniejszych delegacji (Moskwy, Leningradu, Ukrainy itd.). Jest to tzw. konwent seniorów, zwany przez wszystkich w żargonie *błękitną kopertą*¹ toku dyskusji ustala on projekt składu nowego Komitetu Centralnego. Lista ta zostaje wydrukowana i każdy z delegatów, który ma prawo głosu decydującego, otrzymuje jeden egzemplarz. Stanowi on kartę wyborczą, wrzucaną do urny podczas przeprowadzanych w tajnym głosowaniu wyborów KC. Fakt, że istnieje tylko jedna lista, wcale nie oznacza, iż delegaci muszą na nią głosować. Tu jest partia, a nie wybory do rad. W partii panuje jeszcze pewna wolność i każdy delegat ma prawo wykreślić z tej listy dowolne nazwisko i na to miejsce wstawić inne, wedle własnego uznania (co, zauważmy, musi zrobić własnoręcznie). Następnie odbywa się liczenie głosów. Szanse na to, by ktoś wysunięty przez błękitną kopertę nie został wybrany, są niewielkie. Potrzebna byłaby do tego mało prawdopodobna zmowa większych delegacji (stołecznych i innych). Lecz choć lista zwykle przechodzi, to liczba głosów oddanych na poszczególnych kandydatów waha się w dość szerokich granicach. Jeśli liczba delegatów wynosi, powiedzmy, 1000, to najpopularniejsi ludzie w partii otrzymują 950-970 głosów, a najmniej popularni zbiorą ich może 700. Zwraca się na to baczną uwagę i rejestruje.

To, czego się jednak nie bierze pod uwagę i o czym nikt nie wie, to praca Towstuchy. Towstuchę (czyli Stalina) najbardziej interesuje, kto z delegatów skreślił Stalina na swej liście wyborczej. Gdyby tylko

¹ Nieprzetłumaczalna gra słów: *senioren-konwient* - *sinij konwiert*; *sinij* (błękitny) kojarzyć się tu ma także z arystokracją (przyp. tłum.).

wykreślił, to jego nazwisko pozostałoby nieznanne. Jednakże skreślając musiał w to miejsce wpisać inne nazwisko, a to dostarcza danych o jego charakterze pisma. Porównując listy wyborcze z własnoręcznie przez delegatów wypełnionymi ankietami, Towstucha i czekista-grafolog ustalają, kto głosował przeciwko Stalinowi (a tym samym jest jego skrytym wrogiem), a także, kto głosował przeciw Zinowiewowi, kto przeciw Trockiemu, kto przeciw Bucharinowi. Wszystko to jest dla Stalina niezwykle ważne i zostanie zapamiętane. Przyjdzie czas - za dziesięć lat - kiedy głosujący przeciw Stalinowi dostaną kulę w łeb. Towstucha sporządza listy na czas przyszłych porachunków. A towarzysz Stalin nigdy niczego nie zapomina i nigdy niczego nie wybacza.

Aby o tej pracy Towstuchy powiedzieć wszystko do końca, muszę wybiec nieco naprzód. Po XIII zjeździe partii w latach 1925-1926 ciągle jeszcze panuje ta sama wolność wewnątrzpartyjna. W komitetach i POP-ach, na zebraniach organizacji partyjnych i na zebraniach aktywu toczy się walka z opozycją. Przywódcy opozycji gorąco namawiają swych stronników do jak najczęstszych wystąpień atakujących Komitet Centralny, co podkreślałoby siłę i znaczenie opozycji.

Co mnie jednak dziwi, to fakt, że po XIV zjeździe Stalin i jego nowa większość w KC nic przeciw tej wolności nie mają. Wydaje się to niezgodne z obyczajami Stalina; byłoby przecież prościej zabronić prowadzenia dyskusji w partii - wystarczyłoby podjąć na plenum KC odpowiednią uchwałę, że spory są szkodliwe dla pracy partyjnej, odciągają ludzi od pożytecznej, twórczej pracy.

Znam już jednak dobrze Stalina i domyślam się, o co chodzi. Ostateczne potwierdzenie mych domysłów daje mi rozmowa ze Stalinem i Mechlisem. Mechlis trzyma w ręku sprawozdanie o jakimś zebraniu aktywu partyjnego i cytuje niezwykle ostre wystąpienia opozycjonistów. Oburza się: *Towarzyszu Stalin, to już przechodzi wszelkie granice. Dlaczego Komitet Centralny pozwala, by tak otwarcie go dyskredytowano? Czy nie lepiej tego zakazać? Towarzysz Stalin uśmiecha się: Niech sobie gadają! Niech gadają! Nie jest niebezpieczny wróg, który sam się ujawnia. Niebezpieczny jest wróg ukryty, którego nie znamy. A ci, którzy się już ujawnili, są spisani - przyjdzie czas, kiedy się z nimi porachujemy.*

To kolejna „ciemna sprawka” Towstuchy. W swym gabinecie w Instytucie Lenina sporządza wykazy - długie listy ludzi, którzy dziś tak naiwnie występują przeciwko Stalinowi. Myślą sobie: *Dziś jesteśmy przeciw, jutro być może będziemy za Stalinem - w partii panowała, panuje i będzie panować wewnętrzna wolność.* Nie rozumieją, że Stalin utrzymujący się przy władzy umożliwia im podpisanie na siebie samych wyroku śmierci; za kilka lat, według list sporządzanych dziś przez Towstuchę będą rozstrzelani na pięćki, setki, tysiące. Niezmierna jest ludzka naiwność.

Jak się czuję w sekretariacie Stalina, w tym miejscu o nadzwyczajnym znaczeniu? Nie darzę najmniejszą sympatią ani Kannerę, ani Towstuchę. Kannerę uważam za niebezpieczną żmiję; nasze stosunki są czysto robocze. Widząc moją karierę, stara się być wobec mnie bardzo uprzejmy. Nie mam jednak najmniejszych złudzeń. Jeśli jutro Stalin uzna za wskazane zlikwidować mnie, zleci to zadanie Kannerowi, a Kanner znajdzie już na to stosowny sposób. Kanner jest według mnie osobnikiem o przestępczej naturze. To, że jest tak potrzebny Stalinowi, wiele mówi także o samym „gospodarzu” (jak lubią nazywać Stalina Mechlis i Kanner). Z pozoru Kanner jest zawsze wesoły i przyjacielski. Jest niewysoki, zawsze chodzi (nie wiedzieć czemu) w butach z cholewami, włosy ma czarne, kręcone.

Towstucha (Iwan Pawłowicz) to wysoki, bardzo chudy, chory na gruźlicę inteligent; właśnie na gruźlicę umiera w 1935 r. , gdy rozstrzelania ludzi z jego list dopiero się rozpoczynają. Żona jest również gruźliczką. Towstucha ma 35 czy 36 lat. Przed rewolucją żył za granicą na emigracji, do Rosji wrócił po rewolucji. W 1918 r. nie wiedząc dlaczego został sekretarzem Ludowego Komisariatu d/s Narodowości, którym kierował Stalin (nic tam właściwie nie robiąc). Stamtąd przeszedł do aparatu KC, jeszcze zanim Stalin został sekretarzem generalnym. Gdy w 1922 r. Stalin objął to stanowisko, wziął Towstuchę na swego sekretarza, którym praktycznie był do śmierci, zajmując się co ważniejszymi „ciemnymi” sprawami. W tym samym czasie formalnie był również pomocnikiem dyrektora Instytutu Lenina, później Instytutu Marksa, Engelsa i Lenina. W 1927 r. Stalin uczyni go swym głównym pomocnikiem (mnie w sekretariacie już nie będzie, a Mechlis odejdzie na studia do Instytutu Czerwonej Profesury). W sekretariacie Stalina Towstucha będzie miał pod sobą i Poskriebyszewa, kierującego tzw. Sektorem Specjalnym (po śmierci Towstuchy Poskriebyszew zajmie jego miejsce), i Jeżowa, kierującego „działem kadr” sekretariatu Stalina (to on po śmierci Towstuchy będzie kontynuował sporządzanie sławetnych list i zaleje kraj nowym morzem krwi, oczywiście ze szczytnej inicjatywy swego szefa, wielkiego i genialnego towarzysza Stalina), i Malenkowa, sekretarza Biura Politycznego (przez ostrożność nazywanego „sekretarzem protokolanem Biura Politycznego”), i zastępcę Poskriebyszewa z Sektora Specjalnego (który potem zastąpi Jeżowa na stanowisku kierownika działu kadr).

W im większym stopniu Stalin będzie stawał się samodzielnym dyktatorem, tym istotniejsza będzie rola jego sekretariatu. Nadejdzie moment, gdy w aparacie władzy stanie się mniej ważne, że ktoś jest prezesem Rady Ministrów lub członkiem Biura Politycznego, niż że jest sekretarzem Stalina i ma z nim stałe kontakty.

Towstucha to ponurak, patrzy zawsze spode łba. Głucho pokasłuje - zostało mu tylko pół płuca. Stalin ma do niego pełne zaufanie. Wobec mnie Towstucha zachowuje się ostrożnie (*nazbyt wspaniałą karierę robi ten chłopak*), ale nie może mi wybaczyć, że zastąpiłem go (i Nazaretiana) na stanowisku sekretarza Biura Politycznego i że pozostaję w centrum wydarzeń, podczas gdy on gdzieś za kulisami musi prowadzić dla Stalina jakieś brudne sprawy. Pewnego razu próbuje mi dopiec. Mówi Stalinowi (nie przy mnie, lecz w obecności Mechlisa, który wszystko mi później opowiedział) *Dlaczego Bażanowa nazywa się sekretarzem Biura Politycznego? Przecież to wy, towarzyszu Stalin, jesteście sekretarzem Biura. Bażanow ma prawo nazywać się jedynie technicznym sekretarzem Biura Politycznego.* Stalin odparł wymijająco: *Oczywiście, odpowiedzialnym sekretarzem Biura Politycznego, wybranym przez Komitet Centralny, jestem ja. Jednak Bażanow wykonuje bardzo ważną pracę i odciąży mnie od wielu spraw.*

Nie lubię Towstuchy - jest to podejrzany osobnik, zawistny intrygant, gotów wykonać najpodlejsze zlecenie Stalina.

Lew Zacharowicz Mechlis jest w wieku Towstuchy. Po wojnie domowej pracował w Ludowym Komisariacie d/s Inspekcji Robotniczo- Chłopskiej - drugim ministerstwie, na czele którego stał (nic nie robiąc) Stalin; stąd też Stalin bierze go w 1922 r. na swego sekretarza do KC. Mechlis jest bardziej przyzwoitym człowiekiem niż Kanner i Towstucha, unika „ciemnych” spraw. Posługuje się nawet wygodną maską „ideowego komunisty”. Niezbyt w nią wierzę, widzę, że jest oportunistą, który do wszystkiego się przystosuje. I tak też będzie. W przyszłości żadne stalinowskie zbrodnie nie znącą mu spokoju. Do końca swych dni będzie niezawodnie służył Stalinowi, będzie też przy tym sprawiał

wrażenie, że wierzy w doskonałość Stalina. Teraz jest jego osobistym sekretarzem. Znakomity oportunist, wszystko zaakceptuje, wszystkiemu się podporządkuje. Akceptuje także i moją karierę i stara się wejść ze mną w przyjacielskie stosunki. Z sekretariatu Stalina wygryzł go w 1927 r. Towstucha. Na trzy lata idzie na studia do Instytut Czerwonej Profesury. Ale w 1930 r. przyjdzie do Stalina i bez trudu mu udowodni, że centralny organ partii *Prawda* nie prowadzi odpowiedniej propagandy dla uświadamiania swym czytelnikom roli, jaką odgrywa osobiste przywództwo Stalina. Stalin natychmiast mianuje go naczelnym redaktorem *Prawdy*. Tam też Mechlis odda Stalinowi nieocenioną przysługę. *Prawda* nadaje ton całej partii i wszystkim jej organizacjom. Mechlis codziennie w *Prawdzie* będzie pisać o wielkim i genialnym Stalinie, o jego genialnym przywództwie. Początkowo wszystkich to będzie dziwić. Nikt w partii nie uważa Stalina za geniusza, a zwłaszcza ci, którzy go znają.

W 1927 r. odwiedzałem często organizację partyjną Instytutu Czerwonej Profesury. Tkwiły tam rezerwy młodych partyjnych karierowiczów, którzy nie tyle pobierali nauki i podnosili swe kwalifikacje, ile kombinowali, na jakiego by konia postawić dla dobra własnej kariery. Pokpiwając sobie z nich mówiłem: *Nie rozumiem jednej rzeczy. Czemu nikt z was nie napisze książki o stalinizmie. Chciałbym zobaczyć wydawnictwo, które by takiej książki natychmiast nie wydało. Poza tym ręczę wam, że najdalej po roku jej autor zostanie członkiem KC.* Młodzi karierowicze krzywili się: *Niby co? O stalinizmie? Ty już jak coś powiesz - cynik.* (Przyznaje, że mówiłem to z czystej złośliwości; byłem wówczas zdeklarowanym wrogiem komunizmu i przygotowywałem swą ucieczkę za granicę.)

Posługiwanie się w 1927 r. określeniem stalinizm wydawało się czymś nieprzyzwoitym. Czas po temu nadszedł w 1930 r., gdy Mechlis w każdym numerze *Prawdy* nadawał ton partyjnym organizacjom: Pod mądrym przywództwem naszego *wielkiego i genialnego wodza i nauczyciela Stalina*. Nie mogli tego nie powtarzać partyjni aparatczycy w swych POP-ach. Po dwóch latach takiej pracy ani w kraju, ani w partii nie można już było mówić o Stalinie nie dodając jednocześnie przymiotników *wielki i genialny*. Później rozmaici gorliwcy wymyślili wiele innych określeń: *ojciec narodów, największy geniusz ludzkości itp.*

W 1932 r. Stalin ponownie przyjmie Mechlisa do swego sekretariatu. Wygodniejszym jednak dla niego człowiekiem pozostanie Towstucha i dlatego też będzie stopniowo przesuwając Mechlisa do plonu administracyjnego. Przed wojną Mechlis zostanie szefem Zarządu Politycznego Armii Czerwonej, potem komisarzem ludowym d/s kontroli państwowej; w czasie wojny będzie członkiem Rad Wojskowych armii i frontów (nieugiętym stalinowcem, który nigdy nie czynił ustępstw, bezlitosnym „pożeraczem” życia czerwonoarmistów); po wojnie ponownie zostaje ministrem kontroli państwowej; umrze we własnym łóżku, w tym samym roku co Stalin.

Stalinowski sekretariat rozrasta się i odgrywa coraz większą rolę. Ale decydująca bitwa Stalina w walce o władzę jeszcze nie została wygrana. Dopiero niedawno, bo w maju 1924 r., Zinowiew i Kamieniew uratowali Stalina, a ten myśli już, jak by tu ich zdradzić.

Na XII zjeździe miało miejsce zabawne zdarzenie. Aby zademonstrować przed krajem, że ludzie pracy jakoby z wdzięcznością przyjmują mądre przywództwo partii, zainscenizowano po raz pierwszy wystąpienie delegacji bezpartyjnych (w następnych latach stało się to już zwyczajowym widowiskiem). Na początek wypuszczono delegację robotników moskiewskiej fabryki włókienniczej, znanej Triehgorki (Triehgorna Manufaktura Włókiennicza). Wyrzutowano jak należy krzepką babę z obrotnym językiem, która ze zjazdowej trybuny klepała tekst o mądrym przywództwie wielkiej partii

bolszewików, o tym, że *my, robotnicy bezpartyjni, w pełni aprobujemy i popieramy naszych starszych, przewodzących nam towarzyszy partyjnych itd.* Wypuszczono ją na trybunę zjazdu jednak nie tylko po to. Głównie chodziło o podkreślenie wobec całego kraju, że kierują nim nowi przywódcy. Dotąd obowiązywało bowiem hasło: *Niech żyją nasi przywódcy Lenin i Trocki.* Teraz należało pokazać, że masy popierają nowych przywódców. I choć sprytną babę przygotowywano i uczono, choć wydawało się, że dobrze wszystko pojęła, doszło do kompromitacji. *A na zakończenie powiem - niech żyją nasi przywódcy, towarzysz (nieco niepewnie) Zinowiew i ...* (po chwili namysłu, zwracając się w stronę prezydium) *proszę wybaczyć, zdaje się, towarzysz Kaminow.* Zjazd zaśmiewał się do łez, a szczególnie Stalin. W prezydium Kamieniew kwaśno się uśmiechał. Nawiasem mówiąc, nikomu z organizatorów nie przyszło do głowy włączyć Stalina do grona „przywódców”. Byłoby to śmieszne.

Ponieważ ani na przedzjazdowym plenum, ani na samym zjeździe Trocki nie występował przeciwko Stalinowi, ten wpadł na pomysł, że warto byłoby wykonać manewr: do odsuwania od władzy Trockiego dało się doskonale wykorzystać Zinowiewa i Kamieniewa; czy z kolei do osłabienia pozycji tych dwóch nie można by teraz wykorzystać Trockiego? Stalin podjął taką próbę, ale się nie powiodła.

17 czerwca na kursie terenowych sekretarzy, organizowanym przez KC, Stalin wygłosił referat, w którym dość wyraźnie dał do zrozumienia swym przyszłym aparatczykom, że obecnie dyktatura proletariatu przekształca się w gruncie rzeczy w dyktaturę partii. Jednocześnie, nie wymieniając Zinowiewa i Kamieniewa z nazwiska, skierował przeciw nim ostrze swego wystąpienia, oskarżając ich o popełnienie licznych błędów.

Zinowiew zareagował bardzo energicznie. Na jego żądanie zwołano w trybie pilnym zebranie *kierowniczego gremium partii* (członkowie Biura Politycznego i 25 członków KC), na którym wraz z Kamieniewem postawił sprawę na ostrzu noża, mówiąc o skierowanym na nich ataku i stalinowskiej tezie o *dyktaturze partii* jako o jaskrawych błędach. Zebranie potępiło, rzecz jasna, wysuniętą przez Stalina tezę, a także jego wystąpienie przeciwko dwóm pozostałym członkom trójcy. Stalin zrozumiał, że się zagalopował i że popełnił błąd. Oznajmił, że składa rezygnację z funkcji sekretarza generalnego. Zebranie potraktowało to jako formalną demonstrację i rezygnacji nie przyjęło.

Zinowiew i Kamieniew ocenili manewr Stalina jako krok w stronę Trockiego i nasilili swe ataki przeciw Trockiemu, żądając usunięcia go z partii. Nie udało się zdobyć w tej sprawie większości w KC. Zinowiew podjął próbę, by poprzez swych zuchów wypuścić na arenę Komitet Centralny Komsomołu, który ni stąd, ni zowąd zażądał wykluczenia Trockiego z partii, w tym momencie jednak Biuro Polityczne zdecydowanie odwołało się do ustalonej zasady: mieszanie się do polityki to rzecz nie na komsomolskie głowy; by dać im nauczkę, rozpędzono KC Komsomołu, usuwając z jego składu kilkunastu przywódców.

Zabawne, że w owym czasie Stalin hamował w KC ataki Zinowiewa i Kamieniewa przeciw Trockiemu. Za to w Kominternie Zinowiew panował w sposób niepodzielny. Na 5 Kongresie Kominternu, który odbył się na przełomie czerwca i lipca 1924 r., uchwalono rezolucję *w sprawie rosyjskiej*, wymierzoną przeciw Trockiemu, a Bułgar Kolarow, który najbardziej wyróżniał się w napaściach na Trockiego, został wysunięty przez Zinowiewa na stanowisko sekretarza generalnego Komitetu Wykonawczego Kominternu.

Jednakże do końca roku na froncie walki z Trockim panowała pozorna cisza. W lecie była susza, zbiory były bardzo złe. W sierpniu w Gruzji wybuchło powstanie. W Biurze Politycznym toczyły się dyskusje

na temat polityki wobec chłopów. Ściśle mówiąc. Biuro Polityczne nie wiedziało, na jaką politykę ma się zdecydować w sytuacji, gdy miało zamiar wejść na drogę uprzemysłowienia kraju. Jakim - lub inaczej - czym kosztem to przeprowadzić? (Typowo bolszewicki sposób stawiania sprawy: aby coś zrobić, należy kogoś ograbić.) Ortodoksyjni komuniści z Priobrażenskim na czele proponowali dokonanie *pierwotnej akumulacji socjalistycznej* kosztem chłopstwa. Biuro Polityczne wahało się. Dyskusja na ten temat, jaka toczyła się na plenum KC w końcu października, nic nie dała poza uchwaleniem wspólnych deklaracji o konieczności zwrócenia się twarzą ku wsi. Czy opanować wieś metodą kolektywizacji, zapędzając chłopów do kołchozów? Przypomniano sobie, że jeszcze niedawno w jednym ze swych ostatnich artykułów o kooperacji, podyktowanymi 4 i 6 stycznia 1923 r. i opublikowanym w *Prawdzie* pod koniec maja, Lenin poruszył problem kołchozów, mając jednak na myśli tworzenie ich wyłącznie na zasadzie dobrowolności. Na plenum KC 26 czerwca 1923 r. omówiono ten problem i leninowska dyrektywa została przyjęta. Wówczas jednak Zinowiew i Kamieniew niczego w zasadzie od kołchozów i sowchozów nie oczekiwali, a Stalin nie miał w ogóle na ten temat żadnego zdania.

Pod koniec roku w centrum uwagi życia partyjnego znów nieoczekiwanie znalazł się problem walki z Trockim. Stalin zrezygnował z pomysłu wykorzystania Trockiego przeciwko swym sojusznikom. A Trocki napisał książkę *1917* i we wstępie do niej, zatytułowanym *Lekcje Października*, energicznie atakował Zinowiewa i Kamieniewa dowodząc, że ich poczynania w październiku 1917 r. (kiedy to obydwaj byli, jak wiadomo, przeciwnikami przewrotu wojskowego) wcale nie były przypadkowe i że ludzie ci w żadnej mierze nie mają cech przywódców rewolucji. Owe *Lekcje Października* opublikował Trocki w gazetach. Po tym Zinowiew i Kamieniew znów zaproponowali Stalinowi pokój i sojusz. Stalin zgodził się pospiesznie i trójca znów odrodziła się na czas jakiś. Nawiasem mówiąc, Stalin w tym czasie przechodził kryzys - braku wiary we własne siły. Przekonał się, że przenosząc walkę w sferę strategii politycznej, w której był słaby, poniósł wiele porażek; podziało na niego również powstanie w Gruzji, będące konsekwencją jego polityki narodowościowej wobec tego kraju. Przekonał się, że swych przeciwników może pokonać nie na froncie wielkiej polityki (a co robić ze wsią?), lecz poprzez sprawdzone działania w zakresie doboru własnych ludzi i zdobycia większości w Komitecie Centralnym; póki tego nie dokona, musi manewrować i zwlekać.

Zinowiew przeciwnie - domagał się z uporem, by trójca definitywnie utraciła Trockiego. W styczniu 1925 r. odbyło się plenum KC, na którym Zinowiew i Kamieniew zaproponowali usunięcie Trockiego z partii. Stalin wystąpił przeciwko tej propozycji, odgrywając rolę rozjemcy. Przekonał plenum, by nie tylko nie usuwało Trockiego z partii, lecz i pozostawiło go na stanowisku członka KC i członka Biura Politycznego. Potępiono jednak wystąpienia Trockiego i jego postawę polityczną.

Co ważniejsze - nadszedł odpowiedni moment dla usunięcia Trockiego z Armii Czerwonej. Dawno już przygotowano mu zmiennika, którym miał zostać jego zastępca - Frunze. Kandydatura Frunzego niezbyt odpowiadała Stalinowi, popierali ją jednak Zinowiew i Kamieniew. W wyniku długich wstępnych przetargów w łonie trójcy Stalin zgodził się na mianowanie Frunzego na miejsce Trockiego, tzn. na stanowisko ludowego komisarza d/s wojskowych i przewodniczącego Wojskowej Rady Rewolucyjnej; jego zastępcą miał zostać Woroszyłow. Woroszyłowowi po wojnie domowej powierzono, nie bez sprzeciwów Trockiego, dowództwo drugorzędnego, Północno-Kaukaskiego Okręgu Wojskowego. Stalin jednak stale troszczył się o jego awanse i w efekcie reorganizacji resortu obrony Woroszyłow już od roku był dowódcą jednego z najważniejszych okręgów - Okręgu Moskiewskiego.

Na plenum Stalin zaproponował, by pozostawiając Trockiego w KC i w Biurze Politycznym, udzielić mu zarazem ostrzeżenia: *jeśli będzie kontynuował swą frakcyjną działalność, zostanie usunięty i z KC, i z Biura Politycznego*. Usunąwszy Trockiego ze stanowiska komisarza d/s wojskowych, plenum mianowało go przewodniczącym Głównego Komitetu d/s Koncesji Zagranicznych i przewodniczącym Wydziału d/s Jakości Rady Najwyższej Gospodarki Narodowej.

Nominacje te były zarówno prowokacyjne, jak i komiczne. Stojąc na czele Komitetu d/s Koncesji Trocki miał za zadanie, omawiać z zachodnimi kapitalistami projekty proponowanych im koncesji przemysłowych na terenie ZSRR. Tymczasem Biuro Polityczne od dawna wiedziało (i zdecydowanie takiemu stanowi rzeczy sprzyjało), że koncesje te to nic innego jak tylko ordynarne szachrajskie pułapki. Zachodnim kapitalistom proponowano koncesje na pozornie wygodnych i niezwykle nęcących warunkach. Zawartych umów ściśle przestrzegano dopóty, dopóki kontrahent nie przywiózł do Rosji maszyn, nie zaczął ich instalować i uruchamiać swojego przedsiębiorstwa. Zaraz potem stawiano go, za pomocą dowolnego tricku (władze miały ich w zanadru do woli), w sytuacji, w której nie mógł wywiązać się z umowy; umowę rozwiązywano, a przywieziony sprzęt i zorganizowane przedsiębiorstwo przechodziło na własność radzieckiego państwa (dalej opowiem szczegółowo o jednej z takich sztuczek z towarzystwem Lena-Goldfields; historia ta miała swoje nieoczekiwane i zabawne następstwa). Po to też zresztą wymyślono cały ten interes z koncesjami. Trocki słabo nadawał się do prowadzenia takich szachrajskich machinacji - zapewne właśnie dlatego tam go przeniesiono.

W jeszcze mniejszym stopniu nadawał się do sprawdzania jakości produkcji radzieckich fabryk. Wspaniały mówca i polemista, trybun trudnych czasów przełomu, stawał się śmieszny w roli kontrolera jakości radzieckich spodni czy gwoździ. Próbował zresztą uczciwie wywiązywać się takie z tego zleconego mu przez partię zadania. Stworzył komisję specjalistów, objechał z nią szereg fabryk, a wyniki inspekcji przekazał RNGN; jego wnioski nie miały oczywiście na nic najmniejszego wpływu.

Ma czele resortu obrony narodowej stanął Frunze. Należy tu zaznaczyć, że jeszcze w maju 1924 r. do Biura Politycznego dokooptowani zostali trzej zastępcy członków Biura: Frunze, Sokolnikow i Dzierżyński.

Frunze, stary rewolucjonista, wybitny dowódca z czasów wojny domowej, był bardzo zdolnym wojskowym. Był człowiekiem skrytym i ostrożnym. Sprawiał na mnie wrażenie gracza, który rozgrywa jakąś wielką grę, ale nie odślania swych kart. Na posiedzeniach Biura Politycznego mówił niewiele i był całkowicie pochłonięty sprawami wojska.

Już w 1924 r., jako przewodniczący komisji KC do zbadania sytuacji w Armii Czerwonej, przedstawił w Biurze Politycznym raport, z którego wynikało, że Armia Czerwona w takim stanie, w jakim jest, nie może spełniać swych zadań, że przypomina raczej rozwydrzoną bandę rozbójników niż wojsko i że należy ją rozwiązać. Tak też uczyniono, tyle tylko, że w największej tajemnicy. Pozostawiono jedynie kadrę oficerską i podoficerską. Jesienią utworzono nową armię, składającą się z poboru przeprowadzonego wśród młodzieży wiejskiej. Przez cały rok 1924 ZSRR praktycznie nie miał wojska; Zachód nic chyba o tym nie wiedział.

Frunze przeprowadził jeszcze jedną zasadniczą zmianę w wojsku - doprowadził do likwidacji instytucji komisarzy politycznych; zastąpiono ich pomocnikami dowódców d/s politycznych. Ich zadaniem było prowadzenie propagandy politycznej, bez prawa mieszania się w sprawy dowodzenia. W 1925 r.

Frunze dokonał ponadto przesunięć i nominacji, które sprawiły, że na czele okręgów wojskowych, korpusów i dywizji stanęli doskonali i zdolni wojskowi, dobrani wedle kwalifikacji wojskowych, a nie według kryterium wierności dla sprawy komunizmu.

W owym czasie w głębi duszy byłem już antykomunistą. Przeglądając listę wyższego dowództwa przygotowaną przez Frunzego zadałem sobie pytanie: *Gdybym był na jego miejscu ze swymi antykomunistycznymi przekonaniem, jakich ludzi wprowadziłbym do najwyższego dowództwa?* I musiałem sobie odpowiedzieć: *Właśnie takich*. Była to kadra w pełni nadająca się do przeprowadzenia zamachu stanu w razie wojny. Z pozoru oczywiście wyglądało to tak, jakby chodziło tylko o doborowy skład kadry wojskowej.

Nie miałem okazji rozmawiać na ten temat ze Stalinem, zresztą nie miałem najmniejszej ochoty zwracać jego uwagi na tę sprawę. Przy sposobności zapytałem jednak Mechlisa, czy udało mu się poznać opinię Stalina o nowych nominacjach w wojsku. Zrobiłem przy tym niewinną minę: *Przecież Stalin zawsze bardzo interesuje się sprawami wojska. - Co o tym sądzi?* - podjął Mechlis. - *Nic dobrego. Spójrz na tę listę: ci wszyscy tuchaczewscy, uborewicze, awksientiewscy - jacy to komuniści? To dobre na 18 brumaire'a, a nie do Armii Czerwonej. - Czy to twoje zdanie, czy Stalina?* zainteresowałem się. Mechlis napuszył się i z ważną miną odrzekł: *Oczywiście i jego i moje*.

Tymczasem Stalin zachowywał się wobec Frunzego nader zagadkowo. Byłem świadkiem, gdy w gronie trójcy otwarcie wyrażał swe niezadowolenie z jego awansu. W stosunku do Frunzego był jednak przyjacielski, nigdy nie krytykował jego propozycji. Cóż to mogło oznaczać? Czy nie było to powtórzeniem historii z Ugłanowem (o której opowiem później)? Stalin udaje, że jest przeciwko podopiecznemu Zinowiewa - Frunzemu, a tak naprawdę zawarł z nim tajny sojusz przeciw Zinowiewowi? Nic jednak z tych rzeczy. Frunze nie jest człowiekiem tego pokroju i ze Stalinem nic go nie łączy.

Zagadka wyjaśniła się dopiero w październiku 1925 r., gdy Frunze po ataku wrzodu żołądka (na który cierpiał od czadów przedrewolucyjnych więzień) zaczął powracać do zdrowia. Stalin okazał nadzwyczajną troskę o jego zdrowie: *w ogóle nie dbamy o bezcenne zdrowie, naszych najlepszych ludzi*. Biuro Polityczne siłą niemal skłoniło Frunzego, by poddał się operacji, która uwolniłaby go od tego wrzodu. Lekarze Frunzego nie uważali zresztą takiej operacji za niebezpieczną.

Całą tę sprawę zacząłem oceniać zupełnie inaczej, kiedy dowiedziałem się, że operację organizuje Kanner z lekarzem KC Pogosjancem. Moje niejasne obawy okazały się w pełni słuszne. Podczas operacji przemyślnie zastosowano akurat taki typ narkozy, którego Frunze, nie mógł przetrzymać. Umarł na stole operacyjnym, a jego żona, przekonana, że go zarżnięto, odebrała sobie życie. Znana jest powszechnie *Opowieść o niezgaszonym księżycu*² napisana na ten temat przez Pilniaka. Drogo kosztowało go to opowiadanie.

Dlaczego Stalin zorganizował zabójstwo Frunzego? Czyżby tylko po to, by zastąpić go swoim człowiekiem - Woroszyłowem? Nie sądzę; za rok, czy dwa, po dojściu do dyktatorskiej władzy, mógł te zmianę przeprowadzić bez trudności. Myślę, że Stalin podzielał moje odczucie, iż Frunze widzi dla siebie w przyszłości rolę rosyjskiego Bonapartego. Frunzego zlikwidował więc od razu, pozostałych wojskowych z tej grupy (Tuchaczewskiego i innych) rozstrzelał w swoim czasie.

² Wydana przez wydawnictwo NOWA pt. *Śmierć Komandarma*, marzec 1981, przedruk z *Po prostu* /45/1956/, tłum. M. Pietkiewicz.

Trocki w swej książce *Stalin* kategoricznie odrzuca moje domysły na temat Frunzego; zniekształca jednak moje myśli. Przypisuje mi twierdzenie, że Frunze stał na czele spisku wojskowych. Nigdy nic podobnego nie pisałem (tym bardziej, że w owym czasie jakiegokolwiek spiski w Rosji Radzieckiej nie były możliwe). Pisałem, że moim zdaniem komunizm dla Frunzego już się przeżył, że stał się on wojskowym w każdym calu i czekał na swą godzinę. O żadnym spisku w ogóle nie było mowy.

Jednakże chyba nie warto spierać się na ten temat z Trockim. Cechował go zdumiewający brak rozumienia ludzi i zadziwiająca naiwność. Gdy dalej będę jeszcze o nim mówił, przytoczę świadczące o tym fakty.

Po śmierci Frunzego na stołek dowódcy Armii Czerwonej posadzono oczywiście Woroszyłowa. Po XIV zjeździe w styczniu 1926 r. został on członkiem Biura Politycznego. Był to osobnik nader przeciętny, który jeszcze w latach wojny domowej przyłączył się do Stalina i zawsze go wspierał w chwilach buntu stalinowskiego pospolitego ruszenia przeciwko rządowi twardej ręki Trockiego. Jego wyjątkowa ograniczoność była w partii powszechnie znana. Studenci wydziału historii Instytutu Czerwonej Profesury kpili sobie: *Cała historia świata dzieli się na dwa wyraźnie odrębne okresy - przed Klimientem Jefremowiczem i po nim*. Był zawsze posłusznym i dyspozycyjnym pomocnikiem Stalina, a po jego śmierci służył jeszcze jakiś czas jako dekoracja.

Cała stalinowska grupa wojskowych z okresu wojny domowej poszła w górę. Trudno w niej znaleźć kogoś naprawdę zdolnego. Jednakże umiejętnie prowadzona propaganda wykreowała kilku z nich, na przykład Budionnego, do rangi znakomitości.

Budionny był postacią niezwykle malowniczą. Typowy wachmistrz carskiej armii, świetny kawalerzysta i rębajło, na początku wojny domowej stanął na czele bandy kawalerzystów, walczącej przeciw białym. Formalnie bandę manipulowało kilku komunistów. Banda rozrastała się, odnosiła zwycięstwa - kawaleria to były czołgi tamtych lat. W którymś momencie Moskwa, która postawiła na kawalerię, zajęła się Budionnym bezpośrednio.

Trocki rzucił w owym czasie hasło: *Proletariusze, na koni!*, które przez swą natuszonosc i nierealność brzmiało dość zabawnie. Dobrą kawalerię można było stworzyć z ludzi ze stepów, urodzonych kawalerzystów, takich jak kozacy. Można też było posadzić na konia chłopca, który choć nie kawalerzysta z urodzenia, z koniem był oswojony od dzieciństwa i umiał się z nim obchodzić. Ale miejski robotnik (*proletariusz*) na koniu na nic się nie zdawał. Hasło Trockiego było śmieszne.

Kiedyś Budionny otrzymał z Moskwy w dowód zainteresowania prezenty: samochód i legitymację partyjną. Nieco zaniepokojony zwołał hersztów swej bandy. *No, chłopaki - oświadczył - przysłali mi z Moskwy samochód i jeszcze to*. Tu ostrożnie, jakby to był kruchy chiński wazonik, położył na stole legitymację. Konfratry popadli w zadumę, ale po dojrzałym namyśle zdecydowali: *Samochód, Siemion, bierz; samochód to dobra rzecz. A „to” (legitymacja) niech sobie leży - jeść nie woła*. I tak Budionny został komunistą.

Banda Budionnego szybko rozrosła się w brygadę, a później w korpus kawalerii. Moskwa przysłała komisarzy i dobrego szefa sztabu. Budionny, pozostając głównodowodzącym i stale awansując, nie wtrącał się ani do spraw operacyjnych, ani do dowodzenia. Gdy sztab pytał go o zdanie na temat planowanej operacji, niezmiennie odpowiadał: *A to już jak uważacie. Moja rzecz - rąbać*.

W czasie wojny domowej „rębał” i bez zastrzeżeń słuchał przydzielonych do niego i dowodzących nim Stalina i Woroszyłowa. Po wojnie uczyniono zeń kogoś w rodzaju inspektora kawalerii. Kiedyś postanowiono wpuścić go na posiedzenie wielkiego Biura Politycznego. Zabawne to zdarzenie doskonale zapamiętałem.

Na posiedzeniu przysła kolej na sprawy wojskowe. Wydaję polecenie, by do sali obrad wpuścić wezwanych wojskowych, wśród nich i Budionnego. Budionny wchodzi na paluszkach, jednak głośno stukają jego ciężkie buty. Przejście między stołem a ścianą jest szerokie, niemniej cała postać Budionnego wyraża obawę, by czegoś nie przewrócić lub złamać. Wskazują mu fotel obok Rykowa. Budionny siada. Jego wąsy sterczą jak u karalucha. Patrzy przed siebie i wyraźnie nic nie rozumie z tego, o czym się mówi. Jakby myślał: *O, do diabła! To właśnie to wspaniałe Biuro Polityczne, które, jak mówią, może wszystko - nawet z mężczyzny zrobić kobietę.*

Tymczasem sprawy resortu obrony zostały załatwione. Kamieniew oznajmia: *Koniec ze strategią. Wojskowi są wolni.* Budionny siedzi, nie pojmuje takich subtelności. Też cudak z tego Kamieniewa: *Wojskowi są wolni.* Gdyby powiedział: *Towarzyszu Budionny! Bacność! W prawo zwrot! Naprzód marsz!* - wtedy wszystko byłoby jasne. Odzywa się Stalin z szerokim gestem gościnnego gospodarza: *Siedź, Siemion, siedź.* I tak, wybałuszywszy oczy, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, przesiedział Budionny jeszcze dwie czy trzy sprawy. Wreszcie wytłumaczyłem mu, że pora iść.

Później Budionny został marszałkiem, a w 1943 r. wszedł nawet do KC. Co prawda, było to KC ze stalinowskiego zaciągu i gdyby Stalin miał poczucie humoru, mógłby za jednym zamachem - za przykładem Kaliguli - wprowadzić do niego także konia Budionnego. Jednak Stalin nie miał poczucia humoru.

Należy dodać, że w czasie wojny z Niemcami miałość tak Woroszyłowa, jak i Budionnego okazała się po pierwszych działaniach wojennych tak oczywista, że Stalin zmuszony był wysłać obu na Ural z zadaniem przygotowywania rezerw.

STALIN

Stalin - charakter, wady i zalety. Kariera. Amoralność. Stosunek do współpracowników i do mnie. Nadia Allilujewa. Jaszka.

Czas pomówić o towarzyszu Stalinie. Znam go już dobrze, chyba nawet bardzo dobrze.

Wygląd zewnętrzny Stalina jest powszechnie znany. Tyle tylko, że na żadnym portrecie nie widać, że twarz ma porytą dziobami po ospie. Poza tym twarz bez wyrazu, wzrost średni, chód kaczy, cały czas pyka fajkę.

Różni autorzy twierdzą, że miał uszkodzoną jedną rękę i nie w pełni nią władał. Jego córka. Świetlana, mówiła, że słabo poruszał prawą ręką, zaś bolszewik Szumiacki pisał w radzieckiej prasie, że Stalin nie mógł zginać lewej ręki. Prawdę mówiąc, nigdy nie zauważyłem u niego wady tego typu. W każdym razie często widywałem, jak prawą ręką wykonywał szerokie, zamaszyste gesty, mógł ją zginać i prostować. Nie wiem jednak, bo Stalin nigdy przy mnie nie pracował fizycznie, czy lewą rękę miał w zupełnym porządku. Nigdy nie miałem okazji tego sprawdzić.

Prowadzi tryb życia bardzo niezdrowy, siedzący. Nigdy nie zajmuje się sportem czy jakąś pracą fizyczną. Pali (fajkę), pije (wino, najchętniej kachetyjskie). W drugiej połowie swego panowania każdy wieczór spędza przy stole - przy jedzeniu i piciu, w towarzystwie członków swego Biura Politycznego. Zdumiewające, że przy takim trybie życia dożył 73 lat.

Zawsze spokojny, doskonale panuje nad sobą. Skryty i nad wyraz chytry. Niezwykle mściwy. Nigdy niczego nie przebacza i nie zapomina - zemści się i po 20 latach. Bardzo trudno w jego charakterze znaleźć jakieś sympatyczne cechy - mnie się to nie udało.

Stopniowo powstawały o nim mity i legendy. Na przykład - o jego niebywałej woli, nieugiętości i zdecydowaniu. Ale to tylko mit. Tak naprawdę jest niezwykle ostrożny i niezdecydowany. Bardzo często nie wie, co i jak robić. Nie daje jednak tego po sobie poznać. Wiele razy widziałem, jak się waha, nie może podjąć decyzji i poddaje się biegowi zdarzeń, miast nim kierować.

Czy jest mądry? Jest niegłupi i nie pozbawiony wrodzonego zdrowego rozsądku, którym świetnie się posługuje.

Dla przykładu, na posiedzeniach Biura Politycznego omawia się najrozmaitsze sprawy państwowe. Stalin jest niedokształcony i nie jest w stanie powiedzieć nic rozsądnego i rzeczowego na temat diskutowanych problemów. Sytuacja bardzo niezręczna. Wrodzona chytryść i zdrowy rozsądek pozwalają mu znaleźć z niej bardzo dobre wyjście. Śledzi dyskusję i gdy widzi, że większość członków Biura skłania się ku jakiejś decyzji, zabiera głos i w kilku prostych zdaniach proponuje, by przyjąć to, co - jak zauważył - uznaje większość. Posługuje się przy tym prostymi słowami, tak że jego ignorancja nie wychodzi na jaw (przykład: *Uważam, że należy przyjąć propozycję towarzysza Rykowa; to, co proponuje towarzysz Piatakow, nie uda się, towarzysze, nie uda się*). I zawsze wychodzi na to, że choć Stalin jest człowiekiem prostym, choć mówi kiepsko, jego propozycje są akceptowane. Nie zdając sobie sprawy z jego sprytu, członkowie Biura Politycznego zaczynają dostrzegać w wystąpieniach

Stalina jakąś ukrytą (a nawet tajemniczą) mądrość. Ja nie poddaję się temu oszustwu. Widzę, że w jego rozumowaniu nie ma żadnego systemu; dziś może zaproponować coś zupełnie innego niż wczoraj - po prostu wychwytuje opinię większości, i to spostrzegam. Fakt, że nie najlepiej zna się na omawianych sprawach, znam z „prywatnych” z nim rozmów w KC. Jednakże członkowie Biura Politycznego ulegają mistyfikacji i zaczynają dopatrywać się w wystąpieniach Stalina sensu, którego w rzeczywistości w nich nie ma.

Stalin jest człowiekiem małej kultury, nic nie czyta, niczym się nie interesuje. Nauka i metody naukowe są dla niego czymś niedostępnym i nieciekawym. Mówcą jest złym, mówi z silnym akcentem gruzińskim. Jego przemówienia zawierają mało treści. Mówi z trudem, dobiera słów wodząc oczami po suficie. Żadnych prac nie pisze; to, co uchodzi za jego dzieła, to wystąpienia i przemówienia, wygłaszane przy różnych okazjach - później sekretarze tworzą ze stenogramów coś w rodzaju literatury (on sam nawet nie spojrzy na wynik; nadanie ostatecznej formy artykułowi czy książce - to sprawa sekretarzy). Zazwyczaj zajmuje się tym Towstucha.

Stalin nigdy nie mówi nic dowcipnego. Przez wszystkie lata pracy z nim tylko raz słyszałem, jak próbował zażartować. A było to tak. Stoimy z Towstuchą w gabinecie Mechlisa i Kanner a i rozmawiamy. Ze swego gabinetu wychodzi Stalin. Minę ma niezwykle poważną i uroczystą, nadto palec prawej ręki trzyma uniesiony w górze. Milkniemy w oczekiwaniu czegoś bardzo ważnego. *Towstucha* - powiada Stalin - *moja matka miała kozła; kropka w kropkę taki jak ty, tyle że chodził bez pince-nez*. Po czym odwraca się i odchodzi do swego gabinetu. Towstucha słuźalczko chichocze.

Sztuka, literatura czy muzyka są Stalinowi obojętne. Z rzadka chodzi do opery, najczęściej na *Aidę*.

Kobiety. Stalin nie interesuje się i nie zajmuje kobietami. Wystarcza mu jego żona, którą też zajmuje się niewiele. Jakże zatem ma namiętności?

Ma tylko jedną, ale za to niezwykle zaborczą, absolutną, pochłaniającą go bez reszty - żądzę władzy. Pasja maniacka, pasja azjatyckiego satrapy z dawnych czasów. Jej tylko służy, nią tylko się zajmuje, w niej tylko widzi cel życia.

W walce o władzę taka pasja oczywiście bardzo się przydaje. Jednakże trudno na pierwszy rzut oka zrozumieć, jak z tak skąpym arsenałem środków Stalin mógł dojść do absolutnej, dyktatorskiej władzy.

Prześledźmy etapy tego wspinania się w górę. Najdziwniejsze będzie w tym to, że bardziej przydawały mu się cechy negatywne niż pozytywne.

Stalin rozpoczyna jako mało znaczący prowincjonalny rewolucjonista-agitator. Kierowana przez Lenina bolszewicka grupa zawodowych rewolucjonistów bardzo mu odpowiada - nie musi tu pracować jak inni ludzie i może żyć na koszt partyjnej kasy. Stalin nigdy nie miał serca do pracy. Istnieje oczywiście pewne ryzyko - można zostać aresztowanym i wysłanym na północ pod nadzór policji. W stosunku do socjaldemokratów represje te dalej nie sięgają (z eserowcami, rzucającymi bomby, władze postępują znacznie surowiej). Zesłańcom władze carskie dostarczają wszystkiego, co niezbędne. W granicach wyznaczonego miasteczka lub osiedla można żyć swobodnie. Można też uciec, lecz wówczas przechodzi się do podziemia. Życie szeregowego agitatora jest jednak znacznie mniej wygodne (i mniej w nim możliwości) niż życie liderów - leninów i martowów w Genewach i

Paryżach; przywódcy zdecydowanie nie mają zamiaru narażać swych drogocennych osób na jakiegokolwiek niewygody.

Liderzy na emigracji nieustannie zajęci są poszukiwaniem środków - zarówno na potrzeby swego drogocennego życia, jak na użytek działalności partyjnej. Środków dostarczają i bratnie partie komunistyczne (choć skąpo i niechętnie), i ofiarodawcy z kręgów burżuazji. Dla przykładu, Buriewiestnik (Maksym Gorki), obracający się w kołach Moskiewskiego Teatru Artystycznego, pomógł aktorce MChAT-u Andriejewej uwieść milionera Sawwę Morozowa - i oto złoty deszcz sypie się do leninowskiej kasy. Za mało jednak, wciąż za mało. Anarchiści i socjalrewolucjoniści znaleźli prosty sposób na zdobywanie niezbędnych środków - drogą zbrojnego rabunku banków i kapitalistów. W fachowym żargonie rewolucyjnym nazywa się to eksami, (ekspiriopriacja – wywłaszczenie). Jednakże bratnie partie socjaldemokratyczne, od dawna przybierające pozory umiarkowania i często wchodzące w skład rządów, zdecydowanie odrzucają te praktyki. Odrzucają je także rosyjscy mniejšewicy. Choć niechętnie, w podobnym duchu wypowiada się również Lenin. Stalin prędko zdaje sobie sprawę, że Lenin tylko udaje; tak naprawdę będzie zadowolony z każdego pieniądza, również z tych pochodzących z bandyckich napadów. Stalin bierze aktywny udział w skaptowaniu kilku kaukaskich bandytów i nawróceniu ich na bolszewicką wiarę. Najlepszą zdobyczą okazuje się Kamo Petrosjan, zbój o odwadze straceńca. Kilka zbrojnych rabunków dokonanych przez bandę Petrosjana wypełnia leninowską kasę (kłopoty są tylko z wymianą pieniędzy). Lenin, oczywiście, przyjmuje te pieniądze z zadowoleniem. Grabieże bandy Petrosjana organizuje towarzysz Stalin. Sam przezornie nie bierze w nich udziału.

(Czy Stalin był tchórzem? Odpowiedź nie jest łatwa. Z całego jego życia nie sposób przytoczyć ani jednego przypadku, w którym okazałby odwagę - ani z okresu rewolucji, ani z lat wojny domowej, ani też wojny ojczyźnianej, w czasie której zawsze dowodził z dystansu, z dalekich tyłów, ani wreszcie z czasów pokoju.)

Lenin jest bardzo wdzięczny Stalinowi za jego działalność i skłonny jest przesunąć go wyżej po szczeblach drabiny partyjnej, na przykład wprowadzić do KC. Nie można jednak tego zrobić na zjeździe partii. Delegaci mogliby powiedzieć: *Bardzo dobrze, że organizuje dla partii zbrojne napady, ale to jeszcze nie powód, by wprowadzać go do grona przywódców.* Lenin znajduje sposób: w 1912 r. towarzysz Stalin zostaje „dokooptowany” do KC bez żadnych wyborów. Ponieważ później, aż do rewolucji, żyje na zesłaniu, jego sprawa w ogóle się w partii nie pojawia. W momencie wybuchu rewolucji lutowej wraca z zesłania do stolicy już jako stary członek KC.

Wiadomo, że ani podczas pierwszej rewolucji 1917 r., ani podczas rewolucji październikowej Stalin nie odgrywał żadnej roli - pozostawał w cieniu i czekał. W jakiś czas później, już po przejęciu władzy, Lenin mianował go komisarzem ludowym dwóch komisariatów, które zresztą i tak według leninowskich koncepcji miały zostać szybko zlikwidowane: Komisariatu d/s Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej poronionego płodu, który Lenin zamierzał zreorganizować, łącząc go z CKK (co też później nastąpiło), oraz Komisariatu d/s Narodowości, który także miał ulec likwidacji po przekazaniu swych funkcji Radzie Narodowości CIK. Co Lenin myślał o Stalinie, można wnosić z dyskusji, jaka toczyła się na posiedzeniu, na którym Lenin mianował Stalina komisarzem ludowym d/s narodowości. Gdy Lenin zaproponował tę nominację, jeden z uczestników posiedzenia wysunął inną kandydaturę, dowodząc, że jego kandydat jest człowiekiem rzeczowym i mądrym. Lenin przerwał mu: *Tam mądrogo nie trzeba, pošlemy Stalina.*

Stalin miał tytuł komisarza ludowego, ale w swych komisariatach prawie nigdy się nie pokazywał. Na frontach wojny domowej jego anarchiczna działalność budziła wątpliwości, a już podczas wojny z Polską, gdy natarcie na Warszawę załamało się z powodu niewykonania przez niego samego i przez dowodzone przez niego armie rozkazów głównego dowództwa, okazała się po prostu szkodliwa. Prawdziwa kariera Stalina zaczyna się dopiero od momentu, gdy Zinowiew i Kamieniew, pragnąc zagarnąć sukcesy po Leninie i organizując walkę przeciw Trockiemu, dobrali go sobie za sojusznika. Chcieli mieć kogoś takiego w aparacie partyjnym. Nie rozumieli jednak prostej rzeczy - aparat partyjny automatycznie i żywiołowo parł ku władzy. Wsadzili Stalina na ten wózek, a jemu wystarczyło tylko się na nim utrzymać i wózek sam dowiezie go ku władzy. Należy jednak przyznać, że Stalin zdawał sobie sprawę z mechanizmu wynoszenia go w górę i ze swej strony robił wszystko, by w tym pomóc.

Mimo woli nasuwa się wniosek, że w karierze partyjnej Stalina do roku 1925 o wiele większą rolę odegrały jego wady niż zalety. Lenin wprowadził go do swej większości w Komitecie Centralnym, gdyż ze strony mało wykształconego i niegroźnego politycznie Stalina nie obawiał się żadnej konkurencji. Z tych samych powodów Zinowiew i Kamieniew uczynili go sekretarzem generalnym; uważali Stalina za polityczne zero, widzieli w nim wygodnego pomocnika, ale nie rywala.

Bez najmniejszej przesady można powiedzieć, że Stalin był człowiekiem całkowicie amoralnym. Już Lenin był typem amoralnym, odrzucającym z pogardą - na użytek własny i swych zawodowych rewolucjonistów - wszystkie zasady moralne, które według tradycji naszej starej chrześcijańskiej cywilizacji skłonni jesteśmy traktować jako konieczne spoiwo społeczeństwa, czyniące życie możliwym i znośnym: przyzwoitość, uczciwość, wierność danemu słowu, tolerancję, prawdomówność itd.

Według Lenina wszystkie te zasady są wyrazem moralności burżuazyjnej, którą należy odrzucić; moralne jest jedynie to, co służy rewolucji społecznej, innymi słowy to, co jest wygodne i pożyteczne dla partii komunistycznej. Stalin okazał się uczniem, który przerósł mistrza. Dokładnie analizując jego życie i jego postępowanie trudno byłoby znaleźć w nich jakieś ludzkie cechy. Może tylko swoiste przywiązanie do córki, Swietłany. Ale i to tylko do pewnego czasu. I chyba nic więcej.

Grubiaństwo Stalina. Było w zasadzie czymś naturalnym i wynikało z braku wykształcenia i wychowania. Zresztą Stalin umiał dobrze panować nad sobą i bywał ordynarny jedynie wówczas, gdy uważał, że nie musi być uprzejmy. Pracując w jego sekretariacie poczyniłem ciekawe spostrzeżenia. Wobec swych sekretarzy nie był jakoś rozmyślnie ordynarny, lecz jeśli na przykład dzwonił, a goniec był nieobecny (odnosił, dajmy na to, jakieś papiery) i na dźwięk dzwonka zjawiał się w gabinecie Mechlisa lub Kanner. Stalin rzucał tylko jedno słowo: herbaty, lub zapałki. Pomocnicy mówili do niego per „wy” i nie używali formy imiennej (imię, imię ojca), lecz zwrotu towarzyszu Stalin. On sam mówił per „ty” i do Towstuchy, i do Mechlisa, i do Kanner. Tylko do mnie zwracał się per „wy”, chociaż byłem najmłodszy. Nie był przywiązany do żadnego ze swych współpracowników, cenił ich jednak wedle stopnia użyteczności. Trzeba też przyznać, że wszyscy świadczyli mu liczne usługi: Kanner w sprawach niemal kryminalnych, Towstucha także w sprawach dość podejrzanych., Mechlis natomiast, którego Stalin początkowo niezbyt cenił, uczynił wszystko, co konieczne, by ten stał się *wielki i genialny*. Ja również byłem bardzo przydatny jako sekretarz Biura Politycznego. Mimo to jego stosunek do mnie był inny niż do pozostałych. Tamci byli „jego” ludźmi, oddanymi i przywiązanymi do swych stołków. Ja nie byłem „swój”, nie było we mnie ani oddania, ani szacunku

do Stalina; byłem dla niego zagadką - nie drżałem o swą pozycję, nie pragnąłem uczestnictwa we władzy.

Tylko raz spróbował być wobec mnie grubiański. Miało to miejsce na posiedzeniu Biura Politycznego. Jak zawsze, zapisywałem uchwały na kartoniku i przekazywałem mu go przez stół, a on po przeczytaniu oddawał mi go z powrotem. Z powodu jakichś rozbieżności z pozostałymi członkami Biura (nie mających żadnego związku z moją osobą) zezłościł się i postanowił pokazać wszystkim swój zły humor. Nie przyszło mu nic lepszego do głowy, niż cisnąć mi kartonik, zamiast go spokojnie podać. Zareagowałem natychmiast - następny kartonik zamiast mu podać, rzuciłem. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem i od razu przestał rzucać kartonikami.

Zupełnie już przestał mnie rozumieć, gdy przeobraziwszy się w antykomunistę straciłem ochotę na odgrywanie roli śrubki w mechanizmie Biura Politycznego i powiedziałem mu, że chciałbym przejść do pracy w Komisariacie Ludowym d/s Finansów (Sokolnikow proponował mi tam objęcie kierownictwa Biura Ekonomiczno-Finansowego, które było odpowiednikiem Rady Ewidencyjnej carskiego Ministerstwa Finansów). Stalin zdziwił się: *Czemu?* Nie mogłem oczywiście podać prawdziwej przyczyny, odpowiedziałem więc, że chciałbym doskonalic swe kwalifikacje w zagadnieniach państwowych natury ekonomiczno-finansowej. Odparł, że mogę to robić kontynuując dotychczasową pracę, która tylko na tym zyska. *A poza tym partia powierza wam niezwykle ważną i odpowiedzialną pracę; nie ma żadnych powodów, by z niej rezygnować.* Nie odszedłem z KC, ale podjąłem też pracę w resorcie finansów (opowiem o tym później). Dla Stalina, dla którego władza była wszystkim, moja obojętność wobec niej i gotowość odsunięcia się była zagadką. Zdawał sobie sprawę, że jest we mnie coś, czego nie rozumie. Być może właśnie dlatego był zawsze wobec mnie niezwykle grzeczny.

W tamtym okresie (lata dwudzieste) Stalin prowadził bardzo prosty tryb życia. Nosił stale prosty, półwojskowy garnitur, buty z cholewami i wojskowy płaszcz. Nie miał żadnych ciążotek do zbytku i korzystania z uciech życia. Mieszkał na Kremlu, w małym, skromnie umeblowanym mieszkaniu, które niegdyś zajmowała służba pałacowa. Wówczas, gdy na przykład Kamieniew znał się już na samochodach i kazał przydzielić do swojej dyspozycji wspaniałego rolls-royce'a, Stalin jeździł potężnym, lecz zwyczajnym francuskim autem (nawiasem mówiąc, dróg do jazdy samochodem nie było, praktycznie można było jeździć tylko po Moskwie, a z miasta dawało się wyjechać właściwie jedynie szosą leningradzką). Pieniądze, oczywiście, nie miały dla niego najmniejszego znaczenia, tak jak i dla innych bolszewickich przywódców. Mieli wszystko bez pieniędzy - mieszkania, samochody, przejazdy koleją, wczasy w kurortach itp. Jedzenie przygotowywano w stołówce Urzędu Rady Ministrów i dostarczano do domu.

Zwyczajne, stałe posiedzenia Biura Politycznego rozpoczynały się rano i kończyły w porze obiadowej. Członkowie Biura rozchodzili się i szli na obiad, ja zaś zostawałam, by sformułować i spisać ustalenia przyjęte w omawianych przy końcu obrad sprawach. Potem udawałem się do Stalina. Na ogół zaczynał wtedy obiad. Przy stole oprócz niego siedziała jego żona Nadia, i starszy syn, Jaszka (z pierwszego małżeństwa Stalina). Gdy Stalin przejrzał notatki, wracałem do KC, by skończyć protokół.

Kiedy po raz pierwszy trafiłem do niego w porze obiadu, nalał mi kieliszek wina. *Nie piję, towarzyszu Stalin. - Co tam, kieliszek wina można; a dobre - kachetyńskie. - W ogóle nigdy nie piłem i nie piję żadnego alkoholu.* Stalin zdziwił się: *No, za moje zdrowie.* Odmówiłem wypicia nawet za jego zdrowie. Więcej nigdy już mnie winem nie częstował.

Zdarzało się jednak często, że po wyjściu z sali posiedzeń Biura Politycznego Stalin nie szedł prosto do domu, lecz przechadzał się po Kremlu, kontynuując rozmowę z którymiś z uczestników zebrania. W takich przypadkach, przychodząc do niego do domu, musiałem czekać. Poznałem wtedy bliżej jego żonę, Nadię Allilujewą, którą nazywałem po prostu Nadią. Nawet się nieco zaprzyjaźniłem.

Nadia w niczym nie przypominała Stalina. Była bardzo dobrym, porządnym i uczciwym człowiekiem. Nie była ładna, ale twarz miała bardzo miłą, szczerą i sympatyczną. Choć mniej więcej w moim wieku, wyglądała na starszą; początkowo myślałem, że jest starsza ode mnie o kilka lat. Wiadomo, że była córką peterskiego robotnika-bolszewika Allilujewą, u którego w 1917 r., przed bolszewickim przewrotem, ukrywał się Lenin. Ze Stalinem miała syna, Wasyla (w owym czasie miał 5 lat), i urodzoną trzy lata później córkę, Swietlanę.

Gdy poznałem Nadię, odniosłem wrażenie, że żyje w próżni - nie miała wówczas żadnych przyjaciółek, a mężczyźni bali się do niej zbliżyć; niech no Stalin zacznie podejrzewać, że ktoś kręci się koło jego żony, a zaraz wyprawi na tamten świat. Rzuciło mi się w oczy, że żona tego niemal dyktatora odczuwa potrzebę zwykłych ludzkich kontaktów. Nie miałem oczywiście zamiaru zalecać się do niej (przeżywałem już w tym czasie pochłaniający mnie bez reszty romans). Stopniowo opowiedziała mi o swoim życiu.

Atmosfera w tym domu była ciężka. Stalin w domu był tyranem. Trzymając się nieustannie w ryzach w służbowych kontaktach z ludźmi, z domownikami się nie cackał. Często Nadia mówiła z westchnieniem: *Milczy trzeci dzień, z nikim nie rozmawia, nie odpowiada, gdy się do niego odezwie; strasznie trudny człowiek*. Starałem się jednak unikać rozmów o Stalinie. Zdawałem sobie już sprawę, jakim człowiekiem jest Stalin, a biedna Nadia najwyraźniej dopiero zaczynała dostrzegać jego amoralność, brak ludzkich cech, i nie chciała wierzyć w to, co widziała.

W jakiś czas później Nadia zniknęła; jak się potem okazało, wyjechała na ostatnie miesiące swej nowej ciąży do rodziców, do Leningradu. Gdy zobaczyłem się z nią po jej powrocie, powiedziała: *Proszę popatrzeć na moje arcydzieło*. Arcydzieło miało trzy miesiące i było pomarszczonym kłębuszkiem. Była to Swietłana. W dowód szczególnego zaufania mogłem potrzymać ją na rękach (nie długo, ćwierć minuty - mężczyźni są tacy niezręczni).

Po moim odejściu z sekretariatu Stalina spotykałem Nadię rzadko i przypadkowo. Gdy Ordżonikidze został przewodniczącym CKK, wziął Nadię do siebie na stanowisko trzeciego sekretarza; pierwszym był dobroduszny wielkolud Trajnin. Po raz ostatni spotkałem Nadię, gdy wstąpiłem kiedyś do Ordżonikidzego. Rozmawialiśmy długo i przyjaźnie. W pracy u Ordżonikidzego odżyła - panowała tam miła atmosfera, Sergo był dobrym człowiekiem. On także wziął udział w tej rozmowie. Był ze mną na ty, co mnie trochę krępowało, gdyż byłem od niego młodszy o 20 lat (zresztą był na ty z każdym, do kogo czuł najmniejszą choćby sympatię). Już nigdy więcej nie widziałem Nadii.

Jej tragiczny koniec jest dobrze znany, choć chyba nie we wszystkich szczegółach. Poszła na studia na Akademię Przemysłową. Za szumną nazwą kryły się zwykłe kursy przygotowawcze, podnoszące kwalifikacje komunistów z terenu, głównie robotników i chłopów, którzy zostali teraz dyrektorami i kierowali zakładami przemysłowymi, a nie dawali sobie rady z nowymi obowiązkami z powodu braku wykształcenia. Był rok 1932, Stalin rozpętał w całej Rosji straszliwy terror - wymuszoną kolektywizację, podczas realizacji której miliony chłopskich rodzin wyprawiono w nieludzkich warunkach do obozów koncentracyjnych na zagładę. Studenci Akademii, ludzie przybyli z prowincji,

na własne oczy widzieli ten gigantyczny pogrom chłopstwa. Dowiedziawszy się, że nowa studentka jest żoną Stalina, trzymali oczywiście język za zębami. Z czasem jednak okazało się, że Nadia jest wspaniałym, dobrym i czynnym człowiekiem; koledzy przekonali się, że można jej ufać. Języki rozwiązały się; zaczęto jej opowiadać, co naprawdę dzieje się w kraju (przedtem mogła tylko czytać kłamliwe i pompatyczne relacje prasy radzieckiej o błyskotliwych sukcesach na froncie rolniczym). Nadia przeraziła się i zaczęła zasypywać swymi informacjami Stalina. Wyobrażam sobie, jak ją potraktował; nigdy nie krępował się przy okazji kłótni nazywać ją gęsią i idiotką. Stalin oczywiście zapewniał ją, że te informacje są fałszywe, że to tylko kontrrewolucyjna propaganda. *Ale wszyscy świadkowie mówią to samo.* - *Wszyscy?* - pytał Stalin. - *Nie* - odpowiadała Nadia - *tylko jeden mówi, że to wszystko nieprawda. Ale to człowiek nieszczerzy i mówi tak z tchórzostwa; to sekretarz organizacji partyjnej Akademii - Nikita Chruszczow.* Stalin zapamiętał to nazwisko. W bezustannych kłótniach domowych Stalin zapewniał, że cytowane przez Nadię dane są gołosłowne, i żądał, by podała nazwiska; tylko wówczas będzie można sprawdzić, czy te opowieści są prawdziwe. Nadia podała nazwiska swych rozmówców. Jeśli miała jeszcze jakieś wątpliwości co do tego, jakim człowiekiem jest Stalin, to były to już wątpliwości ostatnie. Wszyscy, którzy obdarzyli ją zaufaniem, zostali aresztowani i rozstrzelani. Wstrząśnięta Nadia pojęła wreszcie, z kim związała swe życie. Zrozumiała zapewne również, czym jest komunizm. I zastrzeliła się. Nie byłem oczywiście świadkiem tego wszystkiego, ale na podstawie informacji, które znamy, właśnie tak wyobrażam sobie jej koniec.

A towarzysz Chruszczow od tego momentu rozpoczął swą wspaniałą karierę. Początek wyglądał tak. W moskiewskiej organizacji partyjnej organizowano wybory nowych komitetów dzielnicowych i ich sekretarzy. Stalin wówczas powiedział sekretarzowi Komitetu Moskiewskiego: *Macie u siebie znakomitego pracownika - sekretarza organizacji partyjnej Akademii Przemysłowej, Nikitę Chruszczowa; wysuńcie go na sekretarza dzielnicy.* W owym czasie słowo Stalina było już prawem; Chruszczow natychmiast został sekretarzem dzielnicowym (bodaj dzielnicy Krasnaja Presnia), a potem bardzo szybko również sekretarzem Komitetu Moskiewskiego. I tak oto Nikita Chruszczow poszedł w górę, docierając na sam szczyt władzy.

Ze Stalinem mieszkał też jego starszy syn Jakow (z pierwszego małżeństwa). Nie wiedzieć czemu nigdy nie nazywano go inaczej niż Jaszka. Był to młodzieniec niezwykle powściągliwy, milczący i skryty; był ode mnie młodszy o 4 lata. Wyglądał na zahukanego. Zdumiewała mnie jedna jego cecha, którą nazwałbym głuchotą nerwową. Stale był pogrążony w rozmyślnościach, można było do niego mówić - nic nie słyszał, sprawiał wrażenie nieobecnego duchem. Potem nagle zauważał, że coś się do niego mówi, skupiał się i już uważnie słuchał.

Stalin go nie lubił i szykanował na każdym kroku. Jaszka chciał się uczyć - Stalin wysłał go do fabryki jako robotnika. Ojca nienawidził nienawiścią skrytą i głęboką. Zawsze starał się pozostać niezauważony i aż do wojny nie odgrywał żadnej roli. Zmobilizowany i wysłany na front trafił do niemieckiej niewoli. Gdy władze niemieckie zaproponowały Stalinowi wymianę jakiegoś ważnego generała niemieckiego na jego syna, Stalin odrzekł: Nie mam syna. Jaszka pozostał w niewoli, a gdy klęska Niemców była już nieunikniona, został rozstrzelany przez gestapo.

Chyba nigdy nie widziałem syna Stalina i Nadii - Wasyla. Gdy bywałem u ich domu, był chłopcem. Dorósłszy stał się nałogowym alkoholikiem. Dzieje Swietłany są dobrze znane. Podobnie jak matka doskonale rozumiała, kim był Stalin, rozumiała też, czym jest komunizm. Swą ucieczką z granicę

zadała silny cios komunistycznej propagandzie. (*To ci dopiero ustrój; rodzona córka Stalina nie wytrzymała i uciekła.*)

Reasumując, trzeba stwierdzić, że Stalin był człowiekiem amoralnym, o skłonnościach przestępczych. Uważam jednak, że przypadek Stalina nasuwa inne, o wiele poważniejsze pytanie: dlaczego taki człowiek mógł ujawnić wszystkie swe zbrodnicze skłonności i bezkarnie wymordować w ciągu ćwierćwiecza miliony ludzi? Niestety, odpowiedź może być tylko jedna. Stalina stworzył i wydzwignął system komunistyczny. System komunistyczny - to wszechogarniające i nieustanne rozpalanie nienawiści i nawoływanie do niszczenia całych grup i klas społecznych. To ten system tworzy klimat, w którym ludzie sprawujący władzę całą swą działalność widzą jako walkę z wydumanymi wrogami - klasami, z kontrrewolucjonistami, z sabotażystami. Tłumacząc wszelkie niepowodzenia tego bezsensownego i nieludzkiego systemu jako efekt kłosań i spisków wymyślonych wrogów, wzywają nieustannie do represji, niszczenia i dławienia (wszystkiego: myśli, wolności, prawdy, ludzkich uczuć). Na takiej glebie ludzie pokroju Stalina mogą rozkwitać jak kwiaty w cieplarni.

Kiedy ludzie na szczytach władzy dochodzą do przekonania, że w takiej sytuacji sami zaczynają żyć z pistoletem przystawionym do skroni, decydują się nieco odkręcić śrubę, ale nie za bardzo, uważnie przy tym bacząc, by to, co jest podstawą systemu, pozostało nienaruszone. Tak właśnie było po śmierci Stalina.

Gdy zrozumiałem już dobrze Lenina i Stalina, musiałem zadać sobie pytanie: czy władza komunistyczna słusznie nazywa urków³ - *elementem społecznie bliskimi* Czy nie trafniej byłoby: *element moralnie zbliżony*?

³ Chuliganów, kiziorów, złodziejasków - przyp. tłum

CZŁONKOWIE BIURA POLITYCZNEGO – TROCKI

Trocki. Jego zalety. Mówca. Odwaga. Poza. Organizator. Komisarz ludowy d/s kolei. Armia Czerwona. Teoria permanentnej rewolucji. Socjalizm w jednym kraju. Problem zasadniczy. „Niebolszewizm” Trockiego. Socjalizm z wilczym pyskiem. Naiwność Trockiego.

Trocki pisząc o mnie niemal zawsze był niesprawiedliwy. Jestem antykomunistą, czyli wrogiem, „reakcjonistą”, i według zasad bolszewickiego kodeksu nie ma co się ze mną patyczkować. Nie chcę odplacać mu tą samą monetą i pisząc o nim spróbuję być obiektywny.

Trocki robił na mnie wrażenie człowieka bardziej utalentowanego i wybitnego niż inni bolszewicy przywódcy. Gwoli sprawiedliwości trzeba jednak od razu powiedzieć, że nie był utalentowany wszechstronnie i obok wielu zalet miał też sporo wad.

Był wspaniałym mówcą, przede wszystkim mówcą rewolucyjnym - pobudzająco-agitującym. Potrafił znaleźć i rzucić właściwe hasło, mówił z dużą swadą i patosem, rozpałał audytorium. Ale umiał też w pełni panować nad swymi słowami i na posiedzeniach Biura Politycznego, gdzie patos był nie na miejscu, mówił powściągliwie i rzeczowo.

Władał bardzo ostrym piórem, był zdolnym, błyskotliwym i pełnym temperamentu publicystą.

Był odważny i dla dobra swej działalności rewolucyjnej gotów był pójść na każde ryzyko. Wystarczy wspomnieć jego zachowanie, gdy w 1905 r. przewodniczył Petersburskiej Radzie Delegatów Robotniczych; do końca trzymał się dzielnie, wyzywająco i wprost z podium przewodniczącego poszedł do więzienia i na zesłanie.

Jeszcze bardziej wymowna jest historia z *tezą Clemenceau* z roku 1927. Pełnia władzy znajdowała się już w rękach Stalina, który ciągle podsycał potrzebę rozprawy z opozycją, ujawniając stale nowych, ukrytych wrogów (o czym pisałem już wcześniej). Na listopadowym plenum KC w 1927 r. Stalin zaproponował wreszcie wykluczenie Trockiego z partii. Trocki zabrał głos i między innymi, zwracając się do grupy Stalina, powiedział (przekazują sens): *Stanowicie grupę biurokratycznych miernot. Gdyby zagrożone było istnienie Kraju Rad, gdyby doszło do wojny, nie byłibyście w stanie zorganizować obrony i odnieść zwycięstwa. Ale gdy wróg będzie o 100 kilometrów od Moskwy, uczynimy to, co w swoim czasie zrobił Clemenceau - obalimy ten żałosny rząd; z tą jednak różnicą, że Clemenceau zadowolili się przejęciem władzy podczas gdy my pójdziemy dalej i rozstrzelamy tę nędzną bandę tępych biurokratów, którzy zaprzędali rewolucję. Tak, zrobimy to. Wy także chcielibyście nas rozstrzelać, ale nie macie dość odwagi. A my odważymy się na to, gdyż będzie to absolutnie niezbędny warunek zwycięstwa.* Wiele tu oczywiście i naiwności, i niezajomości charakteru Stalina, ale nie sposób nie pochylić głowy przed Trockim za jego wystąpienie.

Dzięki swemu temperamentowi, odwadze i zdecydowaniu Trocki znakomicie sobie radził w trudnych, krytycznych momentach, kiedy brał na siebie odpowiedzialność i działał bez żadnych wahań. Dlatego też odegrał tak ważną rolę w czasie rewolucji październikowej; okazał się niezastąpionym wykonawcą leninowskiego planu zdobycia władzy. Tacy jak Stalin jakoś się wtedy pochowali, tacy jak Kamieniew i Zinowiew cofnęli się przed ryzykiem i wystąpili przeciw, Trocki zaś bez wahania śmiało stanął na czele

akcji (nawiasem mówiąc, sam Iljicz nie wykazał zbyt dużej odwagi, skwapliwie ustąpił wobec nalegań otoczenia, że nie powinien ryzykować swego cennego życia i śpiesznie się ukrył; Trocki nie uległ takim namowom; zresztą już wcześniej, po nieudanym powstaniu czerwcowym, Lenin od razu się ukrył, a Trocki nie uciekł i poszedł do więzienia).

Trzeba tu jednak zwrócić uwagę na pewną niebagatelną wadę Trockiego. Na pozerstwo. Przekonany, że przeszedł do Historii (przez duże H), cały czas przed tą Historią pozował. Nie zawsze z powodzeniem. Niekiedy była to poza wielka, usprawiedliwiona rolą, odegraną przez niego i jego rewolucję społeczną w wydarzeniach o światowym znaczeniu. Choćby wtedy, gdy władza radziecka w czasie wojny domowej wisiała na włosku - *Odejdziemy, ale tak trzaśniemy drzwiami, że cały świat się zatrzęsie* - to także dla pozy i dla historii. Czasami bywało to mniej uzasadnione; można było jeszcze znieść, gdy Trocki przyjmował defilady swej Armii Czerwonej, stojąc na wozie pancernym; ale niekiedy jego pozerstwo było po prostu już tylko śmieszne. Trocki nie zawsze to rozumiał; weźmy choćby przypadek z drzwiami na plenum KC, o którym już opowiadałem.

Strategię wojny domowej wytyczał oczywiście raczej Lenin niż Trocki. Ale przy organizacji Armii Czerwonej Trocki odegrał niewątpliwie bardzo dużą rolę. Trzeba tu zwrócić uwagę na pewną cechę, charakterystyczną nie tylko dla Trockiego. W procesie kierowania krajem, organizacją, walki i zarządzania gospodarką ludzie zdolni uczyli się szybko i szybko awansowali. Tacy jak Krasin, Sokolnikow, Syrcow z każdym rokiem stawali się w coraz większym stopniu ludźmi na skalę państwa. W szkole tej rośli i uczyli się nawet ludzie mniej zdolni. Na przykład Michał Iwanowicz Kalinin, którego Lenin wprowadził do Biura Politycznego częściowo dla podtrzymania swej większości, ale i po to, żeby mieć wciąż pod ręką kogoś, kto zna wieś i psychologię chłopów. Pod tym względem Kalinin był dla niego niewątpliwie przydatny. Gdy jednak, zwłaszcza w pierwszym okresie, próbował brać udział w dyskusjach wymagających wiedzy i kultury, mówił takie głupstwa, że członkowie Biura Politycznego chcąc nie chcąc musieli się z niego podśmiewać. I cóż? Po dwóch, trzech latach Michał Iwanowicz wyraźnie zmadrał, zrozumiał wiele rzeczy, a nie pozbawiony z natury zdrowego rozsądku, często występował bardzo sensownie i przestał być pośmiewiskiem.

Zdolny Trocki, który z początku był tylko utalentowanym agitatorom, też znacznie wprawił się w pracy organizacyjnej i kierowniczej. Ale zdarzały mu się także wpadki. Po zakończeniu wojny domowej, gdy transport był całkowicie zniszczony, kolejarze, nie otrzymujący praktycznie żadnego wynagrodzenia, aby nie umrzeć z głodu, sadzili warzywa i zajmowali się spekulacją; nie mieli więc czasu na obsługiwanie kolei i pociągi nie jeździły. Lenin mianował Trockiego komisarzem ludowym d/s kolei (nie bez ukrytej myśli, by postawić go w niezręcznej sytuacji). Po objęciu stanowiska Trocki napisał patetyczny rozkaz: *Towarzysze kolejarze! Kraj i rewolucja giną z powodu załamania się transportu. Umrzemy na naszym kolejowym posterunku, ale puścimy pociągi w ruch!* Mnóstwo wykrzykników. Towarzysze kolejarze woleli jednak nie umierać na kolejowym posterunku, lecz jakoś żyć, a do tego trzeba było sadzić kartofle i spekulować. Kolejarze spekulowali, pociągi nie jeździły, a Lenin, osiągnąwszy swój cel, skończył tą aferę usuwając Trockiego ze stanowiska komisarza d/s kolei.

Nie ulega wątpliwości, że również początkowej fazie organizowania Armii Czerwonej przez Trockiego towarzyszyły hasła i przemówienia o żołnierskich komitetach, o dowódcach z wyboru, zamęcie, demagogii, bandytyzmie. Trocki szybko jednak zrozumiał, że bez minimum wiedzy wojskowej i bez minimum dyscypliny armii stworzyć się nie da. Ściągnął więc specjalistów - dawnych oficerów carskiej armii; jednych kupiono wysokimi stopniami, innych po prostu zmobilizowano i zmuszono, by oddali

swe umiejętności pod ścisły nadzór komunistycznych komisarzy. O dyscyplinę trzeba było walczyć przez cały czas wojny domowej ze stalinami i woroszyłowami. Sam Trocki też wiele się przy tym nauczył i z agitatora powoli stawał się organizatorem. Jednak na tym polu nie osiągnął specjalnych sukcesów. Nie mówiąc już o aferze z transportem, gdy przyszło do organizowania walki o władzę. Trocki nie działał nic sensownego i w tej sztuce przeciętni mołotowowie bili go na głowę. Co prawda Trocki sądził, iż w walce politycznej rzeczą najważniejszą są podstawowe problemy strategii politycznej - dalekowzroczna polityka, walka w sferze idei. Wyraźnie podążał tu za Leninem. Próbując kopiować leninowskie schematy i recepty, wyraźnie ujawniał swą słabość w porównaniu z Leninem, który oczywiście także zajmował się - i to jak - problemami strategii politycznej, ale nie mniejsze znaczenie przywiązywał do kwestii organizacyjnych (w petersburskim przewrocie z 1917 r. organizacja odegrała większą rolę niż polityka).

Trzeba tu wspomnieć o jeszcze jednym słabym punkcie Trockiego - jego nikłych walorach jako teoretyka i myśliciela.

Powiedziałbym, iż Trocki był typem wierzącego fanatyka. Uwierzył w marksizm, uwierzył też później w jego leninowską interpretację. Uwierzył głęboko i na całe życie. Nigdy nie okazał najmniejszych wątpliwości co do dogmatu. Wytrwale niósł pochodnię swej wiary. Mógł skapitulować jedynie przed całą partią, którą uważał za doskonałe narzędzie rewolucji światowej. Nigdy jednak nie wyrzekł się swych idei i do końca życia święcie w nie wierzył, wierzył fanatycznie. Do tego typu ludzi należą i Franciszek z Asyżu, i Savonarola, ale także i tacy jak Trocki i Hitler. Nie teoretycy, nie myśliciele, lecz właśnie tacy fanatycy wywierają o wiele większy wpływ na losy ludzkości niż ostoje rozumu i mądrości.

Chcąc odtworzyć zasadniczą myśl polityczną Trockiego, trzeba by z trudem przekopać się przez górę kłamliwych zarzutów, które nieustannie gromadzili przeciw niemu najpierw zinowiewowcy, później stalinowcy, a jeszcze później następcy Stalina. W każdym razie już wtedy, gdy walka toczyła się wewnątrz partii, a ja byłem jej świadkiem, zarówno dla mnie, jak i dla całej bolszewickiej góry rzeczą oczywistą był fałsz, pozorność większości demonstrowanych różnic poglądów. Chodziło o to, by usunąć rywala i zdobyć władzę. Nie można było jednak ujawniać, że wszystko to jest tylko walką pajaków w zamkniętej puszcze. Trzeba było stwarzać wrażenie, iż jest to walka wielce ideowa, i rozbieżności są czymś niezwykle ważnym; od takiego czy innego wyboru zależeć będzie być może cała przyszłość rewolucji.

Tymczasem zazwyczaj były to nieokreślone kłótnie o słowa. Wiele takich jałowych i tendencyjnych sporów prowadzono zwłaszcza wokół słynnej teorii permanentnej rewolucji Trockiego oraz stalinowskiej idei budowania socjalizmu w jednym kraju. Idea Trockiego sprowadzała się w zasadzie do tego, iż wraz z rewolucją październikową w Rosji rozpoczęła się epoka światowej rewolucji społecznej, która będzie ogarniać i inne kraje. Mając zawsze ten cel na uwadze, należy traktować komunistyczną Rosję jako przyczółek, bazę pozwalającą prowadzić i kontynuować przygotowawczą działalność rewolucyjną w innych krajach. Nie oznacza to oczywiście, że mając na względzie cele rewolucji światowej nie należy przywiązywać wagi do tego, co będzie się działo w Rosji. Przeciwnie, według Trockiego trzeba aktywnie budować w Rosji komunizm. Jego zdaniem (a trzeba powiedzieć, że do rewolucji Lenin w pełni tę opinię podzielał) jedna wyizolowana rewolucja rosyjska nie ostanie się zbyt długo wobec nacisku pozostałych krajów „kapitalistycznych”, które postarają się zbrojnie ją zdławić.

Co prawda, komunizm rosyjski pod naporem faktów i doświadczeń musiał zrewidować niektóre początkowe pesymistyczne prognozy Lenina i Trockiego. Przywódcy wielkich mocarstw kapitalistycznych wbrew zdrowemu rozsądkowi nie tylko nie obalili zbrojnie rosyjskiego komunizmu, lecz zdradzając - jak Churchill i Roosevelt - zachodnią cywilizację, zrobili wszystko, by komunizm ratować, gdy groziło mu niebezpieczeństwo; uczynili wszystko, by zagarnął on pół świata i stał się największym na świecie zagrożeniem ludzkości. Przewidzieć taki ogrom zdrady i politycznego kretynizmu rzeczywiście było nie sposób. Tu trzeba wziąć Lenina i Trockiego w obronę. Swoje prognozy opierali na założeniu, że mają do czynienia z przeciwnikami normalnymi, kierującymi się zdrowym rozsądkiem. Jakże nie zacytować tu utalentowanego rosyjskiego poety Gieorgija Iwanowa:

Opowiedzieć wam o wszystkich tego świata miernotach,
które losy ludzkości dzierżą w swoich dłoniach.
Opowiedzieć wam, jak jest liczna na świecie hołota,
która trafia do Historii z wieńcem na skroniach.

Tak samo sztuczne były dyskusje na temat stalinowskiej teorii budowy socjalizmu w jednym kraju. Stalin, chcąc sprawić wrażenie, że między nim a Trockim istnieją rozbieżności ideologiczne, oskarżył go na początku 1925 r. o to, że nie przywiązuje wagi, nie wierzy w możliwość zbudowania socjalizmu w jednym kraju, tzn. w Rosji, gdzie rewolucja komunistyczna już się dokonała. Jednakże w tym samym czasie (marzec 1925 r.) zaczęły się też znowu spory między Zinowiewem a Stalinem; Zinowiew nie znosił wypadków Stalina w sferę ogólnej strategii i uważał, że jego próby odgrywania roli teoretyka i stratega są śmieszne. Na marcowym plenum doszło do starcia i Stalin zemścił się na Zinowiewie wykazując mu, że większość w KC to o wiele więcej niż jakaś tam strategia. Tezy Zinowiewa dla Komitetu Wykonawczego Kominternu zostały na plenum odrzucone z powodu bzdurnych kłótni o słowa; chodziło o to, czy mówić o ostatecznym zwycięstwie socjalizmu, czy nie. W kwietniu Zinowiew i Kamieniew zdwoili w Biurze Politycznym ataki na stalinowski socjalizm w jednym kraju; nie wolno było dopuścić, by Stalin wysuwał swą kandydaturę do pozycji stratega i wodza rewolucji. Pod koniec kwietnia Stalin zwołał XIV konferencję partyjną, na której jego teorię omawiano szczegółowo.

I znów wydumane problemy i walka o słowa. Czy można zbudować socjalizm w jednym kraju? Zagadnienie w końcu sprowadzało się do tego, czy wrogowie obalą socjalizm siłą. W ósmym roku rewolucji można już było dostrzec, że jak na razie nikt nie zamierza go obalać. Czy uczynić z tego symbol wiary? Jaki w tym sens? A może uznać, że na razie trzeba się umacniać, a potem się zobaczy; na dobrą sprawę nie miało to żadnego znaczenia. Ileż to atramentu zmarnowała później, po kłótni ze Stalinem, grupa Zinowiewa, dowodząc, że Stalin nie jest rewolucjonistą, że zaniedbał sprawę rewolucji światowej, ugrzązł wyłącznie w lokalnych problemach itp.

Oprócz tych wydumanych problemów były też, rzecz jasna sprawy o zasadniczym znaczeniu. Najważniejsza z nich to dyskutowana w latach 1925-1926 sprawa NEP-u? czy kontynuować NEP, tzn. pokojowe współzawodnictwo między elementami „kapitalistycznymi” (wolny rynek, swoboda gospodarcza i inicjatywa) i komunistycznymi, czy też powrócić do polityki z lat 1918-1919 i wprowadzać komunizm siłą? Od tego, jaką drogę wybierze władza, zależało życie dziesiątków milionów ludzi.

W praktyce najważniejszy był tu problem wsi. Czy dać gospodarstwom chłopskim możliwość jakiejś powolnej ewolucji, czy też zniszczyć je, nie licząc się z niczym (zgodnie z marksizmem chłopstwo jest

klasą drobnych właścicieli, elementem drobnoburżuazyjnym). Powstał tu oczywiście problem, czy w ogóle jest to możliwe do przeprowadzenia. Lenin obawiał się, że władza nie dysponuje dostateczną siłą, i preferował rozwiązanie stopniowe, polegające na dobrowolnym i powolnym wciąganiu chłopów do kolchozów (kooperatyw). Obecnie, według oceny Stalina, gigantyczny aparat policyjny (wsparty przez armię) osiągnął już taką potęgę, że stworzenie ogólnorosyjskiej katorgi stało się rzeczą możliwą.

Ale jaka droga jest lepsza? Bucharin i Ryków, praktycy, którzy czegoś się już nauczyli, byli zdania, że należy kontynuować leninowską linię NEP-u. W kwietniu 1925 r. na zebraniu aktywu moskiewskiego Bucharin wygłosił swe słynne oświadczenie, że *kolektywizacja nie jest drogą prowadzącą do socjalizmu i że należy popierać rozwój gospodarki chłopskiej, rzucając nawet chłopom hasło: bogaćcie się!* Ściśle biorąc, alternatywa była następująca: albo iść ludzką drogą zdrowego rozsądku (i wówczas nie będzie to droga komunistyczna), albo pójść drogą komunistycznej rzezi. Rzecz charakterystyczna, ludzie najbardziej utalentowani, tacy jak Bucharin, Sokolnikow, Krasin i Syrcow, zrozumieli (tak jak zrozumiał to Lenin), że stoją w obliczu krachu komunizmu i że trzeba wracać na drogę zdrowego rozsądku. Zajadli fanatycy, jak Trocki, nieuczciwi kombinatory, jak Zinowiew, którym zależało tylko na władzy, i typy całkowicie amoralne, jak Stalin, doszli - z różnych powodów - do wspólnego wniosku: kontynuować wprowadzanie komunizmu siłą.

Stało się to nie od razu. W 1925 r. klan Zinowiewa nie miał nic przeciwko poglądom Bucharina. Potrzebne było dopiero odsunięcie tego ostatniego od władzy w 1926 r., by Zinowiew dokonał wołty i zaczął bronić haseł Trockiego o superindustrializacji i nacisku na wieś. Stalin, nie bawiąc się zbyt w ideologię, coraz bardziej podporządkowywał wszystko swym machinacjom. Gdy w 1926 r. usunął Zinowiewa i Kamieniewa, popierał przeciwko nim koncepcje Bucharina. I rozgramiając do końca 1927 r. blok zinowiewowsko-trockistowski cały czas trzymał się tych pozycji. Lecz z końcem 1927 r. postanawia odciąć się od długoletnich członków Biura Politycznego - Bucharina, Rykowa i Tomskiego. Wówczas bez najmniejszej żenady staje się rzecznikiem polityki Zinowiewa i Trockiego, którą dotąd zawsze potępiał i zwalczał. Teraz opowiada się i za superindustrializacją, i za przymusową kolektywizacją, i za zniszczeniem wsi. A gdy grudniowy zjazd z 1927 r. przynosi mu wreszcie pełną i niepodważalną większość w KC (efekt wielu lat niestrudzonej pracy), właśnie tę politykę realizuje, wyrzuca długoletnich członków Biura Politycznego i od tej chwili już spokojnie poprzez góry trupów zmierza do swego komunizmu.

W istocie rzeczy drogi Stalina i Trockiego tu się spotkały. Trocki też jest komunistą, konsekwentnym i zamkniętym na głos zdrowego rozsądku.

Należy tu przypomnieć, że nawet w swym testamencie Lenin pisał o *niebolszewizmie* Trockiego (nie uważając, że należy czynić mu z tego zarzut). Praktycznie oznaczało to, że przed rewolucją Trocki nigdy nie należał do leninowskiej partii zawodowych rewolucjonistów. Jak wiadomo, przyjechawszy do Rosji po rewolucji lutowej, Trocki wszedł w skład grupy „międzydzielnicowej”, wraz z którą przyłączył się w końcu do organizacji Lenina. Tak więc przed rewolucją Trocki nie był bolszewikiem. Trzeba stwierdzić, że to duży komplement. Członkowie leninowskiej organizacji bolszewickiej, pogrążeni w kłótniach, intrygach, wzajemnym szkalowaniu się, stanowili towarzystwo amoralnych pasożytów. Trocki nie cierpiał ich obyczajów i ich moralności. Nawet nie utrzymywał się na koszt kasy partyjnej i burżuazyjnych dobroczyńców (jak Lenin), lecz zarabiał na siebie pracą dziennikarską (jeszcze przed wojną czytywałem jego artykuły w *Kijowskiej Myśli*). Nie akceptował specyficznej

moralności Lenina i w odróżnieniu od niego był porządnym człowiekiem. Choć fanatyk i człowiek nietolerancyjny w swej wierze, nie był pozbawiony ludzkich uczuć - wierności w przyjaźni, szczerości, elementarnej uczciwości. W rzeczy samej nie był leninowskim bolszewikiem. Gdy już go dobrze znałem, ze zdumieniem dowiedziałem się, że był synem chłopa. Choć może się to wydawać dziwne, ale w latach 80. zeszłego wieku byli jeszcze w Rosji Żydzi-chłopi, trudniący się pracą na roli. Do nich należał ojciec Trockiego. Był dobrym rolnikiem (według bolszewickiej zwyrodniałej terminologii - kułakiem, według zwyczajnej ludzkiej oceny - pracowitym, zapobiegliwym, zamożnym chłopem). Jakie wpływ miało na Trockiego jego wiejskie pochodzenie i znajomość praw natury? Można się tylko domyślać.

To właśnie Trocki sprawił, iż stanął przede mną wielki problem ludzkości. Odszedłszy od komunizmu, ale nadal o nim rozmyślając mimo woli musiałem zadawać sobie różne pytania. A w szczególności następujące.

Nasze czasy wypełnione są walką komunizmu ze starą chrześcijańską cywilizacją. Jej społeczną istotę określałem w sposób następujący. Dwadzieścia wieków temu, w czasach rzymskiego imperium, człowiek człowiekowi był wilkiem. Nadeszła epoka chrześcijaństwa, które zaproponowało: *Czemuż byśmy nie mieli zbudować takiego społeczeństwa, w którym człowiek człowiekowi byłby nie wilkiem, lecz przyjacielem i bratem?* Na tym polega cały społeczny sens chrześcijaństwa (nie zajmuję się tu w ogóle jego nadzwyczaj ważną stroną religijną). I na przestrzeni dwudziestu wieków, dobrze to czy źle, idee te weszły do powszechnej świadomości jako pewien ideał, ku któremu należy dążyć (także i zrodzona z chrześcijaństwa idea socjalizmu, rzecz jasna w jej prawdziwej, nie marksistowskiej postaci, z tego się wywodzi). Jednakże natura ludzka jest niedoskonała; wieloletni rozwój tych idei nie stanowił przeszkody w tym, by jeszcze w dwudziestym wieku czołowe narody chrześcijańskie wyniszczały się wzajemnie na potęgę. Niemniej cała nasza odwieczna cywilizacja próbowała prowadzić nas do tego ideału. Komunizm i marksizm są jego prostym zaprzeczeniem. Tu prawem staje się zabójstwo, gwałt i masowa eksterminacja. Człowiek człowiekowi znów jest wilkiem. A partia komunistyczna, narzędzie służące tworzeniu tego nowego społeczeństwa, społeczeństwa z wilczym pyskiem, zbudowana jest na zasadach obowiązujących w wilczym stadzie, Nie ma tu przyjaciela ani brata, jest tylko „towarzysz”. Cóż to takiego „towarzysz”? To ten, kto idzie razem z wami (wilk wilkowi też jest towarzyszem), ale tylko do pewnego momentu; może iść razem z wami i dwadzieścia lat, wraz z wami walczyć i dzielić niewygody - jeśli jednak naruszył prawa wilczego stada lub z jakichś powodów stał się dla stada niewygodny, inni rzucają się na niego i natychmiast zagryzają (czy niczego wam to nie przypomina z historii partii komunistycznej?); to nie przyjaciel, to nie brat, to tylko „towarzysz” i nic więcej.

Dlaczego i po co komunizm tak zdecydowanie odrzuca ideę przyjaźni i braterstwa między ludźmi? Dlaczego dąży do ustanowienia tego wilczego królestwa? I dlaczego zwycięża, dlaczego zyskuje zwolenników? Moją niezbyt przecież doświadczoną młodość zaczynają drążyć wątpliwości. A może ideał braterstwa to w ogóle jakaś całkiem nierealna utopia? Może zrodzona na ziemi galilejskiej świetlana nadzieja nie jest niczym więcej niż tylko niespełnionym marzeniem?

Wiem, że mężczyzna zawsze był brutalnym zwierzęciem i gwałtcielem - na przestrzeni wieków był żołnierzem, myśliwym, dzikim koczownikiem, także i rolnikiem, żyjącym zawsze w walce z niebezpieczeństwem, wrogami, naturą, dzikimi zwierzętami i sąsiadami; zawsze był zabójcą. Idea chrześcijaństwa znalazła oddźwięk raczej u kobiet. Z racji swej biologicznej natury kobieta, dająca

i podtrzymująca życie, stworzona jest do miłości i troski o to, co słabsze; całe jej życie to bezustanne poświęcanie się dla swych dzieci.

Bilska jest jej chrześcijańska idea miłości i współczucia. Jestem przekonany, że chrześcijaństwo pokonało żelazne legiony Rzymu właśnie dzięki kobiecie. Dla męskiego rodu być może bardziej stosowny jest gwałt i ów wilczy świat, budowany z takim powodzeniem przez komunizm.

Oto Trocki, człowiek niezłomnych przekonań i szczerzy. Gdy komuniści zapewniają, że przekształcają świat jakoby po to, by znieść wyzysk człowieka przez człowieka, jest absolutnie oczywiste, że to kłamstwo. Przy pierwszej okazji i bez najmniejszej żenady zastępują to, co nazywają wyzyskiem kapitalistycznym (rzekomo robotnikowi nie wypłaca się wszystkiego za jego pracę), takim wyzyskiem socjalistycznym, o jakim dawniej robotnikom nawet się nie śniło. Tu już nie idzie o niedopłacanie, tu idzie o darmową pracę milionów katorżników, o ich nieludzką eksterminację. Ale Trocki - to człowiek szczerzy i wierzący głęboko w swe idee. Musi przecież rozumieć, że to wszystko kłamstwo. Jakże więc mógł wraz z Leninem stać się twórcą terroru, jak mógł proponować stworzenie armii pracy z żelazną dyscypliną, gdzie odmowa pracy oznaczałaby natychmiastowe rozstrzelanie?

Przy tym wszystkim Trocki nie był pozbawiony ludzkich cech. Był człowiekiem rodzinnym - kochał swe dzieci, które go uwielbiały i były mu ślepo oddane. Znałem jego córkę, Zinę, bardzo do niego podobną, szczupłą i delikatną młodą kobietę ze skłonnościami do gruźlicy, podobnie jak ojciec pobudliwą i wybuchową. Ojciec był dla niej wszystkim. Oczywiście zginęła w stalinowskim więzieniu.

U Trockiego zdumiewała mnie zawsze jeszcze jedna cecha - jego zadziwiająca naiwność i brak zrozumienia ludzi. Można by pomyśleć, że przeszedł całe swe życie dostrzegając wyłącznie abstrakcje, nie widząc ludzi takimi, jakimi są. Zwłaszcza zupełnie już nie rozumiał Stalina, o którym przecież napisał grubą książkę.

W 1930 r. będąc za granicą i pisząc o wydaleniu Trockiego z ZSRR, stwierdziłem, że jestem bardzo zdziwiony i że nie poznaję tego Stalina, który był mi tak dobrze znany. W większej zgodzie z jego obyczajami byłoby, gdyby postąpił z Trockim tak jak z Frunzem. Miał przecież do swej dyspozycji tyle sposobów otrucia Trockiego, ile by tylko zechciał (oczywiście nie wprost, bo to byłby już podpis, ale za pomocą wirusów, kultur bakterii, materiałów radioaktywnych); później mógłby z pompą pochować go na Placu Czerwonym i wygłosić przemówienie. Zamiast tego wysłał go za granicę. Swój wywód kończyłem następująco: *W ogóle jest rzeczą niepojętą, dlaczego Stalin nie posłużył się swą zwykłą metodą, która tak bardzo odpowiada jego nawykom i charakterowi. Możliwe jednak, że wygodniej dla niego jest zabić Trockiego nie w ZSRR, lecz za granicą.*

Było to pisane w 1930 r. W roku 1940 ostatnią pracą Trockiego była książka o Stalinie, której śmierć nie pozwoliła mu ukończyć. Zdążył napisać 584 strony. Zatem strony 579 i 580 pisał najprawdopodobniej w ostatnich dniach lub tygodniach życia. Oto co na nich pisze: *O wysłaniu mnie w lutym 1927 r. do Turcji Bażanow pisze (...).* Dalej następuję pół strony cytatu z mej książki. Następnie Trocki kontynuuje: *W 1930 r., gdy ukazała się książka Bażanowa, traktowałem ją jak zwykłą wprawkę literacką. Po procesach moskiewskich zacząłem ją traktować poważniej.* Po czym snuje domysły, że w sekretariacie Stalina, który porzuciłem w 1926 r., coś na ten temat musiałem słyszeć. A więc to, co było dla mnie oczywiste jeszcze w 1930 r. i co do czego nie miałem żadnych wątpliwości, pewność, że w odpowiednim momencie Stalin go zabije (a z początkiem wojny stało się to dla Stalina rzeczą pilną), Trocki zaczął traktować poważniej dopiero tuż przed swą śmiercią. I do

tego koniecznie trzeba było się domyślać, że Bażanow w 1926 r. coś słyszał w sekretariacie Stalina. A czy nie należało raczej uświadomić sobie, kim był Stalin? Cóż za zdumiewająca naiwność i jakaż nieumiejętność właściwej oceny ludzi.

CZŁONKOWIE BIURA POLITYCZNEGO

Zinowiew. Kamieniew. Rykow. Tomski. Bucharin. „Rehabilitacja”. Kalinin. Mołotow.

Przez trzy lata Grigorij Jewsiejewicz Zinowiew był numerem jeden komunizmu, a przez następne dziesięć lat stopniowo staczał się do lochów Łubianki, gdzie też zakończył życie. Zastąpiwszy Lenina na pozycji lidera, nie został jednak uznany przez partię za przywódcę. Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że to właśnie ta okoliczność przyczyniła się do jego klęski. W rzeczywistości zaś zwycięstwo czy klęskę w walce o władzę wyznaczały inne czynniki niż popularność lub uznanie czyjejs wyższości. Wśród tych czynników są i bardzo ważne, choć do tej pory mało uwzględniane; będzie o nich mowa dalej.

Zinowiew był człowiekiem mądrym i kulturalnym, też zręcznym intrygantem, który przeszedł długą leninowską przedrewolucyjną szkołę bolszewicką. Niezły tchórz, nigdy nie narażał się na ryzyko nielegalnego życia i przed rewolucją działał niemal wyłącznie za granicą. W lecie 1917 r. też nie uśmiechało mu się ryzyko i opowiedział się przeciwko Leninowi. Jednakże po rewolucji Lenin szybko mu wybaczył i na początku 1919 r. postawił go na czele Kominternu.

Od tej pory Zinowiew rozważnie zajmuje pozycję ucznia i wyznawcy Lenina. Była to wygodna pozycja, pozwalała bowiem pretendować do schedy po Leninie. Pod żadnym względem - ani w teorii, ani w w wielkiej polityce, ani w organizacji - nie stanął Zinowiew na wysokości zadania. Jako teoretyk nie stworzył nic; próby z lat 1925- 1926 (filozofia epoki to, według Zinowiewa, dążenie do równości) nie miały nic wspólnego ani z celami, ani z praktyką komunizmu i zostały przez partię przyjęte obojętnie. W sferze wielkiej strategii politycznej wszystko podporządkowywał małostkowej taktyce walki o władzę, zaciekle odrzucając wszystkie koncepcje Trockiego; odsunięty od władzy natychmiast stanął na pozycjach Trockiego (wręcz odwrotnych), by utworzyć z nim wspólny front przeciwko Stalinowi. Wreszcie, jeśli idzie o jego zdolności organizacyjne, zdołał jedynie mocno chwycić w ręce drugą stolicę - Leningrad; jak na sukces było to za mało. Miał też w rękach Komintern, ale to było jeszcze mniej istotne. Ten, kto gospodarzył na Kremlu, mógł na czele Kominternu postawić każdego (swego czasu Stalin postawił tam nawet Mołotowa).

Wysuwając wiosną 1922 r. Stalina na stanowisko sekretarza generalnego partii Zinowiew sądził, że pozycja, jaką zajmował w Kominternie i w Biurze Politycznym, jest znacznie ważniejsza niż pozycja człowieka stojącego na czele aparatu partyjnego. Była to błędna ocena, świadcząca o niezrozumieniu zachodzących w partii procesów, prowadzących do koncentracji władzy w rękach aparatu. Dla osób walczących o władzę jedno powinno być szczególnie oczywiste. Aby mieć władzę, należy posiadać większość w Komitecie Centralnym. Ale Komitet Centralny wybierany jest przez zjazd partii. Aby wybrać swój Komitet Centralny, należy mieć większość na zjeździe. Do tego trzeba mieć po swojej stronie delegacje większości gubernialnych, obwodowych i powiatowych organizacji partyjnych. Delegacje te są nie tyle wybierane, co dobierane przez kierownictwo terenowego aparatu partyjnego: gubernialnych sekretarzy i ich najbliższych współpracowników. Trzeba dobrać i porozmieszczać swoich ludzi na stanowiskach sekretarzy i głównych pomocników komitetów gubernialnych, a wtedy będzie się miało większość na zjeździe. Takim władnie doborem zajmują się systematycznie od kilku już lat Stalin i Mołotow. Nie wszędzie odbywa się to gładko i prosto. Dużo problemów stwarza na przykład KC Ukrainy, gdzie znajduje się kilka guberni. Trzeba kombinować, przesuwać,

przemianowywać, raz mianować pierwszym sekretarzem KC Ukrainy Kaganowicza, by zrobić w aparacie porządek, innym razem przesuwając, wysuwając i wyrzucając krnąbrnych ukraińskich aparatczyków. Niemniej w 1925 r. podstawowa praca związana z obsadzaniem stanowisk jest już wykonana. Zinowiew spostrzeże to dopiero wówczas, gdy już będzie za późno. A przecież chyba można było zorientować się wcześniej, jaki jest cel takiego działania Stalina.

Na zjeździe w 1924 r. Zinowiew po raz drugi (i ostatni) wygłasza w charakterze lidera referat sprawozdawczy KC. Na kilka dni przed zjazdem nie wie jeszcze dokładnie, o czym będzie mówić. Pyta mnie, czy mógłbym mu przygotować analizę pracy Biura Politycznego za ostatni rok. Przygotowuję obszerny materiał zawierający podstawowe informacje o rocznej pracy Biura Politycznego. W żadnym razie nie oczekuję, by miały one odegrać inną rolę niż tylko pomocniczą, zresztą do innej roli się nie nadają. Ku memu wielkiemu zdziwieniu Zinowiew wyłącznie na nich opiera swój referat, który konstruuje mniej więcej tak: *Oto, towarzysze, w ostatnim roku zajmowaliśmy się tym a tym, zrobiliśmy to i to.*

Jestem wstrząśnięty. Prawdziwy lider i przywódca powinien przecież wypunktować podstawowe, węzłowe problemy życia kraju i wskazać drogi rewolucji. A tu - nieciekawe sprawozdanie. Całkiem przypadkowo moje materiały stają się kanwą tego buchalteryjnego referatu. To utwierdza mnie w opinii, że Zinowiewowi brak prawdziwego rozmachu i myśli politycznej.

Trudno orzec, czemu Zinowiew nie jest w partii lubiany: Ma swoje wady, lubi korzystać z życiowych uciech, zawsze ma obok siebie klan swoich ludzi; jest tchórzem; jest intrygantem; politycznie jest człowiekiem miałkim. Lecz ci, co go otaczają, wcale nie są od niego lepsi, a wielu jest gorszych. Obiegowe sądy na górze partyjnej nie są dla niego życzliwe (a dla Stalina?): *Strzeżcie się Stalina i Zinowiewa - Stalin zdradzi, a Zinowiew zwieje.*

Jednocześnie ma jedną cechę wspólną z Leninem i Stalinem: ostro przebiega ku władzy. Nie ma w nim oczywiście tak wszechogarniającej pasji jak u Stalina; jest nie od tego, by czerpać z życia, co się da, niemniej wszystko wiąże się u niego ze sprawą najważniejszą, zupełnie inaczej niż u mało ambitnego Kamieniewa.

Na swoje nieszczęście Lew Borysowicz Kamieniew idzie na pasku Zinowiewa, który wciąga go we wszystkie swe polityczne kombinacje. Sam nie jest żądny władzy - to człowiek dobronny, o nieco „burżuazyjnej” naturze. Jest co prawda starym bolszewikiem, ale nie tchórzem; godził się na ryzyko rewolucyjnej działalności w podziemiu, nieraz był aresztowany; podczas wojny był na zesłaniu; uwolniła go dopiero rewolucja. Teraz trafia w orbitę Zinowiewa i popiera go we wszystkim. Występuje zwłaszcza przeciw leninowskiemu planowi przechwycenia władzy. Później proponuje utworzenie wraz z innymi partiami rządu koalicyjnego i podaje się do dymisji. Wkrótce jednak razem z Zinowiewem znów wypływa na powierzchnię, staje na czele Rady Moskiewskiej, a następnie zostaje zastępcą Lenina do spraw gospodarczych, niezwykle dla niego pożytecznym. W czasie choroby Lenina faktycznie kieruje całym życiem gospodarczym kraju. Zinowiew wciąga go do „trójcy”. Przez trzy lata Kamieniew zastępuje Lenina praktycznie we wszystkim - przewodniczy w Biurze Politycznym, przewodniczy w Radzie Ministrów i w Radzie Pracy i Obrony.

Jest człowiekiem mądrym, wykształconym, obdarzonym talentami pracownika państwowego (dziś powiedziano by „technokraty”). Gdyby nie komunizm, mógłby być dobrym socjalistycznym ministrem w „kapitalistycznym” państwie.

Jest żonaty z siostrą Trockiego, Olgą Dawidowną. Jego syn Lutik jest jeszcze bardzo młody, ale już bez skrupułów kroczy drogą, którą w partii określa się mianem burżuazyjnego rozkładu. Pijaństwa, wykorzystywanie swej pozycji, młode aktoreczki. W partii są jeszcze ludzie dochowujący wiary idei; są zgorznięci. Powstała nawet sztuka pt. *Syn komisarza ludowego*, w której odmalowano Lutika Kamieniewa. Sztuka idzie w jednym z moskiewskich teatrów; na podstawie różnych szczegółów nietrudno domyślić się, o kim mowa. Wydział Propagandy dzwoni do Kanner po dyrektywy; Kanner pyta Stalina, co robić ze sztuką; Stalin odpowiada: *Niech idzie*. Na spotkaniu trójcy Kamieniew stawia kwestię zdjęcia sztuki - jest to jawne dyskredytowanie członka Biura Politycznego. Zinowiew powiada, że lepiej nie zwracać na sztukę uwagi; zakazując jej wystawiania Kamieniew przyzna się, to o nim mowa. Zinowiew przypomina historię z powieścią pt. *Panowie oszukańcy*, która nie została zakazana (przed wojną, w czasie władzy carskiej, rewolucyjny pisarz Amfiteatrów opublikował dość wredny paszkwil na carską rodzinę Romanowów; i choć było tam wiele szczegółów wskazujących o kogo chodzi, car uznał, że byłoby poniżej jego godności, gdyby wydając zakaz rozpowszechniania książki przyznał, iż mowa jest w niej o jego rodzinie; książka ukazała się bez przeszkód).

- *Dzięki ci, Henryku* - odpowiada Kamieniew (to z Szekspira); - *I wiadomo, czym się to skończyło* (to już Kamieniew). Koniec końców zdecydowano nie wydawać zakazu wystawiania sztuki, lecz wyrzucić nacisk, by zdjęto ją z afisza.

W dziedzinie intryg, sprytu i cwaniactwa Kamieniew nie jest mocny. Oficjalnie siedzi na Moskwie - stolica jest jego własnym folwarkiem, podobnie jak Leningrad dla Zinowiewa. Zinowiew jednak zorganizował w Leningradzie swój klan i swą drugą stolicę trzyma mocno w garści. Kamieniew tego nie potrafi, nie ma swojego klanu i siedzi na Moskwie tylko na zasadzie bezwładności. Wkrótce okaże się, że utraci Moskwę, podobnie jak wszystko inne.

Olga Dawidowna kieruje Towarzystwem Łączności Kulturalnej z Zagranicą. Tu przydziela się subsydia wyjeżdżającym za granicę celem dożywienia się radzieckim pisarzom (godnym zaufania, takim jak Majakowski i Erenburg) oraz zagranicznym pisarzom i innym co bardziej rewolucyjnym „działaczom kultury”, którzy przyjeżdżają do ZSRR, aby sobie podjąć i pozachwycać się potiomkinowskimi wsiami. Instytucja ta sprawia wrażenie ogromnej inscenizacji teatralnej. Olga Dawidowna radzi sobie z nią znakomicie.

Spółród pozostałych członków Biura Politycznego ani Rykow, ani Tomski liderami nie są i do przywództwa nie pretendują. Aleksiej Iwanowicz Rykow przed rewolucją prowadził podziemną działalność w Rosji i był wraz z Leninem na emigracji. Po rewolucji został ministrem spraw wewnętrznych, ale praca ta wyraźnie nie była dla niego; rewolucji potrzebna jest Czeka, ściana straceń. Rykow natomiast jest zgodnym, rzeczowym i zdolnym technokratą. Zostaje przewodniczącym Rady Najwyższej Gospodarki Narodowej, a po śmierci Lenina nominalnym szefem rządu. Ma słabość - lubi wypić. Nawiasem mówiąc, wódką ludzie nazywają *rykówką*. Jest tym dotknięty. Popiwszy sobie w wąskim kręgu sowieckich wielmożów, skarży się (zacinając się, jak zwykle): *Nie r-rozumiem, czemu oni nazywają ją r-rykówką?*. Brak mu i szczególnych zalet, i specjalnych wad. Bez wątplenia jest obdarzony zdrowym rozsądkiem. Rozsądek ten go zgubi w momencie, gdy Stalin wpadnie na pomysł swej koszarnej kolektywizacji. Mimo swego umiarkowania i ostrożności Rykow nie może pogodzić się z takim rozgromieniem wsi i rolnictwa. Wejdzie wówczas na drogę opozycji, a u Stalina taka droga prowadzi do lochów Łubianki; tam też

trafi w 1938 r. po wszystkich tych upokarzających komediach, w których tak lubuje się Stalin likwidując swe ofiary.

Misza Tomski stoi na czele sowieckich związków zawodowych. Członkiem KC jest od 1919 r., w Biurze Organizacyjnym jest od 1921 r., a w Biurze Politycznym od 1922 r. Należy do grona ostrożnych członków KC - nie miesza się do walki o władzę, przechodzi na stronę zwycięzców (kiedy już wiadomo, kto jest zwycięzcą). Ma słaby punkt - traci słuch, źle słyszy i na posiedzeniach Biura Politycznego staje tuż przed mówcą, by usłyszeć, co ten mówi. Jest bezbarwny, tak jak bezbarwna jest w systemie sowieckim reprezentowana przezeń instytucja. Choć w stosownym momencie przechodzi na stronę Stalina, to jednak nadejdzie dzień, gdy zacznie Stalinowi zawadzać przez sam fakt, iż jest długoletnim członkiem Biura Politycznego, jeszcze z czasów leninowskich, wie o Stalinie wszystko i mimo zewnętrznych oznak podporządkowania nie przyznaje „wielkiemu i genialnemu” wodzowi żadnych zalet. I choć Tomski będzie się starał trzymać z dala od wszelkich opozycyjnych zamętów, przyjdzie moment (rok 1936), w którym i jego Stalin postanowi zlikwidować. Nie spotka go zwykły los stalinowskich ofiar - gdy przyjdą go aresztować, wybierze samobójstwo.

Mikołaj Iwanowicz Bucharin to jeden z najzdolniejszych członków Biura Politycznego. Twarz rumiana, żywy, dowcipny - budzi w partii powszechną sympatię. Nawet Lenin w swym testamencie nazywa go ulubieńcem partii. Jest starym bolszewikiem, za granicą miał kontakty z Leninem, ale udało mu się niezbyt mocno ugrzęznąć w intrygach i miałkich, zakulisowych walkach. Jest przede wszystkim człowiekiem pióra, dziennikarzem, publicystą. Jako naczelny redaktor *Prawdy* - centralnego organu partii - uczynił z niej gazetę we wszystkim wierną linii partyjnego kierownictwa. Członkiem KC jest od dawna, lecz zastępcą członka Biura Politycznego został dopiero po X zjeździe w 1921 r. Wówczas wybrano go trzecim zastępcą członka Biura Politycznego. W rok po zjeździe został już pierwszym zastępcą, a ponieważ od tamtej pory Lenin praktycznie nie działał w Biurze Politycznym, Bucharin brał udział w obradach jako pełnoprawny członek. Po śmierci Lenina w 1924 r. zostaje członkiem Biura Politycznego.

W partii rozpowszechniona jest niesłuszna opinia o Bucharinie jako o scholastyku i dogmatyku. W rzeczywistości nie jest ani dogmatykiem, ani nawet w ogóle teoretykiem. W pierwszych dwóch latach komunizmu, wierząc (tak jak i inni przywódcy), że powstaje nowe, komunistyczne społeczeństwo, napisał w dobrym popularyzatorskim stylu pracę, w której wyłożył wszystkie marksistowskie święte brednie, pt. *Ekonomika okresu przejściowego*. Później wraz z Prieobrażenskim napisał niezwykle popularny *Elementarz komunizmu*, z którego uczyła się komunizmu cała partia, a w szczególności młodzież partyjna. W istocie nie było w tych książkach nic innego, niż mówili i inni przywódcy, z Leninem włącznie. Ale gdy zaczął się zbliżać krach komunizmu i Lenin musiał dokonać zwrotu w stronę NEP-u, pozostali przywódcy wyszli z całej tej historii z tą przewagą nad Bucharinem, że oni takich prac nie pisali, a Bucharina i jego niedowarzone społeczeństwo komunistyczne trzeba było zdezwuować, jego dwie książki po cichu skupować i niszczyć. Bucharinowi przyklejono etykietkę zwariowanego teoretyka i dogmatyka. Po prostu mu się nie udało. Jego zawodem było pisanie. Pisał to, co inni mówili i myśleli. Ale to, co robiono, zmieniono, zaś tego, co napisane i toporem nie wytniesz. Opozycjoniści niewybrednie dowcipkują: Wspaniałe mamy Biuro Polityczne - *jeden pomyleniec* (Bucharin), *dwóch jąkałów* (Mołotow i Rykow - obaj się jąkają) i *jeden wykidajło* (to, oczywiście, towarzyszu Stalin)⁴.

⁴ W oryginale gra słów: *oszybało, zaikało, wyszybało* – nie do oddania w języku polskim – przyp. tłum.

Przy tym wszystkim Bucharin jest człowiekiem mądrym i utalentowanym. Podczas posiedzeń Biura Politycznego nie wygłasza żadnych marksistowskich głupot; wręcz przeciwnie, mówi rzeczowo i z sensem, potrafi też żartować i fantazjować. Udaje mu się ukrywać siłę swych dążeń do władzy. W tym względzie jest uczniem Lenina - leninowska szkoła nie przeszła bez śladu. Lecz w obecnym okresie, gdy o wszystkim decyduje posiadanie kontroli nad aparatem partyjnymi, nie ma żadnych szans. Może tylko grać drugie skrzypce i uczestniczyć w intrygach partyjnej góry. W każdym razie, gdy po raz pierwszy musi wybierać (między Zinowiewem i Stalinem), podejmuje właściwą decyzję. Udaje mu się przebrnąć przez tę niebezpieczną próbę z sukcesem i znaleźć się w obozie zwycięzcy.

W Instytucie Czerwonej Profesury, tego magazynu młodych karierowiczów partyjnych, myślących tylko o tym, na jakiego by konia postawić, większość skłania się ku Bucharinowi. Imponuje on swymi talentami. Trocki jest także utalentowany, ale wyraźnie jest pod wozem. Zinowiewa nie uważają za przywódcę, do Stalina nie mają ani szacunku, ani zaufania. Wokół Bucharina tworzy się grupa młodych, stosunkowo wykształconych i częstokroć zdolnych członków partii. Przez kilka lat, dopóki Bucharin krąży na szczytach partyjnych, spośród nich właśnie będą rekrutować się kadry, którym niezbędna jest pewna ogłada; stąd wywodzić się będą kierownicy Wydziału Propagandy i Wydziału Prasy KC, redaktorzy *Prawdy*, ludzie zawiadujący radziecką historią filozofii itd. Są wśród nich bracia Slepkowowie, Sten, Astrow, Marecki, Stecki, Kariew, Łominadze, Pospiełow, Mitin i inni. Opozycja nazywa ich ironicznie i zwięźle - *Steccy-Mareccy*. Przez kilka lat będą oni nadawać ton prasie, lecz wraz z upadkiem Bucharina dokonana zostanie wśród nich bezpardonowa czystka; w 1932 r. większość zostanie usunięta z partii, a w latach 1937-1938 - rozstrzelana.

Bucharina, który w decydującej walce lat 1925-1926 nie stanął po stronie Zinowiewa, nagrodzono w ten sposób, że zajął jego miejsce na czele Kominternu. Dla Stalina nominacja ta była wyłącznie czasową. Nie było dla niego rzeczą przyjemną, że na czele Kominternu stoi rosyjski członek Biura Politycznego; formalnie rzecz biorąc, Komintern jest niby najwyższą instancją światowego komunizmu i stoi ponad Stalinem. Bucharin szybko zostanie wymieniony na posłusznego Mołotowa, którego miejsce zajmie z kolei Bułgar Dymitrow.

Na korzyść Bucharina trzeba powiedzieć, że nie zaakceptował on stalinowskiej rzeźni - marszu po trupach do komunizmu, zwłaszcza pogromu chłopstwa. Mógłby - podobnie jak wszyscy pozostali mołotowowie i kaganowicze - tańczyć tak, jak mu gra nowy pan. Tym bardziej, że w rzeczywistości nie odczuwa żadnej sympatii do zinowiewowsko-trockistowskiej opozycji, nie dostrzega wielkiej różnicy między ich polityką a polityką Stalina.

Gdy Stalin ostatecznie wkracza na drogę likwidacji NEP-u i pogromu wsi, Bucharin energicznie występuje przeciw niemu. Stalin odsuwa go od władzy i Bucharin przechodzi do opozycji. I choć stalinowscy pomagierzy skwapliwie przyklejają go do trockizmu, amalgamat ten jest całkowicie wydumany, jako że w gruncie rzeczy Bucharin jest równie obcy grupie trockistowsko-zinowiewowskiej, jak i Stalinowi. Przez wiele lat Stalin prześladowuje go, choć w sposób dość umiarkowany; z KC zostaje usunięty dopiero w 1937 r. Przychodzi jednak i jego kolej. Po zwykłej poniżającej stalinowskiej komedii sądowej w marcu 1938 r. Bucharin ląduje w lochach Łubianki.

Ktoś czytający w roku 1976 oficjalną historię WKP(b) może się zdziwić: Stalin już dawno został strącony z piedestału, Stalingrad od dawna jest Wołgogradem, czemuż więc nie odrzucono wszystkich głupich, zupełnie bezsensownych stalinowskich oskarżeń przeciwko Bucharinowi, a także i przeciwko wielu innym wybitnym komunistom? Przecież wielu znanych członków partii zostało

„zrehabilitowanych” - publicznie przyznano, że wysunięte przeciw nim przez stalinowskich sługusów oskarżenia były fałszywe.

Aby to zrozumieć, należy zastosować następujący klucz.

Partia raz na zawsze ustaliła zasadę, że nigdy się nie myli, że zawsze ma rację. Od tej zasady nie odstępowała nigdy - na niej opiera się cała jej oficjalna historia. Rozważmy przypadek wybitnego i zdolnego działacza partyjnego, dajmy na to, Bucharina. Załóżmy, że w ważnych, przełomowych w historii partii chwilach występował on ze słusznymi i rzeczowymi ostrzeżeniami. Jego opinie były „potępiane” przez partyjne zjazdy, konferencje i plena KC. Innymi słowy, tłum trzęsących się przed Stalinem służalców na jego polecenie uchwalał podyktowane przezeń decyzje. Właśnie te decyzje znamy jako uchwały zjazdów i konferencji. Gdyby Stalinowi było wygodnie podyktować decyzje całkowicie przeciwne, posłuszna zbieranina przegłosowałaby je „z entuzjazmem” i „niemilknięcymi owacjami”. Wszelkie postanowienia zjazdów i konferencji są czystą fikcją. Doskonale wiedza o tym zarówno przywódca partii, jak i partyjni historycy. Jednakże wśród różnorodnych i wielorakich rodzajów kłamstwa, na którym zbudowana jest i z którym żyje partia komunistyczna, to kłamstwo spełnia swoją rolę. Jego zadaniem jest podtrzymywanie zasady, że partia ma zawsze rację i nie myli się nigdy. I nie w tym rzecz, że to nie partia, lecz zbiorowisko tchórzliwych i sterroryzowanych fagasów podnosiło ręce na zlecenie Stalina. Gwoli przestrzegania owej fałszywej zasady przyjmuje się, że były to niepodważalne decyzje partii. A opinie Bucharina były przeciwne. A więc „kłątwa” - i Bucharin na zawsze pozostanie w partyjnej historii, jako wróg. Proszę sobie ją poczytać. Cały czas będą wam tłumaczyć, że Bucharin nie miał racji, zawsze się mylił, zawsze występował przeciwko partii itd. Minęły już, rzecz jasna, czasy stalinowskie, w których przybierało to formy całkiem już bezsensowne, w których najrozmaitsi eisensteinowie drugiej kategorii, by dogodzić Stalinowi, płodzili filmy „historyczne” w stylu: genialny Stalin majestatycznie kroczy poprzez karty historii, a malutki, obrzydliwy zdrajca Bucharin biegnie za nim i komuś tam na boku zdradziecko podszeptuje: *Trzeba stawiać tylko na kulaka, inaczej zginęliśmy...* itd. Dziś wprawdzie obowiązuje inny styl, lecz „rehabilitacja” Bucharina, czyli przyznanie, że obrzucono go podłymi partyjnymi kłamstwami, nadal nie jest możliwa z tych samych powodów niemożliwa jest „rehabilitacja” każdego innego wybitnego członka partii, przeciwko któremu w czasach stalinowskich instancje partyjne podejmowały „potępiające” rezolucje.

Popatrzmy teraz na przypadki przeciwne - Tuchaczewskiego, Blüchera, Jegorowa. Byli to wojskowi, którzy stali z dala od życia partii, nie wtrącali się do jej spraw i nie odgrywali w niej żadnej roli. Stalin uznał, że trzeba ich rozstrzelać; uczyniono więc z nich niemieckich, japońskich czy innych szpiegów, zupełnie jak z Trockiego. Lecz partyjne zjazdy i konferencje nie oskarżały ich o żadne odchylenia. Gdy nadszedł czas, by przyznać, że towarzysz Stalin w swym „kulcie jednostki” zabrnął za daleko, nie było przeszkód do „rehabilitacji” Tuchaczewskiego i Blüchera. Popołniono jakiś błąd (Stalin, Jeżow, a może jeszcze ktoś inny), był to jednak błąd człowieka lub instytucji, ale nie partii. Można zatem sprawę rozpatrzyć ponownie, można uznać, że ktoś popełnił błąd (najlepiej jakaś drobna płotka), lecz w niczym nie przynosi to uszczerbku generalnej zasadzie, iż partia ma zawsze rację.

Dlatego właśnie można zrehabilitować wielu członków partii, którzy nie brali udziału w różnego rodzaju opozycji. Jednakże rehabilitacja innych, na przykład Trockiego czy Zinowiewa, jest absolutnie niemożliwa. Tak więc twórca Armii Czerwonej i pierwszy przewodniczący Kominternu nadal będą uważani za obcych szpiegów i wrogów komunizmu.

Jeśli nagle się to odmieni, jeśli pewnego pięknego dnia będzie można o nich mówić i pisać w partii prawdę, wówczas będziecie mieli wszelkie podstawy, by sądzić, że nie jest to już partia komunistyczna.

Powiedzmy jeszcze kilka słów na temat dwóch pozostałych zastępców członków leninowskiego Biura Politycznego - Kalinina i Mołotowa.

Cóż, o Kalininie nie mam zbyt wiele do powiedzenia. Postać bezbarwna, dekoracyjny wszechrosyjski starosta, wprowadzony został przez Lenina do Biura Politycznego zupełnie niepotrzebnie. Tolerowano go, ale nikt się z nim nie liczył. Na oficjalnych ceremoniach spełniał swe ckliwo-chłopskie funkcje. Nigdy nie pretendował do jakiegokolwiek samodzielności i zawsze pokornie kroczył za tym, kto był u władzy. Na wszelki wypadek, aby mieć przeciwko niemu kompromitujące materiały, GPU podsunęło mu, z aprobatą towarzysza Kanner, młodzieńcze tancerki z Teatru Wielkiego. Michałwanycz z braku doświadczenia zadawał się trzecim gatunkiem. Materiały te prokurowano wyłącznie z nadmiaru służbowej gorliwości, jako że w rzeczywistości nie było takiej potrzeby - Michałwanycz nigdy nie pozwoliłby sobie na jakiegokolwiek wystąpienie przeciwko sprawującym władzę. Nawet później, gdy Stalin przeprowadzał gigantyczne wyniszczanie wsi, Michałwanycz, który znał wieś doskonale, czynił wrażenie, że nic szczególnego się nie dzieje; co więcej, w niczym nie odstąpił od swego dobrodusznego starczego gderania, do którego Biuro Polityczne dawno już się przyzwyczało, jak do czegoś bez znaczenia. Krótko mówiąc, Michał Iwanowicz był człowiekiem marnym i tchórzliwym, dlatego też pomyślnie przebrnął całe czasy stalinowskie, umarł we własnym łóżku i dostąpił tego zaszczytu, że miasto Królewiec zaczęło się nazywać Kaliningradem. W 1937 r. Stalin polecił aresztować jego żonę. Michał Iwanowicz nawet okiem nie mrugnął - czasy były ciężkie.

O Wiaczesławie Michajłowiczu Mołotowie mówiłem już wcześniej nie raz. W dziejach stalinowskiej wspinaczki ku szczytom władzy odegrał wielką rolę. Sam nigdy nie pretendował do grania pierwszych skrzypiec. Niemniej był już tego bardzo blisko. W marcu 1921 r. zostaje wybrany odpowiedzialnym sekretarzem KC i zastępcą członka Biura Politycznego. Przez rok ma w swych rękach cały aparat KC. Lecz w marcu 1922 r. Zinowiew, organizując swą „trójcę”, zechce osadzić w aparacie KC Stalina, czyniąc zeń sekretarza generalnego, i odsuwa Mołotowa na drugie miejsce - na stanowisko drugiego sekretarza KC. Rachuby Zinowiewa są następujące: trzeba utracić Trockiego, a Stalin jest jego jawnym i zajadłym wrogiem. Zinowiew i Kamieniew wolą Stalina. I wówczas Mołotow nie tylko podporządkowuje się Stalinowi, lecz staje się jego wiernym lejtnantem i nigdy nie próbuje wyzwolić się spod jego wpływu. Na Zinowiewie i Kamieniewie mści się później z satysfakcją, podobnie jak na Trockim, który nie wiedzieć czemu Mołotowa zniechęcił (zresztą nie „nie wiedzieć czemu”; Trocki żyje abstrakcjami - z Mołotowa uczynił wcielenie *biurokratycznego zwyrodnienia partii*).

Mołotow zawsze i wszędzie opowiada się za Stalinem. Wykonuje najbardziej odpowiedzialną pracę związaną z doбором ludzi do aparatu partyjnego - sekretarzy obwodów i guberni, i z budowaniem stalinowskiej większości w KC. Przez 10 lat będzie drugim sekretarzem KC. Gdy Stalinowi będzie to potrzebne, zostanie prezesem Rady Ministrów i prezesem Rady Pracy i Obrony; gdy trzeba, stanie na czele Kominternu, gdy trzeba, będzie ministrem spraw zagranicznych.

Zdumiewająca rzecz, że Stalin wycina mu taki sam numer, jak i wielu innym swoim lejtnantom - aresztuje mu żonę; a jednocześnie sam stalinowski faworyt nadal pozostaje w łaskach. Widzieliśmy już, że to samo zdarzyło się Kalininowi i Poskriebyszewowi. Żona Mołotowa jest Żydówką. Pod partyjnym pseudonimem Perła (jest wybitnym członkiem partii) stoi na czele przemysłu

perfumeryjnego. Stalin aresztuje ją i wysyła na zesłanie (a nie jest to zesłanie carskiego typu). Mołotow, oczywiście, znosi to cierpliwie. Nic w tym dziwnego. Dziwne jest tu co innego. Gdy Stalin umarł i żona Mołotowa powróciła z zesłania, okazało się, że oboje pozostali zatwardziały mi stalinowcami. Mołotow nieprzychylnie odnosił się do rozpoczętej przez Chruszczowa destalinizacji, wraz z Kaganowiczem i Malenkowem, też przekonany stalinowcami, przy pierwszej okazji (1957 r.) podjął próbę obalenia Chruszczowa. Niepowodzenie kosztowało ich utratę wszystkich stanowisk i posad w hierarchii partyjnej i pójsie w odstawkę.

Dlaczego Mołotow pragnął nawrotu do stalinowskich metod? Tęsknota do czasów, gdy miało się w ręku władzę Dżyngis-chana, gdy wszyscy trzęśli się ze strachu, gdy nikt nie śmiał pisnąć? Może wchodziły w grę też realniejsze rachuby. Ustrój komunistyczny, aby się utrzymać, wymaga zniewolenia całej ludności. Wymaga więc gigantycznego aparatu policyjnego i systemu terroru. Im większy terror, tym silniejsza władza. W czasach stalinowskich ludzie bali się nawet myśleć, bo a nuż wymyśliliby jakąś herezję; a już o jakiejś akcji przeciwko władzy nawet nie mogło być mowy. A tu Chruszczow popuszcza śrubę; ludzie zaczynają myśleć, mówić, nie zgadzać się. Do czegoż to może doprowadzić? W czasach stalinowskich takie ryzyko nie istniało.

Jednocześnie Mołotow stanowi zdumiewający przykład tego, co robi z człowieka komunizm. Wiele pracowałem z Mołotowem. Był to bardzo poczciwy, niezbyt błyskotliwy, lecz niezwykle pracowity biurokrata. Bardzo spokojny, opanowany. Wobec mnie zawsze był nad wyraz życzliwy i uprzejmy, a w kontaktach osobistych bardzo miły. Zresztą w stosunku do wszystkich, których znał bliżej, był układny, przystępny; żadnego grubiaństwa, żadnej wyniosłości, żadnego okrucieństwa, żadnej chęci, by kogoś poniżyć czy zniszczyć.

W dziesięć lat później Stalin nie będzie już sam zatwierdzać list aresztowanych i rozstrzeliwanych. Dla zachowania odpowiedzialności zbiorowej listy te będą przechodzić przez ręce Mołotowa i Kaganowicza. Mołotow, oczywiście, podpisuje je w ślad za Stalinem. Ale oto rzuca mu się w oczy jakieś nazwisko. Píše obok niego NWK - Najwyższy wymiar Kary. To wystarcza - człowiek zostanie rozstrzelany.

Cóż to jest? Mimikra wobec Stalina? Czy też może upajające uczucie własnej potęgi - oto napisałem trzy litery i nie ma człowieka. Ileż to tysięcy wyroków śmierci zatwierdził na tych listach ów opanowany, spokojny biurokrata? I najmniejszej skruchy. Przeciwnie, Stalin umarł, ale dobrze byłoby przywrócić stalinowskie czasy.

Czyżby z człowiekiem można zrobić wszystko? Dajcie go w ręce Stalina, wynieście go w górę w systemie, w którym człowiek człowiekowi jest wilkiem, a będzie obojętnie patrzeć, jak w okrutnych cierpieniach giną będą miliony ludzi. Uczynicie zeń szeregowego urzędnika w przyzwoitym, ludzkim systemie społecznym, a będzie pracował nocami, szukając sposobów dopomagania cierpiącym z powodu nieurodzaju chłopom ze wsi Niejełowki z aleksińskiego powiatu. W czasie mych wędrówek po wyżynach bolszewickiej władzy problem ten jaszcze nie raz będzie mnie zaprzętać. W związku z Mołotowem nasuwa mi się jeszcze jedna uwaga.

W latach dwudziestych byłem świadkiem wszystkiego, co działo się w bolszewickim centrum. Minęło pół wieku. Kto z żyjących jeszcze ludzi widział i zna to wszystko? Odpowiedź jest jedna: Mołotow (jest jeszcze Kaganowicz(lecz w owym czasie stał on nieco dalej od centrum wydarzeń niż Mołotow). Mam tu na myśli tylko lata dwudzieste. Później byłem już gdzie indziej. Mołotow zaś przez następne trzy

czy cztery dziesięciolecia pozostawał w bolszewickim centrum i nikt dziś lepiej od niego nie zna przebiegu wszystkich zdarzeń. Nie może jednak napisać o tym ani opublikować jednego choćby słowa, które nie byłoby zgodne z oficjalnym kłamstwem. Nie może powiedzieć prawdy o czymkolwiek.

STALINOWSKI PRZEWRÓT

Pierwszy wyjazd za granicę. Biuro Ekonomiczno-Finansowe Ministerstwa Finansów. Kondratiew. Rok 1925. Walka między Stalinem a Zinowiewem. Przygotowanie zjazdu. Zjazd - przewrót. Inny sens przewrotu.

Poza KC pracuję jeszcze w Radzie Głównej Kultury Fizycznej i w Ministerstwie Finansów. Działalność w Radzie Głównej jest raczej przyjemnością niż pracą. Biorę udział w posiedzeniach Prezydium oraz kieruję dwiema sekcjami: latem - lekkoatletyczną, zimą sportów zimowych (narty i łyżwy). W Prezydium praca toczy się łatwo i zgodnie. Przewodniczący Rady, Siemiaszko (minister zdrowia), jest człowiekiem mądrym i kulturalnym, pracuje się z nim bez trudu. Doskonale też rozumie, że należy trzymać się linii KC, a linię tę wyznaczam ja. Na posiedzenia Prezydium przychodzi Krylenko, były głównodowodzący Armii Czerwonej, późniejszy krwawy prokurator republiki, dziś minister sprawiedliwości. Jest namiętym szachistą; postawiliśmy go na czele sekcji szachowo-warcabowej. Na posiedzenia przychodzi w sprawach tej sekcji. Póki omawia się co innego i nie ma nic do roboty, biorę kartkę papieru, piszę: 1. e2-e4, i podsuwam mu tę kartkę. Rozpoczynamy partię bez szachownicy. Lecz po 7 czy 8 ruchach Krylenko nie potrafi już grać bez figur - wyciąga z teczki malutkie, podróżne szachy i pogrąża się w grze. Siemiaszko patrzy na nas z wyrzutem, lecz wyrwanie Krylenki z rozpoczętej partii jest już prawie niemożliwe. Bardzo przeżywa przegraną.

Praca w sekcji sportów zimowych daje mi okazję do pierwszego wyjazdu za granicę. Radzieckie łyżwy i narty do niczego się nie nadają. Postanowiono kupić partię nart i łyżew w Norwegii. Rada prosi mnie, bym pojechał na krótko do Norwegii, obejrzał sprzęt na miejscu i wybrał, co trzeba. W grudniu 1924 r. odbywam krótką podróż, która wywiera na mnie silne wrażenie. Jestem po raz pierwszy za granicą i obserwuję normalne ludzkie życie, całkowicie odbiegające od radzieckiego. Trzy państwa skandynawskie, przez które przejeżdżam: Finlandia, Szwecja i Norwegia, oddychają czymś, co jest zupełnie nieznanym w ZSRR. Są to kraje zdumiewającej uczciwości i szczerości. Nie od razu do tego przywykam. W Norwegii chcę obejrzeć okolice stolicy. Nad Oslo wznosi się góra Holmenkollen, powszechnie wykorzystywana do uprawiania sportów zimowych i spacerów. Wchodzę na nią wraz z pracownikiem ambasady, którego przydzielono mi jako przewodnika. Jest dość ciepło, raptem 2 stopnie mrozu, więc wspinaczka szybko nas rozgrzewa (jesteśmy ciepło ubrani) i robi się nam gorąco. Pracownik ambasady zdejmuje ciepłą kurtkę, kładzie ją na skraju drogi na kamieniu, pisze coś na kartce papieru, kładzie kartkę na kurtce i przyciska ją drugim kamieniem. Budzi to moją ciekawość: *Co pan robi? - Jest mi za gorąco - mówi mój towarzysz. - Zostawiam kurtkę; zabiorę ją, gdy będziemy schodzić. - Już po pana kurtce - mówię - można się z nią pożegnać. - O nie, zostawiłem kartkę: kurtka nie jest zgubą, proszę, żeby jej nie ruszać.* Patrzę na to jak na nieznaną zabawę. Na drodze ruch, pełno ludzi. Po dwóch godzinach schodzimy; kurtka leży na swoim miejscu. Mój towarzysz wyjaśnia mi, że tu nigdy nic nie ginie. Jeśli zdarza się w mieście kradzież, to w końcu okazuje się, że winowajcą jest marynarz z obcego statku. We wsiach finlandzkich drzwi nie mają zamków i skobli - nie wiedzą, co to kradzież.

W Szwecji rozmawiam w naszej ambasadzie z radcą Asmusem i jego żoną, Korolową. Wraz ze swym siedmioletnim synem dopiero co przyjechali z Rosji. Jest niedziela. Obok budynku ambasady przechodzi robotnicza demonstracja, protestująca przeciwko czemuś. Ludzie są dobrze ubrani,

w czystych garniturach, w kapeluszach, idą statecznie, powoli i spokojnie. Siedmioletni synek długo patrzy przez okno na tę procesję i wreszcie pyta matkę: *Mamo, dokąd idą ci burżuje?*

W drodze powrotnej przejeżdżam granicę radziecką w Biełooostrowie, 30 kilometrów od Leningradu. Przewodnik przypomina: *Obywatele, jesteście już w radzieckiej Rosji, pilnujcie bagażu.* Oglądam przez okno pejzaż. Jedną rękawiczkę mam na ręce, drugą kładę obok na siedzeniu. Po chwili stwierdzam, że tę drugą już ktoś zwędził.

Powracam do znanej, radzieckiej rzeczywistości. Ministerstwo Finansów ma stałą dużą pozycję wydatków - zakup nowych żarówek. Żarówek brakuje i pracownicy ministerstwa wykręcają je z oprawek i wynoszą do domu. Minister Sokolnikow znajduje genialne wyjście z sytuacji: fabrykę dostarczającą żarówki zobowiązuje się do wytłoczenia na każdej napisu: *Skradzione w Ministerstwie Finansów.* Kradzieże od razu ustają - amatorzy żarówek z miejsca wystawiają sobie świadectwo.

Z krajów skandynawskich wracam z dziwnym wrażeniem - jakbym wychylił głowę przez okno i odetchnął świeżym powietrzem.

Moja praca w Ministerstwie Finansów to w odróżnieniu od działalności w Radzie Głównej poważne zajęcie i wciąga mnie na dobre.

Przed rewolucją przy Ministerstwie Finansów istniał Komitet Naukowy, grupujący najlepszych specjalistów do spraw finansowych, w większości profesorów. Minister Sokolnikow tworzy przy ministerstwie, jako jeden z jego departamentów, Biuro Ekonomiczno-Finansowe, które pełni funkcje Komitetu Naukowego. Biuro dzieli się na Instytut Badań Ekonomicznych oraz Instytut Koniunktur. Sokolnikow zaprasza do pracy w tych instytucjach najlepszych specjalistów - w większości dawnych konsultantów przedwojennego ministerstwa. Nie ma wśród nich marksistów i komunistów. Sokolnikow stwarza im doskonałe warunki. Ich opinie są wysoko cenione i dzięki ich radom zostaje znakomicie przeprowadzona trudna i skomplikowana reforma pieniężna: wprowadza się twardy złoty rubel i finanse ulegają uporządkowaniu. Działalność Biura nadzoruje członek Kolegium Ministerstwa, profesor Mieczysław Henrykowicz Bronski. Nawiasem mówiąc, gdy pytam Sokolnikowa, czy Bronski rzeczywiście jest profesorem, Sokolnikow odpowiada z uśmiechem: *Każdy może uważać się za profesora tak długo, dopóki nie udowodni mu się, że nim nie jest.* Prawdziwe nazwisko Bronskiego brzmi Warszawski. Jest to polski Żyd, bardzo kulturalny i czytany stary emigrant (był na emigracji razem z Leninem), zajmujący się dziennikarstwem. Niewiele w nim z bolszewika. Brak mu też zupełnie talentów organizacyjnych i w ogóle nie ma kontroli nad pracami Biura Ekonomiczno-Finansowego. Głównym i jedynym interesującym go zajęciem jest wydawanie opasłego miesięcznika *Gospodarka Socjalistyczna*. Według zamysłów Bronskiego powinno to być najlepsze czasopismo ekonomiczne w Rosji Radzieckiej. Oprócz tego Bronski redaguje dziennik *Gazeta Finansowa*. Biuro Ekonomiczno-Finansowe zdane jest na własne siły, ale jak na razie nie widać, by coś na tym traciło. Sokolnikow proponuje mi, żebym nim pokierował. Poza wszystkim innym bierze pod uwagę moje polityczne rozeznanie we wszystkich sprawach gospodarczych i liczy na to, że będę mógł ściślej powiązać prace Biura z bieżącą praktyką ekonomiczno-finansową; rzeczywiście profesorowie z Biura, żyjąc z dala od instytucji podejmujących konkretne decyzje, skłonni są raczej podejmować abstrakcyjne prace teoretyczne niż praktyczne.

Do pracy tej przystępuje właściwie już jako antykomunista. Wszyscy profesorowie w Biurze w gruncie rzeczy również są antykomunistami. Mnie jednak uważają za przekonanego reżymowego komunistę

i patrzą na mnie jak na wroga. Najzabawniejsze są jednak ich złudzenia, że z reżymem komunistycznym da się współpracować i robić pracą pożyteczną dla kraju. Pod tym względem jestem od nich mądrzejszy.

W każdym razie nominację bardzo młodego komunisty na szefa przyjmują jako ogromne zagrożenie dla swego wolnego, niezależnego życia. Dyrektor Instytutu Badań Ekonomicznych, Szmielew, udaje się w ich imieniu do Sokolnikowa i oświadcza, iż profesorowie mają zamiar porzucić pracę w Ministerstwie, ponieważ nie widzą możliwości działania w warunkach, które stworzy nowy kierownik - młody komunista, nie będący dla nich choćby z racji wieku żadnym autorytetem. Sokolnikow uśmiecha się i mówi: *Wrócimy do tej rozmowy za miesiąc. W sprawie waszego nowego kierownictwa całkowiecie się mylicie.*

W ciągu pierwszych dwóch tygodni wszystko się zmienia. Czołówka starych, doświadczonych profesorów, konsultantów Ministerstwa Finansów jeszcze z czasów carskich: Henzel, Sokołow, Szmielew, ze zdziwieniem konstatuje, że nie tylko doskonale orientują się, we wszystkich problemach ekonomiczno-finansowych, lecz mam też nad nimi ogromną przewagę - wiem, co jest realne, co jest przydatne dla polityki władz państwowych, jak i w jakim kierunku należy podejmować działania praktyczne (wiem to wszystko z prac Biura Politycznego). Na posiedzeniach Instytutu Koniunktur także udzielam niezbędnych wskazówek, które nadają właściwy kierunek jego pracom. Nawet w tej specyficznej dziedzinie, w której uważają się za niedościgłych specjalistów, pracujemy ze sobą jak równy z równym. Od razu na pierwszym posiedzeniu proponuję wprowadzić jako jeden ze wskaźników koniunkturalnych prognoz ewolucji rynku wskaźnik wielkości przewozów transportem konnym, który z miejsca okazuje się jednym z najlepszych wskaźników prognozowania ewolucji rynku towarów żywnościowych. Ponadto bardzo szybko nawiązuję z nimi doskonałe stosunki. Lokalna organizacja partyjna i drobni partyjniacy zaczęli już ich podgryzać, przejawiając partyjną czujność wobec wszystkich tych „podejrzanych speców”. Przywołuję organizację partyjną do porządku - jako pracownik KC jestem dla niej autorytetem - i zmuszam ją do pozostawienia profesorów w spokoju.

Dwa tygodnie później Szmielew przychodzi do Sokolnikowa i oznajmia, że profesorowie wycofują wszystkie swoje zarzuty wobec nowego kierownika i że praca z nim ułożyła się znakomicie.

Cały czas będzie przebiegać w sposób wzorowy. Mam też doskonałe stosunki z Bronskim. Jest to człowiek sympatyczny, nie ma w sobie prawic nic z bolszewika. Zajmuje część ogromnego lokalu, w którym mieszka też Wieniamin Swierdłow z żoną. Często ich odwiedzam.

Najsympatyczniejszym bodaj spośród moich nowych podwładnych jest dyrektor Instytutu Koniunktur - Mikołaj Dymitrowicz Kondratiew. Jest to wybitny uczony, człowiek wielkiego umysłu. To on stworzył Instytut Koniunktur i w tej nowej dla Rosji dziedzinie, dzięki swym obserwacjom i sprawowanej kontroli nad rozwojem gospodarki, świadczy ogromną pomoc kierowniczym instytucjom gospodarczym, zwłaszcza Ministerstwu Finansów. Oczywiście, u podstaw jego pracy leżą wciąż te same naiwne złudzenia, że z bolszewicką władzą da się współpracować; bolszewicy to przecież nie głupcy i muszą zrozumieć, że ludzie nauki i specjaliści są potrzebni i użyteczni. Podobnie jak inni wybitni specjaliści, konsultanci Ministerstwa Finansów, wierzy, że jego praca jest pożyteczna i nie uświadamia sobie wilczej natury komunizmu. Pracuje również w Wydziale Rolnym Komisji Planowania.

Wkrótce przekona się, z jaką władzą ma do czynienia. Zmierzając ku rozsądnej polityce rolnej, w swych radach na użytek Komisji Planowania wychodzi z założenia, że krajowi niezbędne jest zwiększenie produkcji w gospodarstwach chłopskich, a do tego należy zaniechać napuszczania wiejskich leniuchów i pasożytów na pracowitych i gospodarnych chłopów (co stanowi treść bolszewickiej walki klasowej na wsi) i pozwolić tym ostatnim spokojnie pracować.

W Komisji Planowania organizacja partyjna jest jednak bardzo czujna i ostro bierze się za speców. Nie ma tam Bażanowa, który mógłby ją ofuknąć. Komuniści podnoszą więc dziki wrzask - Kondratiew zaleca rezygnację z prowadzonej przez bolszewików walki na wsi, *kondratiewcy* żądają, by stawiać na kułaka, *kondratiewszczyzna* to dzisiejsza kontrrewolucja na wsi. Podnosi się szum. *Prawda* drukuje stosowne artykuły, ogłoszona zostaje krucjata przeciwko *kondratiewszczyźnie*. Jakaś drobna komunistyczna hołota wszelkimi sposobami usiłuje zrobić karierę na swej czujności - odkryła i zdemaskowała ukrytego wroga klasowego. Dobić go! Oczywiście biedny Kondratiew nie ma szans, by odpowiedzieć choćby jednym słowem na cały ten jad sączący się z gazet - *Prawda* nie przyznaje mu prawa głosu. Jest ogromnie przygnębiony. Organizacja partyjna Ministerstwa Finansów także próbuje go podgryzać - przecież *Prawda* dała sygnał.

Nie pozwalam na szaszczowanie Kondratiewa w ministerstwie. Wyjaśniam organizacji partyjnej, że sprawa dotyczy rolnictwa i Wydziału Rolnego w Komisji Planowania. U nas, w Ministerstwie Finansów, Kondratiew zajmuje się zupełnie czym innym - problemem koniunktur, co nie ma żadnego związku z jego politycznymi opiniami na temat wsi; u nas pracuje nienagannie i pożytecznie, należy więc zostawić go w spokoju. Póki pracuję w Ministerstwie Finansów, nikt rzeczywiście nie śmie go tknąć. Jednakże nagonka przeciw niemu odbywa się już w całym kraju. Po rozpoczęciu stalinowskiej kolektywizacji nadchodzi wreszcie moment, gdy niszcząc gospodarkę rolną doprowadza ona do braku żywności i do głodu. Wówczas, zgodnie z obowiązującą komunistyczną praktyką, trzeba ujawnić wrogów, których można by obarczyć winą za niepowodzenia.

W 1930 r. GPU „ujawni” „chłopską partię pracy” - całkowicie bzdurny ubecki wymysł. Partią tą kieruje rzekomo profesor Kondratiew wraz z profesorami Czajanowem i Jurowskim (Jurowski, nawiasem mówiąc Żyd, jest ekonomistą, specjalistą od spraw walutowych i obrotu pieniężnego; nigdy nie miał nic wspólnego z chłopami i z wsią). GPU idzie na całego: „partia” ma liczyć sobie sto, a może i dwieście tysięcy członków. Przygotowuje się wielki proces, który pokaże krajowi, dlaczego brakuje chleba - oczywiście z powodu sabotażu *kondratiewców*; biedny Kondratiew musiałby pewnie na procesie przyznać się do wszystkich swych przestępstw. Jednakże w ostatniej chwili Stalin uznał, że wszystko to nie wygląda zbyt przekonująco; proces odwołał i polecił GPU osądzić kierownictwo i członków chłopskiej partii pracy w *trybie tajnym*. Z wyroku jakiejś czekistowskiej „trójki” wysłano ich po śmierć na sowieckiej morderczej katordze - do obozu koncentracyjnego. Tak zginął wielki uczyony i wspaniały człowiek, profesor Kondratiew. Zginął przede wszystkim jako ofiara własnych złudzeń, iż z władzą komunistyczną można współpracować, przy założeniu, że przynosi to krajowi jakiś pożytek. Niestety, jest to wielki błąd. Władza wykorzystuje ludzi żyjących złudzeniami tak długo, jak długo jest to jej potrzebne, później bezwzględnie ich niszczy; odpowiedni moment nadchodzi, gdy trzeba na kogoś zwalić winą za bezsensowne, niszczycielskie praktyki marksizmu.

Rok 1925 to rok walki o władzę między Zinowiewem a Stalinem. „Trójca”, chwilowo reaktywowana w celu dokończenia walki z Trockim, w marcu rozpadła się definitywnie. W kwietniu Zinowiew i Kamieniew energicznie atakowali na posiedzeniach Biura Politycznego stalinowską teorię *budowania*

socjalizmu w jednym kraju. Trójca przestała się już zbierać, Stalin sam zatwierdzał projekt porządku obrad Biura Politycznego. Przez kilka miesięcy Biuro pracowało jako ciało kolegialne, pozornie pod kierunkiem Zinowiewa i Kamieniewa. Stalin jak zwykle brał niewielki udział w omawianiu rozważanych problemów (z powodu swej ignorancji), podczas gdy Kamieniew jak dawniej kierował całą gospodarką, a sprawy gospodarcze zajmowały zawsze wiele czasu w pracach Biura Politycznego. Stąd niewtajemniczeni mogli uważać, że Biuro Polityczne pracuje pod kierownictwem Zinowiewa i Kamieniewa. Trocki udawał, że bierze udział w bieżącej pracy. Na posiedzeniach Biura Politycznego panował więc pozorny spokój.

Nie mając całkowitej pewności, że większość członków KC opowie się za nim, Stalin nie szukał rozstrzygającej bitwy na plenum KC, lecz oczekiwał ostatecznej decyzji od najbliższego zjazdu. Prowadził bezustanne skryte przygotowania i nie tylko niczego nie forsował, lecz odwrotnie - ciągle odwlekał termin zjazdu. Latem, jak zwykle panował pewien polityczny zastój. Lecz jesienią Trocki opublikował broszurę pt. *Do socjalizmu czy do kapitalizmu?*, wznawiając walkę polityczną z większością w KC, w której niezależnie od tego zaczęły się tworzyć podziały. Zinowiew, próbując utrzymać swą pozycję lidera, natychmiast odpowiedział broszurą pt. *Leninizm*, w której wyłożył swą filozofię równości. W pierwszych dniach października Biuro Polityczne miało ustalić termin zjazdu oraz podjąć decyzję, kto wygłosi na zjeździe referat sprawozdawczy KC. Postanowiono zwołać zjazd na połowę grudnia, a na wniosek Mołotowa większość Biura Politycznego zdecydowała powierzyć wygłoszenie referatu Stalinowi. Zinowiew i Kamieniew utracili większość w Biurze Politycznym. Natychmiast zgłosili do Biura wnioski z żądaniem przeprowadzenia dyskusji plenarnej. Na zwołanym zaraz potem plenum KC okazało się, że przygotowawcza praca Stalina przyniosła owoce - plenum podtrzymało decyzję, iż referat sprawozdawczy na zjeździe wygłosi Stalin, i nie zgodziło się na dyskusję, w której Zinowiew widział swą główną szansę. Ponadto plenum oznajmiło, że największą wagę przywiązuje obecnie do *pracy partii wśród wiejskiej biedoty*, i aby odpowiednio wcześniej przygotować kampanię przeciwko grupie Zinowiewa i Kamieniewa, napiętnowało zarówno odchylenie prawicowe - *kułackie*, jak i lewicowe - *antyśredniackie*. Na bazie tej rezolucji aparat partyjny zaczął energicznie podgryzać nową opozycję. Jak zwykle przed zjazdem, do KC należało ogłoszenie tez zjazdowych, wokół których powinna rozpocząć się dyskusja. Całą tę dyskusję Stalin i Mołotow zupełnie przekreślili (Stalin obawiał się politycznej dyskusji) i zastąpili ją zwykłym „omówieniem” rezolucji październikowego plenum, na podstawie którego miano przygotować wybory na zjazd. Przedzjazdowe plenum KC dopiero 15 grudnia zatwierdziło tezy zjazdowe, a zjazd rozpoczął się już 18. Ale oczywiście w grudniu w organizacjach partyjnych i na konferencjach toczyły się dyskusje. Wybory delegatów na zjazd, przeprowadzone na początku grudnia w gubernialnych i obwodowych organizacjach, z góry zdecydowały o składzie zjazdu i o porażce Zinowiewa. Nie mając możliwości kontrolowania całego terenowego aparatu partyjnego (co mogli robić, siedząc w KC, tylko Stalin i Mołotow), Zinowiew i Kamieniew liczyli na poparcie trzech wiodących organizacji partyjnych: dwóch stołecznych (moskiewskiej i leningradzkiej) oraz najważniejszej z prowincjonalnych - ukraińskiej. Wysłany na sekretarza KP Ukrainy Kaganowicz zrobił wszystko, co trzeba, by ukraińska organizacja była dla Zinowiewa i Kamieniewa stracona. Inaczej rzecz się miała z organizacją leningradzką - tę Zinowiew nadal trzymał w garści. Choć Stalin zdołał doprowadzić do zdjęcia sekretarza Komitetu Leningradzkiego, Załuckiego, który zbyt wcześnie i za ostro wystąpił przeciw niemu i Mołotowowi, i ich większości, oskarżając ich o *thermidoriańskie zwyrodnienie*, to jednak Jewdokimow, sekretarz Północno-Zachodniego Biura KC, był prawą ręką Zinowiewa i popierał go wraz z całą organizacją leningradzką.

Najbardziej jednak nieoczekiwane i katastrofalne dla Zinowiewa i Kamieniewa było przejście na stronę Stalina najważniejszej organizacji - moskiewskiej. U podłoża tego leżała chytrze i wcześniej przygotowana przez Stalina zdrada Ugłanowa.

Mówiłem już, że pod koniec 1923 r., gdy rozwinęła się prawicowa opozycja, Biuro Polityczne było niezadowolone z pierwszego sekretarza Moskiewskiego Komitetu Partyjnego, Zielenskiego. Latem 1924 r. działająca jeszcze zgodnie trójca przeniosła go na stanowisko pierwszego sekretarza Środkowo-Azjatyckiego Biura KC. Wszyscy członkowie trójcy byli zgodni, że na Moskwę jest on zbyt słaby. Kogo jednak osadzić w Moskwie, w najważniejszej organizacji partyjnej Kamieniew, który jak zwykle mało interesował się problemami organizacyjnymi, pozostawił inicjatywę Zinowiewowi. Stalin chciałby na czele organizacji moskiewskiej postawić Kaganowicza, jednak Zinowiew, który w owym czasie był postacią numer jeden, wołał, by sekretarzem Komitetu Moskiewskiego został jego człowiek. Zaproponował na to stanowisko Ugłanowa. Rozmawiano o tym na spotkaniu trójcy, w którym jak zwykle uczestniczyłem jako czwarty.

W 1922 r. pracowałem w Leningradzie u Zinowiewa, był jego zaufanym człowiekiem i gdy rozważano nominację na stanowisko pierwszego sekretarza guberni niżgorodzkiej, Zinowiew przeforsował kandydaturę Ugłanowa. Były to początki „trójcy”, Stalin jeszcze nie zawsze zabierał głos i musiał się na tę nominację zgodzić. Jednak zaraz potem obróbką Ugłanowa zajął się Mołotow. Latem 1924 r. przyszedłem po coś do Stalina i nie zastawszy go w gabinecie uznałem, że musi być w następnym gabinecie, przejściowym (pokój narad między gabinetami Stalina i Mołotowa). Otwieram drzwi i wchodzę. Widzę Stalina, Mołotowa i Ugłanowa. Ujrzawszy mnie Ugłanow zbladł i wygląda na skrajnie przerażonego. Stalin uspokaja go: *To towarzysz Bażanow, sekretarz Biura Politycznego; nie bój się, nie mamy przed nim tajemnie, wie o wszystkim.* Ugłanow z trudem się opanował.

Od razu domyśliłem się, o co chodzi. Dzieli wcześniej, na zebraniu trójcy Zinowiew zaproponował, by na stanowisku kierownika moskiewskiej organizacji posadzić Ugłanowa. Stalin sprzeciwił się: czy Ugłanow jest dostatecznie silny, by kierować najważniejszą, stołeczną organizacją? Zinowiew nalegał, Stalin udawał, że jest przeciw i że godzi się wbrew swej woli, bardzo niechętnie. W rzeczywistości jednak Ugłanow poddany został mołotowskiej obróbce wstępnej i teraz właśnie między nim a Stalinem został zawarty tajny pakt przeciwko Zinowiewowi.

Przestrzegając postanowień tego paktu Ugłanow niemal przez półtora roku prowadził podwójną grę, zapewniając Zinowiewa i Kamieniewa o swym oddaniu, a w drugiej połowie 1925 r. także o swej wrogości wobec Stalina. W rzeczywistości przez cały ten czas przygotowywał i dobierał odpowiednią kadrę, by na moskiewskiej przedzjazdowej konferencji partyjnej 5 grudnia 1925 r. nieoczekiwanie, wraz z całą partyjną górą Moskwy przejść na stronę Stalina. Był to cios ostateczny - klęska Zinowiewa została przesądzona.

Wiadomo, co działo się na tym, XIV zjeździe, który trwał aż do końca grudnia. Stalin wygłosił referat sprawozdawczy, nudny i bezbarwny. Delegacja leningradzka zażądała koreferatu Zinowiewa. Został on wygłoszony, ale niczego już nie zmienił. Za Stalinem posłusznie głosował cały zjazd, na Zinowiewa jedynie organizacja leningradzka. Referat Kamieniewa *O kolejnych problemach rozwoju gospodarki* został zdjęty z porządku obrad zjazdu. Po stronie opozycji opowiedzieli się (oprócz Zinowiewa): Kamieniew, Sokolnikow, Jewdokimow i Laszewicz (Jewdokimow zostanie rozstrzelany w 1936 r., Laszewicz skończy samobójstwem w 1928 r.)

Jednakże i spośród delegacji leningradzkiej wiele osób zmieniło front i przeszło na stronę zwycięzcy. Znaleźli się wśród nich: Szwarnik - sekretarz Komitetu Leningradzkiego, Moskwin - zastępca sekretarza Północno-Zachodniego Biura KC, Komarow - przewodniczący Leningradzkiego Gubernialnego Komitetu Wykonawczego.

Trocki na zjeździe milczał i ze złośliwą satysfakcją patrzył na klęskę swego głównego wroga - Zinowiewa. Po czterech miesiącach, w kwietniu 1926 r. Zinowiew i Kamieniew zostają wybrani członkami KC. Oczywiście, na pierwszym pozjazdowym plenum KC w styczniu 1926 r. wyciągnięte zostały wszystkie „wnioski organizacyjne”: Kamieniewa odsunięto od kierowania gospodarką narodową, zdjęto ze stanowiska przewodniczącego Rady Pracy i Obrony, a także ze stanowiska wiceprezesa Rady Ministrów ZSRR, z funkcji członka Biura Politycznego przeniesiono go na funkcję zastępcy członka. Przewodniczącym RPiO mianowano Rykova. Skład Biura Politycznego został poszerzony: Mołotow i Kalinin, zastępcy członków, przechodzą na funkcje członków; Woroszyłow od razu zostaje członkiem. Trocki i Zinowiew jeszcze pozostają w Biurze Politycznym. Zastępcami członków Biura Politycznego, prócz Kamieniewa i Dzierżyńskiego (który i poprzednio był zastępcą), zostają: Rudzutak, Ugłanow (w nagrodę, za akcję) i Pietrowski (formalnie najwyższy przedstawiciel władzy radzieckiej na Ukrainie). Stalin zostaje ponownie wybrany sekretarzem generalnym, Mołotow - drugim sekretarzem, Ugłanow - trzecim, Stanisław Kosior - czwartym. W Leningradzie Stalin osadza Kirowa, dotychczasowego sekretarza KC Azerbejdżanu.

Kolejny, 1926 rok wypełniony jest stopniowym przemianem *nowej opozycji*. Cały świat zrozumiał, że w komunistycznej Rosji i w światowym komunizmie nastąpiła zmiana kierownictwa. Mało kto jednak widzi i rozumie, że nastąpił prawdziwy zamach stanu i że kierowanie Rosją i komunizmem przejęły nowe kręgi i warstwy. Ta sprawa wymaga wyjaśnienia.

W Rosji przedrewolucyjnej Żydzi, ograniczeni w swych prawach, w większości byli nastawieni opozycyjnie i właśnie spośród młodzieży żydowskiej rekrutowały się w poważnym stopniu kadry rewolucyjnych partii i rewolucyjnych organizacji. Także we władzach tych partii Żydzi odgrywali zawsze dużą rolę. Partia bolszewicka nie była tu wyjątkiem i w bolszewickim Komitecie Centralnym około połowę członków stanowili Żydzi.

Po rewolucji dość szybko doszło do sytuacji, że w rękach tej grupy Żydów w KC znalazły się wszystkie ważniejsze ośrodki władzy, wpłynęła na to zapewne wielowiekowa tradycja żydowskiej diaspory, nakazująca trzymać się razem i wzajemnie popierać. Wśród rosyjskich członków KC takich nawyków nie było. W każdym razie wszystkie najważniejsze stanowiska we władzach obsadzone były przez kilku Żydów. Trocki - przywódca Armii Czerwonej i drugi lider polityczny po Leninie; Swierdłow - formalnie głowa państwa radzieckiego, do swej śmierci prawa ręka i najbliższy współpracownik Lenina; Zinowiew - najwyższy funkcjonariusz Kominternu i praktycznie wszechmocny namiestnik drugiej stolicy, Petersburga; Kamieniew - pierwszy zastępca Lenina w Radzie Ministrów, faktyczny kierownik gospodarki, a ponadto namiestnik pierwszej stolicy. Moskwy. Żydzi więc, stanowiąc w przybliżeniu połowę Komitetu Centralnego, mieli w nim o wiele więcej władzy i wpływów niż nie-Żydzi.

Stan ten trwał od 1917 do 1925 r. Na XIV zjeździe w końcu grudnia 1925 r. Stalin nie tylko odsunął od władz centralnych żydowskich liderów partii, uczynił także istotny krok w kierunku zupełnego odsunięcia od władz centralnych całej żydowskiej części kierownictwa partyjnego. Jednakże odsunięci od kierowniczego centrum Trocki, Zinowiew i Kamieniew na tym zjeździe zostali mimo wszystko wybrani do Komitetu Centralnego. Na następnym zjeździe (w 1927 r.) zostaną już wydaleny z partii, a

Żydzi wybrani do KC będą już rzadkością. Żydowska część góry partyjnej nigdy już nie wróciła do władz. Wyjątek stanowili Kaganowicz i Mechlis, którzy deklarowali wszem i wobec, że nie uważają się za Żydów. W latach trzydziestych Stalin wprowadzał niekiedy na stanowiska zastępców członków KC najbardziej posłusznych i oddanych mu Żydów, jak np. Jagodę, ale ci też później trafiali pod ścianę. W ostatnich dziesięcioleciach żaden Żyd nie wszedł do KC, a od śmierci Mechlisa (1953 r.) i usunięcia Kaganowicza (1957 r.) nie ma w KC ani jednego Żyda (zdaje się, że dziś na 400 członków i zastępców jest jeden zastępca członka – Dymszyc).

W istocie rzeczy Stalin dokonał przewrotu, usuwając raz na zawsze z kierownictwa partyjnego dominującą poprzednio grupę Żydów.

Było to jednak przeprowadzone ostrożnie i nie sprawiało wrażenia, że cios zadano właśnie Żydom. Bowiem po pierwsze, nie wyglądało to na nacjonalistyczną reakcję rosyjską, choćby dlatego, że władza przechodziła w ręce Gruzina; po drugie, zawsze wyraźnie podkreślano, że walka prowadzona jest z opozycją i że rzecz cała sprowadza się do różnic ideologicznych; Zinowiewa, Kamieniewa i ich zwolenników usunięto jakoby z tego powodu, iż mieli inny punkt widzenia na możliwość budowania socjalizmu w jednym kraju.

Pozory zostały więc zachowane, a w przyszłości wzbogacono je o dodatkowe elementy. Po wyrzuceniu Żydów z Komitetu Centralnego Stalin nie kontynuował tej czystki w niższych instancjach i w ciągu kilku najbliższych lat Żydzi zajmowali jeszcze szereg mniej odpowiedzialnych stanowisk - wiceministrów, członków kolegiów ministerialnych, członków KC. Kiedy zaś w drugiej połowie lat trzydziestych zaczęły się masowe rozstrzeliwania kadr partyjnych, rozstrzelano równie wielu Żydów, co nie-Żydów.

Obserwując to wszystko można było mniemać, że w procesie zwykłej walki o władzę Stalin rozprawił się z konkurentami? fakt, że byli oni Żydami, to sprawa przypadku.

Nie mogę zgodzić się z tym punktem widzenia.

Po pierwsze dlatego, że Stalin był antysemitą. Gdy trzeba było, ukrywał to starannie i tylko w nielicznych przypadkach tracił panowanie nać sobą, jak na przykład w historii z Fajwiłowiczem (o czyni pisałem wcześniej). Od lat 1931-1932 Stalin miał też poważne powody polityczne, by to ukrywać - w Niemczech dochodził do władzy jawny antysemita, Hitler; przewidując możliwość konfliktu z nim Stalin nie chciał wzbudzać przeciwko sobie wrogości w świecie żydowskim.

Gra ta okazała się nader pożyteczna, i to zarówno przed wojną, jak i po wojnie. Przestała być potrzebna dopiero w latach 1948-1950; wówczas Stalin pchnął partię w kierunku niemal jawnego antysemityzmu, a w latach 1952-1953 obmyślał plan całkowitej likwidacji Żydów w Rosji. Jedyne jego nieoczekiwana śmierć uratowała rosyjskich Żydów przed eksterminacją. Jego antysemityzm potwierdziła także Swietłana (wystarczy przypomnieć, że posłał do łagru Żyda, który się do niej zalecał i że całkowicie wobec niej zobojętniał, gdy wyszła za mąż za innego Żyda). Powszechnie znana jest też historia żydowskiego *spisku białych fartuchów*.

Po wtóre dlatego, że przyglądając się przygotowaniom do przewrotu na XIV zjeździe, znajdowałem się w szczególnej sytuacji - mogłem obserwować, w jak specyficzny sposób Stalin prowadził swą kreacją działalność.

Skład partii z 1917 r. bardzo się zmienił i nadal ciągle się zmieniał. W 1917 r. Żydzi stanowili w partii stosunkowo liczną grupę, która odzwierciedlała społeczny przekrój rosyjskiego Żydostwa. Byli w niej rzemieślnicy, kupcy, inteligenci, ale nie było prawie wcale robotników, w ogóle nie było chłopów. Od 1917 r. zaczyna się liczebny wzrost partii, przyciągającej ku sobie na dużą skalę przede wszystkim robotników, a później i chłopów. W tej masie z czasem zaczęła ginąć żydowska część partii. Jednocześnie nadal zachowywała kierownicze funkcje, sprawiając wrażenie wąskiej uprzywilejowanej kasty. Z tego powodu narastało w partii niezadowolenie, a Stalin potrafił na tym niezadowoleniu grać w umiejętny sposób. Gdy grupa żydowska podzieliła się na walczące ze sobą grupy Trockiego i Zinowiewa, Stalin zyskał warunki do kamuflażu; dobierał na odpowiednie stanowiska w aparacie partyjnym niezadowolonych, „odsuniętych” przez kierowniczą grupę żydowską, aczkolwiek stwarzał przy tym pozory, że wysuwa się jawnych antytrockistów (a przy okazji po trosze antysemitów). Uważnie obserwowałem, kogo w tych latach Stalin i Mołotow dobierali na stanowiska sekretarzy organizacji gubernialnych i obwodowych; byli to przecież przyszli członkowie KC, a może nawet członkowie Biura Politycznego. Wszyscy oni marzyli o usunięciu znajdujących się u władzy Żydów i zajęciu ich miejsca. Szybko wypracowana została stosowna frazeologia: stalinowskie centrum nadawało partii nową linię - autentyczni ludzie partii to ci, którzy wywodzą się spośród robotników i chłopów, partia powinna stać się bardziej robotnicza; zasadniczym kryterium przyjmowania do partii i awansowania w niej powinno być pochodzenie społeczne, tę zasadę zawarto także w statucie. Rzecz oczywista, że żydowscy liderzy, wywodzący się z inteligencji, kupiectwa i rzemieślników, byli już traktowani tylko jako swego rodzaju przygodni sprzymierzeńcy. Trening i przygotowania do definitywnej akcji przeprowadzono w trakcie niszczenia *klanu trockistowskiego*. Pod koniec 1925 r. odpowiednia kadra była już na swoim miejscu i można było przystąpić do uderzenia w drugą grupę żydowskiej góry - w grupę Zinowiewa i Kamieniewa.

Wszyscy co znaczniejsi pracownicy aparatu partyjnego, którzy uczestniczyli w tej rozprawie, z radością zajęli zwolnione stanowiska.

Przewrót przeprowadzono pomyślnie, a kamuflaż utrzymywano do lat 1947-1948. Dopiero wówczas zaczęto odkrywać karty - najpierw ostrożnie, poprzez kampanię przeciw *syjonistom*, a potem *kosmopolitom*, aż do wprowadzenia do dowodu osobistego wpisu narodowości: *judejska*, by w sposób definitywny postawić Żydów w szczególnej roli wrogów wewnętrznych.

Rzecz charakterystyczna, że światowa diaspora żydowska do samej wojny nie dostrzegła antyżydowskiej linii Stalina. Nieostrożny antysemita Hitler rąbał prosto z mostu, ostrożny antysemita Stalin wszystko ukrywał. I aż do *spisku białych fartuchów* światowa opinia żydowska po prostu nie wierzyła, że władza komunistyczna może być antysemita; zresztą i ów spisek przypisano osobiście Stalinowi. Trzeba było jeszcze wielu lat, by zrozumiano wreszcie sedno polityki następców Stalina, którzy nie widzieli żadnych powodów, by zmieniać stalinowską linię.

Sporą część sowieckich i antysowieckich dowcipów wymyślał Radek. Mogłem ich słuchać wprost od niego, rzecz można, z pierwszej ręki. Dowcipy Radka były żywą reakcją na wydarzenia dnia. Oto dwa typowe dla Radka dowcipy na temat udziału Żydów w najwyższym kierownictwie.

Pierwszy dowcip: Dwóch Żydów w Moskwie czyta gazetę. Jeden z nich mówi do drugiego: *Abramie Osipowiczu, ministrem finansów mianowali jakiegoś Briuchanowa. Jak on się naprawdę nazywa?* Abram Osipowicz odpowiada: *To właśnie jest jego prawdziwe nazwisko - Briuchanow. - Jak to -*

wykrzykuje pierwszy. - *Prawdziwe nazwisko Briuchanow? To on jest Rosjanin? - Ależ tak, Rosjanin. - No, proszę - mówi pierwszy - ci Rosjanie to taki zdumiewający naród; wszędzie wleżą.*

Gdy Stalin usunął Trockiego i Zinowiewa z Biura Politycznego, Radek spotkawszy się ze mną pyta: *Towarzyszu Bażanow, jaka jest różnica między Stalinem a Mojżeszem? Nie wiecie? Ogromna: Mojżesz wyprowadził Żydów z Egiptu, a Stalin z Biura Politycznego.*

Wygląda to być może na paradoks, lecz do istniejących dotąd rodzajów antysemityzmu (religijnego i rasistowskiego) doszedł nowy - antysemityzm marksistowski. Można rokować mu dużą przyszłość.

GPU - ISTOTA WŁADZY

GPU. Dzierżyński. Kolegium GPU. Jagoda. Wanda Zwedre. Anna Gieorgijewna. Co mam robić? Ewolucja władzy. Istota władzy.

GPU... Ileż rosyjskie serce odnajduje w tym słowie...

W roku, w którym wstępowałem do partii komunistycznej (1919), w moim rodzinnym mieście władza należała już do bolszewików. W kwietniu, w Wielkanoc codzienna gazeta komunistyczna ukazała się z ogromnym tytułem: *Chrystus zmartwychwstał*. Redaktorem dziennika był komunista Sonin. Prawdziwe jego nazwisko brzmiało Krymerman. Był to miejscowy Żyd, młody i dobroduszny. Ten przykład tolerancji religijnej, wręcz życzliwości, bardzo mi się spodobał i zapisałem go komunistom na plus. Gdy po kilku miesiącach w mieście zjawili się czekici i zaczęły się rozstrzelania, byłem wstrząśnięty; na własny użytek dokonałem wtedy podziału komunistów na przyzwoitych, „ideowych”, pragnących zbudowania jakiegoś ludzkiego społeczeństwa, oraz innych - reprezentujących zło, nienawiść i okrucieństwo, morderców i sadystów. Jakby decydowali o wszystkim ludzie, a nie system.

W czasie mego późniejszego pobytu na Ukrainie poznałem wiele przykładów krwawego terroru wprowadzonego przez czekistów. Do Moskwy przyjechałem pełen wrogich uczuć wobec tej instytucji. Praktycznie jednak nie miałem okazji się z nią zetknąć, póki nie zacząłem pracować w Biurze Organizacyjnym i w Biurze Politycznym. Tu poznałem najpierw członków CKK - Łacisa i Petersa, którzy jednocześnie pełnili obowiązki członków kolegium GPU. Byli to ci sławni Łacis i Peters, których sumienia obciążały masowe egzekucje na Ukrainie i wszędzie tam, gdzie toczyła się wojna domowa; liczbę ich ofiar oceniano na setki tysięcy. Sądziłem, że spotkam tępych, ponurych morderców, fanatyków. Ku memu wielkiemu zdziwieniu obaj ci Łotysze okazali się absolutnie przeciętnymi draniami - płaszczący się, przypochebni, na wypródki starający się we wszystkim uprzedzać życzenia swych partyjnych mocodawców. Obawiałem się, że przy spotkaniu z tymi oprawcami nie będę w stanie znieść ich fanatyzmu. Ale to wcale nie byli fanatycy. Byli to urzędnicy do spraw rozstrzelania, bardzo zajęci robieniem kariery i dbaniem o stan swego majątku, czujni na każde skinienie z sekretariatu Stalina. Moja wrogość wobec instytucji przeobraziła się w uczucie wstrętu do jej szefów.

Sprawa nie wyglądała już jednak tak prosto w przypadku przewodniczącego GPU - Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego. Stary polski rewolucjonista stał na czele Czeki od chwili jej utworzenia i formalnie kierował nią aż do śmierci, aczkolwiek brał niewielki udział w jej pracach, ponieważ po śmierci Lenina został przewodniczącym Rady Najwyższej Gospodarki Narodowej (na miejsce Rykowa, który został prezesem Rady Ministrów). Kiedy ujrzałem go po raz pierwszy na posiedzeniu Biura Politycznego, wprowadził mnie w błąd swym wyglądem i sposobem mówienia. Miał powierzchowność Donkiszota, sposób mówienia człowieka zdecydowanego i ideowego. Zdumiała mnie jego wojskowa bluza z łatami na łokciach. Było rzeczą oczywistą, że człowiek ten nie wykorzystuje swego stanowiska i pozycji dla jakichś korzyści osobistych. Początkowo szokował mnie zapał, jaki przejawiał w trakcie wystąpień; odnosiło się wrażenie, że bardzo bierze sobie do serca

problemy życia partii i państwa. Zapal ten kontrastował z cynicznym chłodem innych członków Biura Politycznego. Później jednak musiałem zmienić nieco swój sąd o Dzierżyńskim.

W owym czasie w partii panowała wolność, jakiej nie było w kraju. Każdy członek partii miał możliwość bronić swego punktu widzenia. Równie swobodnie omawiano wszystkie problemy w Biurze Politycznym. Nie tylko opozycjoniści, jak Trocki i Piatakow, bez skrepowania ostro przeciwstawiali się opinii większości, ale nawet wśród owej większości omawianie każdego problemu dotyczącego ideologii czy praktyki nie odbywało się bez sporów. Ileż to razy Sokolnikow, który właśnie przeprowadzał reformę pieniądza, przeciwstawiał się decyzjom Biura Politycznego w kwestiach gospodarczych: *Rozwalacie mi moją reformę; jeśli podejmiecie tę decyzję, to zwolnijcie mnie ze stanowiska ministra finansów*. W sprawach polityki zagranicznej i handlu zagranicznego Krasin, były komisarz ludowy d/s handlu zagranicznego, wprost oskarżał członków Biura Politycznego o ignorancję w sprawach o których się wypowiadają, i robił dla nich coś w rodzaju wykładu.

Prędko spostrzegłem, że Dzierżyński zawsze był po stronie tych którzy mieli władzę, a jeśli z zapalem przy czymś obstawał, to tylko przy tym, co popierała większość. Jego zapalczywość jednak członkowie Biura Politycznego traktowali jako coś udawanego, a tym samym nieprzyzwoitego. Podczas jego pełnych żaru wystąpień członkowie Biura rozglądali się dokoła, przeglądali papiery, panowała atmosfera zażenowania. Pewnego razu Kamieniew, który przewodniczył obradom sucho powiedział: *Feliksie, nie jesteś na mityngu, lecz na posiedzeniu Biura Politycznego*. I o dziwo! Feliks nawet nie próbuje usprawiedliwić swej żarliwości (np. coś w rodzaju: *Bardzo biorę sobie do serca sprawy partii i rewolucji*), ale w jednej sekundzie przechodzi od pełnej emocji patosu do tonu prostego, prozaicznego i spokojnego. Gdy na zebraniu trójcy wspomniano o Dzierżyńskim, Zinowiew powiedział: *Ma oczywiście anginę pectoris, ale zanadto nadużywa jej dla efektu*. Należy dodać, że gdy Stalin dokonał swego przewrotu, Dzierżyński zaczął bronić stalinowskich pozycji z takim samym zapalem, z jakim popierał Zinowiewa i Kamieniewa (gdy byli jeszcze u władzy).

Podsumowując moje obserwacje chcąc nie chcąc musiałem dojść do następującego wniosku: Dzierżyński nigdy ani na jotę nie wychylił się poza linię większości (a można by przecież od czasu do czasu mieć swoje zdanie), bo tak wygodniej; czy nie ma racji Zinowiew mówiąc, że gdy Dzierżyński tak gorąco, tracąc oddech, broni ortodoksyjnej linii, to wykorzystuje zewnętrzne efekty swej anginy pectoris?

Ocena ta była mi dość przykra. Był rok 1923, jeszcze byłem komunistą i w moim przekonaniu kto, jak kto, ale człowiek stojący na czele GPU powinien chodzić w aureoli szczerości i uczciwości. W każdym razie jedno nie ulegało wątpliwości: nigdy nie robił niczego dla osobistych korzyści - pod tym względem był człowiekiem w pełni przyzwoitym. Prawdopodobnie dlatego właśnie Biuro Polityczne trzymało go formalnie na czele GPU, by nie pozwalał podwładnym ze swego resortu zbyt się rozzuchwalać. Pracownicy GPU, które było panem życia i śmierci dla całej bezpartyjnej ludności, pokus mieli bez liku. Nie sądzę, by Dzierżyński rzeczywiście wywiązywał się z tej roli; z praktyczną działalnością resortu niewiele miał wspólnego, a Biuro Polityczne wołało wierzyć, że wszystko toczy się zgodnie z założeniami, niż znać prawdę.

Pierwszy zastępca Dzierżyńskiego (także Polak), Mienżyński, człowiek cierpiący na dziwną chorobę rdzenia kręgowego, esteta, spędzał swe życie leżąc na otomanie i w gruncie rzeczy również tylko w niewielkim stopniu kierował pracą GPU. Wyszło więc na to, że faktycznym kierownikiem GPU był drugi zastępca przewodniczącego - Jagoda.

Ze szczerých rozmów podczas zebrań trójcy wkrótce poznałem poglądy partyjnych liderów; trzymając całą ludność w garści za pomocą polityki terroru, GPU mogło zagarnąć zbyt dużą władzę. Dlatego też trójca na czele GPU świadomie trzymała Dzierżyńskiego i Mienżyńskiego jako jego formalnych zwierzchników, a prowadzenie wszystkich spraw praktycznych zlecała Jagodzie - osobnikowi mało poważanemu, nie mającemu w partii, żadnego znaczenia i świadomemu swej pełnej zależności od aparatu partyjnego. Było rzeczą konieczną, by GPU zawsze i we wszystkim było podporządkowane partii i nie zgłaszało żadnych roszczeń do władzy.

Ta koncepcja liderów partii realizowana była bez trudu. GPU nie wyłamywało się spod wpływów aparatu. Troszczący się wyłącznie o relacje między GPU a partią przywódcy mieli jednak całkowicie obojętny stosunek do ludności bezpartyjnej i faktycznie oddali całą tę ogromną masę ludzi na łaskę i niełaskę GPU. Interesowała ich tylko władza i byli zajęci walką o władzę wewnątrz partii. Od ludności partię bardzo sprawnie osłaniało GPU, uniemożliwiając prowadzenie jakiegokolwiek działalności politycznej, a tym samym likwidując najmniejsze nawet zagrożenie dla władzy partii. Kierownictwo partyjne mogło spać spokojnie - było mało zainteresowane faktem, że na społeczeństwie coraz mocniej zaciskają się stalowe kleszcze gigantycznego aparatu policji politycznej, któremu dyktatorski ustrój komunistyczny stwarza nieograniczone możliwości.

Po raz pierwszy ujrzałem i usłyszałem Jagodę na posiedzeniu komisji KC, na którym pełniłem funkcję sekretarza; Jagoda był jednym z zaproszonych na posiedzenie. Członkowie komisji nie zebrali się jeszcze w komplecie, ci, którzy już przybyli, prowadzili ze sobą rozmowy. Jagoda rozmawiał z Bubnowem, będącym w owym czasie kierownikiem Wydziału Propagandy KC. Jagoda przechwalał się sukcesami w rozwijaniu sieci informacyjnej GPU, która w coraz większym stopniu ogarniała cały kraj. Bubnow odpowiedział, że podstawową bazę tej sieci stanowią przecież wszyscy bez wyjątku członkowie partii, którzy zawsze powinni być i są informatorami GPU; co się zaś tyczy bezpartyjnych, to GPU wybiera oczywiście elementy najbliższe władzy radzieckiej i najbardziej jej oddane. *Wcale nie* - oponował Jagoda - *możemy zrobić tajnego informatora z kogo tylko zechcemy, w szczególności z ludzi najbardziej wrogich wobec władzy radzieckiej.* - *W jaki sposób?* - zainteresował się Bubnow. - *Bardzo prosto* - tłumaczył Jagoda. - *Kto ma ochotę umierać z głodu? Jeśli GPU bierze człowieka w obroty z zamiarem uczynienia z niego swego informatora, to jak by się nie opierał, prędzej czy później wpadnie w nasze ręce; zwolnimy z pracy, a do innej go nie przyjmą bez tajnej zgody naszych organów. I jeśli człowiek ma rodzinę, żonę i dzieci, szybko musi skapitulować.*

Jagoda zrobił na mnie odrażające wrażenie. Stary czekista Ksenofontow, niegdyś członek kolegium WCzK, obecnie kierownik Wydziału Administracyjnego KC, wykonujący wszystkie ciemne polecenia Kannera, oraz Łacis i Peters a także bezczelny i rozpustny sekretarz kolegium GPU, Grisza Bieleński - dopełniali obrazu: kolegium GPU było bandą zwykłych szubrawców, dla zachowania pozorów firmowaną przez Dzierżyńskiego.

Akurat w tym czasie przyjechał do Moskwy, by się ze mną zobaczyć, mój znajomy, pomocnik naczelnika stacji kolejowej na Podolu. Był to wspaniały, nadzwyczaj przyzwoity człowiek. Był żonaty z moją daleką kuzynką, znał mnie jeszcze jako gimnazjalistę i nie zważając na mój wysoki urząd mówił mi ty (ja zwracałem się doń wciąż per wy). Był bardzo przybity i przyjechał do mnie z prośbą o radę i pomoc. Miejscowe, kolejowe organy GPU żądały od niego, by przystąpił do nich jako tajny współpracownik, czyli by szpiegował i donosił na swych kolegów. Uznali go widać za łatwą zdobycz - był obarczony rodziną, a przy tym charakter miał słaby. Mimo to nie zgodził się zostać agentem GPU.

Miejscowy czekista odkrył karty: wyrzucimy z pracy, powiecie kolei „pa” i nigdzie już was nie przyjmą; gdy rodzina zacznie puchnąć z głodu i tak się zgodzicie.

Przyjechał do mnie: co robić? Na swoje szczęście miał w mojej osobie obrońcę - wysokiej rangi aparatczyka. Wziąłem papier z nadrukiem KC i napisałem na nim notatkę do kolejowego czekisty z żądaniem, by pozostawił mego krewnego w spokoju. Blankiet KC zrobił swoje i mego krewniaka więcej nie niepokojono. Epizod ten stanowił dla mnie dobrą ilustrację systemu Jagody, zmierzającego do ogarnięcia całego kraju siecią Informatorów.

Po pewnym czasie zetknąłem się z Jagodą bezpośrednio na posiedzeniach Rady Głównej Kultury Fizycznej. Ponieważ byłem tam przedstawicielem KC - jak już pisałem - bez trudu realizowałem w Radzie linię sprzeczną z poglądami GPU. Jagoda musiał znosić klęski i upokorzenia. A na dodatek, mając określone zdanie o kolegium GPU, nie ukrywałem swego nieprzyjaznego stosunku do całego tego towarzystwa. W kolegium GPU wywołało to popłoch. Mieć wroga w osobie pomocnika Stalina, który poza tym jest jeszcze sekretarzem Biura Politycznego, kolegium GPU uznało za rzecz bardzo kłopotliwą. Obmyślali, co począć. W końcu zdecydowali, że najwygodniej będzie całą tę wzajemną wrogość ujawnić i uczynić z niej sprawę oficjalną; w ten sposób każdy cios, który mógłby im zadać, wywołałby podejrzenia. Obawiali się, nie bez racji, że sekretarzując na posiedzeniach trójcy i Biura Politycznego, mając stały kontakt z sekretarzami KC i członkami Biura, mogą być dla nich bardzo niebezpieczny. Postanowili więc wykorzystać też niezwykłą podejrzliwość Stalina. W imieniu kolegium GPU Jagoda napisał list do Stalina. Kolegium GPU uznało za swój obowiązek - pisano w liście - uprzedzić Stalina i Biuro Polityczne, że sekretarz Biura, Bażanow, według zgodnej opinii kolegium jest ukrytym kontrrewolucjonistą. Nie mogą jeszcze, niestety, przedstawić żadnych dowodów i opierają się wyłącznie na swej intuicji i doświadczeniu czekistów, uważają jednak, że ich obowiązkiem jest przekazanie tej opinii do wiadomości KC. List podpisał Jagoda.

Stalin podał mi list: *Przeczytajcie*. Przeczytałem. Miałem 23 lata. Stalin, który uważał się za doskonałego znawcę ludzi, bacznie mi się przyglądał. Jeśli list zawiera choćby cząstkę prawdy, chłopak zmiesza się i zacznie się usprawiedliwiać. Ja zaś przeciwnie, uśmiechnąłem się i bez słowa zwróciłem list Stalinowi. *Co o tym myślicie?* - zapytał Stalin. *Towarzyszu Stalin* - odpowiedziałem z lekką nutką wyrzutu - *przecież znacie Jagodę, toż to kanalia.* - *A mimo to* - rzekł Stalin - *czemu to pisze?* - *Myślę, że z dwóch powodów: po pierwsze, chce wzbudzić jakieś podejrzenia na mój temat; po drugie, spieraliśmy się na posiedzeniach Rady Głównej Kultury Fizycznej, gdzie jako przedstawiciel KC realizuję linię partii i doprowadziłem do odrzucenia jego szkodliwych poglądów; teraz chce nie tylko się na mnie zemścić, ale czując, że nie mam dla niego za grosz szacunku i sympatii, pragnie zawczasu skompromitować wszystko, co na jego temat mógłbym powiedzieć wam lub innym członkom Biura Politycznego.*

Stalin uznał to wyjaśnienie za całkiem prawdopodobne. Prócz tego, znając Stalina, ani przez chwilę nie miałem wątpliwości, że obrót, jaki przyjęła ta sprawa, bardzo mu odpowiada; sekretarz Biura Politycznego i kolegium GPU pozostają w stanie jawnej wrogości; można więc mieć pewność, że GPU będzie uważnie śledzić każdy krok sekretarza Biura Politycznego i w razie czego natychmiast poinformuje Stalina; sekretarz z kolei nie przepuści ze swej strony żadnej okazji, by natychmiast zawiadomić Stalina, jeśli tylko zauważy coś podejrzanego w działalności kolegium GPU.

Na takiej też zasadzie ułożyły się moje stosunki z GPU; od czasu do czasu Jagoda informował Stalina o opinii tej instytucji na mój temat, a Stalin z całkowitą obojętnością przekazywał mi otrzymywane od nich oceny.

Muszę tu dodać, że po przeczytaniu pierwszego donosu Jagody byłem bardzo zadowolony.

Chodziło o to, że jawna wrogość - pod pewnym względem - gwarantowała mi bezpieczeństwo. GPU ma ogromne możliwości zorganizowania nieszczęśliwego wypadku - wypadku samochodowego, zabójstwa na tle rabunkowym (z podstawionymi bandytami) itp. Po ujawnieniu wyraźnie wrogich stosunków między nami wszystkie te możliwości odpadły - obecnie, gdyby przydarzył mi się jakiś nieszczęśliwy wypadek, Jagoda zapłaciłby głową.

Na krótko przed historią z listem GPU przytrafiła mi się następująca przygoda. W KC zorganizowano dla pracowników lektoraty języków obcych. Uczestniczyłem w lektoratach języka angielskiego i francuskiego. W grupie angielskiej poznałem ładniutką, młodą Łotyszkę, Wandę Zwedre, pracującą w aparacie KC. W owym czasie byłem zupełnie wolny. Spodobaliśmy się sobie z Wandą, ale naszą znajomość potraktowaliśmy tylko jako miłą przygodę. Wanda była żoną wysokiego funkcjonariusza GPU. Mieszkała z mężem na Łubiance, w domu GPU; znajdowały się tam mieszkania dla czekistów pracujących na najbardziej odpowiedzialnych stanowiskach. Wanda bywała u mnie; pewnego jednak razu zaprosiła mnie do siebie, do mieszkania na Łubiance. Byłem ciekaw, w jakich warunkach mieszka czekistowska elita. Przyszedłem do Wandy wieczorem, po pracy. Wyjaśniła mi, że mąż wyjechał w delegację, i zaproponowała bym został na noc. Wydało mi się to niezwykle podejrzane - „nieoczekiwanie” wraca jacy z delegacji mąż, zastawszy mnie w łóżku swej żony, mógł władować we mnie cały magazynek i cała historia wyglądałaby na zwykły dramat zazdrości; mąż udowodniłby bez trudu, że nie miał pojęcia, kim jestem. Pod pretekstem, że muszę jeszcze popracować nad jakimiś pilnymi papierami, odmówiłem (podejrzewałem zresztą nie samą Wandę, lecz GPU, które mogło wykorzystać nadarżającą się okazję).

Teraz, po liście Jagody, możliwości nieszczęśliwego wypadku czy zabójstwa z zazdrości całkowicie odpadły.

Wszystkie następne lata mojej pracy przebiegały w warunkach otwartej wrogości z GPU, o czym w mniejszym czy większym stopniu wiedzieli wszyscy. Stalin przyzwyczał się do tego i nie był w stanie wyprowadzić go z równowagi nawet takie historie, jak np. ta z Anną Gierogijewną Chutarową.

W Wyższej Szkole Technicznej miałem przyjaciela, bezpartyjnego studenta Paskę Zimakowa. Polityką się w ogóle nie zajmował i nie interesował. Jego matka, Anna Gieorgijewna, po śmierci męża (Zimakowa) wyszła powtórnie za mąż za bardzo bogatego człowieka, Iwana Andriejewicza Chutarowa, właściciela wielkiej fabryki włókienniczej w Szarapowej Ochocie pod Moskwą. W czasie wojny domowej, ratując cię przed bolszewikami, uciekł na południe, stamtąd za granicę i w 1924 mieszkał w Baden pod Wiedniem. Żona została z czwórką malutkich dzieci; jako żona „kapitalisty” radziła sobie z wielkim trudem i żyła w biedzie.

Paszka Zimakow zawiadamia mnie, że mama bardzo chce się ze mną zobaczyć. Przyjeżdżam. Co się okazuje? W świętej swej naiwności Anna Gieorgijewna, wzięwszy od znajomego lekarza zaświadczenie oznajmiające, iż ze względu na jej stan zdrowia wskazane byłoby leczenie wodami

w uzdrowisku Baden pod Wiedniem, udała się do wydziału Administracyjnego Rady Miejskiej i poprosiła o wydanie jej paszportu na leczenie za granicą. Urzędnik Rady czyta jej podanie: *Proście o paszport na wyjazd z całą czwórką dzieci? - Tak. - Czy obywatelka jest niespełna rozumu, czy tylko udaje nienormalną? - Dlaczego? Chcę jechać się leczyć. - Dobrze, proszę przyjść za miesiąc.*

Paszporty wydaje GPU i podanie idzie tam do sprawdzenia. W GPU ustalają natychmiast, że burżujka bezczelnie prosi o zezwolenie na ucieczkę z kraju do męża, białogwardzisty, emigranta i kapitalisty. Gdy po miesiącu przychodzi do wydziału Administracyjnego, proszą ją, by przeszła do jakiegoś gabinetu, gdzie trzech czekistów rozpoczyna wielce obiecujące przesłuchanie. Od razu widać, że wiedzą o jej mężu wszystko, nawet to, że mieszka w Baden. Czekiści pytają: *Co wy, kpicie sobie z nas? Biednej kobiecie przychodzi do głowy zbawcza myśl: Ja, widzicie, nie należę do partii i w ogóle się nie znam na polityce; a gdyby poręczył za mnie wysokiej rangi członek partii? - Któż to jest ten wysokiej rangi członek partii? - ironicznie pytają czekisci. To sekretarz towarzysza Stalina. Co? Co to za numer? Czy aby jesteście obywatelko przy zdrowych zmysłach? - Ależ tak, zapewniam was, on może za mnie poręczyć. Czekiści spoglądają po sobie: Dobrze, przynieście poręczenie, wtedy porozmawiamy.*

Anna Gierogijewna opowiada mi to wszystko. Jestem oczarowany - tak bezgranicznej naiwności nigdy dotąd nie widziałem. *A więc - powiadam - prosi pani, abym zaręczył, że po miesięcznej kuracji wróci pani wraz z dziećmi do ZSRR? - Tak. - A jedzie pani do męża, żeby zostać tam z dziećmi i do ZSRR nie wracać? - Tak. - Czarujące. Pan rozumie - mówi Anna Gieorgijewna - ja tu z dziećmi przepadnę. Jedyny ratunek to wyjazd do męża. - Dobrze - powiadam - niech pani da to pismo, podpiszę. - A ja - mówi Anna Gieorgijewna - będę całe życie modlić się za pana do Boga.*

Dalej wszystko poszło jak po maśle. Natychmiast doniesiono Jagodzie o moim poręczeniu, wyobrażam sobie, z jak złośliwym zadowoleniem zacierał ręce. Od razu wydał paszport i moja Anna Gieorgijewna wyjechała z dziećmi do Austrii. Oczywiście, gdy po upływie miesiąca przysłano jej z radzieckiego konsulatu upomnienie, że jej wiza straciła ważność i pora wracać, odpowiedziała, że zrzeka się radzieckiego obywatelstwa i zostaje za granicą na statusie emigranta.

Jagoda tylko na to czekał. Natychmiast wysłał do Stalina szczegółowy raport o tym, jak Bażanow pomógł burżujce uciec z granicę. *Co to znowu za historia - zapytał Stalin, podając mi donos Jagody. Widzicie, towarzyszu Stalin, chciałem sprawdzić, jak dalece głupi jest Jagoda, jeśli ta burżujka zamierza uciec za granicę i Jagoda o tym wie, to czemu wydaje jej paszport i pozwala jej wyjechać? I przeciwnie - jeśli w jej wyjeździe nie ma nic złego, to o co mnie można oskarżać? Jagoda robi wszystko, by tylko sprawić mi kłopoty, i nie rozumie, w jak głupiej sytuacji sam się stawia.* Na tym też się cała ta historia zakończyła; Stalin nie zwrócił na ten epizod najmniejszej uwagi.

Bardzo szybko zrozumiałem, jak wielką władzę ma GPU nad bezpartyjną ludnością, zdaną na jego łaskę i niełaskę. Było też oczywiste, dlaczego w ustroju komunistycznym człowiek nie może mieć żadnej wolności osobistej: wszystko zostało znacjonalizowane, każdy, by żyć i przeżyć, musi pracować na państwowym etacie. Najmniejszy przejaw niezależnej myśli, najmniejsze pragnienie wolności - i już wisi nad człowiekiem groźba utraty pracy, a więc i życia. Wszystko omotane jest gigantyczną siecią inwigilatorów i szpicli, wszystko o wszystkich wiadome, wszystko tkwi w rękach GPU. A jednocześnie, zagarniając władzę i przystępując do budowy potężnego imperium GUŁAG-u, GPU stara się jak najmniej informować władzę partii o swoich poczynaniach. Tworząc obozy - ten potężny system eksterminacji - informuje się partię, iż wymyślono sprytną metodę, by pod płaszczykiem walki z kontrrewolucją dysponować bezpłatną siłą roboczą dla realizacji wielkich budów planu

pięcioletniego; a poza tym obozy to przecież *reedukacja poprzez pracę*, więc o co może chodzić? W zasadzie o nic. Odnoszę wrażenie, iż góra partyjna jest zadowolona, że osłona GPU (od ludności) funkcjonuje znakomicie i nie ma najmniejszej ochoty wiedzieć, co naprawdę dzieje się wewnątrz GPU. Wszyscy są bardzo zadowoleni, czytając oficjalnie szerzone w *Prawdzie* brednie o stalowym mieczu rewolucji (GPU), który zawsze czujnie stoi na straży zdobyczy rewolucji.

Próbuję niekiedy rozmawiać z członkami Biura Politycznego o poddaniu społeczeństwa całkowitej i niekontrolowanej władzy GPU. Temat ten jednak nikogo nie interesuje. Na szczęście próby takich rozmów przypisuje się powszechnie już znanej mojej wrogości do GPU, dlatego nie zwraca się to przeciwko mnie. Szybko zaczęto by mnie podejrzewać: *inteligentki mięczak, brak prawdziwie bolszewickiej czujności wobec wrogów* (a któż nie jest wrogiem?) itp. Dzięki długiemu i stałemu treningowi umysły członków partii komunistycznej zwrócone są tylko w jednym, ściśle określonym kierunku. Nie ten jest bolszewikiem, kto czytał i rozumiał Marksa (ktoż zresztą jest w stanie strawić te nudne i beznadziejne bzdury), lecz ten, kto wyćwiczył się w bezustannym wyszukiwaniu i prześladowaniu wszelkiego rodzaju wrogów. Działalność GPU rozwija się więc i nasila jako coś dla całej partii normalnego - w tym przecież zawiera się Istota komunizmu, by wciąż chwytać kogoś za gardło; jakże można mieć o cokolwiek pretensje do GPU, gdy tak znakomicie sobie radzi z tym zadaniem? Teraz pojmuję ponad wszelką wątpliwość; nie o to chodzi, że czekałoby to łajdacy, lecz o to, że system (człowiek człowiekowi wilkiem) wymaga i dopuszcza, by właśnie łajdacy pełnili takie funkcje.

Wiele razy już powtarzałem, że Jagoda to łajdak i przestępca. Prawdziwa rola Jagody w stworzeniu wszechrosyjskiego GUŁAG-u jest tak oczywista i znana, że wydawałoby się, iż nic nie da się powiedzieć na jego korzyść. Tymczasem jednak jeden (jedyne) epizod z jego życia bardzo mi się spodobał, epizod, który świadczy o nim dobrze.

Było to w marcu 1938 r., gdy nadszedł wreszcie czas na komedię stalinowskiego „sądu” nad Jagodą. W czasie procesu funkcję prokuratora pełni humanoidalna z pozoru istota - Wyszyński.

Wyszyński: Powiedźcie, zdrajco i sprzedawczyku Jagoda, czy w czasie waszej nikczemnej, zdradzieckiej działalności nigdy nie odczuwaliście choćby najmniejszego żalu czy skruchy? A teraz, gdy wreszcie odpowiadacie przed proletariackim sądem za wszystkie wasze podłe przestępstwa, czy żałujecie czegokolwiek z tego, co zrobiliście?

Jagoda: Tak, żałuję, bardzo żałuję...

Wyszyński: Uwaga, towarzysze sędziowie. Zdrajca i sprzedawczyk Jagoda żałuje. Czegóż to żałuje szpieg i przestępca Jagoda?

Jagoda: Bardzo żałuję... Bardzo żałuję, że wtedy, kiedy mogłem to zrobić, wszystkich was nie rozstrzelałem.

Należy wyjaśnić, że kto jak to, ale Jagoda, który sam organizował długą serię identycznych procesów, nie mógł mieć żadnych złudzeń co do wyniku „sądu”.

Moja osobista sytuacja jest paradoksalna: GPU mnie nienawidzi, maniackalnie podejrzliwy Stalin nie zwraca żadnej uwagi na donosy GPU, wszystkie sekrety władzy są mi znane. A tymczasem na serio rozważam problem, jak mógłbym przyczynić się do obalenia tej władzy.

Nie mam żadnych złudzeń. Niezależnie od tego, jak daleko by się nie posunął ten niewolniczy system, masy ludowe nie zdołają obalić władzy; czas barykad i dzid dawno minął - władza ma nie tylko czołgi, ale i ogromną, niezwykle silną policję, a poza tym rządzący nie zawahają się przed niczym, byle utrzymać swą władzę; to nie Ludwik XVI, który nie chciał przelewać krwi poddanych ci przeleją, ile tylko będzie trzeba.

Zamach mógłby nastąpić jedynie na górze - w KC. Lecz i to jest prawie niemożliwe. Ludzie, którzy chcieliby zlikwidować komunizm, musieliby ukrywać swój antykomunizm i zdobyć większość w KC. Znam cały skład osobowy bolszewickiej góry; nie widzę wśród nich ludzi, którzy byliby skłonni to zrobić.

A ja sam? Kaprys historii daje wrogowi komunizmu, w mojej osobie, możliwość poznania wszystkich jego tajemnic, nawet uczestniczenia we wszystkich posiedzeniach Biura Politycznego i plenach KC. Mógłbym skonstruować odpowiednią bombę (nawiasem mówiąc, od czasu do czasu pracuję jeszcze w Wyższej Szkole Technicznej, w laboratoriach analizy jakościowej i ilościowej; jest tam i kwas azotowy, i gliceryna) i wnieść ją w teczkę na posiedzenie - nikt nie odważy się sprawdzać, co niesie w teczkę sekretarz Biura Politycznego. Jest jednak dla mnie rzeczą oczywistą, że nie miałoby to najmniejszego sensu - natychmiast zostałyby wybrane inne Biuro Polityczne, inny skład KC. I nie byliby oni ani lepsi, ani gorsi od dotychczasowych; systemu nie da się zniszczyć bombą. Istnienie rozmaitych frakcji na partyjnych szczytach nie ma dla mnie znaczenia: i tacy jak Trocki, i tacy jak Stalin tak czy inaczej budują komunizm.

I wreszcie problem dobrania i zorganizowania własnej grupy na górze partyjnej; sprawa absolutnie beznadziejna - co piąty czy co dziesiąty pobiegnie z donosem do Stalina. Poza tym nie mam możliwości zrobienia czegokolwiek w tajemnicy - GPU śledzi uważnie każdy mój krok w nadziei, że wreszcie na czymś mnie złapie.

Cóż więc mogę zrobić? Tylko jedno - nadal ukrywać swe poglądy i kontynuować bolszewicką karierę w nadziei, że zostanę następcą Stalina i wówczas wszystko odwrócę. Przyszłość pokazała, że to wcale nie musiało być fikcją. Malenkov, zajmąwszy po mnie stanowisko sekretarza Biura Politycznego, tak też właśnie sobie poczynił; mówiąc dokładnie zrealizował tylko pierwszą część mojego programu - wszedł do grona następców Stalina (do śmierci Stalina jest drugą osobą w państwie jako pierwszy sekretarz KC i prezes Rady Ministrów) jednak jako godnemu uczniowi Stalina obca mu jest druga część mojego planu - odwrócenie wszystkiego po zajęciu miejsca Stalina.

Tę możliwość także odrzucam. Znam Stalina i widzę, dokąd zmierza. Poczyna sobie jeszcze ostrożnie, ale nie mam wątpliwości, że jest to amoralny i okrutny azjatycki satrapa. Ileż to jeszcze przestępstw zdoła popełnić wobec swego kraju? A we wszystkich musiałbym brać udział. Jestem przekonany, że nie dałbym sobie z tym rady. Aby być przy Stalinie i ze Stalinem, trzeba rozwinąć w sobie silnie wszystkie cechy bolszewika, nie znać ani moralności, ani przyjaźni, ani żadnych ludzkich uczuć - trzeba być wilkiem. I poświęcić na to całe życie. Nie chcę. Ale w takim razie co zostaje mi do roboty w tym kraju? Być trybikiem maszyny i pomagać jej się kręcić? Też nie chcę.

Pozostaje jedno wyjście: ucieczka za granicę. Być może tam znajdę możliwości walki z tym socjalizmem o wilczym pysku. Nie jest to jednak takie proste.

Najpierw należałoby odejść z Biura Politycznego; z sekretariatu Stalina i z KC. Podejmuję tę decyzję ze zdecydowaniem. Gdy proszę Stalina o zgodę na moje odejście, odmawia. I wcale nie o to chodzi, że jestem niezastąpiony - dla Stalina nie ma ludzi niezastąpionych czy nawet bardzo potrzebnych; idzie o to, że znam wszystkie jego tajemnice. Jeśli odejdę, trzeba będzie wprowadzić w nie nowego człowieka; i na to właśnie nie ma ochoty.

W znalezieniu sposobu odejścia pomaga mi Towstucha; jest bardzo rad, że zamierzam odejść. Chce mieć w swych rekach cały sekretariat Stalina, ale póki jestem sekretarzem Biura Politycznego, do mnie należą najważniejsze funkcje, także nadzór nad aparatem i kancelarią Biura Politycznego. Towstucha dobrze zdaje sobie sprawę, jak bardzo go urządza moje odejście. Nie potrafi co prawda zastąpić mnie na posiedzeniach Biura, niemniej po moim odejściu podporządkowałby sobie jego kancelarię, a funkcje sekretarza zostałyby tak zreorganizowane, że to właśnie on stałby się panem całego aparatu. Odbywa się to w sposób następujący. Gdy wyjeżdżam na letni urlop, zastępuje mnie sekretarz Biura Organizacyjnego, Timochin. Na stanowisko tymczasowego sekretarza Biura Organizacyjnego przechodzi Malenkow. Zawdzięcza to swej mądrej żonie, Lerze Gołubcewej (pracującej w Wydziale Organizacyjnym), która do tego celu wykorzystuje swą znajomość z Hermanem Tichomirnowem (drugim sekretarzem Mołotowa - pisałem już o nim na początku książki). Towstucha, po sprawdzeniu Malenkowa, decyduje się wziąć go do Biura Politycznego. Malenkow zostaje mianowany protokolarnym sekretarzem Biura Politycznego - tylko do sekretarzowania na posiedzeniach; do pomocy przydzielono mu stenografistkę. Jego funkcje są ograniczone - i on sam, i cały aparat podporządkowane są Towstusze. Kontrola wykonywania postanowień Biura Politycznego, nazbyt związana z moją osobą, zostaje zawieszona. Do stalinowskich tajemnic Malenkow nie ma na razie dostępu i długo jeszcze mieć nie będzie; Stalina całkowicie to urządza i ta zamiana nie budzi jego zastrzeżeń.

Znalazszy się w Biurze Politycznym, pozostając cały czas w kontakcie z jego członkami, kręcąc się wciąż w zasięgu wzroku Stalina, Malenkow robi powolną, ale pewną karierę. Jest zresztą oddanym i stuprocentowym stalinowcem, w 1934 r. zostaje pomocnikiem Stalina, w 1939 r. - sekretarzem KC, w 1947 r. - zastępcą członka Biura Politycznego, w 1948 r. - członkiem Biura Politycznego, a w ostatnich latach przed śmiercią Stalina jako pierwszy sekretarz KC i prezes Rady Ministrów jest już jego pierwszym zastępcą, czyli formalnie rzecz biorąc - drugim człowiekiem w kraju i następcą Stalina. Co prawda, po śmierci Stalina z sukcesji nic nie wyszło - Biuro Polityczne nie uznało w nim następcy; pozostał jedynie prezesem Rady Ministrów. W trzy lata później, w 1956 r., przy próbie obalenia Chruszczowa stracił władzę i wylądował jako dyrektor jakiejś prowincjonalnej elektrowni.

Po odejściu z Biura Politycznego ciągle pozostaję w składzie sekretariatu Stalina, starając się jak najmniej w nim pracować i robić wrażenie, że moja podstawowa praca jest teraz związana z Ministerstwem Finansów. Jednak do końca 1925 r. ciągle jeszcze jestem sekretarzem kilku komisji KC, głównie komisji stałych. Długo mnie z nich nie zwalniają - od sekretarza w tych komisjach wymaga się gruntownej znajomości całej poprzedniej działalności. Dopiero w 1926 r. będę mógł powiedzieć, że definitywnie odszedłem z KC. W sprawie mego odejścia Stalin pozostaje całkowicie obojętny.

Zabawne, że na dobrą sprawę nikt nie wie, czy jestem jeszcze w sekretariacie Stalina, czy nie, odszedłem, czy nie odszedłem, a jeśli odszedłem, to czy na dobre, czy wróć, z powrotem (bywało tak z innymi; na przykład Towstucha - niby odszedł do Instytutu Lenina, a tu ni z tego, ni z owego znowu

pojawia się w sekretariacie Stalina, i to z pozycją silniejszą niż przedtem). Ale ja wiem dobrze, że odszedłem definitywnie, a co więcej, zamierzam w ogóle opuścić kraj.

Teraz na wszystko patrzę oczami wewnętrznego emigranta. Robię podsumowanie.

Znałem wielu ludzi z bolszewickiej góry, wśród nich ludzi utalentowanych i zdolnych, niemało też uczciwych i przywoitych. To ostatnie stwierdzam ze zdumieniem. Nie mam żadnych złudzeń co do ich przyszłości - na pewno jest nie do pozazdroszczenia; z natury rzeczy nie pasują do tego systemu (co prawda, los wszystkich innych też nie będzie lepszy). Podobnie jak ja wciągnięci zostali w tryby tej ogromnej maszyny przez pomyłkę, tyle że ja mam już oczy otwarte i widzę to, czego niemal nikt z nich nie widzi, a co nieuchronnie przyczyni się do dalszego rozwoju zastosowań doktryny.

Jak oceniam kierunki rozwoju władzy i jej aparatu?

Wchodzą tu w grę dwa różne zagadnienia. Po pierwsze, mechanizm władzy to władza rzeczywista, nie zaś to, co ze względów taktycznych się za nią uważa. Zamachu dokonała leninowska grupa zawodowych rewolucjonistów. Gdy przechwycili władzę i wzięli na siebie kierowanie krajem, gdy wszystko już zagarnęli i znacjonalizowali, musieli stworzyć ogromny aparat kierowniczy, czyli znacznie rozbudować kadry partyjny. Drzwi do partii zostały szeroko otwarte, dzięki intensywnej propagandzie można było przyciągnąć i zdobyć masę ludzi. Pod względem politycznym kraj był dziewiczy. Już pierwsze zdania partyjnych agitatorów i propagandzistów rzucone do tych prostych ludzi, których nigdy nie interesowała polityka, wydają się odkryciem, otwierającym nagle oczy na to, co najważniejsze. Wszelka propaganda głosząca inne treści jest zakazana i prześladowana jako kontrrewolucyjna. Partia rośnie szybko dzięki napływowi nowych wiernych, ludzi politycznie niedoświadczonych. Zapełniają nimi wszystkie instytucje reprezentujące władzę - cywilną, wojskową, gospodarczą, związkową itd. W centrum, na czele licznych resortów i organizacji stoją członkowie grupy leninowskiej. Formalnie rządzą poprzez instytucje, oficjalnie reprezentujące władzę Rad - komisariaty ludowe, komitety wykonawcze, ich wydziały i odgałęzienia. Jest ich wiele, a centrum musi ogarnąć nie tylko całą ich gamę, lecz także i to wszystko, co się w nich nie mieści: kominterny i międzynarodówki związkowe, wojsko, prasę, związki zawodowe, aparat propagandy, gospodarkę itd. Jest to możliwe tylko poprzez Komitet Centralny partii, w skład którego wchodzi ci wszyscy najważniejsi. Ale Komitet Centralny jest przyciężki i nieruchawy, potrzebna jest niewielka grupa kierownicza; powołuje się zatem Biuro Polityczne. Zastępuje ono Lenina i jego dwóch czy trzech pomocników, którzy sprawowali władzę przez pierwsze dwa lata (Lenin, Swierdłow, Trocki). Biuro Polityczne, wybrane w marcu 1919 r., wkrótce staje się właściwym rządem. Dla Lenina i jego grupy niczego to jeszcze nie zmienia, porządkuje jedynie sprawy kierowania państwem. Tak jak to było dotychczas kierowanie odbywa się za pośrednictwem instytucji, określanych jako władza Rad. W okresie wojny domowej w schemacie tym nie zachodzą większe zmiany. Aparat partyjny jest jeszcze w zarodku, pełni funkcje pomocnicze, a nie kierownicze. Z końcem wojny wszystko zaczyna się zmieniać. Powstaje i rozrasta się szybko prawdziwy aparat partyjny. Teraz już możliwości centralistycznego zarządzania są znacznie większe. Funkcje, realizowane w centrum przez Biuro Polityczne, na prowincji biorą na siebie obwodowe i rejonowe biura KC (w obwodach) oraz biura gubernialne (w guberniach). W komitetach gubernialnych najważniejszą osobą staje się sekretarz - to on będzie panem swej guberni, a nie, jak to było dotychczas, przewodniczący gubernialnego komitetu wykonawczego i inni pełnomocnicy centrum. Nowy statut partii z 1922 r. ten nowy układ sankcjonuje. Zaczyna się okres *sekretarzowładztwa*. Jedynie w Moskwie kieruje wszystkim nie

sekretarz generalny, lecz Lenin. Gdy jednak w 1922 r. choroba uniemożliwia Leninowi dalszą działalność, centralną władzą staje się Biuro Polityczne. Oznacza to walkę o sukcesję. Zinowiew i Kamieniew, którzy przechwycili władzę, sądzą, że zapewnili ją sobie dzięki temu, iż mają w ręku Biuro Polityczne. Stalin i Mołotow są bardziej dalekowzroczni. Biuro Polityczne wybierane jest przez Komitet Centralny. Jeśli zdołacie zapewnić sobie większość w Komitecie Centralnym, będziecie mogli wybrać sobie takie Biuro Polityczne, jakie będziecie chcieli. Obsadźcie swoimi ludźmi stanowiska gubernialnych sekretarzy, a będziecie mieli po swojej stronie większość na zjeździe i w KC.

Z niewiadomych przyczyn Zinowiew nie chce tego dostrzec. Jest tak pochłonięty walką o usunięcie Trockiego (według starej leninowskiej recepty - podgryzania wewnątrz KC), że nie widzi starań Stalina o opanowanie aparatu partyjnego (a trwa to długo, bo od 1922 r. do 1925 r.). W latach 1922-1924 krajem rządzi „trójca”, a w 1925 r. - po jej rozpadzie - Biuro Polityczne. Jednakże od stycznia 1926 r., po zjeździe, Stalin zaczyna już zbierać owoce swej długoletniej pracy - ma swoje KC, swoje Biuro Polityczne i zostaje liderem (jeszcze nie w pełni panem; członkowie Biura Politycznego coś jeszcze w partii znaczą, członkowie KC również). Gdy jednak w centrum toczy się jeszcze walka, w terenie na dobre utrwala się sekretarzowładztwo. Pierwszy sekretarz komitetu gubernialnego jest absolutnym panem swej guberni; wszystkie sprawy guberni rozstrzygane są w komitecie. Krajem rządzi już nie tyle partia, ile aparat partyjny.

A co dalej? Dokąd to wszystko zmierza?

Dobrze znam Stalina - jest teraz na właściwej drodze do wzmocnienia swej dyktatorskiej władzy. Teoretycznie obalić go może wyłącznie zjazd partii - przestanie więc zwoływać zjazdy, gdy będzie miał już w ręku całą władzę. I wówczas w kraju będzie tylko jedna władza - już nie partia i nie aparat partyjny, lecz Stalin i tylko Stalin. Będzie rządził przy pomocy tych, których uzna za najbardziej wygodnych; poprzez Biuro Polityczne czy swych sekretarzy.

Jakież jednak będzie los tych wszystkich członków partii, których wchłonęła ona po rewolucji? Możemy się tego domyślić po rozważeniu drugiego zagadnienia. Mam tu na myśli istotę władzy i istoty tej ewolucję.

Gdybyście zdołali dobrze poznać osobowość Lenina czy Stalina, zdumiałoby was niesłychane, zdawałoby się wręcz maniackalne parcie ku władzy, czemu podporządkowali całe swe życie. W gruncie rzeczy nie ma w tym nic szczególnie dziwnego. I Lenin, i Stalin to ludzie swej doktryny, doktryny marksistowskiej, systemu myślenia, który zdeterminował całe ich życie. Czegóż ta doktryna wymaga? Przeobrażenia całego życia społecznego, które może i musi być dokonane drogą gwałtu. Gwałtu dokonanego na społeczeństwie przez jakąś aktywną zorganizowaną mniejszość, która jednak najpierw musi przejąć władzę w państwie. To jest podstawowy i konieczny warunek, alfa i omega wszystkiego: nie zrobisz nic - głosi doktryna - zanim nie przejmiesz władzy. Mając w ręku władzę zrobisz wszystko i wszystko zmienisz.

Władza trafia w ręce Lenina, a potem Stalina, nie tylko dlatego, że dążą do niej z uporem maniaków, ale i dlatego, że są w partii najpełniejszym i najlepszym ucieleśnieniem tej zasadniczej siły napędzającej partyjną doktrynę. Władza jest wszystkim - początkiem i końcem. Tym też Lenin i Stalin żyją przez całe życie. Wszyscy inni muszą podążać ich śladem.

Lecz władza zagarnięta przez aktywną mniejszość przemocą, utrzymywana jest przez tę mniejszość nad ogromną większością społeczeństwa także przy użyciu przemocy. Mniejszość (partia) uznaje wyłącznie siłę. Społeczeństwo może w mniejszym czy większym stopniu nie akceptować ustanowionego przez partię porządku społecznego; władza będzie tylko tak długo obawiać się społeczeństwa i manewrować (Lenin – NEP), dopóki będzie miała świadomość, że jej policyjny system nie jest dostatecznie silny, by opanować kraj, i że istnieje ryzyko utraty władzy. Gdy system policyjnego terroru zaciśnie już swe szpony nad całym krajem, można bez skrupułów stosować przemoc (Stalin - kolektywizacja, terror lat 30.) i zmusić ludność do życia zgodnego z wolą partii, choćby nawet kosztowało to miliony ofiar.

Istotą władzy jest przemoc. Wobec kogo? Zgodnie z doktryną - przede wszystkim wobec jakiegoś wroga klasowego. Wobec burżuazji, kapitalisty, ziemianina, szlachcica, byłego oficera, inżyniera, duchownego, zamożnego chłopa (kułaka), człowieka odmiennych poglądów, nie adaptującego się do nowego ustroju społecznego (kontrrewolucjonisty, białogwardzisty, sabotażysty, szkodnika, socjalzdrajcy, sympatyka wroga klasowego, sojusznika imperializmu i reakcji itp.); a po zlikwidowaniu wszystkich tych kategorii można tworzyć kolejne i następne: średniak może stać się poplecznikiem kułaka, małorolny - przeciwnikiem kołchozów, a tym samym sabotażystą i wrogiem budownictwa socjalistycznego, robotnik nie przejawiający socjalistycznego entuzjazmu - agentem wroga klasowego. A w partii? Odszczepieńcy różnej maści, frakcyjniści, sprzedajni trockiści, opozycjoniści prawicowi, opozycjoniści lewicowi, zdrajcy, zagraniczni szpiedzy, zbrojeńcy - stale trzeba kogoś likwidować, rozstrzeliwać, gnoić w więzieniach, w obozach koncentracyjnych; na tym właśnie polega istota i patos komunizmu.

Jednakże na początku rewolucji setki tysięcy ludzi wstąpiło do partii. Uwierzyli bowiem, że zbuduje się lepsze społeczeństwo. Stopniowo (choć niezbyt szybko) wychodzi na jaw, że u samych podstaw tkwi oszustwo. Ale ci, co uwierzyli wierzą nadal; jeśli wokół dzieje się coś złego, to jest to z pewnością wina barbarzyńskich, prymitywnych wykonawców; idea jest słuszna, przywódcy chcą jak najlepiej, trzeba zatem walczyć o naprawienie błędów. Jak? Protestując, przystępując do opozycji, walcząc w ramach partii. Lecz droga opozycji w partii jest drogą zguby. I oto wszyscy ci, co uwierzyli, stopniowo stają się już ludźmi tych kategorii, które władza uważa za wrogów (lub agentów wrogów klasowych); i wszyscy ci wierzący są już skazani - ich droga prowadzi do gigantycznej masowej rzeźni, która fachowo kierować będzie towarzysz Stalin.

Stopniowo partia (a w szczególności jej kadra kierownicza) dzieli się na dwie kategorie: tych, którzy będą tępić, i tych, których będą tępić. Jest rzeczą oczywistą, że ci, dla których najważniejsza jest troska o własną skórę i o osobiste korzyści, postarają się wejść do pierwszej kategorii (nie wszystkim się to uda; rzeźnicza maszyna będzie chwycić i tych z prawa, i tych z lewa, każdego, kto nawinie się pod rękę); ci, którzy w coś uwierzyli i chcieli dla ludu lepszego życia, prędzej czy później trafią do drugiej kategorii

Nie oznacza to oczywiście, że ocaleją wszyscy egoiści i łajdacy; dość powiedzieć, że większość czekistowskich speców od egzekucji też trafi do rzeźni (głównie dlatego, że tkwią zbyt blisko niej). Z całą pewnością jednak zginą wszyscy mniej lub bardziej przyzwoici ludzie, z resztkami sumienia i ludzkich uczuć.

Jako sekretarz Biura Politycznego miałem kontakty z całą partyjną górą. Muszę powiedzieć, że było w niej wielu sympatycznych ludzi (nie wydaję tu sądów ostatecznych - mówię o tym, jak ich wówczas

oceniałem). Tylko diabeł mógł sprawić, że utalentowany organizator i inżynier Krasin znalazł się w leninowskiej bandzie zawodowych pasożytów. Rzadko zdarza się tak wspaniały i inteligentny organizator jak Syrcow. A za co by się nie wziął mecenas Brilliant (Sokolnikow), ze wszystkim radził sobie znakomicie.

Inni może nie byli tak błyskotliwi, lecz byli ludźmi przyzwoitymi, sympatycznymi i życzliwymi. Ordżonikidze był człowiekiem prostolinijnym i uczciwym. Stanisław Kosior uparcie bronił swej naiwnej wiary w komunizm (gdy został aresztowany przez czekistów, mimo najbardziej wymyślnych tortur nie chciał rzucać na siebie fałszywych oskarżeń; czekisci sprowadzili jego szesnastoletnią córkę i zgwałcili ją na jego oczach; dziewczyna odebrała sobie życie; Kosior załamał się i podpisał wszystko, czego od niego żądano).

Moje osobiste stosunki ze wszystkimi niemal członkami partyjnej góry były doskonałe - życzliwe i miłe. Nie mogę niczego zarzucić nawet przekonanym stalinowskim biurom - Mołotowowi Kaganowiczowi i Kujbyszewowi; zawsze byli bardzo sympatyczni.

Ale cóż z tego. Czy łagodny, kulturalny i miły Sokolnikow nie dokonywał masowych egzekucji na południu Rosji, gdy podczas wojny domowej dowodził armią? A Ordżonikidze na Kaukazie?

Wilcza doktryna i wiara w nią jest rzeczą straszną. Gdy człowiek wszystko to zrozumie i dobrze pozna tych ludzi, dopiero wówczas zdaje sobie sprawę, co robi z człowieka doktryna propagująca przemoc, rewolucję, likwidację wrogów „klasowych”.

OSTATNIE SPOSTRZEŻENIA. UCIEKAĆ Z SOCJALISTYCZNEGO RAJU

Literatura piękna. Majakowski. Eisenstein. Rywalizacja z „burżuazyjnymi mi sportowcami. Wyjazd do Norwegii. Pierwsza próba ucieczki. Alonka. Normalnie wyjechać za granicę nie można.

W czerwcu 1925 r. Biuro Polityczne postanowiło zrobić porządek z literaturą piękną. Powołano w tym celu komisję KC, która sprokurowała rezolucję: *O polityce partii w dziedzinie literatury pięknej*. Treść tej zatwierdzonej przez Biuro Polityczne rezolucji sprowadzała się do tego, że neutralnej literatury nie ma i że literatura radziecka powinna być środkiem komunistycznej propagandy. Zabawny był skład komisji: przewodniczącym był głównodowodzący Armii Czerwonej, Frunze (do tej pory nie dało się zauważyć jakichkolwiek jego związków z literaturą), członkami - Łunaczarski i Warejkis. Warejkis nie był człowiekiem zbyt dużej kultury. Jako sekretarz któregoś z gubernialnych komitetów partii (zdaje się, że woroneskiego), opublikował w miejscowej gazecie wstępniak, skierowany przeciwko kolejnej opozycji; artykuł kończył się cytatem ze *Scytów* Błoka, adresowanym do tej opozycji. Na posiedzeniu Biura Politycznego Zinowiew przytoczył ten przypadek jako anegdotyczny szczyt nieudolności aparatu. To wystarczyło, by Stalin wysunął Warejkisa na stanowisko kierownika Wydziału Prasy KC, na którym Warejkis pozostawał czas jakiś.

Stawszy się emigrantem wewnętrznym, zapragnąłem poznać najlepszych w tym kraju pisarzy i poetów, którzy nie uznawali komunizmu, a do których czułem głęboki szacunek: Bułhakowa i Achmatową. Podjąłem już jednak decyzję ucieczki za granicę, a fakt mojej bliższej z nimi znajomości mógłby po tej ucieczce przysporzyć im ogromnych kłopotów. Spokojnie natomiast mogłem zawierać znajomości z pisarzami komunistycznymi - oni nie ryzykowali niczym.

Majakowskiego z jego pierwszego, przedrewolucyjnego okresu futurystycznego oczywiście nie znałem. Encyklopedie zgodnie twierdzą, że był bolszewikiem od 1908 r. Miał wtedy czternaście lat. W każdym razie, sądząc po jego wierszach z tego okresu, był na właściwej drodze, by stać się zawodowym rewolucjonistą i prawdziwym bolszewikiem. Pisał, że bardzo interesował go problem:

(...) jak by tu bez pracy i zbyt wielu problemów
wywinąć i przetrząsnąć kieszenie bliźniemu.

W ten sam sposób formułował typowy dla zawodowego rewolucjonisty stosunek do pracy:

Gdy mi wciąż o pracy prawią raz za razem,
Jakby chrzan ucierali na rdzą zżartej tarce,
Odpowiadam, spoglądając z tkliwym oczu wyrazem,
Czy zagrywa pan w ciemno, czy dobiera karty?

Poetę poznałem dopiero w już po rewolucyjnym okresie, gdy z legitymacją partyjną w kieszeni, dziarsko i żarliwie spychał poezję w komunistyczny nurt. W 1921 r., gdy przeprowadzano czystkę w partii, Majakowski ogłosił *czystkę współczesnej poezji*. Była to propagandowa, ale nie pozbawiona błyskotliwości drwina z poetów, których nie olśnił, czar komunizmu. Byłem wówczas studentem Wyższej Szkoły Technicznej. „Czystka” odbywała się w audytorium Muzeum Politechniki. Publiczność stanowili niemal sami studenci. Przeprowadzając „czystkę” w porządku alfabetycznym, rozprawiwszy

się z Achmatową, która jakoby w rewolucji dostrzegała tylko to, że wszystko *rozgrabione, sprzedane, zaprzędane*, Majakowski doszedł do Błoka, który niedawno temu zmarł. *Majakowski*, - popiskuje jakaś studentka - *o zmarłych mówi się „dobrze albo wcale”*. - *Tak, tak* - mówi Majakowski - *tak właśnie zrobię: powiem o zmarłym coś, co właściwie nie ma znaczenia, a zarazem dobrze go charakteryzuje. Mieszkałem wówczas na Gorochowej, niedaleko od Błoka, Zebraliśmy się na smażenie blinów. Nie chciało mi się babrać w kuchni, przyjąłem więc zakład, że do czasu, kiedy bliny będą gotowe, zdążę pobiec do Błoka i wziąć od niego tomik jego wierszy z dedykacją. Pobiegłem. Wchodzę do Błoka. -Tak i tak, szanowny Aleksandrze Aleksandrowiczu; cenię sobie wielce pański wspinały talent (wiecie, że kiedy chcę, to mogę zabajerować), itd... itd..., może dałby mi pan tomik pańskich wierszy z dedykacją. - Dobrze, dobrze - powiada Błok; bierze tomik wierszy, idzie do sąsiedniego pokoju, siada i myśli. Dziesięć minut, dwanaście minut... A tu zakład i bliny. Wsuwam głowę w drzwi i mówię: „Aleksandrze Aleksandrowiczu, może być cokolwiek...”. Wreszcie napisał. Złapałem książkę i biegiem do domu. Zakład wygrałem. Zaglądam, co Błok napisał: „Włodzimierzowi Majakowskiemu, o którym wiele myślę”. I nad tym trzeba było się zastanawiać przez siedemnaście minut! Co innego ja; obecny tu poeta Kusikow poprosił mnie o moją książkę z dedykacją, Bardzo proszę. Wziąłem „Wszystko, co napisał Włodzimierz Majakowski” i wpisałem:*

Wiele jest na świecie świetnych gustów i kiepskich guścików,
Komuś podobam się ja, a komuś Kusikow,

Włodzimierz Majakowski

Osobiście poetę poznałem później. Niewątpliwie miał talent. Był też chamowaty i cyniczny. W okresie NEP-u zarobkowo układał hasła reklamowe dla radzieckich instytucji handlowych, jak na przykład:

W Mosselpromie jest najlepiej, tak jak w żadnym innym sklepie;
Nim do narzeczonej udasz się kolego, wstąp do Zjednoczenia Przemysłu

Gumowego.

Zapaliwszy się do tego gatunku, podobne teksty układał także dla przyjaciół i znajomych:

Niespodziane zaśnięcie - przyczyną pożaru;
Nie czytajcie na noc Utkina i Żarowa,

Utkina nie cierpiał, W Domu Poetów Utkin recytował swój najnowszy, niezwykle prawomyślny utwór:

Jak przedzą siwą mgłą zasnutą,
Skarpa lewego brzegu znika;
Słysząc - po skarpie dudnią buty,
Krok radzieckiego wartownika.

Radzieckiego wartownika na brzegu Dniepru zabija z rumuńskiego brzegu strzelec białogwardzista.
Utkin topi białogwardzistę w radzieckim, patriotycznym oburzeniu.

Utkin skończył. Przyszła pora na brawa. Nagle rozlega się gromki bas Majakowskiego: *Staraj się, Utkin, staraj, Gusiewem zostaniesz*⁵ (członek KC Gusiew kierował w owym czasie Wydziałem Prasy KC).

⁵ W oryginale gra słów: *utka* - kaczka, *guś* - gęś; przyp. tłum.

Po raz ostatni spotkałem poetę w Towarzystwie Łączności Kulturalnej z Zagranicą, gdzie wstąpiłem w jakiejś sprawie do Olgi Dawidownej Kamieniewej. Wytypowano go na wyjazd za granicą na kolejne dożywianie, lecz oszczędzając dewizy, pieniędzy dano mu - jak uważał - za mało; swe niezadowolenie wyrażał w języku niezbyt literackim.

Spotykałem także Eisensteina, którego zachodnioeuropejscy rzecznicy postępu uparczywie i niezasłużenie obwołują geniuszem. Poznałem go już w 1923 r., kiedy Eisenstein kierował Teatrem Proletkultu.

Przystąpiwszy do pracy nad sztuką Ostrowskiego *I koń się potknie*, Eisenstein zrobił z niej groch z kapustą; tekst sceniczny nie miał prawie nic wspólnego z Ostrowskim, artyści wygłupiali się, chodzili po linie, uprawiali polityczną i antyreligijną agitację, i inscenizacja, i tekst były autorstwa Eisensteina. Tekst, niestety, nie wyróżniał się niczym oprócz bolszewickiej prawomyślności. Pogłębiając antyradzieckich emigrantów, artyści wyśpiewywali:

Paryż leży nad Sekwaną
I my też - na nasz frasunek.
Poincare nam tylko zostań;
Jedyny ratunek

Z ludzi hołotą
Żeśmy się stali,
Kiedy nam zęby
Powybijali.

W celach antyreligijnej propagandy na ogromnej tarczy wnoszono aktora przebranego za mułkę, który śpiewał na melodię *Ałła Werdy*:

Judasz był handlarz wcale niegłupi:
Chrystusa sprzedał, kalosze kupił.

Już tedy odniosłem wrażenie, że wobec handlowych talentów Judasza Eisenstein czuł nie tyle szacunek, co zawiść. Innych talentów u Eisensteina jakoś nie było widać.

Kiedy zajął się filmem i w Wydziale propagandy KC powiedziano mu, co aktualnie jest potrzebne (*brak agitacyjnych filmów o rewolucji; upichćcie coś*), Eisenstein upichcił *Pancernika Potiomkina* - zwyczajną agitkę, którą lewicowi filmowcy na Zachodzie (a czy bywają prawicowi?) obwołali arcydziełem (skoro film jest „rewolucyjny”, to rozumie się samo przez się, że musi być arcydziełem). Oglądałem jego premierową projekcję (jeśli się nie mylę, odbyła się ona w teatrze Meyerholda, a nie w kinie), na której przypadkowo siedziałem obok Rudzutaka. Po projekcji wymieniliśmy opinie. *Pewnie, że to agitka* - zgodził się Rudzutak - *ale od dawna potrzebny był stuprocentowo rewolucyjny film*. Tak więc zamówienie zostało zrealizowane i wszystko w filmie było jak należy - i rozbastwieni żołnierze, i nikczemni carscy oprycznicy, i waleczni marynarze - przyszła chwała i duma rewolucji (co prawda, tylko z okresu AŁMAZU, a nie z czasów KRONSZTADU).

Cała późniejsza kariera Eisensteina przebiegała pod znakiem ogromnego wazeliniarstwa. Gdy umacniała się dyktatorska władza Stalina, Eisenstein nakręcił *Generalną linię* (dla niewtajemniczonych - mądra linia GENERALNEGO sekretarza KC, towarzysza Stalina), w której cała

Rosja kwitnie i opływa w dostatki pod genialnym kierownictwem swego przywódcy (trzeba powiedzieć, że w owym czasie, w latach 1928-1929, istniała jeszcze opozycja, można było się nie podlizywać, bucharinowie i rykowowie głośno nie zgadzali się z rozpoczynającym się pogromem wsi, a geniusz Stalina spieszenie odkrywały jedynie wyjątkowe i zdeklarowane lizusy). Szczytem lizusostwa stał się *Iwan Groźny*, który zagranicą, jak się wydaje, przyjęła za dobra monetę. Czyż trzeba mówić, że Eisensteinowski *Iwan Groźny* został zrobiony po to, by słać i usprawiedliwić stalinowski terror? Oto spójrzcie - historia się powtarza jak *Iwan Groźny*, który - rzekomo - w trosce o dobro wielkiej Rosji wsadzał na pal i ścinał głowy bojarom, tak i Stalin rozstrzeliwał swych bolszewickich bojarów, również zdrajców ojczyzny. Eisenstein miał tylko jedno usprawiedliwienie dla całej tej nikczemności - uratował (i rzeczywiście uratował) własną skórę. Ale przez całe życie był tchórzem i najpodlejszego gatunku lizusem. A mógł przecież swą skórę uratować w inny sposób; w latach trzydziestych puszczono go do Hollywood, później kręcił rewolucyjne filmy w Meksyku. Mógłby się uratować, pozostając za granicą; ale nie - wrócił, by pełzać na brzuchu przed stalinowskimi oprawcami.

Pod koniec 1925 r. Rada Główna Kultury Fizycznej otrzymała z Norwegii zaproszenie dla rosyjskich łyżwiarzy do udziału w mistrzostwach świata w jeździe szybkiej. W owym czasie rosyjscy łyżwiarze byli chyba najlepsi na świecie (oceniając na podstawie czasów uzyskiwanych na klasycznych dystansach). Dotąd, zgodnie z zasadą ustaloną przez czerwoną Międzynarodówkę Sportową (do której należały wszystkie rewolucyjne, robotnicze organizacje sportowe), nie dopuszczano do rywalizacji między sportowcami „burżuazyjnymi” i „czerwonymi”. Uznałem, że czas to zmienić.

Na czele Międzynarodówki Sportowej stał Podwojski. W sferach rządowych do jego nazwiska zazwyczaj dodawano epitet stary dureń. Przed rewolucją był wojskowym, ale i bolszewikiem. W czasie październikowego przewrotu wchodził w skład kierującego przewrotem Piotrogrodzkiego Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego. Uważał się z tej przyczyny za postać historyczną. Z powodu jednak jego głupoty i niezdolności do wykonywania jakiegokolwiek pożytecznej pracy władze zawsze miały kłopot - co z nim zrobić. Wreszcie znaleziono dla niego coś w rodzaju synekury - został szefem Wszechrosyjskiej Obrony Cywilnej. Była to instytucja zajmująca się szkoleniem wojskowym ludności. Podwojski był tą nominacją niezwykle dotknięty i obrażony; uważał, że należy mu się odpowiedzialne stanowisko kierownicze. Gdy stworzona została Międzynarodówka Sportowa, na jej czele postawiono Podwojskiego, zaspokajając w pewnym stopniu jego ambicje.

W Obronie Cywilnej kierowanej jeszcze przez Podwojskiego zaczynał swą karierę Jagoda, który pełnił tam obowiązki dyrektora administracyjnego. Zabawił tam niedługo. Dzięki pokrewieństwu z Jakowem Swierdłowem Jagoda przeszedł na stanowisko dyrektora organizacyjnego w GPU i tam znalazł swe prawdziwe powołanie. Zachował jednak po starej znajomości dobre stosunki z Podwojskim i wywierał na niego silny wpływ.

W szczególności przekonał Podwojskiego, że czerwone organizacje robotnicze nie powinny rywalizować z „burżuazyjnymi” sportowcami, gdyż wprowadziłoby to burżuazyjną demoralizację rewolucyjnej siły robotników. Międzynarodówka Sportowa przekazała tę dyrektywę dalej i bratnie partie komunistyczne uznały ją za dyrektywę Moskwy. Z tego względu ściśle jej przestrzegano.

Komitet organizacyjny mistrzostw świata w łyżwiarstwie szybkim wiedział o tym, lecz ze sportowego punktu widzenia uznał, że mistrzostwa tylko wtedy spełnią swą rolę, gdy wezmą w nich udział łyżwiarze rosyjscy, uważani za najlepszych na świecie. Stąd też zaproszenie dla naszych sportowców.

Na posiedzeniu Rady Głównej Kultury Fizycznej nastawałem, żeby wbrew zastrzeżeniom Jagody zaproszenie przyjąć. Podwojski rozpętał awanturę: *Podważacie całą linię polityczną naszej pracy*. Sekretarz Międzynarodówki Sportowej, Hans Lemberg, czynił wiele starań we wszystkich instancjach Kominternu, by dowieść prawdziwości tego zarzutu. Był to ten sam niebieskooki rosyjski Niemiec, z którym - jak już wcześniej pisałem - przed pięćmioma laty, podczas powstania w Kronsztadzie, pełniliśmy wartę w jednej z fabryk. W 1924 r., już jako sekretarz Biura Politycznego i członek Prezydium Rady Głównej Kultury Fizycznej, spotkałem go na boisku. Rozmawialiśmy o moim zamiarze reaktywowania dawnych organizacji sportowych i o rozwoju sportu. Zadeklarował się jako gorący zwolennik tej polityki. Aby nieco zneutralizować głupiego i upartego Podwojskiego, poprzez KC doprowadziłem do mianowania Lemberga sekretarzem Międzynarodówki Sportowej. Lemberg jednak okazał się intrygantem i z miejsca przeszedł na stronę Podwojskiego i Jagody.

W Kominternie rozsądnie wstrzymano się od udziału w tych sporach, odpowiadając Podwojskiemu i Lembergowi, że jest to sprawa, którą powinno rozstrzygnąć KC. Zwracanie się do KC nic by jednak nie dało - tam zawsze bym dopiął swego. Jagoda wybrał więc drogę pośrednią. Spór między przewodniczącymi Rady Głównej i Międzynarodówki Sportowej, Siemiaszką i Podwojskim, przedstawiono jako konflikt dwóch kierowników resortów i Podwojski poprosił CKK o rozstrzygnięcie tej sprawy „w trybie konfliktowym”. W Prezydium CKK zasiadali czekaści, przyjaciele Jagody i członkowie kolegium GPU - Peters i Łacis, Jagoda liczył więc na to, że CKK wypowie się przeciw Siemiaszce, ponieważ wtrącanie się do funkcji organizacji międzynarodowej przekracza jego kompetencje.

W przeddzień posiedzenia CKK udaję się do Stalina i mówię: *Towarzyszu Stalin. Jestem przedstawicielem KC w Radzie Głównej Kultury Fizycznej. Między nami a Międzynarodówką Sportową powstał konflikt. Naszym zdaniem robotnicze organizacje sportowe mogą współzawodniczyć z burżuazyjnymi. Międzynarodówka Sportowa jest temu przeciwna. Jutro CKK sprawę tę będzie rozpatrywać. Chciałbym prosić o waszą opinię*. Stalin odpowiada: *Czemu nie mielibyśmy współzawodniczyć? Rywalizujemy z burżuazją na gruncie politycznym, i to nie bez sukcesów, rywalizujemy ekonomicznie, rywalizujemy we wszystkich dziedzinach. Dlaczego więc nie mielibyśmy rywalizować w sporcie? Toż to oczywiste, tylko głupiec tego nie rozumie*. Powiadam: *Towarzyszu Stalin, pozwólcie, że na jutrzejszym posiedzeniu CKK przytoczę waszą opinię, tak jak ją wyraziliście*. Stalin na to: *Bardzo proszę*.

Nazajutrz Prezydium CKK rozpatruje naszą sprawę. Przewodniczący Gusiew (powinien był przewodniczyć Jarosławski, lecz jako człowieczek sprytny i tchórzliwy wymigał się - sprawa jest jakaś taka śliska i niejasna; skąd można wiedzieć, kto stoi za stronami w sporze). Podwojski przedstawia problem, mówi, na czym polega konflikt. Następnie pogląd Rady Głównej referuje Siemiaszko. Jagoda popiera Podwojskiego. Miechonoszyn (przedstawiciel resortu obrony w Radzie Głównej) broni naszego stanowiska. Kolejno wypowiadają się wszyscy zainteresowani. Ja milczę. Gusiew cały czas popatruje na mnie i wyraźnie czeka, co powiem. A ja nie zabieram głosu. Wreszcie Gusiew nie wytrzymuje i powiada: *Dobrze byłoby wiedzieć, co sądzi na ten temat przedstawiciel KC w Radzie Głównej*. Odpowiadam: *Nie widzę szczególnej potrzeby przedstawiania mego punktu widzenia. Jest on taki sam jak i pozostałych członków Prezydium. Może jednak zebranie będzie ciekawe opinii towarzysza Stalina w tej sprawie. Ależ tak oczywiście, oczywiście! - Otóż wczoraj specjalnie zapytałem o to towarzysza Stalina; swoją opinię pozwolił mi przedstawić uczestnikom dzisiejszego posiedzenia. A powiedział dosłownie tak: Czemuż wie rywalizować? Rywalizujemy z burżuazją na wszystkich*

frontach; dlaczego nie mielibyśmy rywalizować z nimi też na froncie sportowym? Tylko głupiec tego nie rozumie.

Jagoda spurpurowiał. Członkowie Prezydium CKK przybrali mądre i zadowolone miny, a Gusiew pospiesznie stwierdził: *Tak więc, towarzysze, myślę, że sprawa jest całkowicie jasna i wszyscy zgodzą się, jeśli tak sformułuję naszą decyzję - towarzysz Podwojski nie ma racji, natomiast towarzysz Siemiaszko ma rację i zajmuje stanowisko zgodne z linią partii. Czy są zastrzeżenia? Zastrzeżeń nie było i na tym posiedzenie zostało zakończone.*

Siemiaszko i Prezydium Rady Głównej przekonują mnie, że powinienem pojechać do Norwegii jako kapitan drużyny łyżwiarzy. Trzeba będzie przeprowadzić tam delikatne rozmowy z kierownictwem norweskiej partii komunistycznej, któremu trzeba będzie wytłumaczyć zmianę polityki Międzynarodówki Sportowej (w krajach skandynawskich sprawy sportu, a w szczególności sportów zimowych - narciarstwa i łyżwiarstwa, odgrywają ogromną rolę). Zgadzam się, idę do Mołotowa i na wszelki wypadek wyciągam od niego decyzję Biura Organizacyjnego KC o wysłaniu mnie jako kapitana drużyny.

Za dzień, dwa wyjazd. Wszystkie życiowe sprawy stawiam na jedną kartę, ponieważ natychmiast podejmuję decyzję, że pozostanę za granicą, strząsnąwszy ze stóp pył socjalistycznej ojczyzny.

Mam jednak jeden poważny kłopot - mój romans.

W Rosji miałem tylko jeden romans - właśnie ten.

Nazywa się Andriejewa, Alonka, ma dwadzieścia lat. Dzieje Alonki są następujące. Jej ojciec był generałem i dyrektorem Putiłowskich Zakładów Wojskowych. W czasie wojny domowej wraz z żoną i córką uciekł na południe Rosji. Tam, gdy dobiegała końca wojna na Kaukazie, zmarł z głodu, a jego żona dostała pomieszania zmysłów. Piętnastoletnią wówczas Alonkę zabrała ze sobą grupa komsomolców udająca się na zjazd do Moskwy. W Moskwie dziewczynkę wcielono do Komsomołu; zaczęła pracować w jego aparacie centralnym. Była piękna i mądra, lecz po tym, co przeszła, jej system nerwowy nie był w najlepszym stanie.

Gdy miała 17 lat, zakochał się w niej sekretarz generalny KC Komsomołu, towarzysz Piotr Smorodin, i zaproponował jej małżeństwo. Została jego żoną. Gdy miała 19 lat, przeszła do pracy w aparacie KC partii na jakieś stanowisko pomocnicze. Tu się spotkaliśmy. Uczucie, które nawiązało się między nami, sprawiło, że porzuciła swego Smorodina. Nie zamieszkaliśmy jednak razem, ja nadal mieszkalem w 1. Domu Rad, Alonka miała pokój w sąsiednim takim domu, przydzielonym kierownictwu KC Komsomołu, obok mieszkały jej wszystkie przyjaciółki, do towarzystwa których przywykła.

Romans nasz trwał już półtora roku. Alonka nie miała jednak najmniejszego pojęcia o mojej politycznej ewolucji i miała mnie za wzorowego komunistę. O tym, by zwierzyć się jej z moich planów ucieczki za granicę, nie było mowy, wpadłem, więc na taki oto pomysł.

Przed kilkoma miesiącami przenieśliśmy Alonkę z KC do Ministerstwa Finansów na stanowisko sekretarza Instytutu Koniunktur. Praca ta bardzo jej się podobała i wciągnęła się do niej. Wymyśliłem dla delegację do Finlandii, w celu zebrania tam materiałów na temat reformy pieniężnej, które rzekomo były Ministerstwu Finansów bardzo potrzebne. W ministerstwie delegacją tą załatwiłem błyskawicznie, miałem nadzieję, że GPU także zatwierdzi ten wyjazd (zagraniczne paszporty służbowe

podpisuje Jagoda), tym bardziej, że ja jadę do Norwegii, a ona do Finlandii. Liczyłem na to, że w drodze powrotnej spotkam ją w Helsinkach i dopiero tam wyznam jej mój zamiar pozostania za granicą; tam też zaproponuję jej, by dokonała wyboru - pozostać ze mną czy wracać do Moskwy. Oczywiście, gdyby zdecydowała się wrócić, nie ponosiłaby żadnego ryzyka; dowiodłaby tym samym, że nie podziela moich kontrrewolucyjnych poglądów i nie ma nic wspólnego z moją ucieczką z Rosji Radzieckiej.

Moja drużyna jest już gotowa. Są to trzech łyżwiarze: Jakow Mielnikow - aktualnie najszybszy łyżwiarz świata, zwłaszcza na krótkich dystansach (500 m), Płaton Ippolitow, bardzo dobry na średnich dystansach (1500 m) oraz młody żołnierz Kuszyn, uzyskujący najlepsze czasy na długich dystansach (5000 i 10 000 m). Trzeba szybko wyjeżdżać, inaczej spóźnimy się do Trondheim, gdzie mają być rozgrywane mistrzostwa. Lecz mój paszport musi podpisać Jagoda. Telefonując do GPU w sprawie paszportu, nie mogę dowiedzieć się niczego ponad to, że leży „w podpisie” u towarzysza Jagody. Towarzysza Jagody telefonicznie złapać nie jestem w stanie, nie podchodzi nawet do „kręciołka”. Od razu domyślam się, o co chodzi. Jagoda robi to celowo, by uniemożliwić nasz wyjazd. Jeśli nie wyjedziemy dziś, spóźnimy się na mistrzostwa. O to właśnie Jagodzie idzie.

Idę do Mołotowa i wyjaśniam mu, jak to Jagoda, wstrzymując mój paszport, próbuje nie dopuścić do naszego wyjazdu. Przypominam Mołotowowi, że o moim wyjeździe zadecydowało Biuro Organizacyjne KC. Mołotow bierze słuchawkę, łączy się z Jagodą. Mówi do Jagody oschle: *Towarzyszu Jagoda, jeśli sądzicie, że uda wam się u taki sposób udaremnić wykonanie decyzji KC, to jesteście w błędzie. Jeżeli za 15 minut paszport towarzysza Bażanowa nie będzie leżał na moim biurku, skieruję przeciwko wam sprawę do CKK o umyślne sabotowanie decyzji KC.*

A do mnie Mołotow mówi: *Poczekajcie tu, towarzyszu Bażanow, to nie potrwa długo.* I rzeczywiście, 10 minut później, dudniąc ciężkimi buciorami, zjawia się kurier GPU: *Dla towarzysza Mołotowa, nadzwyczaj pilne, do rąk własnych, za pokwitowaniem na kopercie.* W kopercie jest mój paszport. Mołotow uśmiecha się.

Wyjeżdżamy tego samego dnia. Do Oslo docieramy wieczorem, w przeddzień rozpoczęcia mistrzostw. Jednakże do Trondheim dojechać już nie możemy - ostatnie pociągi odjechały, a wolnego samolotu znaleźć nie sposób - wszystkie są już w Trondheim. Musimy poprzestać na zawodach ze słabą drużyną robotniczą. Czasy uzyskane przez naszych zawodników są lepsze od czasów mistrzów świata. Gazety wiedzą spór, kto jest moralnym zwycięzcą tych mistrzostw.

Ambasador w Norwegii, pani Kołłontaj, zaprasza do ambasady generalnego sekretarza norweskiej partii komunistycznej, któremu wyjaśniam, w jaki sposób i dlaczego Moskwa zdecydowała dokonać zwrotu w polityce Międzynarodówki sportowej. Pani Kołłontaj informuje sekretarza o moim stanowisku w KC partii, co w jednej chwili usuwa wszelkie możliwe zastrzeżenia.

W krajach północnych sport odgrywa nieporównanie większą rolę niż u nas. Gazety drukują masę zdjęć naszej drużyny i mnie - jako kapitana. Zdjęcie wspólne, zdjęcie na lodowisku w czasie spotkania i rozmowy (głównie na migi) z młodą mistrzynią świata w jeździe figurowej, Sonią Henie, czarującym piętnastoletnim podlotkiem, itd.

Wieczorem postanawiam pójść do opery, by posłuchać, jak Norwegowie wystawiają *Carmen*, To, że nie rozumiem ani słowa po norwesku, wcale mnie nie deprymuje. *Carmen* znam na pamięć. Podczas

pierwszego antraktu wychodzę przejść się do foyer. Nie jestem ubrany wieczorowo, ale ludzie rozpoznają mnie z dzisiejszych zdjęć w prasie - to ten bolszewicki kapitan drużyny. Obok mnie przechodzi czarująca panna, której towarzyszy dwóch bardzo nobliwych młodzieńców o nienagannych manierach; panna o coś spiera się z nimi, ci grzecznie nie zgadzają się. Nagle sprawa się wyjaśnia. Panna kieruje się w moją stronę i rozpoczyna rozmowę. Mówi po francusku i po angielsku. Przechodzimy na francuski. Z początku rozmowa dotyczy drużyny i łyżwiarstwa. Później moja rozmówczyni zaczyna zadawać rozmaite pytania - na temat Rad, polityki, literatury. Lawiruję (przecież mam zostać za granicą), staram się mówić dwuznacznie, sypię dowcipami, odpowiadam żartami. Rozmowa bardzo wciąga moją towarzyszkę; kontynuujemy ją podczas wszystkich pozostałych antraktów. Zauważam, że przechodzący obok starsi, poważni ludzie kłaniają się jej z ogromnym szacunkiem. Pytam ją, czym się zajmuje. Pracuje? Nie, mieszka z rodzicami i studiuje. Wieczór mija w sposób bardzo interesujący.

Gdy następnego dnia przychodzę do ambasady, pani Kofłontaj wita mnie słowami: *Co godzina, to nowina; zaczynamy już uwodzić księżniczki*. Odpowiadam w partyjnej manierze: *A skąd można wiedzieć, że to księżniczka; nie ma tego wypisane na czole*.

Raport w tej sprawie został jednak wysłany i Stalin zada mi pytanie: *A co to za księżniczka, którą uwodziliście?* Nie miało to jednak żadnych następstw.

Wraz z drużyną wracam przez Finlandię. Mam nadzieję, że w Helsinkach zastanę Alonkę. Niestety, jest w Leningradzie; prosiła, bym zaraz po przyjeździe zadzwonił. Dzwonię. Dowiaduję się, że nie mogła wyjechać, ponieważ Jagoda odmówił podpisania jej paszportu.

Powstaje niezręczna sytuacja. Jeśli zostanę za granicą, Alonkę potraktują jako współniczkę, która próbowała uciec wraz ze mną; biedną dziewczynę rozstrzelaliby za nic, gdyż rzeczywiście nie miała najmniejszego pojęcia o moim zamiarze. Decydować się muszę natychmiast. Jeśli wrócę, nie będzie to dla niej miało żadnych przykrych następstw. Zapisuję nieudaną próbę wyemigrowania po stronie pasywów, wsiadam do pociągu i wracam do radzieckiej Rosji. Jagoda zdążył już podsunąć Stalinowi notatkę o moim zamiarze wyemigrowania i do tego z ukochaną kobietą. Stalin, jak zwykle, obojętnie przekazuje mi ten donos. Wzruszam ramionami: *To już staje się u niego manią*. W każdym razie przez mój powrót Jagoda wychodzi na durnia. Jest przecież rzeczą oczywistą, że nie miałem zamiaru uciekać; w przeciwnym razie po cóż bym wracał? Możliwość czysto ludzkich motywów mego powrotu ani Stalinowi, ani Jagodzie nie mogła przyjść do głowy; nie byłiby w stanie tego pojąć.

Ponieważ nie ulega już teraz wątpliwości, że jak bym nie próbował uciekać, Alonki nie będę mógł wziąć ze sobą, więc nie mam innego wyjścia niż rozstać się z nią. Jest to decyzja nielekką i bardzo dla mnie przykra, ale nie mam innego wyjścia. Na dodatek nie mogę jej podać prawdziwej przyczyny. Jest to jednak dziewczyna dumna i ambitna - przy pierwszych oznakach mego oddalania się od niej akceptuje nasze rozstanie bez żadnych wyjaśnień. Natomiast GPU, które wciąż interesuje się moimi sprawami, postanawia wykorzystać sytuację. Jedną z przyjaciółek Alonki, Żerka, zatrudniona w GPU (o czym Alonka nawet nie wie), otrzymuje zadanie, które wypełnia z powodzeniem. *Wiesz, czemu cię rzucił? Dowiedziałam się przypadkiem, że ma inną damę serca; jakkolwiek by nie było, to jednak łobuz itd.* Alonkę stopniowo nastawiają przeciwko mnie, przekonują, że jestem zamaskowanym kontrrewolucjonistą, i wreszcie nakłaniają, by złożyła wniosek do CKK (co jest obowiązkiem komunistki), oskarżając mnie o ukryty antybolszewizm. Jagoda znów liczy na Petersa i Łacisa, którzy zasiadają w kolegium GPU. Do tego jednak niezbędna jest wstępna zgoda Stalina. Zwracać się do

niego bezpośrednio nie ma sensu. Ale ułatwia to pewne przypadkowe zdarzenie (jest wiosna 1926 r., Zinowiew, Kamieniew i Sokolnikow są już w opozycji). Utrzymuję nadal kontakty z Sokolnikowem. Stalina to nie niepokoi - pracuję w Ministerstwie Finansów i mogę mieć z nim różne sprawy zawodowe. Ale oto Kamieniew prosi, bym do niego wstąpił. Od stycznia 1926 r. nie jest już członkiem Biura Politycznego, lecz tylko zastępcą członka. Nie widzę powodu, żeby nie iść, choć nie bardzo wiem, do czego mu mogę być potrzebny. Idę więc. Kamieniew podejmuje próbę zwerbowania mnie do opozycji. Odpowiadam złośliwymi uwagami na temat rozbieżności programowych; nie jestem dzieckiem i dobrze zdaję sobie sprawę, że bardziej tu idzie o walkę o władzę niż o rzeczywiste różnice poglądów. GPU natychmiast donosi Stalinowi o mojej wizycie u Kamieniewa. Wówczas Stalin zmienia swój stosunek do sprawy i zgadza się, by wezwano mnie do CKK i wysłuchano zarzutów Alonki - kobieta, z którą byliście blisko, może o was powiedzieć wiele ciekawych rzeczy (oczywiście zgodnie z sowiecko-stalinowską praktyką należało pójść do Stalina i opowiedzieć mu o rozmowie z Kamieniewem; jednak cały ten szpiclowsko-donosicielski system jest dla mnie odrażający i nie zrobiłem tego.)

Przed CKK Alonka w gruncie rzeczy plecie głupstwa. Oskarżenia o moich kontrrewolucyjnych poglądach ograniczają się do tego, że miałem zwyczaj mówić: *Nasz zwyczajny radziecki dom wariatów* czy też *nasz radziecki burdel*. Rzeczywiście często tak mówiłem i wcale nie kryłem się z tym. Rozmówcy na ogół uśmiechali się z szacunkiem; należałem do grupy wielmożów, którzy mogą sobie pozwolić na krytykę radzieckich porządków, bo, rzecz można, jest to krytyka z pozycji gospodarza. Gdy Alonka skończyła, zabrałem głos i poprosiłem kolegium, by nie osądzało jej zbyt surowo - jest oddanym członkiem partii, mówi to, co rzeczywiście myśli, uważa, że spełnia swój obowiązek komunistki, i nie dlatego mnie oczernia, że chce zaszkodzić człowiekowi, z którym się rozstała. Powstaje zabawna sytuacja. Alonka, oskarżając mnie, domaga się wykluczenia mnie z partii, co jest dla mnie równoznaczne z rozstrzelaniem. Ja tymczasem zamiast bronić siebie, bronię mojej oskarżycielki. Jarosławski, który przewodniczy, pyta, co mam do powiedzenia na temat wysuniętych oskarżeń. Macham tylko ręką: *nic*. Kolegium udaje, że udziela mi surowej nagany za to, że załatwiłem jej wyjazd służbowy za granicę. Nie przejmuję się tym - wiem, że to wszystko teatr, że i tak zapytają Stalina, jaką mają podjąć decyzję. Dlatego też nazajutrz wstępują do Stalina, w rozmowie wspominam także o posiedzeniu CKK, tak jakby wszystko to były głupstwa (inicjatywa obrażonej kobiety), a ponadto, takie mimochodem, informuję go, że towarzysz Kamieniew próbował nawrócić mnie na opozycyjną wiarę, ale bezskutecznie. Stalin uspokoił się i na pytanie Jarosławskiego, co CKK ma postanowić, zapewne odpowiedział, by zostawiono mnie w spokoju, cała ta sprawa nie miała bowiem dla mnie żadnych następstw.

Chociaż niezupełnie tak było. Z takich historii coś zawsze pozostaje. Od dawna dziwi mnie, że Stalin, przy swej chorobliwej podejrzliwości, wszystko to znosi. Wiosną 1926 r. próbuję zorganizować sobie nowy wyjazd za granicę i tym razem już definitywnie tam zostać. O Alonkę nie muszę się już martwić. Po oskarżeniach, które przeciwko mnie złożyła, niczym teraz nie ryzykuje. Gdyby GPU spróbowało mieć do niej jakieś pretensje, może odpowiedzieć: *Przecież mówiłem, że to kontrrewolucjonista, a CKK mi nie wierzyła. Teraz widzicie, kto miał rację*. I rzeczywiście.

Piszę pracę o założeniach teorii koniunktur. W światowej literaturze ekonomicznej brakuje książki na ten temat. Udaję, że niezbędne mi są materiały Kilońskiego Instytutu Gospodarki Światowej (rzeczywiście bardzo cenne) i załatwiam sobie przez Ministerstwo Finansów kilkudniową delegację do Niemiec. Mam teraz dwie możliwości: albo załatwić wyjazd uzyskując decyzję Biura Organizacyjnego

KC (co byłoby przesadą i niezbyt chyba wygodne przy tak drobnej sprawie), albo udać się bezpośrednio do Stalina i zorientować się, czy nie ma zastrzeżeń. Idę do Stalina i mówię, że chciałbym pojechać na kilka dni do Niemiec po potrzebne materiały. Proszę o zgodę. Odpowiedź jest nieoczekiwana i wieloznaczna: *Cóż to, towarzyszu Bażanow, wciąż za granicę i za granicę. Posiedźcie trochę w domu.*

Oznacza to, że teraz w normalny sposób nie wyjadę za granicę. Wszystkie te ataki GPU przeciwko mnie zostawiły jednak u Stalina jakiś ślad; *A co będzie, jeśli Bażanow naprawdę zostanie za granicę; jest naszpikowany tajemnicami państwowymi niczym dynamitem; lepiej nie ryzykować, niech siedzi w domu.*

W trzy miesiące później podejmuję jeszcze jedną pośrednią próbę, załatwiam to jednak tak, jak gdybym nie miał z tym nic wspólnego. Kolegium Ministerstwa Finansów omawia sprawę profesora Lubimowa, radzieckiego agenta finansowego we Francji. Jest bezpartyjny, nie cieszy się zaufaniem - istnieją podejrzenia, że prócz radzieckich interesów finansowych umiejętnie załatwia także i własne. Kim można by go zastąpić? Jeden z członków kolegium proponuje: *Może towarzyszu Bażanow pojechałby tam zrobić porządek?* Udaję, że nie jestem tym zbyt zachwycony i mówię: *Tylko jeśli nie na długo.* Minister Briuchanow popiera tę propozycję. Uzgadnia to z KC. Wobec tego jednak, że nic z tego dalej nie wynika, uznaję, iż Briuchanow próbował rozmawiać z Mołotowem (nie sądzę, żeby ze Stalinem) i otrzymał tę samą odpowiedź: *Niech posiedzi w domu.*

Możliwość normalnego wyjazdu za granicę całkowicie teraz odpada. Uważam się jednak za wewnętrznego emigranta i postanawiam uciec w jakikolwiek sposób.

Przede wszystkim trzeba, by nieco o mnie zapomniano; muszę zejść z oczu Stalinowi i Mołotowowi. Z KC odszedłem stopniowo i w sposób niezauważalny, wykręcając się od wszelkiej tam pracy. Muszę teraz przez pewien czas - powiedzmy roczek - popracować w Ministerstwie Finansów, przyzwyczaić wszystkich, że siedzą tam cicho i spokojnie. A jednocześnie zorganizować ucieczkę.

Moja Alonka zwolna ukończyła się i wróciła do swego Smorodina. Z racji wieku Smorodin nie był już w Komsomole, próbował studiować. Nie udało się to mimo starań - głowę miał nie do nauki, przeszedł więc do pracy partyjnej. Tu, oczywiście, głowa nie jest aż tak potrzebna; dochodzi do stanowiska sekretarza leningradzkiego komitetu partii i zastępcy członka KC. Jednakże nie uciekł przed stalinowską jatką - w 1937 r. został rozstrzelany. Biedna Alonka wraz z mężem wpadła w tryby tej maszyny i skończyła swe młode życie w kazamatkach GPU. Ich córka Maja, była jeszcze małą dziewczynką; na rozstrzelanie jej było jeszcze za wcześnie. Po wojnie jednakże, gdy podrosła, została zesłana (bodaj w 1949 r.) do obozu, skąd udało jej się ujść z życiem.

PRZYGOTOWANIE UCIECZKI

Wydawnictwo finansowe. Zaoczne kursy finansowe. Łarionow. Do Azji Środkowej. Moskwa – pożegnanie. Blumkin i Maksimow. Aszchabad. Tajny wydział KC Turkmenii.

Po odejściu z KC mam znacznie więcej czasu. W Ministerstwie Finansów biorę jeszcze na siebie redagowanie *Gazety Finansowej*. Jest to dziennik resortu finansów, specjalizujący się w problemach ekonomiczno-finansowych. Bardzo interesuje mnie technika wydawania gazety, również i technika drukarska. Można tu się wiele nauczyć. Samo kierowanie gazetą nie sprawia mi żadnych trudności - polityka finansowa władz nie ma dla mnie tajemnic; nawiasem mówiąc, zamiana Sokolnikowa na Briuchanowa niczego w niej nie zmienia.

Ponadto podejmuję się pokierować Wydawnictwem Finansowym. Wydaje ono literaturę ekonomiczno-finansową. Zatrudnia 184 osoby. Na pierwszym posiedzeniu kolegium wydawnictwa, w którym uczestniczą kierownicy wszystkich działów - operacyjnego, budżetowego, wydawniczego, redakcyjnego i Bóg jeden wie jeszcze jakiego, a także sekretarz organizacji partyjnej, przewodniczący rady zakładowej itd., itd. - staram się zorientować, co i jak robi to wydawnictwo. W odpowiedzi na moje rzeczowe pytania wszyscy pracownicy funkcyjni plotą bzdury na temat czujności, linii partii itd.; gdy domagam się faktów i danych liczbowych, nikt nic nie wie. Wreszcie jeden z indagowanych zwraca się do starszego człowieka, skromnie siedzącego przy końcu stołu: *Towarzyszu Matwiejew, podajcie proszę, dane liczbowe*. Towarzysz Matwiejew od razu podaje wszystkie potrzebne dane. Po godzinie nie mam najmniejszych wątpliwości, że jest to zbieranina pasożytów, którzy nic nie robią, nic nie wiedzą i których jedynym zajęciem są intrygi, donosy i kopanie dołków „po linii partyjnej”. Kończąc zebranie, proszę o pozostanie tylko towarzysza Matwiejewa, od którego chcę uzyskać niektóre dane. Towarzysz Matwiejew to bezpartyjny fachowiec. Zachowuje się nad wyraz skromnie. Jest jedynym człowiekiem w wydawnictwie, który wszystko doskonale wie i znakomicie się orientuje w całej robocie. Pracuje na stanowisku konsultanta technicznego. Po upływie pół godziny mam już jasny i precyzyjny obraz sytuacji panującej w wydawnictwie. Zdumiewa mnie ogromna fachowość towarzysza Matwiejewa. Co pan robił przed rewolucją? Niechętnie, z ociąganiem towarzysz Matwiejew przyznaje się, że był burżujem, wydawcą i zajmował się właśnie literaturą ekonomiczno-finansową; w Rosji był praktycznie monopolistą w tej dziedzinie. Okazuje się, że zakres jego działalności wydawniczej był mniej więcej taki sam jak obecnego Wydawnictwa Finansowego. Ciekawi mnie, ile miał u siebie etatów, i znów z pewnym zakłopotaniem wyjaśnia, że nie miał żadnych etatów. Jaki więc był personel? Tylko on - wydawca, oraz jedna współpracownica, która była zarazem sekretarką i maszynistką. I to wszystko. A jakie zajmowaliście pomieszczenia? I znów - prawie żadnych pomieszczeń. Był pokój, w którym za kantorkiem pracował wydawca, a przy stoliku - maszynistka. I wykonywali tę samą pracę, którą dziś zajmuje się 184 pasożytów, wypełniających ogromny budynek. Jest to dla mnie symbol, obraz całego radzieckiego systemu.

Kończą swą pracę na temat teorii koniunktur. Próbuję określić podstawy tej teorii. Bronski namawia mnie, bym wydał tą pracę w jego periodyku *Gospodarka Socjalistyczna*. Ludowy Komisariat Oświaty zawiadamia mnie, że traktuje tę pracę jako rozprawę doktorską, a Moskiewski Instytut Gospodarki Narodowej im. Plechanowa, w którym powstaje katedra teorii koniunktur, zaprasza mnie na

stanowisko wykładowcy w tej katedrze. Niestety, nie pozostaję długo na tym stanowisku - tylko przez wiosnę 1927 r.; później wyjeżdżam z Moskwy, kierując się przez Azję Środkową ku wolnemu światu.

Odchodzę z Biura Ekonomiczno-Finansowego, ponieważ obawiam się, że z powodu tej pracy Ministerstwo może mnie zatrzymać, gdy zechcę wyjechać. Znajduję sobie zajęcie, przy którym sam sobie będę panem i z którego będę mógł zrezygnować, kiedy tylko zechcę.

Ministerstwo Finansów potrzebuje dziesiątków tysięcy pracowników z wyższym wykształceniem specjalistycznym do pracy na stanowiskach inspektorów finansowych, kontrolerów, specjalistów od bankowości itd. Ludzie, którzy zajmowali te stanowiska przed rewolucją - zwykle osoby z wyższym wykształceniem - rozpierzchli się, zostali rozpędzeni, rozstrzelani lub wyemigrowali. Pracowników tych specjalności ogromnie brakuje. A tymczasem nowa, „klasowa” polityka w dziedzinie szkolnictwa wyższego dopuszcza do wyższych uczelni jedynie osoby pochodzenia proletariackiego, w ogromnej większości nieprzygotowane do studiów, bo nawet bez średniego wykształcenia. Natomiast młodzież bardziej kulturalna, ze średnim wykształceniem, ma pochodzenie nieproletariackie i nie przyjmuje się jej na studia. Co robić? Ministerstwo próbuje organizować w Leningradzie kursy dokształcające (podnoszenie poziomu kulturalnego i kwalifikacji) dla wiejskich pracowników zajmujących dziś te stanowiska. Kursy funkcjonowały przez rok, pochłonęły ogromne pieniądze (trzeba było karmić i utrzymywać słuchaczy, wykładowców, obsługę, a w radzieckich warunkach stwarza to ogromną machinę - z radami zakładowymi, klubami, organizacjami partyjnymi, szkoleniem politycznym, zapleczem gospodarczym, budynkiem, remontami itd.) i wypuściły setkę wątpliwej jakości „dokszałconych zawodowo”. Minister Briuchanow poprosił mnie, bym pojechał do Leningradu, przyjrzał się absolwentom i przekazał opinię o efektach kursów. Spełniłem tę prośbę i doszedłem do wniosku, że ogromne środki wydano na próżno. Ale niezależnie od tego, liczba absolwentów tych kursów to kropla w morzu w stosunku do potrzeb resortu.

Widzę jednak rozwiązanie. Mówię do Briuchanowa: *Mikołaju Pawłowiczu, niech mi pan pożyczy z funduszy ministerstwa dziesięć tysięcy rubli. Zorganizuję domowy fakultet finansowy - nauczanie zaoczne. Będzie to funkcjonować na własnym rozrachunku; za trzy, cztery miesiące zwrócę wam wasze pieniądze. Przygotuję dla was tysiące potrzebnych pracowników finansowych i nie będzie was to kosztowało ani kopiejki. Tyle tylko, że nie będzie mowy o żadnym proletariackim pochodzeniu. Za pomocą kursów zaocznych dam szansę uzyskania kwalifikacji tej młodzieży, przed którą ze względu na pochodzenie społeczne zamknięte są wszystkie drogi. Przecież pochodzenie społeczne waszych specjalistów finansowych jest dla was obojętne - ważne, żebyście ich mieli.* Briuchanow jest człowiekiem rozumnym i od razu wyraża zgodę. Otrzymuję w formie pożyczki potrzebne mi dziesięć tysięcy rubli.

Od razu przystępuję do organizowania Centralnych Zaocznych Kursów Ekonomiczno-Finansowych. Ale w Rosji studia zaoczne - w odróżnieniu od zagranicy - są czymś niemal nieznanym. W latach 1912-1913 były jakieś zaoczne kursy w Rostowie nad Donem, obejmujące zakres wykształcenia ogólnego, w czasie wojny zostały jednak przerwane. Niczego innego nie było.

Zaczynam od napisania niewielkiej, około stustronicowej książeczki na temat kształcenia w trybie zaocznym. Publikują ją natychmiast w Wydawnictwie Finansowym. Egzemplarz kosztuje 80 kopiejek. Cieszy się ogromnym powodzeniem. W ciągu trzech miesięcy rozchodzi się w stu tysiącach egzemplarzy. Zapowiada sukces mojego finansowego fakultetu.

Personel mam minimalny - moim zastępcą jest profesor Sindiejew, sprawami organizacyjnymi zajmuje się były sztabkapitan Budawiej. Obaj są bezpartyjni i znają się na rzeczy. Do współpracy zapraszam najlepszych w kraju specjalistów od spraw finansowych - 49 wybitnych profesorów, których zalety znam z pracy w Biurze Ekonomiczno-Finansowym Ministerstwa Finansów. Kursy dzielimy na cztery specjalności - każdą z nich powierzam najlepszym specjalistom, którzy mają przygotować program nauczania. Zaproszeni profesorowie napiszą skrypty, które po wydrukowaniu zostaną rozesłane studentom. Studenci będą przysyłać swe prace pisemne, profesorowie będą je poprawiać i zwracać studentom wraz ze swymi uwagami. Czas nauki - dwa lub trzy lata (zależnie od specjalności). Naukę zakończy sesja egzaminacyjna. Ci, którzy zdadzą egzaminy, otrzymają dyplomy, uprawniające do pracy w urzędach Ministerstwa Finansów na stanowiskach inspektorów finansowych i bankowych, kontrolerów itd. Uczący się płacą trzy ruble miesięcznie (za wszystko - za skrypty i pracę profesorów).

Gdy tylko kursy zostają otwarte i ogłoszony zostaje nabór, w pierwszym miesiącu zgłasza się siedem tysięcy studentów. Przyjmuję wszystkich. Z uzyskanych 21 tysięcy rubli od razu zwracam Briuchanowowi jego 10 tysięcy. Profesorom płacę bardzo szczerze; są ogromnie zadowoleni i z satysfakcją biorą się do pracy. Są to wszystko ludzie wielkiej wiedzy; nie ma wśród nich ani jednego komunisty. Bardzo zadowolone jest również ministerstwo - problem kadr zostanie wreszcie rozwiązany.

W tym momencie GPU arestuje prowadzącego na moich kursach specjalność: kredyty - Czałchuszjana. Jest to najwybitniejszy specjalista od spraw kredytowych, doradca Banku Państwowego. Potrzebując pieniędzy popełnił nieostrożność i sprzedał jakiś swój stary obraz japońskiemu dyplomacie, nie zdając sobie sprawy, z jak śmiertelnym niebezpieczeństwem wiąże się to w radzieckich warunkach. Przychodzi do mnie drobna, zapłakana kobieta, cała w czerni - jego żona. Prosi mnie, bym zrobił, co tylko w mojej mocy. Ale cóż mogę zrobić? Zważywszy na moje stosunki z GPU i fakt, że nie jestem już w KC, mogę być pewny, że moje wstawiennictwo może tylko zaszkodzić jej mężowi. Decyduję się na duże ryzyko i mówię jej to otwarcie; nic nie rozumie - słyszała, że jestem wielkim partyjnym wielmożą. Mówię, że nic nie mogę jej teraz wyjaśnić, ale za kilka miesięcy sama wszystko zrozumie (za kilka miesięcy ucieknę za granicę). Biorę słuchawkę telefoniczną, daję jej drugą, by słyszała rozmowę i dzwonię do kierownika Wydziału Ekonomicznego GPU, Prokofiewa. Rozmawiam z nim tak, żeby nie potraktował tego jako wstawiennictwo - biednemu Czałchuszjanowi mogłoby to tylko zaszkodzić.

Towarzyszu Prokofiew, arestowaliście kierownika specjalności kredytowej moich kursów, Czałchuszjana. O co chodzi? - O co chodzi, towarzyszu Bażanow, nie mogę wam powiedzieć, to tajemnica śledztwa. - Ale Czałchuszjan wykonuje teraz dla kursów bardzo pilną pracę - opracowuje program nauczania dla specjalności kredytowej. W każdym razie muszę wiedzieć, czy to sprawa poważna, czy nie. Jeśli arestowaliście go z powodu jakiegoś głupstwa, tylko po to, żeby go postraszyć, to wiedząc, że wkrótce go wypuścicie, mogę trochę poczekać. A jeżeli sprawa jest poważna to muszę go kimś zastąpić. Prokofiew radzi szukać zastępstwa - sprawa jest bardzo poważna.

Czałchuszjan nie wyszedł już zawiezienia; GPU „przyszyło” mu kontakty z Japończykami i szpiegostwo na ich rzecz. Został rozstrzelany.

Kursy idą bardzo dobrze. Zajmuje się nimi do lata 1927 r. Ponieważ jestem tu panem na włościach, przed wyjazdem z Moskwy mianują na swoje miejsce Hermana Swierdłowa. Dwa lata później, będąc

już w Paryżu, z przyjemnością przeczytałem w *Izwiestiach* ogłoszenie o nowej rekrutacji na moje kursy, podpisane przez dyrektora Hermana Swierdłowa. Były więc kontynuowane.

Latem 1927 roku odpoczywam na Krymie. Przed wyjazdem otrzymałem z KC ostrzeżenie GPU przeznaczone dla wszystkich pracowników funkcyjnych: należy zachować szczególną ostrożność, gdyż po Moskwie włóczy się niebezpieczny terrorysta. Po przyjeździe na Krym dowiaduję się, że terrorysta rzucił bombę w czasie zebrania w leningradzkim klubie partyjnym; są dziesiątki zabitych i rannych. Terrorystą tego spotkałem później w Paryżu i w Berlinie. Jest to czarujący i kryształowo uczciwy młodzieniec, Łarionow.

W owym czasie (rok 1927) szef Związku Wojskowego, Kutiepow prowadzi walkę z bolszewikami. Wiele ofiarnych chłopców i dziewcząt udaje się do Rosji, by wzorem dawnych rosyjskich rewolucjonistów rzucać bomby. Nie znają jednak siły nowego, gigantycznego aparatu policyjnego w Rosji. Rzekomo pomaga im duża i silna antybolszewicka organizacja Trust. W istocie zaś Trust to organizacja stworzona przez GPU. Wszystkie kontakty, lokale, współpracownicy Trustu - wszystko to organizowane przez czekistów. Terrorysty przechodząc radziecką granicę, wpadają prosto w łapy GPU i idą pod ścianę.

Nie dość tego. Lokal Związku Wojskowego w Paryżu, w którym generał Kutiepow prowadzi swą antybolszewicką działalność, mieści się w domu należącym do rosyjskiego kapitalisty, prezesa Rosyjskiego Związku Przemysłowo-Handlowego, Trietiakowa. I nikt nie wie, że Trietiakow jest agentem GPU, że w ścianie gabinetu Kutiepowa zainstalował mikrofon i że o wszystkim, co się tam dzieje, GPU jest natychmiast informowane. Wszystkie szczegóły dotyczące terrorystów wybierających się do Rosji GPU zna na długo przed ich wyjazdem.

(Trietiakow pracował dla GPU do 1941 r. Zdradził Kutiepowa, którego bolszewicy porwali. Przy jego pomocy czekistowski agent, generał Skoblin, zorganizował porwanie następcy Kutiepowa, generała Millera. Przypadek zrządził, że w 1941 r. Niemcy tak szybko zajęli Mińsk, iż GPU nie zdążyło zniszczyć ani wywieźć swych archiwów. Przeglądając te dokumenty Niemcy znaleźli notatkę z Moskwy: *Jak doniósł nam nasz agent Trietiakow z Paryża...* Niemcy go rozstrzelali. Do dziś nie są jasne motywy, jakimi kierował się pracując przez ponad 20 lat dla GPU).

Po powrocie z Krymu rozpoczynam ostatnie stadium przygotowań do mej ucieczki.

Wyjechać za granicę zwyczajnie, na delegację, nie mogę. Mogę jedynie uciekać przez którąś granicę; Przez którą? Analiza tego problemu prowadzi do niezbyt zachęcających wniosków. Polska granica jest całkowicie zamknięta. Rzędy drutów kolczastych, wszędzie straż graniczna z psami; GPU postarało się, by tę granicę uczynić nie do przejścia. Podobnie niemożliwa jest ucieczka do Rumunii; granicą jest Dniestr, uważnie obserwowany przez całą dobę. Znacznie trudniej jest upilnować granicy z Finlandią, przebiega bowiem przez lasy i tundrę. Pod jakim jednak pretekstem mógłbym tam pojechać? Już sama moja obecność w strefie przygranicznej byłaby wystarczającym dowodem na to, że chcę porzucić socjalistyczny raj.

Studiując mapę, zatrzymuję się na Turkmenii. Strefa zamieszkała ciągnie się wąskim pasem między pustynią i Persją. Stolica - Aszchabad - leży zaledwie 20 km od granicy. Wykluczone, by na miejscu nie znalazła się jakaś możliwość zbliżenia się do niej w sposób legalny (nie podejrzewałem jeszcze, że trudność ucieczki do Persji leży zupełnie gdzie indziej; opowiem o tym później). Decyduje się na

ucieczkę do Persji przez Turkmenię. Najpierw jednak muszę znaleźć się w Turkmenii, która podlega Środkowoazjatyckiemu Biuru KC partii.

Bez trudu wykręcam się od kursów finansowych; jestem tu gospodarzem - przekazuję je w ręce Hermana Swierdłowa.

Następnie wybieram się do Biura d/s Organizacyjno-Kadrowych KC i proponuję, by wysłano mnie do dyspozycji Środkowoazjatyckiego Biura KC. Mimo, że w KC znam wszystko i wszystkich, wszystkie wejścia i wyjścia, napotykam na ogromną trudność: wedle nomenklatury należę do tak wysokiej kategorii pracowników funkcyjnych, że Biuro d/s Organizacyjno-Kadrowych nie ma prawa mną rozporządzać; w tej sprawie niezbędna jest decyzja co najmniej Biura Organizacyjnego. Uprzejmie proponują mi, bym złożył tam odpowiednie podanie. Nie jest mi to na rękę. Tłumaczę, że nie mam ochoty ryzykować, by któryś z członków Biura Organizacyjnego wysłał mnie do jakiejś odpowiedzialnej pracy tam, gdzie akurat brakuje ludzi i gdzie, zdaniem Biura Organizacyjnego, będę właściwym kandydatem. Radzę więc postąpić w sposób następujący: zadzwonić do Mołotowa i zapytać, czy ma jakieś zastrzeżenia co do mojej pracy w Azji Środkowej. Jeśli nie wyrazi sprzeciwu. Biuro Kadr za zgodą sekretarza KC i przewodniczącego Biura Organizacyjnego może mnie oddelegować, jeśli zaś powie nie, to sam pójdę do Mołotowa i spróbuję go przekonać. Zadzwonili do Mołotowa; na szczęście zbrzydł mu już mój upór i niechęć do pracy w KC, odpowiada więc: *No cóż, jeśli już tak bardzo chce, niech jedzie*. Otrzymuję skierowanie do dyspozycji Środkowoazjatyckiego Biura KC na odpowiedzialne stanowisko.

Ze skierowaniem tym przyjeżdżam do Taszkientu i zjawiam się u sekretarza Środkowoazjatyckiego Biura KC, Zielenskiego. Jest to ten sam Zielenski, który niegdyś był pierwszym sekretarzem Komitetu Moskiewskiego i który jesienią 1923 r. przegapił siłę opozycji. „Trójca” zdecydowała wówczas, że jest zbyt słaby na najważniejszą w kraju, moskiewską organizację i wysłała go do Azji Środkowej.

Zielenski jest zdziwiony i nieco zmartwiony moim przyjazdem. Cóż to - oko Stalina? Wyjaśniam mu, że rzuciłem pracę w aparacie centralnym, ponieważ czułem się zupełnie oderwany od życia, i postanowiłem popracować w terenie. Doskonale - stwierdził Zielenski. - *Mianujemy was moim pomocnikiem i kierownikiem tajnego wydziału w naszym Biurze; Zorganizujecie nam taki wydział, słyszałem, jak zorganizowaliście aparat Biura Politycznego* (chce po prostu, żebym uporządkował jego kancelarię i został jego sekretarzem). Mówię więc: *Towarzyszu Zielenski, pomówmy szczerze. Nie po to rzuciłem pracę pomocnika Stalina i sekretarza Biura Politycznego, by zostać waszym sekretarzem. Chciałbym podjąć pracę w głębokim terenie, gdzieś daleko, w zapadłej dziurze. W Turkmenii, na przykład, sekretarzem KC jest Ibrahimow; znam go z aparatu KC - wyślijcie mnie do jego dyspozycji*.

Zielenski szybko się zgadza i otrzymuję kolejne skierowanie: *do dyspozycji KC Turkmenii*.

Z Taszkientu nie jadę jednak do Aszchabadu, lecz wracam do Moskwy. Chcę pożegnać się z przyjaciółmi i z Moskwą; czy kiedykolwiek jeszcze wrócę do ojczyzny?

Muszę nie tylko pożegnać się z przyjaciółmi. Trzeba zastanowić się, co zrobić, by ryzyko wynikające dla nich z mojej ucieczki było jak najmniejsze. Po ucieczce GPU rozpocznie intensywne śledztwo, będzie sprawdzać, czy nie należałem do jakiejś antybolszewickiej organizacji i kto jest ze mną związany. Ryzyko dla przyjaciół jest ogromne. Mam dwa rodzaje przyjaciół: jedni, z którymi widuję się często, w sposób otwarty, afiszując się dobrymi stosunkami z nimi; należy do nich Herman

Swierdłow, Muńka Zorki i jeszcze dwie czy trzy osoby. Nie mają nawet pojęcia, że jestem wrogiem komunizmu i GPU doskonale rozumie, iż gdybym był z nimi jakoś politycznie związany i miał te same poglądy, nigdy bym tak otwarcie się z nimi nie przyjaźnił. Ci nie ryzykują niczym. Są jednak i inni, którzy przeszli podobną ewolucję. W stosunku do nich byłem ostatnio bardzo ostrożny, spotykaliśmy się tylko w służbowych gabinetach i jakoby wyłącznie w służbowych sprawach. Właśnie tu będzie ryc GPU.

Przyjaciele podsuwają mi następujący pomysł. Kiedy będziesz już za granicą i będziesz pisał o Moskwie i komunizmie, napisz, że antykomunistą stałeś się nie w Biurze Politycznym, lecz dwa lata wcześniej, jeszcze zanim przyszedłeś do pracy w KC. Jeśli idzie o wartość twego świadectwa, niczego to nie zmieni - nie ma znaczenia, czy antykomunistą stałeś się dwa lata wcześniej czy później, ważne jest, żebyś dał świadectwo prawdzie. GPU i Jagoda od razu uczepią się tego, co wyznasz: *No właśnie, oto dowód, że mamy czekistówskiego nosa, przecież dawne mówiliśmy, że to kontrrewolucjonista.* Ale wtedy, szukając jakiejś powiązanej z tobą organizacji, pójdą fałszywym tropem. Jeśli antykomunistą byłeś już wcześniej, to po przyjeździe do Moskwy i podjęciu pracy w KC musieliście ukrywać przed wszystkimi swe poglądy; każdy z nas mógł więc być co do ciebie wprowadzony w błąd, tak jak i Biuro Polityczne; twych kontaktów i twej organizacji trzeba szukać wcześniej, przed Moskwą, czyli w twoim rodzinnym mieście.

Pomysł w istocie nie głupi. W Mohylewie, jakkolwiek by GPU nie szukało, nic nie znajdzie; nie było tam żadnej organizacji. Ale GPU może przecież uznać, że stanowili ją moi przyjaciele z ostatnich lat gimnazjum. Mitka Aniczkow wstąpił do Białej Armii; Julij Syrbul Mołdawianin z tamtego brzegu Dniestru, znajduje się teraz w Besarabii, czyli w Rumunii, znany jest jako zaciekły antykomunista. Obaj niczym nie ryzykują, poszukiwania GPU pójdą fałszywym tropem. Pomysł akceptuję i przyrzekam go zrealizować (będę musiał dotrzymać obietnicy, choć kiedyś będę żałować, że ją dałem; opowiem o tym później).

W tym miejscu muszę zboczyć z tematu i zapoznać Czytelnika z towarzyszem Blumkinem, z tym samym Blumkinem, który w czasie powstania lewicowych eserowców w 1918 r. zabił niemieckiego ambasadora w Moskwie, Mirbacha, by zerwać pokój podpisany w Brześciu Litewskim.

W 1925 r. często spotykałem się z Muńką Zorkim. Był to komsomolski pseudonim, naprawdę nazywał się Emanuel Lifszyc. Kierował Wydziałem Prasy KC Komsomołu. Był to mądry, zabawny i dowcipny chłopak. Miał jedną słabość - panicznie bał się psów. Gdy szliśmy razem ulicą i z naprzeciwną nadbiegał jakiś niewinny psiak, Muńka brał mnie pod rękę i mówił: *Słuchają Bażanow, przejdźmy lepiej na drugą stronę; wiesz, jestem Żydem i nie lubię, kiedy gryzą mnie psy.*

Szliśmy kiedyś Arbatem. Podeszliśmy do starej, wspaniałej, mieszczańskiej kamienicy. *Tu - mówi Muńka - opuszczę cię. Drugie piętro tego domu to mieszkanie w gestii GPU; mieszka w nim Jakow Blumkin, o którym zapewne słyszałeś. Zdzwoniliśmy się i czeka teraz na mnie. A wiesz, Bażanow, chodźmy razem. Nie pożałujesz. Blumkin to rzadki okaz głupca czystej wody. Kiedy wejdziemy, będzie - czekając na mnie - siedział w czerwonym, jedwabnym szlafroku, palił wschodnią, na arszyn długą fajkę, a przed nim będzie leżał otwarty tom dzieł Lenina, kiedyś specjalnie zajrzałem - zawsze otwarty jest na tej samej stronie. Radzę ci, chodź ze mną.* Poszedłem, wszystko było tak, jak przewidział Zorki: i szlafrok, i fajka, i tom Lenina. Blumkin był człowiekiem chełpliwym i zadowolonym z siebie. Nie miał wątpliwości, że jest postacią historyczną. Wraz z Zorkim pokpiwaliśmy z jego pychy: *Jakowie Grigoriewiczu, byliśmy w Muzeum Historii Rewolucji; panu i zamachowi na Mirbacha poświęcono tam*

całą ścianę. - O, to bardzo miło. I co jest na tej ścianie? - Różne wycinki prasowe, fotografie, dokumenty, cytaty; na samej górze, przez całą ścianę biegnie cytat z Lenina: „Potrzebne nam są nie historyczne pomysły drobnoburżuazyjnych degeneratów, lecz potężny marsz stalowych batalionów proletariatu”. Wszystko to oczywiście wymyśliliśmy; gdy przyznaliśmy się do tego, był bardzo dotknięty, ale nie poszedł do muzeum, by to sprawdzić.

Cioteczny brat Blumkina opowiadał mi, że sprawa zabójstwa Mirbacha wyglądała nieco inaczej, niż to opisywał Blumkin. Gdy Blumkin ze swymi towarzyszami znalazł się w gabinecie Mirbacha, rzucił bombę, z ogromnym pośpiechem wyskoczył przez okno, po czym zawisł w wysoce niewygodnej pozycji, zaczepiwszy spodniami o żelazne ogrodzenie. Towarzyszący Blumkinowi marynarzyk bez pośpiechu zaciukał Mirbacha, ściągnął Blumkina z parkanu, wsadził go do ciężarówki i wywiózł. Marynarzyk poległ wkrótce gdzieś na froncie wojny domowej, a Blumkina bolszewicy wyjęli spod prawa. Szybko jednak przeszedł na ich stronę, zdradzając organizację lewicowych eserowców, został przyjęty do partii, pracował w CzK i wstawił się udziałem w krwawym stłumieniu powstania w Gruzji. Potem kariera czekisty zaprowadziła go do Mongolii, gdzie stojąc na czele CzK rozstrzelał tak wielu ludzi, że nawet GPU uznało za konieczne odwołać go stamtąd. Jedwabny szlafrok i fajka były właśnie pamiątkami z Mongolii. GPU nie wiedziało, co z nim robić, i trzymało go w rezerwie.

Gdy pokazał mi swoje mieszkanie, składające się z czterech ogromnych pokoi, zapytałem: *I mieszka pan tu sam?* - *Nie, mieszka ze mną mój cioteczny brat, Maksimów, zajmuje się moim gospodarstwem.* Przedstawiono mi Maksimowa. Pochodził z Odessy, tak jak i Blumkin. Nazwisko Maksimow było jego pseudonimem partyjnym, którego w gruncie rzeczy nie miał prawa używać; w Odessie bowiem był członkiem partii i kwatermistrzem pułku kawalerii, ale dopuścił się kradzieży i wpadł sprzedając na swoje konto służbowy owies; został wówczas wyrzucony z partii i wydalony z wojska. Prawdziwe jego nazwisko brzmiało Birger. Mieszkał u kuzyna, który starał się znaleźć mu jakąś posadę. Nie było to jednak łatwe - nikt nie chciał przyjąć człowieka wyrzuconego z partii za kradzież mienia społecznego.

I ma pan dwa zupełnie wolne pokoje? A tymczasem Herman Swierdłow, brat niezjącego Jakowa, mieszka z drugim bratem, Wieniaminem, w domu RNGN, w ciasnym mieszkaniu, nie ma nawet swojego pokoju. Może by go tu przenieść? - Brat Jakowa Swierdłowa? Ależ oczywiście, będę szczęśliwy. Niech przyjeżdża choćby dzisiaj.

W ten to sposób Herman Swierdłow zamieszkał u Blumkina.

Gdy po raz pierwszy po naszej wizycie Blumkin przyszedł do GPU, nie omieszkał pochwalić się znajomością ze mną. Jagodę poderwało: *Jakowie Grigoriewiczu, mamy dla was zadanie, Bażanow nienawidzi GPU, podejrzewany, że nie jest nasz, odsłońcie jego prawdziwe oblicze. To niezwykle ważne zadanie.*

Blumkin podjął się tego, lecz po dwóch czy trzech miesiącach oznajmił Jagodzie, że nie ma możliwości tak częstego spotykania się ze mną, jakby należało, o bliższej znajomości nie ma więc mowy, i poprosił o zwolnienie go z tego zadania. Podsunął jednak inny pomysł. Mieszka u niego jego cioteczny brat, Maksimow, oraz Herman Swierdłow. Od Swierdłowa można by więc wyciągnąć informacje o Bażanowie. Ci dwaj bowiem widują się niemal codziennie. Pomysł spotkał się z uznaniem. Maksimow został wezwany do naczelnika wydziału Administracyjnego GPU, Fleksera, i dostał wreszcie pracę, której tak długo szukał: miał mnie szpiegować i składać raporty do GPU. Z tego utrzymywał się do lata 1927 r.

GPU, nadal nie wiedząc, co robić z Blumkinem, próbowało podstawić go Trockiemu. W 1925 r. Trocki objeżdżał fabryki wraz z Komisją d/s Jakości Produkcji. Do komisji tej wsadzono Blumkina. Nawet dla niebywale naiwnego Trockiego zadania Blumkina w komisji były zupełnie oczywiste. Dał temu wyraz już przy pierwszej okazji, gdy podkomisja z Blumkinem na czele przeprowadziła kontrolę w jednej z fabryk. Na posiedzeniu komisji pod przewodnictwem Trockiego, gdy Blumkin chciał zreferować wyniki pracy swojej podkomisji. Trocki mu przerwał: *Towarzysz Blumkis był tam okiem partii po linii czujności; nie wątpimy, że pracę swą wykonał. Posłuchajmy oceny specjalistów pracujących w podkomisji.* Blumkin nadął się niczym indyk: *Po pierwsze, nie Blimkis, a Blumkin; powinniście, towarzyszu Trocki, lepiej znać historię partii; a po drugie...* Trocki huknął pięścią w stół: *Nie udzielałem wam głosu!* Blumkin zakończył swą pracę w komisji jako zawzięty wróg Trockiego. Chcąc wykorzystać jego nienawiść do opozycji, GPU próbowało podstawić go jeszcze Kamieniewowi, i to już w 1926 r., gdy Kamieniew został mianowany ministrem handlu. Blumkina ulokowano na stanowisku doradcy ministra; sekretarze Kamieniewa śmiali się do rozpuku z pracy „doradcy”. Pokazali mi napuszone pismo niezadowolonego Blumkina skierowane do Kamieniewa. Zaczynało się następująco: *Towarzyszu Kamieniew! Pytam was: gdzie jestem, czym jestem i kim właściwie jestem?* Stamtąd także trzeba było go odwołać.

Blumkin znalazł jednak swe właściwe powołanie, gdy wysłano go jako rezydenta GPU (szpiegostwo i dywersja) na Bliski Wschód. Jeszcze się z nim spotkamy.

Gdy jesienią 1927 r. żegnałem się z Moskwą, Maksimow był bardzo smutny. Wraz z mym wyjazdem tracił lekką i dobrze płatną pracę. Postanowiłem zakpić sobie z niego. Wiedziałem, że składa na mnie raporty do GPU, on jednak nie wiedział, że ja o tym wiem. Mając za sobą różnorodne sowieckie doświadczenia uważałem, że jeśli wróg chce mieć informację na twój temat, to będzie najlepiej, jeśli sam ją dostarczysz - wybierasz bowiem to, co ci odpowiada. Tak właśnie robiłem. Nie podejrzewającemu niczego Hermanowi Swierdłowowi mówiłem o sobie tylko to, co bez najmniejszej dla mnie szkody mogło być przekazane do GPU; przez Maksimowa docierało tam każde moje słowo.

Spotkawszy Maksimowa u Hermana tuż przed moim wyjazdem do Aszchabadu, zapytałem: *A jak tam u pana z pracą?* - *Źle, jak zwykle.* - *Jeśli pan chce, to wezmę pana ze sobą do Azji Środkowej.* Ależ tak, bardzo chętnie, jeśli można, da mi jutro ostateczną odpowiedź; musi zerwać jakieś rozpoczęte rozmowy. Doskonale wiem, że pobiegnie do GPU z pytaniem, co robić. Powiedziano mu - doskonale, oczywiście jedź i dalej pisz raporty. Do Aszchabadu przyjechałem więc wraz z Maksimowem.

W Aszchabadzie zjawiłem się u pierwszego sekretarza KC Turkmenii, Ibrahimowa. Znałem go z KC. Gdy ja byłem sekretarzem w Biurze Politycznym, on pełnił funkcję odpowiedzialnego instruktora KC i uważał mnie za wielką figurę. Tym bardziej więc był zdziwiony moim przyjazdem. Pierwszą jego myślą było, że przyjechałem zająć jego miejsce. Wyperswadowałem mu to, wyjaśniłem, że chcę pracować na niewysokim stanowisku. *Mianuj mnie na początek kierownikiem tajnego wydziału KC (to właśnie to, czego odmówiłem Zielenskiemu), Będę twoim podwładnym i nikomu nie przyjdzie do głowy, że chciałbym zająć twoje miejsce.* Tak też się stało.

Po kilku dniach oznajmiłem, że jestem namiętym myśliwym, ale poluję tylko na grubego zwierzka (a naprawdę, to nienawidzę polowania). Zatelefonowałem do Dorofiejewa, naczelnika 46 oddziału Wojsk Ochrony Pogranicza GPU, i poprosiłem go o przysłanie mi dwóch karabinków i zezwolenia na polowanie w strefie przygranicznej dla mnie i Maksimowa. Bez zwłoki je otrzymałem.

Przez dwa czy trzy miesiące badałem sytuację, podczas gdy Maksimów, któremu załatwiłem jakieś niewielkie stanowisko administracyjne sumiennie słał na mnie donosy do Moskwy.

Ibrahimow był porządnym człowiekiem, moje stosunki z nim od razu ułożyły się znakomicie. Kierowałem tajną kancelarią KC, sekretarzo wałem na posiedzeniach Biura KC i na plenach KC Turkmenii, znów byłem, choć w niewielkiej, lokalnej skali w centrum wszystkich tajnych spraw. Rozmawiając z Ibrahimowem, często rozpytywałem go o Persję. Niepokoi mnie fakt, że linia kolejowa - nasze główne połączenie z krajem - cały czas biegnie wzdłuż perskiej granicy, w razie wojny Persowie mogą z łatwością przeciąć naszą główną linię komunikacyjną. Ibrahimow śmieje się: *A nasz 46 oddział, to co? Oponuję - przecież tym powinno się zająć normalne wojsko.* Ibrahimow odpowiada: *Znasz historię? Gdy przed wiekiem miała miejsce rewolta w Teheranie i został zabity nasz ambasador, Gribojedow, wiesz, co zrobił car? Wysłał z Rosji sotnię kozaków, która zrobiła w Persji porządek; nie sądz, że teraz bardzo się tam zmieniło.*

Kiedy indziej mówię: *Macie tu granicę pod nosem; pewnie jest wiele ucieczek?* - *Przeciwnie* - powiada Ibrahimow - *ucieczki są bardzo rzadkie. Oczywiście, granica jest bardzo długa i ogromnie trudno byłoby ją upilnować na całej długości. Żeby jednak zbliżyć się do niej, trzeba dotrzeć do jakiegoś zaludnionego miejsca, a na takich właśnie miejscach skupiona jest cała uwaga. Żaden nowy przybysz nie może tam zostać niezauważony.*

No dobrze - powiadam - *ale to nie odnosi się do partyjnych. Pracownik aparatu może bez trudu znaleźć się w pobliżu granicy i ją przekroczyć. Czy mieliście takie przypadki?* - *Dwa* - mówi Ibrahimow - *ale nie stanowi to żadnego problemu. Pracownika aparatu partyjnego, który uciekł do Persji, po prostu łapiemy w Persji i przywozimy go z powrotem.* - *A władze perskie?* - *A władze perskie przymykają oczy, jak gdyby nic się nie stało.*

Wygląda to niezbyt zachęcająco. Przejść granicę jest wiec tu łatwo, ale później zaczynają się trudności. No cóż, zaryzykujemy.

Przeprowadzam rozpoznanie granicy. 20-30 kilometrów od Aszchabadu, przy samej granicy z Persją, już w górach, znajduje się Firiuza - dom wypoczynkowy KC. Wraz z grupą kilku myśliwych - pracowników KC - wybieram się tam w niedzielę. Przechodzą górskim wąwozem bardzo daleko - kto wie, może już jestem w Persji? Nabieram przekonania, że to miejsce zupełnie nie nadaje się do przekroczenia granicy; przejdiesz, a tu gdzieś z wąwozu ni z tego, ni z owego wyskoczy patrol graniczny; *Kolego, to już Persja, co tu robisz? Wracaj z powrotem!*

Wybieram na mapie Luftabad, odległy o 40-50 kilometrów od Aszchabadu. Jest to stacja kolejowa, a na wprost niej, za dwoma kilometrami szczerego pola, leży wieś perska o tej samej nazwie. Zdecydowałem, że przekroczę granicę 1 stycznia (1928 r.). Żyję po dziś dzieli i mogę pisać te słowa tylko dlatego, że wybrałem na przejście granicy właśnie dzień 1 stycznia.

UCIECZKA. PERSJA. INDIE

Przekroczenie granicy. Persja. Pierwszy zamach. Moskwa żąda wydania. Czeka pracuje - Agabekow. Chosztaria i Tejmurtasz. Przez Persję. Duzdab. Indie. MacDonald i Lena-Goldfields. Jadę do Francji.

Wieczorem 31 grudnia wyjeżdżamy z Maksimowem na polowanie. Maksimow wolałby wprawdzie zostać i powitać Nowy Rok w jakimś wesołym towarzystwie, lecz obawia się, że jego szefowie (GPU) będą niezadowoleni, że nie depcze mi po piętach. Dojeżdżamy pociągiem na stację Lutfabad i od razu zgłaszamy się do naczelnika miejscowej straży granicznej. Pokazuję dokumenty, zezwolenie na polowanie w strefie przygranicznej. Naczelnik strażnicy zaprasza mnie do wzięcia udziału w koleżeńskim spotkaniu noworocznym. Robi to z uprzejmości. Odpowiadam, że po pierwsze, przyjechałem polować, wolę więc wyspać się i wczesnym rankiem wyjść w pełni sił na polowanie; po drugie, zapewne w gronie kolegów zechcą sobie wypić, a ja nie piję i do towarzystwa ludzi pijących zupełnie się nie nadaję. Idziemy spać.

Następnego dnia wyruszamy wczesnym rankiem i idziemy w kierunku perskiej wioski. Kilometr dalej, w szczerym polu, w zasięgu wzroku pograniczników widzę zniszczony słup - słup graniczny, za nim Persja. Ze strażnicy nie ma żadnych oznak życia - wszyscy są w sztok pijani. Mój Maksimow nie ma zielonego pojęcia o topografii tego rejonu i nawet nie podejrzewa, że jedną nogą jesteśmy w Persji. Siadamy i jemy śniadanie.

Po śniadaniu podnoszę się i mówię do Maksimowa (każdy z nas ma karabinek, ale wszystkie naboje są u mnie): *Arkadiuszu Romanowiczu, oto słup graniczny, za nim Persja. Róbcie, co chcecie, ale ja idę do Persji i porzucam na zawsze socjalistyczny raj; niech świetlana budowa komunizmu odbywa się beze mnie.* Maksimow jest przerażony: *Ale ja nie mogę wracać, przecież rozstrzelają mnie za to, że was puściłem.* Proponuję mu więc: *Jeśli chcecie, zabiorę was ze sobą i dowiozę do Europy, ale uprzedzam, że od tej chwili będą na was polować tak samo jak na mnie.* Maksimow dochodzi do wniosku, że nie ma innego wyjścia; decyduje się iść ze mną do Persji.

Docieramy do wsi i próbujemy odszukać miejscowe władze. Wreszcie nam się to udaje. Oznajmiamy nam, że ten przypadek poważnie przekracza ich kompetencje, i wysyłają gońca do najbliższej, odległej o 20 kilometrów, siedziby władz administracyjnych. Goniec wraca późnym wieczorem z poleceniem: mamy jechać do tego miasteczka. Władze wioski jednak zdecydowanie odmawiają zorganizowania naszej podróży w nocy; musimy przenocować w Lutfabadzie.

Tymczasem informatorzy pracujący dla władz radzieckich przechodzą granicę i próbują, zawiadomić strażnicę o naszej ucieczce. Cała załoga strażnicy jest jednak kompletnie pijana do rana 2 stycznia nikogo nie udaje się zawiadomić. A rankiem 2 stycznia wyjeżdżamy już do głównego miasta dystryktu, do którego docieramy dość szybko. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że gdyby nie był to dzień 1 stycznia i Nowy Rok, to najbliższej nocy uzbrojony oddział radziecki przekroczyłby granicę, zostalibyśmy pojmani i odstawieni z powrotem. W ten sposób zakończyłaby się moja życiowa kariera.

W stolicy dystryktu staje przed nami niespodziewana szansa - w osobie naczelnika dystryktu, Pasbana. W odróżnieniu od całej lokalnej administracji perskiej, tchórzliwej, leniwej, przekupnej i na

wszystko obojętnej, jest to człowiek mądry, zdecydowany i energiczny. Okazuje się, że przeszedł niemiecką szkołę w czasie pierwszej wojny światowej.

Ma nas wysłać do stolicy prowincji (Chorasan) - Meszedu. Wyjaśnia nam, że od Meszedu dzielą nas góry o wysokości sięgającej 3000 metrów. Istnieje tylko jedna droga przejezdna, omija góry, zbliża się do Aszchabadu, dalej prowadzi głębokim wąwozem i przełęczą przez góry do miasta Kuczana, a dopiero potem skręca w lewo do Meszedu. Wysłanie was do Meszedu tą drogą oznacza dla was pewną śmierć; od dziś będzie tam czatował oddział czekistów z samochodem, złapią was i wywiozą do Rosji. Jedyna wasza szansa to pójść wprost przez góry. Nie ma tam żadnej drogi, są tylko ścieżki, którymi tutejsi mieszkańcy przechodzą czasami w lecie. Teraz jest zima i wszystko pokrywa głęboki śnieg. Musicie jednak spróbować. Bolszewicy nie zaryzykują pójścia w góry. Dam wam przewodników i koniki górskie. Przewodnikom nie ufajcie, ufajcie natomiast w pełni tym konikom - one odnajdą drogę.

Tworzy się karawana, rozpoczynamy wspinaczkę.

Wędrówka przez góry, śniegi, urwiska i rozpadliny trwa cztery dni. Ze dwadzieścia razy ratowały nam życie malutkie, kudłate kucyki, które jak koty wdrapują się na nieprawdopodobnie strome szczyty, a poślizgnąwszy się natychmiast padają na brzuch, rozsuwając wszystkie cztery nogi na boki i utrzymując się w ten sposób przed upadkiem ze zbocza. Wreszcie piątego dnia umęczeni schodzimy w dolinę Meszedu i na jego przedmieściach dostajemy się na szosę. Tam i z powrotem jeździ po niej ciężarówka, pełniąca rolę autobusu. Trafiamy w samą porę, zajmujemy tylne miejsca; tuż za nami do autobusu wsiada dwóch czekistów, którzy muszą jednak usiąść przed nami. Najprawdopodobniej sądzą, że jesteśmy uzbrojeni i zachowują się spokojnie. Dojeżdżamy do Meszedu i autobus podwozi nas nie wiedzieć czemu pod hotel. Tłumaczą nam, że jest to jedyny w mieście hotel europejskiego typu; tubylcy zatrzymują się w karawanserajach. Jesteśmy bardzo zmęczeni i marzymy o dobrym łóżku. Przed pójściem spać próbujemy napić się kawy w hotelowej restauracji. Kiedy postawiono przed nami kawę i mój towarzysz zabiera się do picia, powstrzymuję go. Od kawy bije silny zapach gorzkich migdałów - to zapach cyjanku potasu. Rezygnujemy z kawy i idziemy do naszego pokoju. Prowadzi nas do niego dyrektor hotelu, Ormianin Kołtuchczew, który tłumaczy, że tylko ten pokój ma wolny. Pokój nie ma zamka ani zasuwki - są „w naprawie”. Po drodze widzę wolne pokoje, ale Kołtuchczew twierdzi, że są zajęte przez innych klientów. Naprędce barykadujemy krzesłami drzwi i z rozkoszą wyciągamy się na prawdziwych łóżkach.

Sen nasz trwa niedługo. Budzi nas głośnie stukanie do drzwi: *Policja*. Mimo protestów doprowadzają nas do głównej komendy policji (nazmija), tłumacząc nam, że to dla naszego dobra. Naczelnik policji, oschły, szorstki służbista, nie mówi po rosyjsku. Umieszcza nas w swym gabinecie i znika. Jego pomocnik, nadzwyczaj sympatyczny Pers, kształcił się w Rosji i doskonale mówi po rosyjsku. Od niego dowiadujemy się wreszcie, o co chodzi. Okazuje się, że nasz przyjazd do Meszedu wywołał niezwykle ożywienie we wszystkich radzieckich instytucjach. Informatorzy policji widzieli, jak radziecki agent wojskowy Paszajew spotkał się z innym radzieckim agentem Kołtuchczewem (dyrektorem naszego hotelu) i przekazał mu rewolwer oraz coś jeszcze (zapewne truciznę). Policja, zorientowawszy się, o co chodzi, zorganizowała pod naszymi drzwiami zasadzkę, w nocy Kołtuchczew szedł na górę z rewolwerem, by nas ukatrupić (obiecano mu, że zaraz potem zostanie wywieziony do Rosji), ale pod drzwiami naszego pokoju został aresztowany, nas zaś przewieziono na policję.

Rankiem następnego dnia przyjął mnie gubernator Chorasanu. Jest to stary, chytry i flegmatyczny Pers. Patrzy na mnie z zaciekawieniem, ale mówi mało. Nie zna rosyjskiego; rozmawia przy pomocy tłumacza. Zwracam się do tłumacza: *Proszę powiedzieć panu gubernatorowi, że Persja, tak jak każdy cywilizowany kraj, przyznaje oczywiście prawo azylu emigrantem politycznym.* Tłumacz zamiast tłumaczyć pyta: *A kto panu powiedział, że Persja jest cywilizowanym krajem?* Powiadam: *Nieważne, kto powiedział, proszę tłumaczyć to, co mówię.* Tłumacz drapie się za uchem: *Chodzi o to, że gubernator może sobie pomyśleć, iż pan sobie kpi z niego. - Mimo to proszę przetłumaczyć to tak, jak powiedziałem.*

Wysłuchawszy mnie gubernator odpowiada, że nie może podjąć żadnych decyzji w mojej sprawie; taką decyzję musi podjąć rząd; wyśle więc do rządu szczegółowy raport, a na razie zostaną podjęte wszelkie niezbędne środki dla zapewnienia mi bezpieczeństwa. Muszę więc czekać na odpowiedź z Teheranu.

Lokujemy się w gabinecie naczelnika policji. Budynek policji ma postać średniowiecznej twierdzy w kształcie czworoboku, z jednym tylko wejściem. Pomocnik naczelnika policji pokazuje mi plemię dzikich jeźdźców kurdyjskich, którzy rozbili obóz na placu przed gmachem policji. Ludzie ci opłacani są przez bolszewików; po moim wyjściu z budynku mają zrobić na mnie napad, zarąbać i uciec. Policja dobrze o tym wie; zresztą prawie stąd nie wychodzę, a jeśli już, to pod silną ochroną.

Rozmowy z Teheranem bardzo się przeciągają. Pomocnik naczelnika policji na bieżąco informuje mnie o sytuacji. Przeciągają się zwłaszcza rozmowy między Teheranem a Moskwą, która żąda wydania mnie.

W ostatnich latach między Persją a Rosją istniały trzy czy cztery sporne kwestie, w których żadna ze stron nie chciała ustąpić upierając się przy swoich prawach. Dotyczyły one rybołówstwa w strefie przygranicznej na Morzu Kaspijskim (kawior), szybów naftowych, a przede wszystkim linii granicznej, od której ostatecznego przebiegu będzie zależało, komu przypadną znajdujące się w tej strefie bogate tereny roponośne. W zamian za wydanie mnie Stalin zgadza się pójść Persom na ustępstwa we wszystkich tych spornych kwestiach; rząd perski, jak się wydaje, jest skłonny mnie wydać. Mój sympatyczny Pers przekazu je mi to z głębokim żalem.

Jednocześnie z pertraktacjami rządowymi trwają niezależne działania GPU. 2 stycznia rozbudzona strażnica zawiadomiła wreszcie Aszchabad o mojej ucieczce. Rozpoczęły się ciągłe telefony z Moskwy - Jagoda przejawiał ogromną aktywność. Stalin rozkazał, by mnie zabić lub za wszelką cenę dostarczyć do Rosji. Do Persji wysłano oddział, który oczekiwał mnie na drodze do Kuczanu, ale się nie doczekał. Z Teheranu do Meszedu przylatuje samolotem rezydent GPU w Persji, Agabekow, który od razu otrzymuje ogromne środki przeznaczone na zorganizowanie zamachu na mnie. Agabekow energicznie bierze się do pracy. Przygotowania prowadzone są różnymi torami i z powodzeniem (Agabekow sam o tym wszystkim opowie w swojej książce, wydanej w 1931 r.). Kiedy wszystko jest już przygotowane, Agabekow dostaje niespodziewanie rozkaz z Moskwy - wstrzymać całą akcję. Nie rozumie dlaczego, przecież wszystko jest już przygotowane. Jest zupełnie zbity z tropu. Nie wie, że Moskwa otrzymała zapewnienie, że zostaną wydany, przekazane kanałem, o którego istnieniu nie ma pojęcia.

Ciekawe są dalsze losy Agabekowa. W 1930 r. zostaje przeniesiony do Turcji jako rezydent GPU na miejsce Blumkina. W tym okresie dręczą go podejrzenia, że jeśli odwołają go teraz do Moskwy, to

tylko po to, by go rozstrzelać. Przeżywa też teraz miłość swego życia; zakochał się w młodziutkiej, niewinnej Angielce, której wyznaje, że jest czekistą i radzieckim szpiegiem. Prerażona Angielka wyjeżdża do Anglii. Agabekow rzuca swój czekistowski posterunek i z fałszywymi dokumentami podąża za nią. Rodzice dziewczyny informują o wszystkim władze i Agabekow musi wyjechać do Francji. Tu staje się oczywiste, że zerwał ze Związkiem Radzieckim. Na żądanie ZSRR zostaje wydany z Francji (jest pretekst - przybył do Francji z fałszywymi dokumentami); schronienie znajduje wreszcie w Belgii. Publikuje książkę *Czeka przy pracy*, która zostaje wydana w języku rosyjskim i francuskim. Jeden z rozdziałów tej książki, jakieś dziesięć-piętnaście stron, to szczegółowa relacja o tym, jak przygotowywał moje zabójstwo. W 1932 r. miałem okazję spotkać go w Paryżu. Miał wygląd i psychikę typowego czekisty.

Mieszkał w Belgii. Naczelnik policji belgijskiej, baron Fergulst, opowiedział mi, czym ujął go Agabekow. Policja belgijska często zwracała się do niego, co zrozumiałe, jako do specjalisty w sprawach radzieckiego szpiegostwa. Pewnego razu w wyniku jakiegoś sprytnie zorganizowanego incydentu belgijska poczta dyplomatyczna trafia na godzinę w radzieckie ręce. Władze belgijskie nie niepokoją się jednak - wszystkie koperty poczty dyplomatycznej wróciły w całości, nietknięte, zszyte i zapieczętowane. A GPU i tak wszystko przeczytało - twierdzi Agabekow. Fergulst mówi, że to niemożliwe. Agabekow proponuje: włóżcie jakiś dokument do koperty, zszyjcie, zapieczętujcie i dajcie mi na pół godziny. Fergulst godzi się na to. Agabekow bierze przygotowany pakiet i odchodzi. Po pół godzinie wraca i wręcza Fergulstowi całą i nienaruszoną kopertę. Dokładnie jednak podaje treść dokumentu.

Na Agabekowa prowadzono autentyczne polowanie. W 1937 r., podczas wojny domowej w Hiszpanii, bolszewikom udało się znaleźć jego słaby punkt (pozostał przecież czekistą, niczym więc nie wzgardzi i chętnie zarobi pieniądze na sprzedaży obrazów zagrabionych przez czerwonych w Hiszpanii - w kościołach i u bogaczy); pod tym też pretekstem czekał, przez podstawione osoby zwabiają go na hiszpańską granicę i pozwalają przeprowadzić dwie korzystne transakcje, na których Agabekow zarobił masę pieniędzy. A wszystko po to, by podczas trzeciej akcji złapać go na granicy w zasadzkę i zabić; jego zwłoki, zawleczone w góry po hiszpańskiej stronie granicy, zostały odnalezione dopiero po kilku miesiącach.

Miły pomocnik naczelnika policji w Meszedzie przychodzi zupełnie roztrzęsiony. Ze stolicy nadszedł rozkaz rządu, by przewieźć mnie do Teheranu, a według towarzyszących temu rozkazowi informacji przejazd ten nie rokuje mi nic dobrego; mój sympatyczny Pers sądzi, że zostanę wydany bolszewikom.

Pora, bym przeszedł do ataku.

Przed rewolucją istniał w Persji Bank Rosyjsko-Perski. Jak mówiono mi w Aszchabadzie, przyszły szach służył wówczas w straży bankowej. Po rewolucji bolszewickiej bank zamarł; jednakże wraz z NEP-em handel z Persją został wznowiony, a wszystkie sprawy handlowe prowadzono poprzez ten bank, który praktycznie zmonopolizował handel z ZSRR. Na czele banku stał niejaki Chosztaria, który z władzami radzieckimi nawiązał bardzo dobre stosunki. Często przyjeżdżał do Moskwy, gdzie przyjmował go dyrektor Banku Państwowego, którym w owym czasie był Piatakow. Podczas jednej ze swych wizyt Chosztaria przedłożył Piatakowowi propozycję: *Czy rząd radziecki chciałby na waszego agenta - oczywiście za duże pieniądze - jednego z najznakomitszych i najbardziej wpływowych ministrów perskiego rządu, a do tego jeszcze osobistego przyjaciela szacha?* Piatakow odrzekł, że propozycja w zasadzie jest interesująca, ale chciałby znać warunki. Chosztaria podał finansowe warunki

współpracy, ale zażądał, by poza Piatakowem i Biurem Politycznym (widać nieźle orientował się w prawdziwym mechanizmie władzy radzieckiej) nikt o tym nie wiedział. *Nawet GPU?* - zapytał Piatakow. *Zwłaszcza GPU. Jest to warunek podstawowy. Jeśli GPU będzie o tym wiedziało, to gdy prędzej czy później jakiś pracownik GPU ucieknie od was, zdradzi sekret, a to będzie kosztowało głowę i mnie i mojego ministra. Piatakow obiecał przedstawić sprawę w Biurze Politycznym.*

W Biurze Politycznym przyjęto żądane warunki - o istnieniu tego agenta rzeczywiście wiedzieli tylko członkowie Biura, Piatakow, przez którego nawiązany był kontakt, i oczywiście ja, jako sekretarz Biura. I tak minister Tejmurtasz, osobisty przyjaciel szacha, stał się agentem Moskwy, Zapłacono mu organizując niezwykle sprytną kombinację (Piatakow referował: Chosztaria, przez podstawioną osobę, kupuje ogromny majątek ziemski; przy tym kupujący rzekomo nie dysponuje dostatecznymi środkami i zaciąga pożyczkę na hipotekę majątku w Banku Rosyjsko-Perskim; potem nie jest w stanie spłacić w terminie ani procentów, ani pożyczki. Bank proponuje Tejmurtaszowi wykupienie tego majątku wyłącznie za cenę hipoteki i na kredyt; nie musi zresztą płacić nawet tej niewielkiej sumy - Chosztaria sprzedaje małą część majątku i tym pokrywa dług. Zdaje się, że istotnie w ten sposób przeprowadzono tę operację). Tejmurtasz stał się bogatym człowiekiem.

Moskwa nie zwracała mu głowy głupstwami. Informował Moskwę tylko o najważniejszych i zasadniczych problemach polityki rządu Persji, Jednakże teraz, gdy wynikła sprawa wydania mnie Moskwie, został widocznie zmobilizowany i wykorzystywał swoje wpływy, by przekonać rząd, iż należy skorzystać z okazji - cena, jaką proponuje za mnie Moskwa, jest dostatecznie wysoka.

Po nadejściu wiadomości, że mam jechać do Teheranu, odczekałem dzień, by dotrzeć do piątku - w Persji dzień ten odpowiada naszej niedzieli; instytucje są zamknięte, wszyscy odpoczywają. Poprosiłem do siebie naczelnika policji; nie ma go w mieście, jest na wsi. Wobec tego - pomocnika naczelnika policji. Przyszedł. Powiedziałem mu, że bezzwłocznie muszę zobaczyć się z gubernatorem Chorasanu. Jego także nie ma w mieście, wyjechał na wieś (o to mi chodziło). Ponieważ sprawa jest bardzo ważna i koniecznie muszę przekazać władzom tajemnicę najwyższej wagi, proszę, by natychmiast mnie przyjął „emiliakszer” (dowódca Chorasńskiego Okręgu Wojskowego). Emiliakszer odpowiedział, że czeka na mnie.

Wiedziałem, że chociaż Pers, jeszcze przed wojną uczył się w rosyjskiej szkole wojskowej i z tego względu był jakby rosyjskim oficerem, mówił też oczywiście dobrze po rosyjsku. Ponadto był blisko związany z szachem.

Powiedziałem emiliakszerowi, że wiem (prawdopodobnie on też), iż rząd wzywa mnie do Teheranu i - jak się wydaje - jest skłonny wydać mnie bolszewikom. Nie sądzę, żeby sam popierał tę decyzję. Emiliakszer odpowiedział, że to sprawa rządu i problem polityczny, on zaś jest wojskowym, zajmuje się sprawami wojska i nie ma z tym nic wspólnego.

Zapytałem go, czy może wyświadczyć mi pewną przysługę. *Zapewne podczas podróży towarzyszyć mi będzie zbrojna eskorta, którą mi pan przydzieli?* Emiliakszer potwierdził - towarzyszyć mi będzie podoficer i czterech żołnierzy. *Czy może pan tak dobrać całą piątkę, by żaden z nich nie umiał czytać?* Emiliakszer uśmiechnął się; w Persji, gdzie 80% ludności to analfabeci, rzecz nie sprawiała najmniejszego kłopotu. Obiecuje mi to. *A teraz przejdźmy do bardzo ważnej sprawy, z powodu której chciałem się z panem zobaczyć, Proszę, by niezwłocznie udał się pan do Teheranu, do szacha, i będąc z nim sam na sam powiedział mu, że minister Tejmurtasz jest radzieckim agentem. - Ależ to*

absolutnie niemożliwe. Tejmurtasz jest najbardziej wpływowym członkiem rządu i osobistym przyjacielem szacha. - Jednak jest to prawda. Tu przytoczyłem mu wszystkie dowody.

Następnego dnia emiliakszer odleciał do Teheranu i zameldował o wszystkim szachowi. Szach przeprowadził śledztwo w celu sprawdzenia mych informacji. Potwierdziły się one w pełni. Tejmurtasza aresztowano i oddano pod sąd wojskowy pod zarzutem zdrady stanu. Sąd skazał go na karę śmierci.

Po kilku dniach wyjechaliśmy z Maksimowem samochodem wraz z podoficerem i czterema żołnierzami. Droga prowadziła na południe. 40 kilometrów za Meszedem rozwidlała się - jej prawa odnoga prowadziła do Teheranu, lewa - na południe, do Duzdabu, na granicy z Indiami. Poleciłem jechać na południe. Podoficer był ogromnie zdziwiony. *Powiedziano mi, że jedziemy do Teheranu. - Powiedziano ci tak, by zmylić bolszewików, ale jedziemy do Duzdabu.* Zdezorientowany podoficer nie wiedział, co robić. Pytam go: *Masz list przewodni?* - *Tak.* Wyjmuje zza pazuchy kopertę. *Patrz adresowany jest do władz w Duzddbie. Czytaj. -Ale ja nie umiem czytać. - To niech przeczyta któryś z żołnierzy. Wszyscy żołnierze to także analfabeci. Biorę więc to na swoją odpowiedzialność - jedziemy do Duzdabu.*

Przez cztery dni nasz dzielny i przeładowany dodge jechał po czymś, co tylko w bardzo niewielkim stopniu przypominało drogę. Jak mówią Persowie: *Bóg zgubił drogę, szofer ją znalazł.* Jechaliśmy ścieżkami, polami, wyschniętymi korytami rzeczulek. W końcu dojechaliśmy jednak do Duzdabu. Żołnierze z karabinami bardzo się przydadli; po drodze jacyś bandyci byli nie od tego, by ograbić podróżnych w samochodzie, ale widok żołnierzy z karabinami od razu ich zniechęcił.

Gubernator Duzdabu otrzymał kopertę, adresowaną zapewne do władz teherańskich (lub wojskowych), i nic z tego nie rozumiał. Poprosiłem, by zwolnił żołnierzy, którzy w niczym tu nie zawinili, bo to ja kazałem konwojentom jechać do Duzdabu. Odpowiedział, że musi zwrócić się po instrukcje do Teheranu, a na razie oddał nam do dyspozycji mały, stojący na uboczu domek. Ponieważ w Persji telegramy, zgodnie z powszechną opinią, szły pocztą wielbłądzą, sądziłem, że korespondencja gubernatora ze stolicą da mi dość czasu na przygotowanie następnego kroku, tzn. przejścia kolejnej granicy - indyjskiej; zrobiłbym to oczywiście nie pytając władz perskich o pozwolenie.

Okazało się jednak, że myliłem się licząc na to, iż mam wiele czasu. Drugiego dnia naszego pobytu w domku, gdy siedząc na przyzbie omawialiśmy sytuację, nagle podjechał samochód, z którego wyskoczyli dwaj uzbrojeni w rewolwery faceci o wyglądzie czekistów. Z rekordową szybkością zrejterowaliśmy do domu. Czekiści, oczywiście, doszli do wniosku, że za chwilę z naszego domu posypią się strzały, równie szybko wskoczyli do samochodu i odjechali. Gdyby wiedzieli, że nie mamy żadnej broni, zapewne potoczyłoby się to zupełnie inaczej.

W każdym razie nie ulegało już wątpliwości, że trzeba się spieszyć. W Duzdabie urzędował angielski wicekonsul, którego podstawowa działalność polegała na skupie i wywożeniu perskich dywanów do Anglii bez opłacania cła. Przy tym cały wywiad i informację organizowali mu prawdopodobnie bolszewicy. Odmówił, gdy próbowałem się z nim spotkać. Później (już w Indiach) okazało się, że bolszewicy Informatorzy donieśli mu, że jesteśmy niemieckimi agentami. Przed sobą mieliśmy długą, niemal nie strzeżoną przez Persów granicę z Beludżystanem. Nie była strzeżona, ponieważ tuż za nią

rociągała się sucha, wypalona słońcem pustynia. Po drugiej jednak stronie pewną ochronę granicy na użytek Anglików pełniło półdzikie plemię beludżyjskie.

Trzeba było znaleźć wyjście jak najszybciej. Na targu w Duzdabie nawiązałem rozmowę z hinduskimi kupcami, starając się dowiedzieć, który z tutejszych Hindusów zajmujących się handlem jest człowiekiem Anglików i cieszy się ich zaufaniem. Wskazano mi jakiegoś człowieka. Zaproponowałem mu, by przeprowadził mnie przez granicę i oddał w ręce pilnującego granicy beludżyjskiego plemienia. Zgodził się i z nastaniem nocy zawiózł mnie do Beludźów.

Z wodzem plemienia szybko się dogadałem. Z kilku wojowników i wielbłądów zorganizował karawanę i wyruszyliśmy w podróż przez pustynię. Wypada tu wspomnieć, że od chwili porzucenia radzieckiego rajy nie mieliśmy grosza przy duszy i dotąd wszystkie nasze podróże odbywały się na koszt Jego Wysokości Szacha, a od teraz - na koszt Jego Łaskawej Wysokości Króla Anglii. Przynajmniej ani ja sam, ani wódz nie mieliśmy co do tego żadnych wątpliwości.

Było tak gorąco, że karawana mogła iść jedynie nocą. Poza tym większą część drogi idzie się piechotą, gdyż od jazdy na wielbłądzie bebechy się człowiekowi wywracają. Na domiar złego mój towarzysz podróży Maksimow pokłócił się z którąś wielbłądzicą, dając jej kopniaka w pysk. Wielbłądzica nic nie powiedziała, ale po drodze starała się zająć miejsce za jego wielbłądem i zachowując dystans dwóch-trzech metrów, by nie mógł jej dosięgnąć nogą, nader celnie w niego popluwała. Jego radzieckie słownictwo nie robiło na niej najmniejszego wrażenia. Była to nasza trzecia podróż: pierwsza – przez góry, na kucykach, druga - przez Persję - samochodem; i ta trzecia - przez pustynię, na wielbłądach. Dziwnym zbiegiem okoliczności każda z nich trwała cztery dni. Rankiem piątego dnia dotarliśmy do linii kolejowej i zwróciłem się do tutejszego angielskiego rezydenta.

Mój angielski pozostawiał wiele do życzenia; co i jak zrozumiał z tej rozmowy rezydent, nie wiem. Natychmiast jednak wysłał do Simli długi telegram; następnego dnia przyjechała po mnie salonka., w której zwykle odbywali podróże służbowe wicekról rządu indyjskiego. Po wielbłądach ten sposób podróżowania wydał się nam niezwykle przyjemny. Zachwycała mnie zwłaszcza wanna, ale i to, że kucharz z szacunkiem dowiadywał się, jakie menu będzie nam odpowiadało⁶.

Zimową stolicą Indii było Delhi. Latem jednak jest tam tak gorąco, że Anglicy wybudowali sobie na zboczach Himalajów, na wysokości 3000 metrów, stolicę letnią - Simlę. Był to twór sztuczny, miasteczko o charakterze wyłącznie administracyjnym; oprócz instytucji rządowych i personelu pomocniczego były tam tylko sklepy. Cudzoziemców, zdaje się, w ogóle nie wpuszczano do Simli.

Anglicy przyjęli mnie dobrze, umieścili nas w niezłym hotelu. Po wszystkich podróżach nasze ubrania prezentowały się nienajlepiej. Anglicy znaleźli eleganckie wyjście z sytuacji. W sztabie wojsk angielskich stacjonujących w Indiach odbywała się właśnie sesja egzaminacyjna z języka rosyjskiego dla oficerów sztabowych. Zostałem zaproszony do grona egzaminatorów i za otrzymane honorarium nie tylko uszyłem sobie i Maksimowowi nowe garnitury, ale miałem jeszcze dość pieniędzy na drobne wydatki.

⁶ Już po napisaniu tej książki dowiedziałem się przypadkiem, że mój udany przejazd do Indii zawdzięczam w mniejszym stopniu własnej inicjatywie, niż temu, że miałem swego anioła stróża, którego istnienia nie podejrzewałem: był to angielski konsul – Screen, który nie bez trudu przekonał hinduską administrację, że umożliwienie mi przyjazdu do Indii jest konieczne.

Do Indii przybyliśmy już w początkach kwietnia. Zaczęła się korespondencja z Londynem. Trwała bardzo długo. Władze lokalne miały świadomość, że stanowią kopalnię wiadomości na temat Rosji Radzieckiej i nie mam najmniejszego zamiaru czynić z nich tajemnicy, przeciwnie, uważam za swój obowiązek dzielić się nimi ze wszystkimi przeciwnikami komunizmu. Nie mając jednak możliwości ich wykorzystania, uznali, że lepiej będzie, jeśli wiadomości te zostaną spożytkowane przez wykwalifikowanych specjalistów z metropolii, dlatego też na razie zostawili mnie w spokoju.

Miałem dużo wolnego czasu. Czułem się tu bezpiecznie i spacerowałem po okolicach Simli. Podczas jednej z takich wycieczek trafiłem na jakąś świątynię hinduską, z której wyskoczyło na mnie stado rozdokazywanych małp. Ku memu zdziwieniu przewodnik stada podszedł do mnie i wyciągnął rękę. Zdumiony taką uprzejmością, wyciągnąłem do niego swoją. Teraz wszystko się wyjaśniło. Odwiedzający świątynię tubylcy przynoszą tym świętym zwierzętom najrozmaitsze łakocie; przewodnik stada sprawdzał w ten sposób, co mu przyniosłem.

Rozmowy na temat mojej dalszej podróży do Europy prowadziłem z szefem Intelligence Service w Indiach, sir Icemongerem. Był on dla mnie kimś zupełnie niezwykłym - gentleman doskonały, człowiek absolutnie przyzwoity. Do jego obowiązków służbowych należał wywiad i kontrwywiad, czyli to samo, czym zajmowało się GPU. Porównując tego gentlemana z hołotą z GPU, nie mogłem nadziwić się różnicy.

W oczekiwaniu na wiadomości z Londynu czytałem i - na ile pozwalał upał - grałem w tenisa.

Sir Icemonger dość mętnie tłumaczył mi, czemu korespondencja z Londynem trwa tak długo. W każdym razie zdawałem sobie sprawę, że rząd przeciąga rozmowy dlatego, iż angielska Labour Party, ogromnie w owym czasie prokomunistyczna, na czele ze swym liderem MacDonalodem ma zamiar wykorzystać mój przypadek, by przysporzyć rządowi kłopotów; chodziło zwłaszcza o rozpętanie dyskusji w Izbie Gmin, której rząd chciał uniknąć. Dlatego też grano na zwłokę w mojej sprawie.

Miałem ogromną ochotę za pośrednictwem prasy wylać kubel zimnej wody na gorący prokomunizm MacDonalda i jego Labour Party. Miałem w ręku dość argumentów. Nie byłem jednak przekonany, czy przekazanie ich sir Icemongerowi przyniesie jakieś efekty, zachowałem więc swą broń na lepsze czasy. Co uważałem za broń?

Do firm, które dały się nabrać na złodziejską politykę ZSRR w sprawie koncesji, należała firma angielska Lena-Goldfields.

Przed rewolucją firma ta była właścicielem świetnych złotodajnych terenów nad Leną. Rewolucja październikowa pozbawiła ją tych terenów. Kopalnie zamknięto, sprzęt się rozpadł - wszystko uległo zniszczeniu. Po wprowadzeniu NEP-u bolszewicy umieścili te tereny na liście koncesji. Firma podjęła rozmowy. Bolszewicy zaoferowali nader korzystne warunki. Firma miała sprowadzić nowy sprzęt - koparki itd., zorganizować wydobywanie. W zamian za to mogła dysponować niemal całym wydobywanym złotem na bardzo dogodnych warunkach, odstępując bolszewikom tylko niewielką część kruszcu po cenach obowiązujących na rynkach światowych. Bolszewicy, co prawda, wprowadzili do umowy punkt, zgodnie z którym wydobywanie powinno przekraczać pewne określone minimum miesięczne; jeśli spadnie ono poniżej tego minimum, umowa zostanie zerwana, a sprzęt przejdzie na własność ZSRR. Władze radzieckie nie miały kłopotów w wytłumaczeniu posiadaczom koncesji, że ich główną troską jest jak największe wydobywanie i że muszą zabezpieczyć się na wypadek, gdyby

koncesjonariusze zechcieli z jakichś sobie wiadomych powodów „zamrozić” kopalnie. Firma uznała to zastrzeżenie za całkowicie logiczne i ochoczo przystała na ten punkt - jej plany nie przewidywały zamrażania kopalni, przeciwnie - zmierzały do możliwie największego wydobycia.

Przywieziono drogie i skomplikowane kompletne wyposażenie, angielscy inżynierowie zorganizowali pracę i kopalnie ruszyły pełną parą. Gdy Moskwa uznała, że nadszedł właściwy moment, kanałami partyjnymi przekazano odpowiednie dyrektywy i oto „ni z tego, ni z owego” robotnicy kopalń „zbuntowali się”. Na zebraniu załogi zażądali, by angielscy kapitaliści zwiększyli im płace, ale nie o 10% czy 20%, tylko dwudziestokrotnie. Było to absolutnie niemożliwe. Żądaniom tym towarzyszyły też inne - równie bezsensowne i nierealne. Ogłoszono strajk całej załogi.

Przedstawiciele firmy pobiegli do radzieckich władz terenowych. Grzecznie wytłumaczono im, że mamy tu władzę robotniczą i że robotnicy mogą robić to, co w swoim interesie uznają za stosowne, w szczególności władze w żadnym wypadku nie mogą wtrącać się do konfliktu robotników z przedsiębiorcami i radzą rozstrzygnąć sprawę drogą polubownego porozumienia, osiągniętego za pomocą pertraktacji ze związkami zawodowymi. Rozmowy ze związkami zawodowymi nie przyniosły, oczywiście, żadnego rezultatu; zgodnie z tajną instrukcją Moskwy związek nie szedł na żadne ustępstwa. Przedstawiciele firmy zwrócili się do władz centralnych. Tam usłyszeli to samo - u nas robotnicy są wolni i mają prawo walczyć o swoje interesy w taki sposób, jaki uznają za stosowny. Strajk trwał, czas uciekał, urobku nie było i Główny Komitet d/s Koncesji zaczął przypominać firmie, iż na mocy wyżej wspomnianego punktu umowa zostanie zerwana i firma straci wszystko, co wwiozła.

Wówczas firma Lena-Goldfields pojęła, że ma do czynienia z ordynarnym oszustwem i że najzwyczajniej w świecie została nabita w butelkę. Odwołała się więc do rządu angielskiego. Problem dyskutowano w Izbie Gmin. Prokomunistyczna Labour Party i jej lider MacDonald byli zachwyceni, że jest wreszcie kraj, w którym robotnicy mogą rzucić chciwych kapitalistów na kolana, a władze występują w obronie robotników. W efekcie debaty rząd angielski wystąpił z notą do rządu radzieckiego.

Notę omawiano w Biurze Politycznym. Odpowiedź zredagowano w podobnie szalbierskim stylu - władze radzieckie nie widzą możliwości ingerowania w konflikt między związkami zawodowymi a przedsiębiorcami, robotnicy w Związku Radzieckim mogą robić, co chcą. Podczas dyskusji głos zabrał Bucharin; czytał w prasie angielskiej doniesienia o debacie w Izbie Gmin i najlepsze jest to, że ci kretyni z Labour Party biorą nasze argumenty za dobra monetę; ten dureń MacDonald wygłosił płomienną filipikę w tym duchu, w pełni usprawiedliwiając nasze poczynania i oskarżając firmę; proponuje wysłać, towarzysza MacDonalda na stanowisko sekretarza gminnego do Kysztymu, a na premiera do Londynu wysłać Miszę Tomskiego. Rozmowa nabiera żartobliwego charakteru i Kamieniew, który przewodniczy posiedzeniu chcąc przywrócić dyskusji powagę, przerywa Bucharinowi mówiąc półżartem: wnioski proszę składać na piśmie. Bucharin, nie tracąc humoru, bierze kartkę papieru i pisze:

Decyzja Sekretariatu KC WKP z dnia...

Mianować tow. MacDonalda sekretarzem komitetu gminnego w Kysztymie, zapewniając mu przejazd na jeden bilet z tow. Urqukartem.

Tow. Tomskiego mianować premierem w Londynie, uposażając go jednocześnie w dwa sztywne kołnierzyki.

Kartka przechodzi z rąk do rąk. Stalin dopisuje: *Popieram. J. Stalin.* Zinowiew nie zgłasza sprzeciwu. Jako ostatni „głosuje” Kamieniew i przekazuje mi kartkę *do zaprotokołowania*. Kartkę tę przechowuję w swych papierach.

Gdyby opublikować to w prasie, byłby to silny cios w tych bezmózgich prokomunistów i w MacDonalda. Trzeba to jednak zrobić mądrze. Na razie nie wiem jak.

Pewnego pięknego dnia w Simli oczekiwałem wraz ze swym przypadkowym partnerem do gry w tenisa na zakończenie toczącej się gry i zwolnienie kortu. Moim rozmówcą jest rudy Irlandczyk. Wie, kim jestem i zadaje pytania na temat Rosji Radzieckiej. Po pięciu minutach rozmowy nabieram przekonania, że jest to człowiek bardzo mądry, bystry, doskonale orientujący się w sprawach Rosji. Pytam innych graczy, kto to taki. Dowiaduję się, że jest to O'Hara - minister spraw wewnętrznych Indii. Oto właściwy człowiek - jego można zapoznać z bucharinowską notatką. Mówię, że mam do niego ważną sprawę. Ustalamy spotkanie na następny dzień.

Po przybyciu do niego pokazuję mu kartkę, tłumaczę treść na angielski i wyjaśniam, o co chodzi. Czy może pan przekazać ją naszemu rządowi? Odpowiadam, że taki właśnie mam zamiar. *A czy mógłby pan sporządzić dla nas notatkę wyjaśniającą, jak się to wszystko odbyło? - Oczywiście, że tak. - Nie wyobraża pan sobie, jaką przysługę oddaje pan Anglii - mówi O'Hara.* Kartka z wyjaśnieniem jedzie do Londynu.

Ani w Indiach, ani później we Francji nie natrafiłem jednak w prasie na najmniejszą wzmiankę na ten temat. Moim zdaniem, angielski rząd torysów powinien wykorzystać okazję i przekazać notatkę do prasy. Byłby to silny cios dla prokomunistów. W prasie nic się jednak nie ukazało.

Później, będąc już we Francji, miałem okazję rozmawiać z pomocnikiem szefa Intelligence Service (opowiem o tym dalej; instytucja ta zwróciła się do mnie z prośbą o dokonanie ekspertyzy fałszywych protokołów Biura Politycznego, sfabrykowanych i przekazanych jej przez GPU). Opowiadam mu o dokumencie, który wręczyłem O'Harze, i mówią, że byłoby szkoda, gdyby zaginął gdzieś w szufladzie biurka. Powiada, że nie słyszał o takim dokumencie, ale gdy przyjedzie do Londynu, zapyta o to swego szefa. Po pewnym czasie, powróciwszy z Londynu, opowiada mi o losie tej notatki.

Dokument, znalazłszy się w Londynie, trafił wprost do premiera. Zamiast przekazać go do prasy premier postąpił znacznie mądrzej. Wezwał do siebie szefa Intelligence Service i powiedział mu *Niech pan będzie tak dobry i poprosi o audiencję u lidera opozycji, pana MacDonalda. W czasie spotkania w cztery oczy proszę mu przekazać do rąk własnych dokument, który otrzymałem. Uważam, że skoro dokument ten dotyczy osobiście pana MacDonalda, powinien być przekazany właśnie jemu.*

Dokument zrobił na MacDonaldzie ogromne wrażenie; Był to człowiek niezbyt wysokiego lotu, ale niezwyklej przyzwoitości. Był twórcą i niepodważalnym przywódcą angielskiej partii socjalistycznej. Miał pełne zaufanie do rosyjskiego bolszewizmu i popierał go na wszelkie sposoby, popierał bezinteresownie i z przekonaniem. Teraz dowiedział się, co Moskwa o nim myśli, dowiedział się tego z dokumentu, którego autentyczność nie ulegała wątpliwości. Bardzo przeżył ten cios, na jakiś czas

zrezygnował z działalności politycznej i wyjechał do rodzinnej Szkocji. Później zaś, kiedy to wszystko przetrwał, stał się równie przekonany antykomunistą i próbował pociągnąć za sobą całą partię.

Tymczasem okazało się, że nie jest to takie proste. Gdy zerwał z rosyjskim komunizmem, opowiedziała się za nim tylko część partii, i to mniejsza. Umożliwiło to jednak stworzenie w Anglii w okresie ciężkiego kryzysu w 1931 r. rządu jedności narodowej - mniejsza część Labour Party z MacDonaldem oraz konserwatyści uzyskali większość w parlamencie; konserwatyści zaproponowali MacDonaladowi, by stanął na czele rządu, tego niezwykłego rządu, który na bazie antykomunizmu stworzyli wspólnie torysi i socjaliści. Należy tu dodać, że swą nieustanną pracą w łonie partii socjalistycznej MacDonald stopniowo doprowadził do tego, że większość tej partii przeszła z pozycji prokomunistycznych na antykomunistyczne.

Mój pobyt w Indiach przedłuża się coraz bardziej. Niespodziewanie jednak okazuje się, że wynika to po prostu z nieporozumienia. Z początkiem sierpnia tracę cierpliwość i zaczynam podejrzewać, że władze angielskie wodzą mnie za nos i nie podają prawdziwej przyczyny zwłoki. O swych wątpliwościach mówię sir Icemongerowi. Widocznie uznaje moje podejrzenia za obraźliwe i aby mi je wyperswadować, pokazuje korespondencję w mojej sprawie między wicekrólem Indii a ministrem d/s Indii. Nie powinien tego robić - korespondencja jest tajna. Tajny jest wynikający z tych listów fakt, że Anglicy podtrzymują na użytek Hindusów mit o tym, iż wicekról to potężna figura o ogromnym autorytecie; w rzeczywistości jest to postać teatralna, podporządkowana ministrowi d/s Indii, który nią komenderuje. Nie to jednak mnie interesuje. W korespondencji cały czas rozważana jest kwestia nieprzyjemności, jakich opozycja może narobić rządowi z mojego powodu. Ale z jakiego konkretnie powodu? Jak się okazuje, powodem tym może być przyznanie mi przez rząd angielski prawa azylu w Anglii. A przecież nigdy nie wyrażałem najmniejszego zamiaru wyjazdu do Anglii i nigdy o to nie prosiłem. *Jak to - dziwi się Icemonger - przecież już w pierwszej rozmowie wyraził pan chęć wyjazdu do Europy. - Oczywiście, do Europy, ale nie do Anglii.* Mówiąc o Europie, nie zdawałem sobie sprawy, że dla Anglika w Indiach wyjazd do Europy oznacza wyjazd do Anglii. I właśnie z tego wynikły wszystkie kłopoty.

Zapewniam Icemongera, że nie mam najmniejszej ochoty jechać do Anglii. *A dokąd? - Chcę do Francji. - Jaka szkoda, że pan od razu tego nie powiedział, od dawna byłby pan już we Francji.*

Naprawdę, jeszcze w Moskwie postanowiłem, że jadę do Francji, w starym, przedrewolucyjnym przewodniku Nienaszewa po Francji wybrałem sobie nawet hotel, w którym zatrzymam się po przyjeździe do Paryża. Nie znając Paryża i sądząc, że w Paryżu - podobnie jak w Moskwie - najciekawsze jest życie w samym centrum (co oczywiście, nie jest prawdą), wybrałem sobie hotel niedaleko Opery i giełdy, hotel Vivien przy ulicy Vivien.

Dalej wydarzenia toczą się już bardzo szybko. Rząd angielski zwraca się z prośbą do rządu francuskiego o przyznanie mi prawa azylu we Francji. Francuzi zgadzają się i konsul francuski w Kalkucie daje mi wizę na pobyt stały we Francji. W połowie sierpnia 1928 r. wraz z moim Maksimowem wsiadam w Bombaju na statek P and O Company i po dwóch tygodniach podróży schodzę na ląd w Marsylii. Pociągiem przyjeżdżam do Paryża i na Dworcu Lyońskim, rozkoszując się chwilą, którą przewidziałem jeszcze w Moskwie, mówię do szofera taksówki: *Hotel Vivien przy ulicy Vivien.*

U Taffe'go jest taki cudowny fragment: *W upalny, czerwcowy dzień 1921 roku ze stacji metra przy Placu Zgody wyszedł osobnik w niezwykle wytartej marynarce i sfatygowanym kapeluszu. Zmrużył oczy od upalnego, czerwcowego słońca, postukał palcami w parapet i rzekł: „Wszystko to bardzo pięknie, ale co robić? Robić co się da?”* Tak rozpoczęła się historia rosyjskiej emigracji.

EMIGRACJA. FINLANDIA. BERLIN

Emigracja. Artykuły i książka. Protokoły Biura Politycznego. Ucieczka Biesiedowskiego. Ponownie Blumkin i Maksimow. Finlandia. Mannerheim. Rosyjska Armia Narodowa. Berlin, Rosenberg i Leibbrandt. Ostatnia rozmowa z Leibbrandtem.

Co robić? Ja nie miałem z tym żadnego problemu. Przecież cały system radziecki zbudowany jest na kłamstwie. Należało opowiedzieć o nim prawdę, opisać to, co Moskwa starannie ukrywała, zwłaszcza mechanizmy władzy i wydarzenia, których byłem świadkiem. Przede wszystkim należało to opublikować w prasie emigracyjnej.

W owym czasie (lata 1928-1929) wychodziły w Paryżu dwa emigracyjne dzienniki: *Odrodzenie* i *Ostatnie Wiadomości*. Obydwa były antybolszewickie, ale różniły się bardzo linią polityczną. *Odrodzenie* było gazetą pravicową i nieubłagane wrogą komunizmowi. *Ostatnie wiadomości* były gazetą lewicową. Redagował ją były minister spraw zagranicznych rewolucyjnego Rządu Tymczasowego, Milukow - filar rosyjskiej inteligencji, człowiek pozbawiony jakichkolwiek talentów politycznych. W każdym numerze dziennik zapewniał czytelników, że Związek Radziecki ewoluje ku normalnemu ustrojowi, że bolszewicy w Istocie rzeczy nie są już bolszewikami, że komunizm, jeśli jeszcze nie całkiem przeminął, to szybko przemija, itd. Wszystko to było absolutnie nieprawdziwe i skrajnie głupie. Z takim dziennikiem nie mogłem współpracować. Zamieściłem cykl artykułów w *Odrodzeniu*. Później napisałem książkę po francusku. Wydanie jej czy choćby opublikowanie krótkich artykułów w prasie francuskiej okazało się rzeczą nie tak prostą. Francuska lewica wspierała *przodujące doświadczenia socjalizmu* w Związku Radzieckim i starannie przemilczała to wszystko, co pisałem. Ponieważ wydarzenia, których byłem świadkiem, opisywałem ze skrupulatną dokładnością, Moskwa, wiedząc, że nie jest w stanie niczemu zaprzeczyć, przyjęła taktykę przemilczania. Ani *Prawda*, ani *L'Humanite*, ani żadna inna komunistyczna gazeta nigdy nie wymieniały mego nazwiska. Pewnego razu Romain Rolland nieopatrznie spróbował polemizować z jednym z moich artykułów; rząd komunistyczny dał mu niezłą reprimendę za to, że w ogóle o mnie wspomniał.

Wydawcy książki także nie można było znaleźć. Wydano ją dopiero w 1930 r., i to z poważnymi skrótami. Mało komu odpowiadało to, co pisałem. Lewica nie życzyła sobie w owym czasie żadnych napaści na „przodujący kraj socjalistyczny”, prawica ze zdumiewającą krótkowzrocznością i brakiem zrozumienia zachodzących w świecie zdarzeń uznała za pozytywny fakt, że dzięki bolszewizmowi i związanej z nim anarchii Rosja wypadła z grona wielkich mocarstw. Moja przepowiednia, że komunizm ma przed sobą ogromną przyszłość, że świat zaczyna ogarniać powszechna wojna domowa i że komunizm stanowi dziś największe zagrożenie dla ludzkości, uznana została za nieuzasadnioną przesadę rosyjskiego emigranta (a poza tym jakiś młody Rosjanin nie będzie tu liczyć starych i doświadczonych speców od polityki).

Ja również nie byłem z książki zadowolony. Nie tylko z powodu skrótów (z tekstu usunięto wszystkie wnioski, zostawiając wyłącznie relację naocznego świadka), ale także z powodów czysto osobistych.

Musiałem dotrzymać obietnicy danej przyjaciółom w Moskwie i napisać, że antykomunistą byłem już przed rozpoczęciem pracy w KC. Jawiłem się więc czytelnikom jako ktoś w rodzaju Jamesa Bonda,

który dzielnie i sprytnie przeniknął do twierdzy wroga; w rzeczywistości było zupełnie inaczej, ale ani o sobie, ani o mej prawdziwej przemianie wewnętrznej pisać nie mogłem. Dlatego też w końcu straciłem serce do tej książki. Poza tym o wielu sprawach w ogóle nie mogłem mówić - gdybym wspomniał nazwiska lub na nie się powołał, ludzie, którzy pozostali w Rosji, byłiby narażeni na ogromne ryzyko.

Dziś, kiedy upłynęło już wiele czasu, a i czasy się zmieniły, mogę mówić o tym, czego byłem świadkiem i jak to wyglądało naprawdę.

Po jakimś czasie od mego przybycia do Francji przedstawiciele angielskiego Intelligence Service zwrócili się do mnie z prośbą o dokonanie ekspertyzy. Rezydent GPU w Rydze, Hajduk (oczywiście pseudonim, a nie prawdziwe nazwisko) sprzedawał władzom angielskim protokoły Biura Politycznego; Anglicy płacili za nie słono, uważając je za prawdziwe. Hajduk, oczywiście, nigdy w życiu nie widział autentycznego protokołu z posiedzenia Biura Politycznego, fabrykował więc je sam, wedle własnego widzimisię. Anglicy mieli jednak jeszcze mniejsze pojęcie o wyglądzie oryginałów. Napisałem ich w swoim życiu tyle, że bez najmniejszego trudu mogłem stwierdzić, że Anglikom sprzedawane są falsyfikaty. Anglicy przestali je kupować.

W owym czasie mieszkałem w Paryżu, w hotelu. Pewnego dnia ktoś zastukał do drzwi. Proszę wejść. Wszedł osobnik wyraźnie wyglądający na czekistę i spokojnie przedstawił się: *Jestem Hajduk, rezydent GPU w Rydze. Przyszedłem do pana w następującej sprawie. Anglicy kupują za moim pośrednictwem protokoły Biura Politycznego. Pan oczywiście, wie lepiej niż ktokolwiek inny, czy są one autentyczne. Zdaję sobie sprawę, że od pańskiego werdyktu będzie zależeć, czy będą kupować je nadal. Nie będę przed panem ukrywał, że bardzo dobrze na nich zarabiam. Jeśli pański werdykt nie będzie negatywny, proponuję panu połowę wynagrodzenia za te protokoły.* Odpowiadam mu: *Dziwię się, że przed przyjściem nie zasięgnął pan w swojej instytucji informacji na mój temat. Powiedziano by panu, że się nie sprzedają, i zrezygnowałby pan z tej bezcelowej wizyty.* - *Widzi pan, panie Bażanow - powiada Hajduk - jest pan emigrantem bardzo świeżej daty. Dziś drukuje pan artykuły, które mają powodzenie, i wszystko idzie gładko. Proszę zawierzyć memu doświadczeniu - za rok wszystko to się skończy i z trudem będzie pan zarabiał na gorzki, emigrancki chleb. Przyjmując moją propozycję, zarobi pan przez pół roku tyle pieniędzy, że wystarczy panu na całe życie.* - *Czy widział pan, panie Hajduk, ostatnią sztukę Marcela Pagnola „Topaz”?* Nie, pana Hajduka sztuki nie interesują. *Otóż właśnie w tej sztuce jest scena, kiedy to szlachetnie wyglądający staruszek przychodzi do radnego miejskiego, aby go szantażować; w wyniku rozmowy radny prosi go, by wyszedł, tylko żeby nie odwracał się plecami, bo chęć kopnięcia go poniżej pleców będzie zbyt przemożna. O to samo i ja pana proszę - niech pan wyjdzie tyłem, ponieważ inaczej nie powstrzymam się i pomogę panu nogą.* Na Hajduku nie zrobiło, wrażenia. *Proszę, jeśli to panu robi przyjemność. Przy drzwiach zatrzymał się jednak i dodał: Jeszcze pan pożałuje, że nie przyjął pan mojej propozycji.*

Pomylił się. Do pieniędzy nie przywiązuję żadnej wagi i nie cenię tego, co można za nie kupić. Emigrancka bieda nigdy mnie nie zawstydzała. Przeciwnie, niezwykle cenię sobie to, czego za pieniądze kupić nie sposób: przyjaźń, miłość, wierność danemu słowu.

Po pewnym czasie od mego przyjazdu do Paryża, który przeszedł cicho i niezauważalnie, miała miejsce głośna afery związana z ucieczką Biesiedowskiego z ambasady rosyjskiej w Paryżu. Ambasador ZSRR we Francji, Dowgalewski, był z powodu choroby na bardzo długim urlopie; zastępował go na tym stanowisku radca ambasady, Biesiedowski. Pewnego pięknego dnia, ratując się

przed aresztowaniem na terenie ambasady, uciekł, przeskakując przez ogrodzenie. Przez cały miesiąc prasa z zachwytem napawała się tym niesłychanym wydarzeniem - ambasador ratuje się ucieczką z własnej ambasady, skacząc przez mur. Tylko nikt nie znał prawdziwej przyczyny tej ucieczki - Biesiedowskiemu niezręcznie było o tym opowiadać, a znające prawdę władze angielskie wołały sprawę przemilczeć.

Przy ambasadach ZSRR w Anglii i Francji kręcił się dużej klasy awanturnik - Bogowut-Kołomyjec, który załatwiał dla ZSRR rozmaite sprawy handlowe, bankowe i inne. Działał z ogromnym rozmachem. W owym czasie narastał kryzys światowy, przybierając postać katastrofy ekonomicznej. Bogowutowi wpadł do głowy pomysł - zaproponować rządowi angielskiemu, by udzielił ZSRR ogromnej pożyczki. ZSRR rozpoczynało wówczas realizację swych pięcioletnich planów industrializacji, ale utrudniał ją brak środków na zakup niezbędnego sprzętu z zagranicy. Bogowut chciał, by Anglicy przez szereg lat dawali ZSRR niezbędne dla rozbudowy przemysłu maszyny i materiały w formie długoterminowego kredytu; angielski przemysł ciężki otrzymałby w ten sposób zamówienia i mógłby wyjść z kryzysu; ZSRR ze swej strony zobowiązałoby się do zaniechania rewolucyjnej działalności w koloniach, zwłaszcza w Indiach. Bogowut nie miał najmniejszych skłonności do filantropii - sprawę pożyczki chciał zorganizować tak, by wszystko odbywało się za jego pośrednictwem, za co miałby otrzymać jeden procent prowizji. Uwzględniając ogromną wysokość kredytu, można powiedzieć, że transakcja ta uczyniłaby zeń milionera. Sam nie mógł jednak przeprowadzić takiej operacji, namówił więc Biesiedowskiego, by wziął w niej udział.

Scenariusz miał wyglądać następująco. Bogowut, który wszędzie miał swoje chody, daje znać władzom angielskim, że Moskwie zależałoby na uzyskaniu takiego kredytu, ale nie chce ryzykować nieudanych pertraktacji i zleca ich przeprowadzenie i zawarcie umowy z rządem angielskim swemu ambasadorowi, i to nie w Anglii, lecz we Francji - Biesiedowskiemu, wszystko pod warunkiem zachowania pełnej tajemnicy. Dopiero później rzecz cała zostanie uznana za oficjalną i ogłoszona publicznie.

Rząd angielski bardzo się zainteresował tym projektem i wysłał do Paryża na tajne pertraktacje z Biesiedowskim całą delegację, w skład której wchodziło dwóch ministrów, w tym sir Samuel Hoare. Delegacja omówiła z Biesiedowskim wszystkie kwestie związane z pożyczką. Biesiedowski uprzedził, że zgodnie z instrukcjami Moskwy, aż do chwili ostatecznego podpisania umowy wszystko powinno być zachowane w całkowitej tajemnicy; Moskwa, jeśli nawet Londyn zwróci się do niej, odpowie, że nie składała żadnych propozycji i zerwie pertraktacje. Delegacja powróciła do Londynu w nastroju podniosłym i optymistycznym. Lecz Samuel Hoare zajął stanowisko zdecydowanie negatywne - wszystko to jest bluff, nie kryje się za tym nic poważnego. *Sam jestem Żydem* - mówił Hoare - *i doskonale znam swych współwyznawców; osobnik przedstawiony nam jako Biesiedowski jest niepoważny; nie należy wierzyć ani jednemu jego słowu. Proponuję zwrócić się do Moskwy, żeby sprawdzić to wszystko na drodze oficjalnej.*

Rada Ministrów zgodziła się z jego stanowiskiem; ambasador angielski w Moskwie otrzymał polecenie, by zwrócił się do Cziczerina z prośbą o potwierdzenie. Cziczerin oczywiście odpowiedział, że nic nie wie ani o pertraktacjach, ani o pożyczce, i że spyta o to najwyższe instancje (czyli Biuro Polityczne). Na posiedzeniu Biura Politycznego wystąpił z gorzkimi pretensjami - stawiacie mnie w idiotycznej sytuacji; prowadzicie pertraktacje z rządem angielskim, a mnie jako ministra spraw zagranicznych nie raczycie nawet o tym poinformować. Biuro Polityczne uspokoiło go - nikomu nic

nie wiadomo o żadnych pertraktacjach. Stało się oczywiste, że Biesiedowski prowadzi jakąś awanturniczą kombinację. Ciczerin wezwał go do Moskwy, Ponieważ Anglicy nie dawali więcej znaku życia, Biesiedowski zorientował się, że sprawę diabli wzięli i pod pretekstem choroby odmówił powrotu do Moskwy. Po pewnym czasie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, specjalnie po to, by pojmać Biesiedowskiego, zwołało fikcyjne spotkanie radzieckich ambasadorów z krajów Europy Zachodniej. Ten znów odmówił przyjazdu. Wówczas Biuro Polityczne straciło cierpliwość i zleciło członkowi CKK Rojzenmanowi, by ten dostarczył do Moskwy Biesiedowskiego, żywego czy umarłego. Rojzenman otrzymał odpowiednie uprawnienia. Po przyjeździe do Paryża poszedł do ambasady, okazał swój mandat czekistom, którzy w roli portierów stali przy wejściu, i oświadczył: *Od tej chwili ja tu jestem, gospodarzem i macie wykonywać wyłącznie moje polecenia. W szczególności nikt nie ma prawa bez mego zezwolenia wychodzić z ambasady.* – *Nawet towarzysz ambasador?* - zapytali czekięści. - *Zwłaszcza towarzysz ambasador.* Następnie Rojzenman, poinformowawszy o wszystkim pierwszego sekretarza placówki, zajął gabinet ambasadora i wezwał do siebie Biesiedowskiego. Nawrzeszczał na niego i oznajmił, że natychmiast zostanie wywieziony do Moskwy, jeśli będzie trzeba - to siłą. Zdając sobie sprawę, że sytuacja jest kiepska, Biesiedowski rzucił się do wyjścia. Czekięści zagrodzili drzwi i zagrozili, że jeśli spróbuje je sforsować, będą strzelać. Biesiedowski cofnął się, ale przypomniał sobie, że widział w ogrodzie, przy murze otaczającym ambasadę, małą drabinę, pozostawioną przez ogrodnika. Wdrapał się po niej na mur i zeskoczył na drugą stronę.

Zaraz potem zgłosił się w dzielnicowym komisariacie policji i zażądał, by policja uwolniła jego żonę i syna, którzy zostali w ambasadzie. Komisarz połączył się z Ministerstwem Spraw Zagranicznych. Sekretarz generalny ministerstwa odpowiedział, że ambasada jest wprawdzie obszarem eksterytorialnym, lecz na prośbę ambasadora policja ma obowiązek zareagować i może tam wkroczyć. Żona i syn zostali uwolnieni. Biesiedowski poprosił o azyl, a policja dobrze go ukryła. Po kilku dniach listonosz przyniósł pod wydawałoby się nikomu nie znany adres wezwanie - Biesiedowskiego wzywa się do Moskwy, gdzie stanie przed sądem oskarżony o zdradę; chciano mu po prostu pokazać, że przed GPU nie można się ukryć i że zna ono jego kryjówkę.

W sprawie Biesiedowskiego prasa podniosła wielki szum, GPU wstrzymało się więc od dokonania na niego zamachu; starało się jednak sprawić mu jak najwięcej kłopotów.

Od jego ucieczki z ambasady do czasu wybuchu wojny widywałem się niekiedy z Biesiedowskim, głównie w sprawach naszego wspólnego bezpieczeństwa - obaj byliśmy wówczas zagrożeni ze strony GPU; wymienialiśmy informacje na temat różnych niebezpieczeństw, które mogły nam grozić. Biesiedowski zajmował się dziennikarstwem, nie fabrykował w owym czasie falsyfikatów, ale to, co pisał zawierało wiele łatwizny i zmyśleń. W czasie spotkań wypytywał mnie o Stalina, jego sekretariat, członków Biura Politycznego i aparat KC. Nigdy nie robiłem tajemnicy z tego, co wiedziałem, i opowiadałem mu o wszystkim. Po wojnie wykorzystał wszystkie te dane, rozmyślnie je zniekształcając.

Spotykałem go rzadko także po wojnie. W owym czasie dałem już sobie spokój z polityką i pisaniem i zajmowałem się techniką. Biesiedowski mówił, że zajmuje się dziennikarstwem. Pojawiło się wówczas wiele falsyfikatów. *Notatki kapitana Kryłowa, Mówią do was radzieccy marszałkowie, Pamiętniki generała Własowa* - wszystko to pisali jacyś kryłowowie, kalinowowie, którzy w rzeczywistości nigdy nie istnieli. Nie interesowała mnie ta trzeciorzędna i podejrzana literatura, nie czytałem jej i nie wiedziałem, kto ją preparuje. Ale w 1950 r. pojawiła się książka *Prawdziwy Stalin*,

Autora nie znałem, ale gdy dowiedziałem się, że współpracował z Biesiedowskim, zainteresowałem się książką i przeczytałem ją. Pełna była kłamstw i zmyśleń. Od razu zrozumiałem, że to twórczość Biesiedowekiego. Były w niej także te informacje na temat Stalina i góry partyjnej, o które wciąż mnie wypytywał, ale zniekształcone i mocno ubarwione fantazją; były to po prostu kpiny z czytelników. A do tego wszystkiego autor wielokrotnie stwierdzał, że ten czy inny szczegół (zwykle wymyślony) zna z relacji byłego członka sekretariatu Stalina. Rzucało to na mnie cień - za granicą nie było innego sekretarza Stalina. Specjaliści od spraw radzieckich na podstawie tej lektury mogli pomyśleć, że to ja dostarczyłem Biesiedowskiemu materiałów, które wykorzystał w książce.

Zażądałem od Biesiedowskiego wyjaśnień. Nie przeczył, że to on jest autorem i zgodził się ze mną, że jest to kpina z czytelników. Gdy zagroziłem, że zdemaskuję w prasie jego wymysły-, odpowiedział, iż książkę firmuje zmyślonym nazwiskiem i że on sam formalnie nie ma z tym nic wspólnego; atakując go narażam się na ryzyko pozwania przed sąd za pomówienia.

Powiedziałem mu, żeby nie pokazywał mi się więcej na oczy; nigdy więcej go już nie widziałem.

Okolo 1930 r. nastąpiły w GPU duże zmiany personalne. Między innymi, miejsce kierownika Wydziału Zagranicznego Trylissera zajął Messing. W związku z tym poważnie zmienił się też skład personalny i charakter pracy zagranicznej rezydentury GPU. Trylisser był fanatycznym komunistą, swych rezydentów dobierał również spośród fanatycznych komunistów. Była to kadra bardzo niebezpieczna, która nie cofała się przed niczym. Takie wyczyny, jak wysadzenie w powietrze cerkwi w Sofii (w momencie gdy był tam bułgarski car i cały rząd) czy porwanie generała Kutiepowa w Paryżu, należały do ich normalnej praktyki. Okolo 1930 r. kadra ta została rozpuńczona; wielu z nich sympatyzowało z Trockim i z opozycją, nie miano do nich zaufania. Wraz z Messingiem przyszli nowi ludzie, spokojni urzędnicy, którzy oczywiście starali się dobrze pracować, ale przeważnie tylko udawali, że się bardzo starają, nie mieli bowiem ochoty narażać się na jakiegokolwiek ryzyko; jeśli jakieś przedsięwzięcie wiązało się z ryzykiem, zawsze pojawiały się obiektywne przyczyny, dla których sprawa się nie udawała. O ile w 1929 r. próbowano jeszcze dokonać na mnie we Francji zamachu (pozorując wypadek samochodowy), to rok 1930 kończy najniebezpieczniejszą fazę mego życia. Co prawda, pod koniec 1929 r. Blumkin, mianowany rezydentem GPU w Turcji, przyjeżdża do Paryża, żeby zorganizować zamach na mnie. Polecając tę sprawę właśnie jemu, GPU wychodziło z założenia, że po pierwsze, znał mnie osobiście, a po drugie, jego cioteczny brat. Maksimow, którego przywiozłem ze sobą do Paryża, pozostaje ze mną w kontakcie. Po przyjeździe Blumkin odnalazł Maksimowa. Maksimow, znalazłszy się we Francji, musiał podjąć pracę jak wszyscy inni i przez ponad rok zachowywał się przyzwoicie. Blumkin przekonał go, że GPU dawno już o nim zapomniało, ale chce i musi wiedzieć, czy Bażanow pozostawił w Moskwie jakąś organizację i z kim jest tam związany; jeśli Maksimow powróci do pracy w GPU, będzie szpiegował Bażanowa i pomoże wykryć jego kontakty, a gdy będzie trzeba, zorganizuje na niego zamach, to wszystko zostanie mu wybaczone i jego sprawy finansowe ułożą się zupełnie inaczej. Maksimow zgodził się i znów zaczął pisać na mnie donosy. Próbę dokonania na mnie zamachu zorganizował (po roku) w taki sposób, by niczym nie ryzykować; nic z tego nie wyszło, ale stało się oczywiste, że znów pracuje dla GPU. Wówczas niezwłocznie zniknął z mego otoczenia. Latem 1935 r. w Trouville kupiłem rosyjską gazetę i dowiedziałem się z niej, że rosyjski uciekinier Arkadiusz Maksimow wypadł czy też może wyskoczył z pierwszego tarasu wieży Eiffela. Gazeta wyrażała przypuszczenie, że popełnił samobójstwo. Może rzeczywiście tak było, pozostały we mnie jednak pewne wątpliwości.

Kiedy Blumkin wrócił z Paryża do Moskwy i zameldował, że zorganizowany na mnie zamach udał się (w rzeczywistości czekał, jak się zdaje, zamiast mnie wyrzucili z pędzącego pociągu przez pomyłkę kogoś innego), Stalin rozpuścił szeroko wieść, że zostałem zlikwidowany. Uczynił tak ze względów pedagogicznych; miała to być nauka dla innych, że ucieczka niczego nie załatwia - nigdy nie zapominamy, ręce mamy długie i prędzej czy później osiągniemy uciekiniera.

Z Moskwy Blumkin pojechał do Turcji. Minęła mu już nienawiść do Trockiego, wszedł więc w kontakt z trockistowską opozycją i zgodził się dostarczyć Trockiemu (który w owym czasie mieszkał w Turcji, na Wyspach Książęcych) jakieś tajne materiały. Jego współpracownica Liza zdradziła jego plany GPU. Wezwano go do Moskwy, rzekomo w sprawach służbowych, aresztowano i rozstrzelano.

Kolejnego zamachu na mnie próbowano dokonać dopiero w 1937 r. Jakiś Hiszpan, zapewne anarchista lub komunista, usiłował pchnąć mnie nożem, gdy po powrocie do domu odstawiałem samochód do garażu. Jakiemu zwyrodnieniu uległa działalność GPU - agent tej instytucji nie narażał się na żadne ryzyko; przekonano zapewne jakiegoś nieszczęsnego hiszpańskiego anarchistę, że jestem agentem Franco czy kimś w tym rodzaju.

W tym czasie właśnie w taki sposób GPU wyrównywało w Paryżu swe stare porachunki. Ale bywały też przypadki bardziej złożone, jak np. zamordowanie w Lasku Bulońskim byłego radzieckiego współpracownika, Nawaszyna, który odmówił powrotu do kraju.

W czasie trwania hiszpańskiej wojny domowej żerowała na niej cała zgraja „lewicowych” łajdaków. Czerwoni okradali w Hiszpanii kościoły, klasztory, burżujów i wywozili łupy „do realizacji” we Francji. Pomagało im wielu podejrzanych „lewicowców” i w kieszeniach pośredników pozostawała większa część zysków. Za resztę hiszpańscy czerwoni starali się kupować towary pierwszej potrzeby, których w Hiszpanii brakowało. Banda kombinatorów na czele z Nawaszynem wykoncypowała taką oto machinację. Za niewielką część pieniędzy, które dostawali od czerwonych, kupowali konserwy i inne towary nie nadające się do spożycia, a więc za bezcen. Ładowano je na statek i wysyłano do czerwonych. Jednocześnie banda zawiadamiała frankistowskiego agenta w Paryżu, podając mu nazwę statku i jego kurs. Marynarkę wojenną miał tylko Franco, czerwoni jej nie mieli. Kanonierka białych bez trudu zatapiała więc statek. Nie pozostawało zatem nic innego jak bezradnie rozłożyć ręce i szykować nowy statek, zagarniając przy tym ogromne pieniądze. Pewnego razu kapitanowi coś jednak nie wyszło (zdaje się, że zepsuły się przyrządy nawigacyjne) i statek popłynął innym niż zakładano kursem. Kanonierka nie zdołała go odnaleźć i bez przeszkód doplynęła do portu czerwonych. Towary wyładowano i wszystko się wydało. Nawaszyn zginął zasztyletowany.

W 1939 roku rozpoczęła się druga wojna światowa. Na samym jej początku zdarzyła mi się zabawna historia. Przez kilka lat prowadziłem bardzo dokładną kartotekę spraw dotyczących Rosji Radzieckiej. Była dla mnie ogromną pomocą w pracy dziennikarskiej, ale jej prowadzenie wymagało systematycznego przeglądania radzieckiej prasy i zajmowało wiele czasu. Dlatego też postanowiłem ją sprzedać i zupełnie nieoczekiwanie dostałem za nią dużą sumę. Latem 1939 r. wyjechałem na urlop do Ostendy, a ponieważ wojna wisiała w powietrzu wszystkie pieniądze zabrałem ze sobą. W Ostendzie przez kilka dni z rzędu padał deszcz, postanowiłem więc pojechać na francuską Riwierę, gdzie latem zawsze jest piękna pogoda. Aby nie wozić pieniędzy z hotelu do hotelu, zostawiłem je w bankowym sejfie w Ostendzie. Na Riwierze cieszyłem się słońcem i morzem i nawet nie czytałem gazet. Pewnego dnia, idąc się kąpać, zobaczyłem porozklejane na murach plakaty z dwiema chorągiewkami - mobilizacja, a więc wojna. Belgijska granica natychmiast została z obydwu stron

zamknięta, a moja stała wiza belgijska, podobnie jak wszelkie inne wize, została anulowana. Po kilku dniach zorientowałem się, że obecna sytuacja zapowiada się na długo. A ja wszystkie pieniądze mam w Belgii, w sejfie, i nie mogę się tam dostać.

Trzeba było iść przebojem. Wsiadłem w samochód i pojechałem w kierunku granicy belgijskiej. Na drogach Francji było jak na pustyni, mogłem jechać z maksymalną szybkością. Wszystkie samochody pochowano, ponieważ wojsko rekwirowało samochody na szosach. Zabierano, co prawda, tylko samochody określonych marek i gabarytów, ale ludność, nie znająca tych wojskowych sekretów, na wszelki wypadek wołała nie pokazywać swych samochodów. Dojechawszy do granicy, zobaczyłem budynek francuskiego urzędu celnego, koło którego opalało się na słońcu kilku oficerów żandarmerii polowej. Skierowałem się ku najstarszemu rangą, kapitanowi, wytłumaczyłem mu, że zostawiłem w Belgii swoje wszystkie pieniądze i chcę po nie pojechać. Oficerowie roześmieli się: *Czy pan spadł z księżycy? Nie wie pan, że jest wojna i że granice są zamknięte? A do tego jeszcze - chce pan jechać swoim samochodem. Nie słyszał pan, że żaden samochód nie może wyjechać z Francji bez specjalnego zezwolenia komendanta okręgu wojskowego?* Przeczekałem wszystkie te docinki i rzekłem: *„Panie kapitanie, zwracam się do pana jak do oficera - daję panu słowo honoru, że w ciągu dwudziestu czterech godzin będę z powrotem.* Trafiłem w słaby punkt - oficerowie żandarmerii wojskowej zawsze w skrytości ducha boleli, że oficerowie armii czynnej w swym kodeksie honorowym nie stawiają ich na równi ze sobą. Mój kapitan odparł: *Ale Belgowie i tak pana nie przepuszczą. - Belgów biorę na siebie. Poddaj się: Niech pan próbuje.*

Posterunek belgijski był pół kilometra dalej. Stąd zatelefonowano do naczelnika policji belgijskiej, który znał mnie osobiście, i wjechałem do Belgii. Na ulicach Brukseli budziłem ogromne zainteresowanie - mój samochód był zapewne jedynym autem z paryskim numerem; przechodnie brali mnie za kogoś, kto przyjechał z Francji w ważnej misji. Pojechałem do Ostendy, wziąłem pieniądze i następnego dnia wróciłem do Francji. Gdy podjeżdżałem do francuskiego posterunku granicznego, zobaczyłem z daleka, jak mój kapitan zerwał się i uroczyście wskazał na mnie palcem: *Oto i on!* Bez trudu domyśliłem się, co się działo. Na pewno przez całą dobę inni oficerowie natrząsali się z niego: nie ulega wątpliwości, że był to jakiś zamaskowany szpieg niemiecki, który ratował się ucieczką, a że nie miał nic do stracenia, zagrał *va banque*, by przedostać się przez placówkę graniczną żandarmerii; i za pomocą pięknych słówek ten plan się powiódł.

Kapitan ścisnął mi rękę i niemal dziękował za powrót.

Przez wszystkie lata poprzedzające wybuch wojny robiłem wszystko, co było w mojej mocy, by walczyć z komunizmem. Nigdy jednak nie zajmowałem się drobiazgami i głupstwami, dlatego też nie brałem udziału w hałaśliwym i mało efektywnym życiu politycznym emigracji. Każda emigracja zawsze tworzy mnóstwo maleńkich murzyńskich państweczek, które ze sobą konkurują i wzajemnie się zwalczają. Trzymałem się z daleka od tego wszystkiego. To, że postępowałem słusznie, okazało się, gdy ZSRR napadł na Finlandię. Byłem jedynym człowiekiem, który postanowił działać z powodu tej wojny, a główne organizacje emigracyjne zgodnie mnie poparły i wzięły udział w mej akcji. Wysłały list do marszałka Mannerheima, w którym prosiły o okazanie mi pełnego zaufania i obiecały, że udzielą mi wszelkiej możliwej pomocy. List podpisały zarówno Związek Wojskowy, jak i redakcja gazety *Odrodzenie*, a nawet Najwyższa Rada Monarchii (choć z monarchizmem nigdy nie miałem nic wspólnego). Mannerheim zaproponował mi przyjazd do Finlandii.

Wychodziłem z założenia, że podporządkowana bolszewikom ludność marzy o uwolnieniu się spod komunizmu. Chciałem utworzyć Rosyjską Armię Narodową spośród wziętych do niewoli żołnierzy Armii Czerwonej (tylko ochotników), i to nawet nie po to, by walczyć po stronie Finlandii, lecz by dać możliwość żołnierzom radzieckim przejścia na naszą stronę, by ruszyli wyzwalać Rosję spod panowania komunizmu. Gdyby moja opinia o nastrojach ludności okazała się słuszna (a mogłem tak sądzić po koszmarze kolektywizacji i jeżowszczyzny), zamierzałem zorganizować marsz na Moskwę - ruszyć z tysiącem ludzi, a mobilizując wszystkie siły po tamtej stronie, dojść do Moskwy już z pięćdziesięcioma dywizjami.

Francuska opinia publiczna była w owym czasie całkowicie po stronie maleńkiej, bohaterskiej Finlandii. Władze francuskie przyklasnęły mojej inicjatywie i pomogły w szybkim załatwieniu formalności; kierownik Wydziału Politycznego Ministerstwa Spraw Zagranicznych woził mnie do Ministerstwa Wojny, by szybko wyrobiono mi wszystkie niezbędne dokumenty, a jeden z generałów w tym ministerstwie życzył mi powodzenia.

Do Finlandii wyjechałem na początku lutego. Przez Belgię, Holandię i Danię bez żadnych kłopotów samolotem dotarłem do Sztokholmu. Ze Sztokholmu do Finlandii trzeba było lecieć starym, wysłużonym samolotem cywilnym nad Zatoką Botnicką. Przed odlotem długo siedzieliśmy w samolocie i czekaliśmy. Finowie nie mieli lotnictwa wojskowego, Rosjanie mieli, i to silne. Nieustannie i bezkarnie bombardowało ono Finlandię. Nad zatoką latały radzieckie patrole. Trzeba było czekać, aż patrol przeleci i oddali się na dostateczną odległość. Wówczas samolot poderwał się i pomknął, wykorzystując pełną moc swych silników. Mieliśmy nadzieję, że radziecki patrol nie zawróci, wtedy bowiem nic by nas nie mogło uratować.

Mieliśmy jednak szczęście i dolecieliśmy do fińskiego brzegu. Tuż przedtem, wyglądając przez okno zobaczyłem, że spod skrzydła wydostają się języki ognia. Nie wiedziałem, co o tym myśleć, zwróciłem się więc do człowieka siedzącego przede mną (poznaliśmy się później - był to fiński minister gospodarki, Enkel, który odwiedzał właśnie kraje Europy Zachodniej w sprawach dostaw dla Finlandii), Gestem dał mi do zrozumienia, że również nie wie, co to jest, Ale podchodziliśmy już do lądowania. Po wylądowaniu podeszliśmy do pilota i Enkel spytał go, czy to normalne, żeby spod skrzydła wydobywały się płomienie. Pilot roześmiał się - to kompletny absurd; gdyby tak było, to, teraz nie rozmawialibyśmy ze sobą, spoczywalibyśmy bowiem na dnie Zatoki Botnickiej. Cóż mogliśmy na to powiedzieć, wzruszyliśmy tylko ramionami.

Marszałek Mannerheim przyjął mnie 15 stycznia w swojej kwaterze głównej w Sankt Michel. Spośród wszystkich ludzi zajmujących się polityką, jakich udało mi się w życiu spotkać, marszałek Mannerheim wywarł na mnie chyba największe wrażenie. Był to wielki człowiek, gigant, trzymający na swych barkach całą Finlandię. Cały kraj jak jeden mąż udzielił mu bez zastrzeżeń swego poparcia, w przeszłości był generałem kawalerii. Spodziewałem się zobaczyć wojskowego, który niezbyt dobrze orientuje się w problemach politycznych. Spotkałem wspaniałego, uczciwego człowieka, zdolnego wziąć na siebie ciężar każdej politycznej decyzji.

Wyłożyłem mu swój plan i racje, jakie za nim stały. Mannerheim uznał podjęcie takiej próby za sensowne i powiedział, że zapewni mi możliwość porozmawiania z jeńcami w jednym z obozów (500 osób). *Jeśli pana poprą, niech pan organizuje swoją armię. Jestem jednak starym żołnierzem i bardzo wątpię, żeby ci ludzie, którzy wyrwali się z piekła i uratowali niemal cudem, zechcieli z własnej woli znów do tego piekła wrócić.*

Istniały dwa fronty. Główny - to bardzo wąski front karelski, o długości czterdziestu kilometrów, na który komuniści pędzili jedną dywizję po drugiej; dywizje te szły przez góry trupów i walczyły do ostatniego żołnierza - tu jeńców nie było. I drugi front - od jeziora Ładoga do Morza Białego, na którym wszystko było zasypane śniegiem półtorametrowej wysokości. Tu czerwoni nacierali wzdłuż dróg i zawsze odbywało się to tak samo: radziecka dywizja przedzierała się w głąb łądu, Finowie ją okrążali, odcinali i niszczyli w ciężkich walkach; jeńców zostawało niewielu, i to właśnie oni znajdowali się w obozach. Rzeczywiście ludzi tych uratował tylko cud.

Moja rozmowa z Mannerheimem szybko zbieczyła na inne tematy - sprawy wojny, problemy społeczne i polityczne. Trwała cały dzień. Jak już mówiłem cała Finlandia patrzyła na Mannerheima i tylko w nim widziała ratunek. Był on w dość niezręcznej sytuacji; szukając rozwiązań najważniejszych problemów społecznych, ekonomicznych i politycznych, musiał prosić o radę ludzi, którzy wszystkie nadzieje pokładali tylko w nim. Ja natomiast byłem człowiekiem z zewnątrz, a moja praca we władzach radzieckich dała mi sporo doświadczeń w sprawach państwowych, którym poświęcałem wiele uwagi; dlatego też rozmowa ze mną o sprawach, które musiał rozstrzygać była dla Mannerheima ciekawa. Tego dnia radzieckie lotnictwo trzykrotnie bombardowało Sankt Michel. Szef sztabu generalnego przychodził namawiać Mannerheima, by zszedł do schronu. Mannerheim pytał mnie: *Wolałby pan zejść?* Wolałem nie schodzić, bombardowanie mi nie przeszkadzało. Kontynuowaliśmy rozmowę. Szef sztabu patrzył na mnie niemal z nienawiścią. Rozumiałem go; bomba, która przypadkowo trafiłaby w nasz budynek, zakończyłaby opór Finlandii - cały kraj trzymał się na starym, nieugiętym marszałku. Lecz w tym momencie byłem już wojskowym; podjęta została decyzja, że będę dowodzić moją armią, i Mannerheim powinien był zobaczyć, iż przed bombami nie czuję strachu.

W obozie dla jeńców wojennych nastąpiło to, czego oczekiwałem.

Wszyscy byli wrogami komunizmu. Mówiłem do nich językiem, który rozumieli. Rezultat: spośród 500 ludzi 450 zgłosiło się na ochotnika do walki z bolszewikami. Z pięćdziesięciu pozostałych czterdziestu mówiło: *Jestem z tobą całą duszą, ale boję się, po prostu się boję.* Odpowiadałem: *Jeśli się boisz, nie jesteś nam potrzebny; zostań w obozie dla jeńców.*

Wszyscy oni byli szeregowymi żołnierzami, a ja potrzebowałem także oficerów. Na radzieckich jeńców - oficerów - nie chciałem tracić czasu. Przy pierwszym z nimi kontakcie zobaczyłem, że dwóch czy trzech półczekistów-półstalinowców zdążyło już zorganizować komórkę partyjną i wprowadzić wśród oficerów terror, strasząc, że ich każdy gest natychmiast będzie w Rosji znany komu należy, a ich rodziny odpowiedzą głową za ich każdy fałszywy krok. Postanowiłem więc dobrać oficerów spośród białych emigrantów. Związek Wojskowy oddał do mojej dyspozycji swoją sekcję w Finlandii. Wziąłem z niej zawodowych oficerów, lecz trzeba było poświęcić sporo czasu, by przygotować ich i zgrać z żołnierzami pod względem politycznym. Mówili różnymi językami; musiałem włożyć wiele pracy, by oficerowie znaleźli właściwy ton i nawiązali odpowiednie stosunki z żołnierzami. W końcu osiągnąłem sukces. Było też wiele innych problemów, na przykład sprawa regulaminu. Wojsko działa zgodnie z regulaminem i określonym automatyzmem reakcji. Nasza armia powinna opierać się nie na regulaminie radzieckim, lecz nowym, który należało stworzyć od podstaw. Oto na przykład taka - wydawałoby się - prosta sprawa: jak zwracać się do siebie. Per towarzyszu - to wymysł sowiecki, per panie - z politycznego punktu widzenia niewskazane i niemożliwe; a więc per obywatelu - żołnierze

przywykli do tego, a zwrot *obywatelu dowódco* też był udany. Mnie nazywano *obywatelem dowodzącym*.

Istniał jeszcze jeden problem - psychologiczny. Moi oficerowie: kapitan Kisielow, kapitan sztabowy Ługowoj i inni, byli to oficerowie zawodowi. Darzyli mnie szacunkiem jako polityka, lecz nie mieściło im się w głowach, by cywil mógł dowodzić nimi w walce, w czasie której wszystko trzyma się przecież dzięki sile ducha dowódcy. A czy moja siła ducha wystarczyłaby do tego? Nie byli o tym przekonani. Dostrzegałem to w sposób pośredni: podczas naszych zajęć kapitan Kisielow zwracał się do mnie *panie Bażanow*, a nie *obywatelu dowodzący*. Przypadek pomógł w rozwiązaniu tego problemu.

Nasze zajęcia prowadziliśmy w Helsinkach, na czwartym piętrze dużego budynku. Radzieckie lotnictwo bombardowało miasto kilka razy dziennie. Była zima i chmury wisiały bardzo nisko. Radzieckie samoloty wznosiły się wysoko w powietrze jeszcze nad Estonią, zbliżały się na odległość około trzydziestu kilometrów do Helsinek, zatrzymywały silniki i nadlatywały nad miasto bezgłośnie, lotem ślizgowym. Wypadały niespodziewanie z niskich chmur, w tej samej chwili słychać było szum zapuszczanych silników i wybuchy padających bomb. Nie było czasu na zejście do schronu, nie przerywaliśmy więc naszych zajęć.

Któregoś dnia słyszymy samoloty nad naszym budynkiem, z-z-z... spadającej bomby i wybuch. Znów z-z-z... i wybuch tuż obok nas. Gdzie trafi następna? W nas czy przeleci dalej? Korzystam z okazji i spokojnie kontynuuję swój temat. Ale moi oficerowie cali zamieniają się w słuch. Oto następne z-z-z... i wybuch; mamy to już za sobą. Wszyscy westchnęli z ulgą. Patrzę na nich chłodno i pytam, czy dobrze zrozumieli, co przed chwilą mówiłem. A kapitan Kisielow odpowiada: *Tak jest, obywatelu dowodzący*. Teraz już nie będą mieć wątpliwości, że w walce moja siła ducha będzie dla nich dobrym oparciem.

To, co można było zrobić w ciągu dwóch tygodni, trwa blisko dwa miesiące. Przemieszczenie wszystkich do innego obozu, bliżej frontu, cała organizacja - wszystko to idzie w żółtym tempie. Lotnictwo radzieckie bezkarnie bombarduje każdego dnia wszystkie węzły kolejowe. Wieczorem każdy węzeł jawi się jako koszmarny obraz wygiętych na wszystkie strony szyn i podkładów na przemian z głębokimi lejami, nocą wszystko się odbudowuje i przez kilka godzin pociągi jakoś kursują; nie jeżdżą jednak w ciągu dnia, gdyż lotnictwo zniszczyłoby je zupełnie. Dopiero w pierwszych dniach marca wszystko jest już gotowe i szykujemy się do wyjścia na front. Jako pierwszy wyrusza oddział kapitana Kisielowa, dwa dni później wychodzi drugi, potem trzeci. Likwiduję obóz, aby wyruszyć z pozostałymi oddziałami. Zdążyłem jeszcze otrzymać wiadomość, że pierwszy oddział już walczy i że na naszą stronę przeszło trzystu żołnierzy Armii Czerwonej. Nie zdążyłem już sprawdzić tej wiadomości, ponieważ rankiem 14 marca telefonicznie otrzymuję inną wiadomość z Helsinek, od generała Waldena (pełnomocnik marszałka Mannerheima w rządzie): wojna zakończona, mam wstrzymać całą akcję i niezwłocznie przyjechać do Helsinek.

Przybywam do Waldena następnego dnia rano. Walden mówi, że wojna została przegrana i że podpisano zawieszenie broni. *Wezwałem pana, by prosić o natychmiastowe opuszczenie Finlandii. Sowieci wiedzą oczywiście o pańskiej akcji, i zapewne zażądają, byśmy im pana wydali. Tego nie możemy zrobić, jeśli zaś damy panu możliwość opuszczenia Finlandii później, Sowieci dowiedzą się o tym i oskarżą nas o kłamstwo. Proszę nie zapominać, że jesteśmy w ich rękach i musimy unikać wszystkiego, co mogłoby pogorszyć warunki pokoju, które i tak będą ciężkie. Gdyby zaś wyjechał pan*

zaraz, na żądanie wydania pana odpowiemy, że nie ma pana już w Finlandii, a oni z łatwością mogą sprawdzić datę pańskiego wyjazdu.

A moi oficerowie i żołnierze? Jakże mogę ich zostawić? - O swych oficerów proszę się nie martwić; są obywatelami fińskimi i nic im nie grozi. Tym żołnierzom, którzy wbrew pańskiej radzie zechcą wrócić do ZSRR, nie możemy przeszkodzić, mają do tego prawo; ci, którzy zechcą pozostać w Finlandii, będą traktowani jak ochotnicy fińskiej armii i otrzymają prawa obywateli fińskich. Pana obecność tutaj nic im już nie da, zajmiemy się nimi. Wszystko to brzmiało sensownie i słusznie. Wsiadam więc do samochodu, jadę do Turku i jeszcze tego samego dnia przybywam do Szwecji. I bez żadnych przygód wracam do Francji. O mej fińskiej akcji składam sprawozdanie:

- 1) przedstawicielom organizacji emigracyjnych;
- 2) na zebraniu rosyjskich oficerów sztabu generalnego; zebranie odbywa się w mieszkaniu szefa 1. oddziału Związku Wojskowego, generała Witkowskiego; obecni są na nim też: admirał Kiedrow, były rosyjski ambasador Makłakow i jeden z wielkich książąt, jeśli się nie mylę, Andriej Władimirowicz.

Niedługo potem rozpoczyna się kampania francuska, w czerwcu Niemcy wkraczają do Paryża.

Przez prawie rok spokojnie mieszkałem w Paryżu. W połowie czerwca 1941 r. zjawia się u mnie jakiś Niemiec w wojskowym mundurze (zresztą wszyscy oni chodzą w wojskowych mundurach, a ja słabo znam się na ich oznakach i dystynkcjach; ten był chyba w randze majora). Oznajmia mi, że mam niezwłocznie udać się do jakiegoś urzędu na avenue Lena. Po co? Tego nie wie. Jego samochód jest jednak do mojej dyspozycji, może mnie odwieźć. Odpowiadam, że wolałbym doprowadzić się do porządku i przebrać, za godzinę przyjadę sam. Wykorzystuję tę godzinę, by telefonicznie dowiedzieć się od rosyjskich znajomych, jaki to urząd mieści się na avenue Lena. Okazuje się, że jest tam paryski sztab Rosenberga. Czego może ode mnie chcieć?

Przyjeżdżam. Przyjmuje mnie jakiś generał, który oznajmia mi, że jestem pilnie wzywany przez rząd niemiecki do Berlina. Dokumenty będą gotowe za kilka minut; bezpośredni pociąg do Berlina odchodzi wieczorem i zarezerwowano mi już miejsce sypialne. W jakiej sprawie jestem wzywany? Tego nie wie.

Do wieczora muszę zdecydować - jadę do Berlina czy nie jadę. Jeśli nie, to będę musiał wyjechać z Francji przez hiszpańską granicę. Zaproszony zostałem jednak bardzo grzecznie; czemuż więc nie pojechać i nie zobaczyć, o co chodzi? Postanawiam jechać, w Berlinie czekają na mnie na dworcu i przywożą do jakiegoś gmachu, który okazuje się siedzibą Komitetu Centralnego NSDAP. Przyjmuje mnie kierownik organizacyjny, Deringer, który szybko załatwia wszystkie sprawy bytowe (hotel, kartki żywnościowe i inne, stołówkę itp.). Następnie informuje mnie, że o czwartej przyjadą po mnie - będzie czekać na mnie doktor Leibbrandt. Kim jest doktor Leibbrandt? Pierwszym zastępcą Rosenberga.

O czwartej przyjmuje mnie doktor Leibbrandt. Okazuje się, że jest „rosyjskim Niemcem”; w swoim czasie ukończył politechnikę kijowską i mówi po rosyjsku tak jak ja. Zaczyna od uwagi, że nasze spotkanie powinno pozostać w całkowitej tajemnicy, zarówno z powodu treści rozmów, jakie będziemy prowadzić, jak i dlatego, iż jestem znany jako antykomunista i jeśli Sowietci dowiedzą się o moim przyjeździe do Berlina, natychmiast pójdą w ruch rozmaite noty protestacyjne i zaczną się

kłopoty, których lepiej uniknąć. W tym momencie z bocznego gabinetu wychodzi mężczyzna w mundurze i wojskowych butach, podobny jak dwie krople wody do Rosenberga, którego ogromny portret wisi tuż obok na ścianie. Jest to istotnie Rosenberg lecz Leibbrandt mi go nie przedstawia. Rosenberg opiera się o stół i zaczyna prowadzić ze mną rozmowę. Też dobrze mówi po rosyjsku - studiował w Rosji, na Juriewskim (Dorpackim) Uniwersytecie. Mówi jednak wolniej, niekiedy musi szukać właściwych słów.

Czekam na zwykłe pytania o Stalina, o radzieckie władze - uważany przecież jestem za specjalistę w tej dziedzinie. I rzeczywiście padają takie pytania, lecz w bardzo specyficznym kontekście: gdyby jutro, zniemacka rozpoczęła się wojna, to co, moim zdaniem, zrobi góra partyjna? Jeszcze kilka podobnych pytań i zdaję sobie sprawę, że wybuch wojny jest kwestią dni. Rozmowa jednak szybko schodzi na mój temat. Co myślę o tej sprawie, a co o tej, itd. Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego jestem obiektem takiego zainteresowania ze strony Rosenberga i Leibbrandta? Moje szczere wypowiedzi, że nie popieram ich ideologii, że moim zdaniem ich ultranacjonalizm to bardzo złe narzędzie w walce przeciwko komunizmowi, ponieważ prowadzi do tego, na czym komunistom właśnie zależy - przeciwstawia jeden kraj drugiemu i prowadzi do wojny między nimi, podczas gdy walka z komunizmem wymaga jedności i zgody całego cywilizowanego świata - nie robią na nich żadnego wrażenia i nadal zadają mi różne pytania dotyczące moich opinii. Gdy wreszcie skończyli, mówię: *Z tego, o czym tu była mowa, jasno wynika, że w najbliższej przyszłości rozpoczniecie wojnę z Sowietami.* Rosenberg spiesznie odpowiada: *Ja tego nie powiedziałem.* Mówię więc, że jestem człowiekiem o dostatecznym doświadczeniu politycznym i nie ma potrzeby, by opowiadać mi wszystko ze szczegółami i wykladać kawę na ławę. Pozwólcie panowie, że teraz ja zadam wam pytanie: *Jaki macie polityczny plan wojny?* Rosenberg odpowiada, że niezbyt dobrze rozumie moje pytanie. Precyzuję: *Czy macie zamiar prowadzić wojnę z komunizmem czy też z narodem rosyjskim?* Rosenberg prosi o wytłumaczenie, na czym polega różnica. Tłumaczę: jeśli będziecie prowadzić wojnę z komunizmem, to znaczy po to, by uwolnić naród rosyjski od komunizmu, to naród będzie po waszej stronie i tę wojnę wygracie; jeśli zaś będziecie prowadzić wojnę z Rosją, a nie z komunizmem, to naród rosyjski będzie przeciwko wam i wojnę przegracie.

Rosenberg marszczy czoło i stwierdza, że rola politycznej Kasandry jest rolą bardzo niewdzięczną. Nie zgadzam się z nim, w tym przypadku można przewidzieć bieg wydarzeń. Powiedzmy inaczej: patriotyzm rosyjski leży na ulicy, a bolszewicy od ćwierćwiecza deptają go nogami; kto go podniesie, ten wygra wojnę. Jeśli podniesiecie wy - wygracie, jeśli zrobi to Stalin - on wygra. Rosenberg oznajmia wreszcie, że polityczny plan wojny określa führer i że on sam jak dotąd nie zna tego planu, przyjmuję to za zwykły unik. Potem okaże się jednak, że chociaż brzmiało to paradoksalnie, było prawdą (dowiem się tego po dwóch miesiącach w ostatniej rozmowie z Leibbrandtem, który wyjaśni mi przyczynę mego wezwania tutaj i cel prowadzonych ze mną rozmów).

Chodziło o to, iż w tamtym momencie, w połowie czerwca, zarówno Rosenberg, jak i Leibbrandt dopuszczali taką ewentualność, że po rozpoczęciu wojny być może trzeba będzie utworzyć antybolszewicki rząd rosyjski. Wśród Rosjan nie widzieli nikogo, kto by się do tego nadawał. Czy to w wyniku mojej akcji fińskiej, czy też na podstawie opinii Mannerheima wzięli pod uwagę moją kandydaturę i spiesznie wezwali mnie do siebie, by mi się przyjrzeć i rozważyć sprawę (według słów Leibbrandta - w zasadzie mnie zaakceptowali). Jednakże w kilka dni później rozpoczęła się wojna i Rosenberga mianowano na uprzednio przewidziane stanowisko ministra okupowanych ziem wschodnich; Leibbrandt został jego zastępcą. Rosenberg, gdy po raz pierwszy przyszedł do Hitlera po

dyrektywy, oznajmił mu: *Mein führer, istnieją dwa sposoby zarządzania terenami zajętyymi na wschodzie: - pierwszy - przy pomocy administracji niemieckiej, gauleiterów; drugi - poprzez stworzenie antybolszewickiego rządu rosyjskiego, który byłby ośrodkiem przyciągającym antybolszewickie siły w Rosji.* Hitler przerwał mu: *O żadnym rządzie rosyjskim nie może być nawet mowy; Rosja będzie niemiecką kolonią i rządzona będzie przez Niemców.*

Po tej rozmowie Rosenberg stracił wszelkie zainteresowanie moją osobą i już mnie nie przyjmował.

Po spotkaniu z Rosenbergiem i Leibbrandtem przez kilka dni znajduję się w dziwnej sytuacji - znam tajemnicę największej wagi i nie mam się z kim nią podzielić. Rankiem 22 czerwca, gdy wyszedłem na ulicę i ujrzałem pełne powagi twarze przechodniów pochylonych nad gazetami, od razu wiedziałem, co się stało. W gazetach zamieszczono manifest Hitlera o wojnie. W manifestie nie ma słowa o państwie rosyjskim, o wyzwoleniu narodu rosyjskiego, przeciwnie, mówi się o przestrzeni życiowej niezbędnej narodowi niemieckiemu na wschodzie itp. Wszystko jest jasne. Führer rozpoczyna wojnę, by uczynić z Rosji niemiecką kolonię. Plan ten uważam za zupełnie idiotyczny; dla mnie Niemcy już przegrały tę wojnę, to tylko kwestia czasu. Cóż tu można zrobić?

Mówię Deringerowi, że chciałbym zobaczyć się z Rosenbergiem. Deringer uprzejmie odpowiada, że przekaże doktorowi Rosenbergowi moją prośbę. Po kilku dniach komunikuje mi, że w związku z organizowaniem nowego ministerstwa doktor Rosenberg jest zajęty i nie może mnie przyjąć. Siedzę w Berlinie i nic nie robię. Chciałbym wrócić do Paryża, lecz Deringer stwierdza, że kwestię tę może rozstrzygnąć tylko Rosenberg lub Leibbrandt. Czekam.

W miesiąc później nieoczekiwanie przyjmuje mnie Leibbrandt. Kieruje teraz całym ministerstwem, w poczekalni masa gauleiterów w generalskich mundurach. Pyta mnie, czy podtrzymują swoje prognozy co do biegu wydarzeń w sytuacji, gdy armia niemiecka zwycięsko posuwa się naprzód, jeńców liczy się już na miliony. Odpowiadam, że jestem całkowicie przekonany o klęsce Niemiec; polityczny plan wojny jest bez sensu; teraz już wiadomo, o co toczy się ta wojna - Rosja ma być przekształcona w kolonię, prasa traktuje Rosjan jak podludzi, jeńców morzy się głodem. Rozmowa kończy się na niczym; na moją prośbę o pozwolenie na powrót do Paryża Leibbrandt odpowiada wymijającą - proszę jeszcze poczekać. Na co?

Jeszcze miesiąc spędzam w sytuacji niby honorowego, ale jeńca. Niespodziewanie wzywa mnie Leibbrandt. Znowu zadaje mi to samo pytanie: czy wciąż upieram się przy swoich prognozach? Armia niemiecka szybko kroczy naprzód od zwycięstwa do zwycięstwa, jeńców jest kilka milionów, ludność wita Niemców biciem w dzwony. Odpowiadam, że jestem pewien swoich opinii bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Ludność rzeczywiście wita was biciem w dzwony i żołnierze poddają się, ale za dwa-trzy miesiące w całej Rosji będzie wiadomo, że jeńców morzycie głodem, że traktujecie ludzi jak bydło. Wtedy przestaną się poddawać, zaczną walczyć, a ludność będzie wam strzelać w plecy. Wówczas wojna potoczy się inaczej. Leibbrandt oznajmia, że wezwał mnie, by zaproponować kierowanie pracą polityczną wśród jeńców; podobną pracę prowadziłem przecież z ogromnym powodzeniem w Finlandii. Zdecydowanie odmawiam. O jakiej pracy politycznej może tu być mowa? Co można powiedzieć jeńcom? Że Niemcy chcą przekształcić Rosję w kolonię, a Rosjan w niewolników i że należy im w tym pomagać? Jeńcy odpowiedzą wtedy takiemu agitatorowi, by pocałował ich w d..., i będą mieli rację. Leibbrandt w końcu traci cierpliwość: *Jest pan tylko emigrantem bez przynależności państwowej, a zachowuje się pan jak ambasador wielkiego mocarstwa. - Jestem przecież przedstawicielem wielkiego mocarstwa - narodu rosyjskiego, a ponieważ jestem jedynym*

Rosjaninem, z którym wasz rząd rozmawia, powiedzenie tego wszystkiego jest moim obowiązkiem. Leibbrandt na to: Możemy pana rozstrzelać lub wysłać do tłuczenia kamieni, lub też zmusić do realizowania naszej polityki. - Doktorze Leibbrandt, pan się myli. Rzeczywiście możecie mnie rozstrzelać lub wysłać do obozu tłuc kamienie, ale nie możecie zmusić mnie, bym realizował waszą politykę. Reakcja Leibbrandta jest nieoczekiwana. Wstaje i ściska mi dłoń. Dlatego właśnie z panem rozmawiamy, że uważamy pana za człowieka prawdziwego.

Znów zaczynamy się kłócić na temat perspektyw i niemieckiej polityki. W tej ostatniej kwestii wypowiadam się dość ostro, tłumacząc, że w tak otwartej rozmowie o polityce można nazywać rzeczy po imieniu. Leibbrandt oponuje, ale coraz słabiej. Wreszcie, przewyciężywszy swe opory, powiada: *Mam do pana pełne zaufanie i powiem panu coś, czego mówić nie powinienem, gdyż może to być dla mnie bardzo niebezpieczne - uważam, że ma pan całkowitą rację. Podrywam się: A Rosenberg? - Rosenberg myśli to samo co ja. - Czemuż więc Rosenberg nie próbuje przekonać Hitlera, że jego polityka jest zgubna? - Tu widać, że w tej sprawie zupełnie się pan nie orientuje. Hitlera nie można w ogóle do niczego przekonać. Mówi tylko on, nikomu nie da się wypowiedzieć i nikogo nie słucha. Gdyby Rosenberg spróbował go przekonywać, to rezultat mógłby być tylko jeden - jako człowiek niezdolny pojąć myśli i decyzje Führera zostałby natychmiast usunięty ze stanowisko i wysłany jako żołnierz na front wschodni. Ot i wszystko. - Skoro jesteście przekonani o bezsensowności polityki Hitlera, to jak możecie ją realizować? - Jest to znacznie bardziej skomplikowane niż pan sądzi - powiada Leibbrandt. - I jest to nie tylko mój problem, lecz również problem wszystkich ludzi kierujących naszym ruchem. Za każdym razem, gdy Hitler podejmował decyzje, które wydawały się nam bez sensu - okupacja Zagłębia Ruhry, zerwanie traktatu wersalskiego, uzbrojenie Niemiec, okupacja Austrii, okupacja Czechosłowacji - oczekiwaliśmy klęski i zguby. Za każdym razem wygrywał. Stopniowo doszliśmy do przekonania, że człowiek ten być może widzi i rozumie to, czego my nie widzimy i nie rozumiemy, nie pozostaje nam więc nic innego, jak iść za nim. Podobnie było z Polską, z Francją, z Norwegią. Teraz w Rosji posuwamy się naprzód i wkrótce będziemy w Moskwie. Może więc znowu to nie my mamy rację, tylko on.*

Doktorze Leibbrandt, nic tu po mnie, chcę wracać do Paryża. - Ale jest pan przeciwny naszej polityce, będzie więc pan działał przeciw nam. - Mogę panu obiecać, że z nikim ani przeciw nikomu pracować nie będę. Z bolszewikami nie mogę współdziałać - jestem wrogiem komunizmu; z wami nie mogę - nie pochwalam waszej ideologii i waszej polityki; z sojusznikami także nie - zawierając przestępczy sojusz z komunizmem, zaprzędają zachodnią cywilizację. Pozostaje mi tylko skonstatować, że zachodnia cywilizacja postanowiła zakończyć życie samobójstwem i że nie ma w tym wszystkim dla mnie miejsca. Będę zajmował się nauką i techniką.

Leibbrandt zgadza się. Przed odjazdem w mieszkaniu Łarionowa opowiadał o swych rozmowach z Rosenbergiem i Leibbrandtem przywódcom proniemieckiej organizacji (Poriemskiemu, Roźdiestwienskiemu i innym). Przedostali się do Berlina, pragnąc dostać się do Rosji w ślad za armią niemiecką, oświadczyłem im, że jest to sprawa całkowicie beznadziejna - Niemcy już wkrótce będą mieli przeciwko sobie całą ludność; przyłączyć się do niej - to znaczy wstąpić do partyzantki przeciw Niemcom. Ale po co? Żeby pomagać bolszewikom w kolejnym ujarzmieniu narodu? Nic się nie da zrobić. Oni chcą jednak spróbować. Szybko przekonają się, że sytuacja jest beznadziejna.

Po powrocie do Paryża relacjonuję sytuację przedstawicielom rosyjskich organizacji emigracyjnych. Wnioski z mej opowieści są niewesołe. Wśród obecnych są także informatorzy gestapo. Jeden z nich

zadaje mi prowokacyjne pytanie: *Zatem jak pan sądzi - należy czy nie należy współpracować z Niemcami?* Odpowiadam, że nie należy - taka współpraca nie miałaby żadnego sensu.

Odpowiedź ta oczywiście dotarła do gestapo. Muszę jednak powiedzieć na korzyść Niemców, że do końca wojny spokojnie żyłem w Paryżu, zajmowałem się fizyką i techniką; Niemcy nie tknęli mnie nawet palcem.

Pod koniec wojny, przed zajęciem Paryża, na jakiś czas wyjechałem do Belgii. Komunistyczni bandyci, którzy przyszli mnie zabić, nie zastali mnie w domu.

ZAKOŃCZENIE

W czasie drugiej wojny światowej odszedłem od polityki i przez następne trzydzieści lat zajmowałem się nauką i techniką. Jednakże dzięki doświadczeniu zdobytemu w okresie pracy w centrum władzy komunistycznej i wynikającej stąd znajomości komunizmu przez wszystkie te lata mogłem kontynuować studia nad komunizmem i jego ewolucją. Studia te, potwierdzając moje wcześniejsze bezpośrednie obserwacje, pozwalają mi zakończyć tę książkę kilkoma wnioskami, którymi chciałbym podzielić się z czytelnikiem.

Mówiłem już o bezużyteczności marksistowskiej teorii ekonomicznej. Fałszywe okazały się też marksistowskie prognozy społeczne. Przypomnę analizę i prognozę Marksa: w szybko industrializującym się świecie następuję gwałtowna proletaryzacja i zjednoczenie mas ludowych oraz koncentracja kapitału w rękach małej grupy ludzi; dlatego też proletariacka rewolucja społeczna dokona się w krajach najbardziej uprzemysłowionych.

W rzeczywistości wszystko stało się na odwrót. W rozwiniętych krajach przemysłowych doszło nie do proletaryzacji i zjednoczenia mas pracujących, lecz do niebywałego wzrostu poziomu ich życia. Znany jest też i proces ewolucji kapitału. W przodującej Ameryce kapitał już dawno wyszedł ze stadium miliarderów, przeszedł stadium ogromnych anonimowych spółek z decydującym głosem ich dyrektorów, a obecnie znajduje się w stadium demokratyzacji; ogromna większość akcji wielkich przedsiębiorstw rozłożona jest na całą masę ludzi pracy, którzy są współwłaścicielami tych przedsiębiorstw - Ameryka wyprzedza pozostałe kraje świata o dziesięć-dwadzieścia lat; to, co dzieje się tutaj, powtarza się później w innych rozwiniętych krajach kapitalistycznych.

Co się tyczy rewolucji społecznej, to nie nastąpiła ona w żadnym z rozwiniętych krajów przemysłowych, lecz przeciwnie - objęła kraje biedne, zacofane, o niskiej kulturze.

Zostawmy więc marksistowską teorię i przejdźmy do praktyki. Praktyka rewolucji komunistycznej to praktyka Lenina i leninizmu. Sprowadza się do tego, że im bardziej kraj biedny, dziki, zacofany, nieoświecony, tym większe ma szanse na rewolucję komunistyczną. Jeśli się zastanowić, nie widać w tym nic dziwnego. Istotą komunizmu jest wzbudzenie nienawiści i zawiści biednych przeciwko bogatszym. Im ludzie są biedniejsi, prostsi, im mniej wiedzą, tym większe szanse powodzenia ma propaganda komunistyczna, tym lepsze są warunki na sukces komunistycznej rewolucji. Sukces ten jest pewny w krajach Afryki, w biednych mrowiskach Azji. W rozwiniętych krajach Europy jak dotąd może być osiągnięty wyłącznie siłą - za pomocą radzieckich czołgów. Jest rzeczą oczywistą, że zawiść i nienawiść są wykorzystywane jedynie po to, by judzić jedne warstwy społeczne przeciw innym, by wywoływać konflikty społeczne, by gnębić i niszczyć - chodzi przecież o zdobycie władzy. A później wszystko nabiera cech dobrze zorganizowanej katorgi, w której więzi się cały naród i którą rządzi wąska komunistyczna elita.

Cel tej operacji to zbrojny rabunek w skali całego globu, zbudowanie światowego społeczeństwa niewolników, „robotyzacja” całego świata, którym okrutnie rządzić będą korzystający z absolutnej władzy i tępi biurokraci „partii”.

Oznacza to zniszczenie naszej zachodniej cywilizacji. Cywilizacje przemijają; barbarzyńcy, którzy chcą przyjść na miejsce naszej mają na imię - komunizm.

Wyobrażam sobie, jakie oburzenie wywołają te słowa u młodego, przekonanego komunisty. Gdy w 1919 r. wstępowałem do partii komunistycznej, odrzuciłbym je z podobnym oburzeniem. Ale istnieje już doświadczenie 60 lat komunizmu. Czy to 60-lecie kogoś przekonało? Niestety, tylko tych, którzy sprawdzają komunistyczne doświadczenia na sobie samych. Oburzonemu młodemu komuniście przydałoby się, gdyby komunizm zwyciężył w jego kraju i potrwał z dziesięć lat; dopiero wtedy odczułby na własnej skórze, że to wszystko, co zostało powiedziane wyżej jest prawdą. Ale, znów niestety, wtedy byłoby już za późno. Komunizm istnieje, by zagarnąć władzę i z niej korzystać; gdy ją ma, nie oddaje nigdy. Cofnąć się nie można. I jeśli przypadkiem w jakimś kraju na czele hierarchii znajdzie się Dubczek, który zechce ustanowić socjalizm ludzki w miejsce wilczego, to choćby miał za sobą całą partię i cały naród, przyjadą radzieckie czołgi i szybko wszystko ustawią na swoim miejscu.

Czy nasza cywilizacja chce się bronić, bronić tego wszystkiego, co stanowi o jej istocie - wolności, humanizmu, pokojowego i przyjaznego współistnienia ludzi?

Historycznie rzecz biorąc, nasza cywilizacja jest cywilizacją chrześcijańską. W zeszłych stuleciach religia chrześcijańska była jej podstawą i spoiwem. Lecz te czasy minęły. Obecnie znajduje się ona w fazie szybkiej i trudnej mutacji. Warunki życia zmieniają się coraz szybciej. Nauka, technika i ekonomika w ciągu dwóch czy trzech dziesięcioleci szybciej zmieniają życie niż w całym ubiegłym stuleciu. Natomiast psychologia mas w swej istocie zmienia się nieporównanie wolniej i pozostaje coraz bardziej w tyle za warunkami życia. Także poglądy polityczne i dążenia ludzi pozostają daleko w tyle za burzliwymi przemianami zewnętrznymi. Prowadzi to do prawdziwych i poważnych katastrof. Wydawać by się mogło, że obowiązkiem rządzących kół politycznych kraju jest uwzględnianie przemian, wyciąganie wniosków, przeobrażanie własną myślą bezwładnych i zacofanych poglądów mas i proponowanie niezbędnych rozwiązań, odpowiadających zmienionej sytuacji. Jednakże demokratyczny sposób rządzenia na to nie pozwala. Ludzie polityki muszą uzyskiwać mandat od mas. Biada im, jeśli będą wyprzedzać w myśleniu masy - nie zostaną zrozumiani, nie uzyskają poparcia, nie zostaną wybrani. Ich udziałem jest nie przewodzenie masom, lecz podążanie za nimi.

Istnieją dzisiaj dwa masowe kierunki polityczne. Jeden to stawka na przyszłość - socjalizm, drugi to droga dnia wczorajszego - nacjonalizm.

Należy od razu się zastrzec, że idea narodowa a nacjonalizm to dwie różne rzeczy. Idea narodowa to sprawa zwykła. Od dawna wiadomo, że równania różniczkowe rozwiązuje się tak samo w Pekinie i w Paryżu, ale miłość i nienawiść inaczej wygląda nad rzeką Jangcy a inaczej nad Sekwaną. Kultura może rozwijać się jedynie w ramach narodowych; daje to swoisty, niepowtarzalny i niezbędny obraz życia. Nacjonalizm jest czymś zupełnie innym. Jego zwolennik głosi: *mój naród jest lepszy od innych*, uznają tylko jego interesy (wbrew interesom innych narodów). Nacjonalizm jest doktryną okrutnego egoizmu narodowego. Być może miał on sens półtora czy dwa wieki temu, gdy narody żyły oddzielnie, gdy kontakty między nimi niemal nie istniały. Wiek XIX przyniósł gwałtowne zmiany, rozwinęła się technika, gospodarka, transport kolejowy i morski, handel światowy i współzależność światowej gospodarki, ogromne możliwości techniki wojennej. I fakt, że na początku XX wieku doktryna nacjonalistyczna była naczelną doktryną wielkich mocarstw, stał się największym zagrożeniem dla świata. Potwierdziła to pierwsza wojna światowa, która wybuchła jako efekt tej doktryny, a stała się wielką katastrofą i zadała okrutny cios naszej cywilizacji. Doprowadziła do obalenia istniejącego w świecie ładu, do utracenia przez białą rasę roli wiodącej, do rewolucji komunistycznej w Rosji i do rozpoczęcia ogarniającej cały świat wojny domowej. Jakie wnioski

wyciągnęli z tych doświadczeń przywódcy narodów? Najwyraźniej żadnych. Ponieważ Włochy i Niemcy, chcąc stworzyć zaporę przeciwko komunizmowi, nie znalazły do tego celu lepszej broni niż prowadzący do katastrofy i osądzony właśnie przez gorzką praktykę życiową nacjonalizm, i to jeszcze w jego najdoskonalszej formie - ultranacjonalizmu. Jedynym ratunkiem dla naszej cywilizacji jest zjednoczenie się cywilizowanych narodów przeciw komunizmowi. Nie ma nic gorszego niż ultranacjonalizm, który zamiast łączyć zwraca jedne narody przeciwko innym i nie tylko rozdrabnia ich siły, lecz prowadzi do bezsensownych wojen między nimi. Dla komunizmu nie ma nic bardziej korzystnego niż taki nacjonalizm. I dlatego komuniści popierają go na wszelkie możliwe sposoby i na wszelkie sposoby go rozdmuchują. Jest on podstawowym warunkiem ich zwycięstwa.

Rządzące koła polityczne wielkich mocarstw, które niczego nie nauczyły się z doświadczeń I wojny światowej, z lekkim sercem rzuciły świat w wir drugiej gigantycznej katastrofy; zarówno nimi, jak i masami kierowała wciąż ta sama doktryna nacjonalizmu. Komuniści zaś wiedzieli, że dla nich jest to najlepsze wyjście - po wojnie nieuchronnie następuje rewolucja. Czy polityczni kretyni stojący na czele wielkich mocarstw przewidzieli fakt, że po II wojnie światowej połowa świata znajdzie się w rękach komunistów? Niczego nie przewidzieli. Uzmysłowiono im jedynie, jakie niebezpieczeństwo kryje się w sytuacji, gdy polityczna myśl przywódców nie ma żadnej wartości.

Jest rzeczą kapitalnej wagi, jeśli nasza cywilizacja chce żyć i bronić się, by inna myśl polityczna prowadziła jej przywódców. Jakże wiele zmieniłoby się na świecie, gdyby to zrozumiano i jako idee przewodnią w stosunkach między narodami przyjęto zasadę, iż **właściwie pojmowane Interesy narodowe są zbieżne z interesami wszystkich narodów**. Egoizm narodowy może dziś jedynie zaprzepaścić obronę wolnego świata. Uratować go może tylko zjednoczenie.

Coraz większe zaufanie mas zdobywa inna droga - socjalistyczna. Można powiedzieć, że podstawowy proces mutacji naszych społeczeństw sprowadza się ostatnio do przejścia od zasad religii chrześcijańskiej do zasad religii socjalistycznej. Czym jednak jest socjalizm? Marszałek Francji powiedział, że *dobrze nazwać, to dobrze zrozumieć*. Niełatwo pojąć, czym jest prawdziwy socjalizm. Przede wszystkim dlatego, że w celach kłamliwej propagandy komuniści jak zwykle wykorzystują kłamliwą terminologię i posługując się nią na co dzień, wprowadzają ją do powszechnego obiegu. Któż dziś zamiast mówić „liberalne społeczeństwo rynkowe” nie mówi za komunistami „kapitalizm”, a gdy komuniści nazywają stworzony przez siebie ustrój wilczego niewolnictwa socjalizmem, wszyscy godzą się na tę fałszywą nazwę (związek **Socjalistycznych** Republik Radzieckich). A jednocześnie nie ma najmniejszej wątpliwości, że komunizm opatruje swój ustrój socjalistyczną etykietką, by oszukać masy. Prawdziwy socjalizm „z ludzką twarzą” nie powinien mieć nic wspólnego z wilczym socjalizmem marksistów.

Powiedzmy, że w najlepszym razie socjalizm dla tych, którzy weń wierzą, jest niewyraźnie sprecyzowanym ideałem lepszego życia i większej sprawiedliwości społecznej. Jest to także ideał wolnego społeczeństwa liberalnego, którego zwolennicy nie stosują terminu „socjalizm”, gdyż jest on wynaturzony przez komunistów i ich niezbyt godnych szacunku sojuszników, a ponadto dopuszcza skojarzenie z pseudosocjalizmem marksistów.

Religie są sprawą wiary i kategorie rozumowe nie mają tu wielkiego zastosowania. Mimo to nowe, podbijające świat religie obdarzone są wielką siłą. Co prawda, z religii dość prędko wyłaniają się sekty, odłamy i herezje, w zadziwiający sposób nie tolerujące się wzajemnie. Szerokie rozpowszechnienie się w świecie religii socjalistycznej oznacza nie tyle jej zwycięstwo, co pojawienie

się i rozwój nowych odmian wzajemnej wrogości. Gdyby socjalizm zwyciężył na świecie, pojawiłoby się tyle socjalizmów, ile krajów (jeśli nie więcej), a walka między nimi byłaby zaciekle. Spójrzcie na świat komunistyczny. Dla komunistycznych Chin komunistyczna Rosja jest większym wrogiem niż jakikolwiek kraj „kapitalistyczny”.

Słabość idei wolnego społeczeństwa liberalnego tkwi w tym, że w odróżnieniu od chrześcijaństwa (oferującego raj i życie pozagrobowe, którego nie sposób sprawdzić przez doświadczenie) proponuje socjalistyczny raj na ziemi, co można sprawdzić doświadczalnie. Komunizm radzi sobie z tym kłopotem; przecież bez względu na to, jakie wnioski ze swych doświadczeń wyciągnęłyby społeczeństwo, i tak niczego już nie może zmienić. Nie może nawet z tego rajy uciec - jest otoczone karabinami maszynowymi i drutem kolczastym. Prawdziwemu socjalizmowi takie praktyki powinny być obce, dlatego też jego perspektywy są najeżone trudnościami.

Jednakże socjalizm, tak jak i nacjonalizm, nie jest ideologią, która mogłaby stać się bastionem naszej cywilizacji. Ponieważ socjalizm nawet w swych najlepszych (niemarksistowskich) wariantach wychodzi z krytyki i odrzucenia naszej cywilizacji, dążąc do zastąpienia jej czymś innym, zdaniem jego zwolenników, lepszym.

Mogłoby się zdawać, że obraz jest dość ponury i że na pytanie, czy Zachód będzie bronił swej cywilizacji, trudno udzielić jakiejś budującej odpowiedzi. Masy idą za propagandą komunistyczną, socjalistyczną, a najbardziej trzeźwe i niezłomne elementy nie widzą innego punktu oparcia niż stary, niebezpieczny nacjonalizm. A rządzące koła polityczne, które na początku XX wieku nie widziały i nie rozumiały, że ich nacjonalistyczna ideologia prowadzi świat do katastrofy i rewolucji, dziś są tak samo zajęte zabawą w wielkie mocarstwa i narodowe egoizmy i nie widzą, że świat zdążył ku zgubie.

Nie widzą jednak i tego, że świat stoi na zakręcie. Nasza cywilizacja może obrać inną drogę, drogę ratunku.

I nie jest to tylko pobożnym życzeniem, wtedy nie warto byłoby o tym wspominać. Na szczęście, istnieją podstawy i możliwości, by dokonać takiego zwrotu. Rządzące koła polityczne tego również nie dostrzegają.

Przyjrzyjmy się uważnie historii XX wieku. Zaczął się on w atmosferze euforii - błyskotliwy rozwój wszystkiego: techniki, gospodarki, bogactwa narodów; wiara w nieograniczony postęp była powszechna; wierzone, że życie będzie coraz lepsze, że nastąpią wspaniałe przemiany społeczne, które poprawią dolę ludzi biednych i pokrzywdzonych. I przyszła I wojna światowa, która stała się światową katastrofą. Padły imperia, załamał się prestiż Europy i białej rasy, świat ogarnęła wojna domowa. Wszyscy jednak łudzili się nadal, że jakoś się wszystko ułoży i kontynuowali dawną i starymi kartami prowadzoną, grę w narodowe egoizmy i nienawiść rasową. Nadciągnęła druga światowa katastrofa i mimo triumfalnych opisów wielkiego zwycięstwa (a zwyciężył przede wszystkim przewrót, rewolucja i komunizm; to one właśnie najgłośniej trąbiły o zwycięstwie) świat zaczęły ogarniać wątpliwości - rezultaty były zbyt katastrofalne i nadto wyraźne były oznaki poważnego rozkładu społeczeństw.

Zaczęto rewidować dawne poglądy i na nowo oceniać sytuację. Gdy już wszystkiemu się przyjrano i wszystko podliczono, z optymizmu, jaki panował na początku stulecia, z wiary w nieograniczony postęp niewiele zostało. Widać było, że świat zmierza do całkowitej katastrofy. Galopujący przyrost

naturalny doprowadzi jutro do ogromnych trudności w wykarmieniu całej ludzkości; cieniutka warstwa ziemi uprawnej niszczona jest w sposób rabunkowy; zapasy surowców i energii są na wyczerpaniu i zbliża się ich koniec; morze - żywnościowa rezerwa dnia jutrzejszego - umiera, zatrute przez człowieka; ekologiczna równowaga została naruszona; wszystko, co człowiekowi dały nauka i technika - wydawać by się mogło, ku jego pożytkowi - człowiek obrócił przeciwko sobie. I wreszcie uwieńczenie wszystkiego - bomba atomowa, niebываły środek zniszczenia. Pierwszy raz w historii ludzkości zaistniała możliwość zagłady rodu ludzkiego, i to możliwość nie tylko teoretyczna; nieustanne, szaleńcze rozbudowywanie arsenału atomowej śmierci ludzkości czyni coraz poważniejszą groźbę wybuchu wojny światowej. A świetlane perspektywy lepszego życia społecznego? Od dawna, uporczywie prawda o realizacji tych perspektyw usiłowała przebić się na światło dzienne, aż nastał jej dzień - wybuchła bomba sołżenicynowskiego *Archipelagu GUŁAG* i wobec 60 milionów zamordowanych świadków zawałiła się i ta iluzja.

Gdyby wszystko to działo się przed stu laty, wąski krąg elity umysłowej podjąłby długą i mozolną pracę nad oceną zdarzeń i zmianą systemu wartości. Dziś radio, prasa, a zwłaszcza telewizja rzucają szerokim masom ludzkim każdego dnia i o każdej godzinie pełną i najnowszą informację o wszystkim, co dzieje się w świecie. I cały ten proces przewartościowania, cała świadomość zagrożenia, cały strach przed zgubą, ku której zmierzamy, stały się udziałem niemal wszystkich. Ludność rozwiniętych krajów przemysłowych żyje w stałym lęku.

To właśnie ta świadomość, ten strach przed zbliżającą się katastrofą daje naszej cywilizacji szansę dokonania zbawczego zwrotu, wyboru innej drogi.

Wymaga to jak najszerszego uczestnictwa i poparcia mas ludowych. Ludzkości obojętne są mądre formuły - wytwory czystego rozumu. Powodują nią tylko uczucia i emocje. Dla dokonania zwrotu potrzebna jest baza emocjonalna, i taka baza istnieje. Idzie bowiem o ratowanie ludzkości, przez co cały problem staje się problemem globalnym, a nie kwestią walki politycznej i obrony. Trzeba znaleźć drogę, na której ludzkość nie tylko mogłaby uniknąć biurokratycznego, niewolniczego ustroju komunistycznego, który w swej nienawiści do człowieka, w swej nieudolności i braku myśli twórczej nie jest w stanie rozwiązać tych ogromnych problemów, jakie stoją dziś przed rodzajem ludzkim. Musi to być droga pozwalająca znaleźć rozwiązanie wszystkich tych problemów.

Chociaż zwrot ten jest konieczny i możliwy, to wcale nie oznacza, że musi się dokonać. Może nic takiego się nie zdarzy. Istnieje dla niego baza, pojawiły się możliwości, jakich jeszcze 30-40 lat temu nie było, trzeba jednak określić właściwy kierunek, właściwe metody, muszą wreszcie znaleźć się odpowiedni ludzie, którzy byliby zdolni tego dokonać. Ruch ten powinien stawiać sobie inne zadania, realizowane w innym stylu i z innym rozmachem, bo tego celu nie da się zrealizować bałaganiarskimi metodami stosowanymi w normalnym życiu politycznym. Na szali leży bowiem przyszłość rodzaju ludzkiego.

Spis treści

PRZEDMOWA AUTORA.....	3
WSTĄPIENIE DO PARTII	4
W WYDZIALE ORGANIZACYJNYM. STATUT PARTII	9
SEKRETARZ BIURA ORGANIZACYJNEGO	19
POMOCNIK STALINA - SEKRETARZ BIURA POLITYCZNEGO.....	30
SPOSTRZEŻENIA SEKRETARZA BIURA POLITYCZNEGO.....	39
NA BOLSZEWICKICH SZCZYTACH	50
STAJĘ SIĘ ANTYKOMUNISTĄ.....	61
SEKRETARIAT STALINA. WOJSKOWI	73
STALIN.....	83
CZŁONKOWIE BIURA POLITYCZNEGO – TROCKI.....	91
CZŁONKOWIE BIURA POLITYCZNEGO Zinowiew. Kamieniew. Rykow. Tomski. Bucharin. „Rehabilitacja”. Kalinin. Mołotow.	99
STALINOWSKI PRZEWRÓT	108
GPU - ISTOTA WŁADZY	118
OSTATNIE SPOSTRZEŻENIA. UCIEKAĆ Z SOCJALISTYCZNEGO RAJU.....	131
PRZYGOTOWANIE UCIECZKI	141
UCIECZKA. PERSJA. INDIE	150
EMIGRACJA. FINLANDIA. BERLIN.....	162
ZAKOŃCZENIE.....	177

